

# ŚMIERĆ JEST TYLKO POCZĄTKIEM

MIKE OKON

Kiedy śmierć jednego człowieka staje się  
początkiem międzynarodowej afery

NOVAE RES

MIKE OKON

**ŚMIERĆ  
JEST TYLKO  
POCZĄTKIEM**



NOVAE RES

*Śmierć jest tylko początkiem*  
ISBN: 978-83-8219-297-1

© Mike Okon i Wydawnictwo Novae Res 2021

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

REDAKCJA: Magdalena Siemiginowska

KOREKTA: Kinga Dolczewska

OKŁADKA: Grzegorz Araszewski

lassedesignen / shutterstock.com

Andrey\_Kuzmin / shutterstock.com

dot.studio / shutterstock.com

KONWERSJA DO EPUB/MOBI: [Inkpad.pl](http://Inkpad.pl)

WYDAWNICTWO NOVAE RES

ul. Świętojańska 9 /4, 81-368 Gdynia

tel.: 58 716 78 59, e-mail: [sekretariat@novaeres.pl](mailto:sekretariat@novaeres.pl)

<http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej [zaczytani.pl](http://zaczytani.pl).

## **Piątek, drugi grudnia, Warszawa, centrum miasta**

- Cholerna pogoda - stwierdził młody mężczyzna zajęty wkładaniem zimowej kurtki na polarową bluzę. - Nigdy nie przypuszczałem, że będę zakładał na siebie cztery warstwy ciuchów i ciągle będzie mi zimno.

Jego towarzysza, który siedział po drugiej stronie pokoju przed dwoma otwartymi notebookami, uśmiechnął się szeroko.

- Wy, mieszczuchy z południa, nawet nie wiecie, co to są mrozy. To dopiero początek grudnia i uwierz mi, że może być dużo gorzej niż teraz. - Gestem wskazał aureę za oknem. -- Jestem tu już trzeci rok i powiem ci, że najgorsza była ostatnia zima, minus dwadzieścia osiem stopni. Rozumiesz? Na zewnątrz było minus dwadzieścia osiem stopni i wszystko w tym kraju działało. A teraz jest marne zero i narzekasz!

- No dobra, a ile to jest minus dwadzieścia osiem w normalnych jednostkach?

- Jakies minus dwadzieścia Fahrenheitów. Musisz się w końcu przestawić na tutejszy system, bo się pogubisz.

- Pewnie - odparł Jim.

Mężczyzna zasunął szczelnie kurtkę i wyszedł przez główne drzwi.

Po wyjściu skierował się w stronę schodów, minął recepcję i wyszedł na ulicę. Spojrzał na zegarek - było pięć po siódmej rano. Jego kontakt mógł pojawić się najwcześniej za piętnaście minut.

Od apartamentowca, w którym mieszkali, do miejsca umówionego spotkania było około pięć minut drogi. Miał bezpieczny zapas czasu.

Spokojnym krokiem podążał w górę wzniesienia, kierując się w kierunku placu Trzech Krzyży. Jeszcze nie zdążył przywyknąć do tutejszych warunków pogodowych, a już na pewno nie mógł się przyzwyczaić do ciężkich ubrań, które ograniczały ruchy. Gdy składał podanie o przeniesienie do sekcji łączności operacyjnej, zakładał, że dostanie przydział tam, gdzie większość jego kolegów z wojska, czyli do Afganistanu, Iraku lub któregoś z krajów Zatoki Perskiej i Bliskiego Wschodu. Przydział do pracy w Polsce był dla niego jak zesłanie w kosmos. Nie miał żadnych doświadczeń związanych z tą częścią świata, nie znał języka i nic nie wiedział o tym kraju. W ciągu tygodnia musiał przygotować się do wyjazdu, poznać topografię, podstawowe zwroty, szczegółowe plany strefy otaczającej ambasadę oraz kody i systemy działania całej sekcji, w której miał pracować. Samo zadanie, a właściwie zadania, miał poznać po przybyciu na miejsce i uwierzytelnieniu się w placówce ambasady. Jedynym, czego dowiedział się przed przyjazdem, było to, że lokalna kuchnia jest dobra i to akurat się potwierdziło.

Od sześciu miesięcy - czyli od dnia, w którym wylądował na międzynarodowym lotnisku w Warszawie - codziennie podążał do wyznaczonych miejsc spotkań. Lokalizacje miał wryte w pamięci, podobnie jak obrazy, które wcześniej, przed przyjazdem, studiował na pamięć. Oglądał setki zdjęć zrobionych przez innych pracowników wywiadu, analizował mapy, fotki i filmiki podróży umieszczone w internecie. Topografia miasta, nazwy ulic, punkty handlowe, kawiarnie, muzea - musiał je poznać, aby zapewnić bezpieczeństwo

operacji prowadzonych na miejscu w Warszawie, jak również bezpieczeństwo agentów działających bardziej i mniej oficjalnie.

Spojrzał na zegarek. Do chwili, w której miał pojawić się w strefie spotkania, miał jeszcze siedem minut.

Od zawsze obowiązywały go dokładnie określone czas i miejsce spotkań, a także precyzyjnie opisane procedury obowiązujące przed, w trakcie i po spotkaniu. Każde z nich odbywało się według takiego samego scenariusza. Bez słowa, bez wymiany spojrzeń, bez przekazywania żadnych przedmiotów. Jego rola była prosta – miał zweryfikować, czy kontakt pojawił się osobiście, i odebrać meldunek. Tylko tyle i aż tyle. Gdyby kontakt – agent nie pojawił się, miał działać według innej, ściśle określonej procedury.

Dotarł na miejsce.

W kawiarni Coffeeheaven unosił się orzeźwiający zapach porannej kawy, tym przyjemniejszy, że w momencie otworzenia drzwi mieszał się z mroźnym grudniowym powietrzem z dworu. Jim skierował się prosto do lady.

- Jeden dużo americano poprosza - powiedział łamanym polskim.

Był dumny z tego, że potrafił już tyle powiedzieć. Zjednywał sobie tym sympatię osób na ulicy.

Często spotykał tutaj takich jak on – mówiących tylko kilka zdań po polsku Amerykanów i Brytyjczyków posługujących się jego ojczystym językiem. Mógł bez obaw wdać się z nimi w krótką rozmowę. Oficjalnie był pracownikiem amerykańskiej fundacji zajmującej się poszukiwaniem talentów artystycznych w Polsce: malarzy, rzeźbiarzy, plastyków. Rzekoma fundacja mogłaby sponsorować i promować ich w świecie. Takie spotkania były dla niego świetną okazją, aby ukryć prawdziwy cel wizyty w kawiarni.

Młoda dziewczyna po drugiej stronie lady zwinnie poruszała się przy ekspresie ciśnieniowym. Już po chwili stał przed nim kubek gorącego, aromatycznego czarnego napoju.

- Proszę bardzo i miłego dnia - powiedziała i zajęła się przygotowaniem kolejnego zamówienia.

Jim rozejrzał się po sali. Spośród wielu wolnych miejsc wybrał to przy ladzie, wzdłuż szklanej witryny z widokiem na ulicę. Usiadł na wysokim krześle barowym i położył przed sobą wyjętą z kieszeni książkę oraz telefon marki Blackberry. Spojrzał na zegarek. Nadszedł już czas spotkania. Okno czasowe na kontakt wynosiło trzydzieści minut, czyli tyle, ile bez budzenia zbędnych podejrzeń mógł spędzić w kawiarni, pijąc kawę i zagłębiając się w lekturze.

Tym razem nie musiał długo czekać. Agent zjawił się dokładnie po jedenastu minutach. Jim ze swojego miejsca doskonale widział, jak wchodzi, i od razu go zauważył. Sam cały czas czytał książkę.

Przybysz stanął na końcu kolejki i kilka minut później zamówił swoją kawę. Wyglądał zupełnie zwyczajnie, dokładnie tak samo jak poprzednio.

Sygnalizacyjna dioda na blackberrym zaświeciła się na czerwono i zaczęła regularnie migać w równych odstępach czasu. Jakąś minutę później pulsowanie czerwonego światła zmieniło częstotliwość na co kilka sekund i światło w końcu zgasło. Spotkanie się odbyło. Mógł już wracać, podobnie jak jego kontakt, który stojąc przy ladzie, oczekiwał na wydanie kawy i bawił się trzymaną w ręku komórką.

## **Piątek, drugi grudnia, Warszawa, Cmentarz Powązkowski**

Białe ziarenka śniegu tylko przez kilka sekund utrzymywały się na drżących płatkach dorodnej róży, którą Dorota trzymała w dłoni.

Był początek grudnia i zwykle o tej porze śnieg pokrywał większą część kraju. Tego roku było jednak nadzwyczaj ciepło jak na możliwości pogodowe wschodniej Europy – temperatury oscylowały wokół zera, a gęsty, prawdziwy śnieg padał po raz pierwszy. Białe płatki po dotknięciu ziemi prawie natychmiast zamieniały się w przezroczystą wodę i wąskimi kanalikami wsiąkały w podłoże.

Dorota powoli zbliżała się do celu. Listki róży lekko drżały na wietrze i pod naciskiem drobinek śniegu odchyłały się miarowo w rytm ruchu jej dłoni.

Ubrana w ciemnoszary płaszcz i czarne skórzane rękawiczki wyglądała dużo poważniej niż w rzeczywistości. Dla postronnego obserwatora mogła wydawać się dojrzałą, elegancką kobietą po trzydziestce. Faktycznie była dużo młodsza. Miała dwadzieścia cztery lata, ukończone studia i dobrą pracę. Była nieźle zapowiadającą się finansistką z perspektywami na spore zarobki. Życie stało przed nią otworem. Jedynym, co łączyło ją z przykrą przeszłością, było wspomnienie matki, przed której grobem właśnie się zatrzymała.

Czerwona róża spoczęła tuż obok krzyża nagrobkowego. Dorota położyła ją w poprzek płyty. Zawsze przychodziła tylko z różą i małą lampką – dzięki temu czuła się tak jak kiedyś, gdy matka nazywała ją swoją małą dziewczynką i broniła przed okrucieństwem świata dorosłych, którego dziecko nie potrafiło wtedy zrozumieć.

Blask lampki rozświetlił słabym światłem napis na płycie – „Jadwiga Groszkowska. Żyj w naszej pamięci”.

- Przepraszam i dziękuję, mamo – wyszeptała Dorota zapatrzona w płomień.  
Obróciła się i odeszła w kierunku wyjścia z cmentarza.

## Piątek, drugi grudnia, Warszawa, centrum miasta

Mieszkanie na czwartym piętrze apartamentowca w pobliżu budynku Giełdy Papierów Wartościowych zawsze miało wyglądać jak normalne wnętrze przystosowane do potrzeb biurowych. Drukarki, kopiarka, komputery i masa papierów.

Starszy sierżant Jim Kerry siedział przy jednym z monitorów i przeglądał wiadomości. Jego notebook był podłączony do satelitarnego łącza, które zapewniało mu bezpośrednie połączenie z operatorem nadzorującym po drugiej stronie kuli ziemskiej. To od operatora dowiadywał się, co ma zrobić danego dnia, to jemu raportował wykonanie zadań i przekazywał wszystkie meldunki. Ich komunikacja była wyłącznie formalna. Jedynym przejawem ludzkiej strony operatora były życzenia w dniu jego urodzin, a raczej ich namiastka przekazana w postaci komunikatu HB2U, co miało oznaczać *happy birthday to you*<sup>1</sup>. Odpowiedź Jima była równie wylewna: THX, czyli *thanks*<sup>2</sup>. To było kilka miesięcy temu.

Dzisiaj zdarzył się drugi niestandardowy komunikat. Na ekranie komunikatora Jim zobaczył 2DAY1STEPUP4U-CONGRATS. Przeczytał na głos:

- *Today one step up for you, congratulations* <sup>3</sup>.

Coś się musiało wydarzyć... i najwyraźniej coś miało się zmienić w jego życiu zawodowym.

Jim nie miał zbyt dużo czasu na rozmyślanie, bo właśnie w tej chwili zadzwonił jego telefon komórkowy. Dzwonił jego zmiennik Timmy.

- Timmy? - rzucił do słuchawki.

- Jim, właśnie wychodzę z ambasady - odezwał się Timmy. - Musimy pogadać jeszcze dzisiaj. Mam dla ciebie małą niespodziankę.

- Okej, nigdzie się na razie nie wybieram.

- Dobra, będę za kwadrans, bo strasznie pada - odparł Timmy i się rozłączył.

Piętnaście minut - pomyślał Jim. Zdąży w tym czasie nadać przekaz od agenta, który przejął rano w kawiarni. Zaczął wstukiwać w komunikator szereg komend, które ustawiły operatora w tryb odbioru informacji kodowanej w sposób absolutnie bezpieczny. Rozpoczął transmisję. Przez pięć minut jego komputer wymieniał i uzgadniał klucze szyfrujące z komputerem operatora, by następnie stworzyć bezpieczne połączenie tunelowe i przesłać w nim zaszyfowaną wiadomość. Na koniec komputer zamknął połączenie i wysłał do wszystkich pośredniczących serwerów informację o usunięciu logów z tej sesji.

Operator znajdujący się w bazie Andrews w Kalifornii rozpoczął odszyfrowywanie wiadomości. Dołączył ją do czterech poprzednich z tego tygodnia, napisał zbiorczy raport, znowu zaszyfrował treść, a następnie wysłał całość do szefa sekcji, który rezydował w Pentagonie.

---

<sup>1</sup> *Happy birthday to you* (ang.) - wszystkiego najlepszego z okazji urodzin.

<sup>2</sup> *Thanks* (ang.) - dziękuję.

<sup>3</sup> *Today one step up for you, congratulations* (ang.) - dziś jeden krok do przodu, gratulacje.

**Wtorek, szósty grudnia, Warszawa,  
biuro Wadex Trade**

Przegląd porannej prasy i sprawdzanie maili w cichym biurze zawsze sprawiały mu przyjemność. Zwykle pojawiał się na miejscu koło wpół do ósmej rano, ale dzień zaczynał znacznie wcześniej. Po porannym, pięciokilometrowym biegu w lesie siadał przy biurku z kubkiem gorącej czarnej kawy i analizował wydarzenia ostatnich dwudziestu czterech godzin. Lubił to. Najświeższe wiadomości z gospodarki, polityki, giełdy. Wszystko pod jego palcami - w najbardziej tradycyjnej, papierowej formie. Miał też dostęp do serwisu agencji prasowej i mógł do woli przeglądać bieżące doniesienia oraz raporty spółek giełdowych prawie w tym samym momencie, w którym były one oddawane do publikacji. Miał świadomość, że wiedza jest jego orężem i najlepszą bronią. Tylko dzięki niej osiągał sukcesy, a w firmie, w której pracował, miał ich na swoim koncie już całkiem sporo. Dostęp do informacji z różnych źródeł miał jeszcze jedną zaletę - cały czas był obserwatorem zmieniających się strategii informacyjnych różnych podmiotów. Jak na dłoni widział, co niektóre spółki ukrywają przed inwestorami. Wiedział też, że inne firmy pompują informacje kompletnie bez sensu w nadziei na zwiększenie kursu akcji.

Jeden z maili szczególnie przykuł jego uwagę - wiadomość od pracownicy z jego zespołu. Opatrzona była wykrzyknikiem, a umówili się, że będą oznaczać w ten sposób wiadomości tylko w wyjątkowych sytuacjach.

Kliknął w pasek maila. Jak wynikało z treści, prokurent spółki znowu wstrzymał płatność za faktury dla usługodawców marketingowych i reklamowych, którzy w odwecie zagrozili, że przestaną świadczyć swoje usługi. Znowu spotykał się z taką ignorancją człowieka, który kontrolował finanse firmy. Nie pierwszy i pewnie nie ostatni raz będzie musiał odbyć ze Stanisławem Groszkowskim długą i burzliwą rozmowę na temat tego, dlaczego firma ponosi wydatki na reklamę. Groszkowski czepiał się każdej złotówki wydawanej na marketing, a im wyższe były kwoty, tym częstsze i agresywniejsze działania podejmował. W ogóle nie przekonywały go tłumaczenia o widocznych efektach wydatków w postaci zwiększonej bazy klientów. Szczególnym konikiem Groszkowskiego, popularnie zwanego Grochem, były wydatki na działania z inwestorami giełdowymi. Cała firma wiedziała o awanturach, które urządzał on Orłowskiemu.

Zadzwoił telefon na biurku szefa działu marketingu. Nie odrywając oczu od gazety, Michał Orłowski sięgnął po słuchawkę.

- Słucham - powiedział do mikrofonu.

- Cześć, Mike. - Orłowski rozpoznał głos Leszka na drugim końcu linii. Tak jak wszyscy w firmie, Leszek miał zwyczaj mówić do niego Mike zamiast Michał. - Mamy dziś komunikat na giełdę. Pan Groszkowski sprzedał akcje. - W tle dało się słyszeć charakterystyczny pogłos samochodowego zestawu głośnomówiącego. Leszek był w drodze. Mike spojrzął na zegarek. Była dopiero siódma czterdzieści - to wyjaśniało, dlaczego Leszek dzwonił z auta.

- Dużo? - spytał.



- Za osiemdziesiąt tysięcy, więc całkiem sporo.

- Cholera, niedobrze. Przy naszym obecnym *free floacie*<sup>4</sup> trochę nam to zaniży cenę, a jeśli dodamy komunikat o niezrealizowanej prognozie zysku, to leżymy na całej linii.

Leszek nie wiedział, co powiedzieć. W końcu to nie on podejmował tu decyzje. To Orłowski odpowiadał za cały marketing oraz sprawy giełdy. Leszek niejednokrotnie zastanawiał się, jakim cudem ten młody człowiek w tak krótkim czasie zaskarbił sobie zaufanie zarządu, rady nadzorczej i tak wielu pracowników.

Orłowski odezwał się po chwili milczenia.

- Dobra, puścimy to dziś, ale dopiero po dwudziestej drugiej, żeby nie trafiło przypadkiem do porannych gazet. O tej porze większość tytułów, które nas interesują, będzie miała zamknięte makiety wydawnicze. Podeslij mi proszę tekst do akceptacji, jak będziesz miał gotowy.

Odłożył słuchawkę.

---

<sup>4</sup> *Free float* (ang.) - akcje w wolnym obrocie.

## Środa, siódmy grudnia, Warszawa, centrum miasta

Początkowa euforia ustąpiła miejsca zmęczeniu. Trzeci dzień szkolenia do nowych zadań, a on ciągle nie widział końca pracy i nauki. Kilka dni wcześniej cieszył się jak dziecko, gdy dowiedział się, że jego kolega i zarazem szef aktualnej zmiany został odwołany do domu i to on przejmie obowiązki rezydenta komórki wywiadu. Nie zdawał sobie sprawy, że będzie go to kosztowało tyle pracy. Poza normalnymi obowiązkami, które codziennie wykonywał, każde popołudnie i część wieczoru spędzali teraz na nauce. Czasu mieli niewiele, bo Timmy miał opuścić kraj na kilka dni przed Bożym Narodzeniem. Załatwił sobie transport do Berlina, a stamtąd miał się dostać prosto do domu razem z innymi chłopakami wracającymi z różnych zakątków świata.

Była dziewiętnasta, za oknem kolejny dzień z rzędu sypał gęsty śnieg, a temperatura utrzymywała się kilka stopni poniżej zera. Całe miasto, a przynajmniej to, które widział z okien apartamentu w centrum i to, które znał ze służbowych wypadów po meldunki lub na spotkania z agentami operacyjnymi, pokryte było białym puchem. Gdy pierwszy raz wyszedł na zaśnieżoną ulicę, czuł się jak ktoś, kto od nowa musi nauczyć się chodzić. Był kompletnie nieprzygotowany na taką pogodę. Jego buty z płaskimi podeszwami uciekały niekontrolowanie w przeciwne strony i tylko dzięki intensywnemu machaniu rękami udało mu się przebrnąć do najbliższego sklepu z pieczywem. Jeszcze tego samego dnia odbył podróż do galerii handlowej i nabył parę porządnych zimowych butów.

Timmy, jeszcze przez kilka dni rezydent tej komórki, przerabiał z nim wszystkie procedury.

- Jim, wiem, że jesteś w niekomfortowej sytuacji. Ja uczyłem się tego przez ponad pół roku, a tobie każą wchłonąć te informacje w dwa tygodnie - powiedział współczująco. - Jedynym pocieszeniem jest to, że jeśli czegoś zapomnisz albo będziesz chciał się sam dokształcić, to książka procedur jest w ambasadzie. Możesz mieć do niej dostęp o każdej porze dnia i nocy, pozwala na to twój aktualny poziom certyfikatu bezpieczeństwa.

- Wiem, wiem - odparł Jim od niechcenia. - A masz jakieś informacje o tym, kogo teraz przysła... i kiedy?

- Jeszcze nie. Wczoraj operator przekazał mi, że tę informację podadzą bezpośrednio tobie wraz ze sposobem weryfikacji tożsamości i kluczami szyfrującymi dla tego, kogo przysła. Ale to dopiero po moim wylocie. Wcześniej nie mogą tego zrobić, taka procedura.

- Jasne...

## Środa, siódmy grudnia, Warszawa

- Panie Leszku! Jak to do cholery jest możliwe, że w listopadzie były takie same koszty leasingu i wynagrodzeń, jak w październiku? - wykrzykiwał wzburzony Groszkowski, stojąc na środku pokoju, który dzielił z dyrektorem administracyjnym. - Zwolniliśmy czterech ludzi i zdaliśmy ich auta do firmy leasingowej, kolejnych dwunastu zwolniliśmy z magazynu. To miało dać oszczędności na poziomie co najmniej stu dwudziestu tysięcy... i to w samej centrali.

Stanisław Groszkowski rzucił trzymany w ręku pękiem wydruków na biurko dyrektora administracyjnego.

- Nie mam pojęcia - powiedział nieśmiało i bez przekonania Leszek Zaklikowski. - Ja również uważam, że te dane powinny być o wiele mniejsze, niż pokazują to tabelki.

- To co się do cholery stało? Jak to możliwe? Niech pan spojrzy. - Wskazał na dwie kartki z tabelami. - Te wielkości nie są podobne ani przybliżone. One są dokładnie takie same.

- Może w zestawieniu jest jakiś błąd?

- Może, może... - Groszkowski, pełnomocnik zarządu i zarazem dyrektor finansowy Wadeksu, energicznie otworzył drzwi prowadzące na korytarz i skierował się do sąsiedniego gabinetu.

Drzwi wejściowe do pokoju księgowych otworzył z takim impetem, że na biurku stojącym najbliżej wejścia uniosły się wszystkie kartki, targnięte nagłym podmuchem powietrza.

- Panie Stanisławie, ostrożnie - odezwała się kobieta siedząca najbliżej wejścia.

- Pani Jadwigo! Jestem ostrożny, ale jestem też wkurzony, bo robicie główną robotę.

- Słucham?! - spytała kobieta siedząca na wprost wejścia, na której twarzy malował się wyraz najwyższego zdziwienia. - O co panu chodzi?

- A o to, pani Tereso, że dostałem dane, które są gównem warte. Nic z nich nie wynika poza tym, że w naszej księgowości pracują sami idioci.

Teresa Kondraciuk, główna księgowa, poczerwieniała na twarzy. Nie była przyzwyczajona do takiego traktowania, pomimo że z dyrektorem finansowym współpracowała już prawie dziesięć lat. Znała jego impulsywny charakter i wiedziała, czego może się po nim spodziewać.

- Ale o co dokładnie chodzi? - zapytała, starając się zachować spokój.

- O to! - powiedział Groszkowski dużo głośniej, niż było to konieczne, wymachując drugim kompletem danych, który ciągle trzymał w ręku. - To jest zestawienie kosztów, które dostałem od pani dzisiaj rano. Bzdury! Kompletnie bzdury! Zrobiliśmy w poprzednim miesiącu redukcje, a według tego zestawienia nic się nie zmieniło.

- Czy mogę to zobaczyć? - Główna księgowa wyciągnęła rękę w kierunku Groszkowskiego, żeby przejrzeć dane, którymi cały czas wymachiwał.

- Gówno, nic pani nie dostanie! Ze wszystkim pójdę do prezesa i on się z wami rozprawi - wyrzucił z siebie mężczyzna.

Wyszedł z pokoju i skierował się w wiadomym sobie kierunku, ciągle krzyząc.

- Już ja wam pokażę, jak trzeba pracować, wy leniwe baby! Darmozjady jedne!

Tego było dla księgowej za dużo. Spojrzała na dwie podwładne, które podczas całego zajścia siedziały w osłupieniu przy swoich biurkach, szybko wstała, otworzyła drzwi i podążyła za Groszkowskim. Kilka metrów dzielących gabinet księgowych od pokoju dyrektora finansowego pokonała tak energicznie, że nawet nie zauważyła prezesa i wiceprezesa, którzy właśnie wchodzili do biura. Adrenalina działała. Wpadła do pokoju Groszkowskiego, który siadał za biurkiem.

- Ty nadęty dupku! Co ty sobie myślisz? Jak śmiesz odzywać się do nas w taki sposób?! - wykrzyczała mu prosto w twarz. - Dawaj te papiery i powiedz, o co chodzi!

Wyrwała mu z ręki wydruki, z którymi chwilę wcześniej był przy jej biurku. Wystarczył rzut oka na zestawienie i jej wzburzenie się spotęgowało.

- Patrz! Patrz i czytaj! - Podsunęła mu pod nos kartki, wskazując coś palcem. - Widzisz? Tu masz wyraźnie napisane, że to jest zestawienie nieuwzględniające wszystkich danych. Nie uwzględnia wszystkich danych, bo ich jeszcze nie ma! A poza tym - kontynuowała, nie dając mu dojść do głosu - na rozliczenie miesiąca mamy czas do dwudziestego grudnia. Część faktur i zestawień jeszcze nawet do nas nie przyszła, nie ma ich więc w papierach. Wystarczyło chwilę pomyśleć albo grzecznie zapytać, zamiast niepotrzebnie wyzywać ludzi.

- Panie Stanisławie, myślę, że pani Teresie należą się przeprosiny. - Zza pleców księgowej dobiegł głos prezesa zarządu spółki.

Żadne z nich - ani księgowa, ani dyrektor finansowy - nie zauważyło, że Marek Skrzeczkowski obserwował ich, stojąc przy drzwiach.

Groszkowski zmieszał się, spojrzał na prezesa i na księgową.

- Przepraszam - burknął, nie patrząc kobiecie w oczy, i zaczął porządkować dokumenty na biurku.

Wszyscy rozeszli się do swoich pokoi.

Po niecałych dwóch minutach zadzwonił telefon na biurku Groszkowskiego. Mężczyzna podniósł słuchawkę.

- Panie Stanisławie - rozpoznał głos prezesa - niech pan podejdzie do mnie na chwilę.

Odłożył słuchawkę i poszedł do gabinetu Skrzeczkowskiego. Ten siedział jak zwykle za swoim mahoniowym biurkiem, którego kolor ukryty był pod stertą teczek z dokumentami, toną papierów, zamówień i wielu innych wydruków, które codziennie do niego trafiały. Skrzeczkowski miał w zwyczaju osobiście sprawdzać wszystkie ważne dokumenty, podobnie jak kluczowe dla firmy oferty. W tej kwestii nie ufał ludziom, ale jednocześnie dobrze się na nich znał. Umiał rozwiązać większość problemów, z którymi przychodziło mu się mierzyć w pracy. Była to tym bardziej cenna umiejętność, że nie był z wykształcenia menadżerem, lecz inżynierem chemikiem. Do branży logistycznej trafił przypadkiem jako młody chłopak i tak zafascynował się pracą w sprzedaży, że po pięciu latach prowadził już własny zespół sprzedażowy, a po kolejnych pięciu był dyrektorem oddziału centralnego i członkiem zarządu. Awans do funkcji prezesa zdarzył się po trzynastu latach pracy w branży, a jedenastu latach pracy dla Wadeksu. Pomimo że miał wtedy za sobą wiele kursów i szkoleń z zakresu zarządzania, księgowości i sprzedaży, czuł ciężar wyzwania, które przed nim stało, i przez kolejny rok po nominacji intensywnie się szkolił.

Dyrektor finansowy wszedł do pokoju bez pukania. Czuł się do tego upoważniony, widząc uchylone drzwi gabinetu prezesa. Skrzeczkowski rozmawiał przez komórkę, Groszkowski usiadł więc na krześle ustawionym centralnie na wprost biurka.

Prezes odłożył telefon.

- Panie Stanisławie - zaczął - o co znowu chodzi?

- Panie Marku... - Skrzeczkowski nie lubił tytułowania go prezesem i prosił, aby raczej używać zwrotu „panie Marku”. - Minął już tydzień od zakończenia miesiąca i nasze dane księgowe są znowu w lesie.

- I to dlatego wydaje się panu, że ktokolwiek z nas ma prawo poniżać naszych pracowników? Przecież rozmawialiśmy o tym wcześniej. Najpierw był pan skonfliktowany z sekretarkami, które nie wykonywały poleceń, później z szefem oddziału w Poznaniu, bo miał za duże koszty ruchu biura, tydzień temu wielka awantura z Orłowskim w sprawie komunikatów giełdowych i wydatków na marketing, a teraz to. Czy naprawdę nie potrafi się pan opanować?

Groszkowski milczał. Denerwowało go wytykanie mu błędów, nawet gdy działo się to w wąskim, dwuosobowym gronie. Przez lata pracy zawodowej, szczególnie tej odbywającej się w innych realiach i w innym ustroju, jego zachowania były uznawane za absolutnie normalne. Jako zawodowy wojskowy przez trzydzieści mógł swobodnie besztać podwładnych.

- Panie Stanisławie, jest pan dyrektorem finansowym i członkiem zarządu spółki giełdowej. Oczekujemy od pana szacunku dla wszystkich pracowników: począwszy ode mnie, a skończywszy na pani, która sprząta rano biuro. Nawet posiadanie dużego pakietu akcji, którymi pan dysponuje, nie daje panu prawa do takich zachowań. Oczekuję, że jeszcze dziś przeprosi pan wszystkie panie z działu księgowości, które były świadkiem tego zdarzenia. Czy się rozumiemy?

- Tak jest, panie prezesie. - Groszkowski krótko i po żołniersku przyjął dyspozycję przełożonego, pomimo że się z nią nie zgadzał.

Skrzeczkowski wiedział, że tylko w ten sposób można zarządzać tym człowiekiem. Znał doskonale jego przeszłość zawodową i charakter. W ich relacji nie było miejsca na niepotrzebne zwroty, gesty czy kurtuazję. Tylko prosty komunikat i ciągle trzymanie ręki na pulsie pozwalało z byłego wojskowego i finansisty wykreować dobrego i wiernego dyrektora finansowego spółki giełdowej.

## **Czwartek, ósmy grudnia, Waszyngton, Pentagon**

Błyszczący czarny Cadillac Escalade podjechał pod szlaban. Przyciemniana szyba po stronie kierowcy bezszelestnie zjechała w dół, odsłaniając wnętrze wozu.

- Witaj, Hank.

- Dzień dobry, panie pułkowniku - odpowiedział strażnik w mundurze z insygniami sierżanta. Zasalutował i wyprostował się spreżyście.

Sierżant wpisał do karty kontrolnej numer tablicy rejestracyjnej wraz z godziną wjazdu, po czym ponownie zasalutował i otworzył szlaban wjazdowy na teren wojskowego obiektu. Czarny Cadillac majestatycznie przejechał wzdłuż szeregów aut i zaparkował na wyznaczonym miejscu - tym samym, które zajmował codziennie.

Pułkownik Mayers wysiadł z auta i tak jak co dzień ruszył w kierunku najbliższego wejścia do budynku.

- Pułkowniku, generał Stankins prosił, aby od razu udał się pan do jego gabinetu - oznajmiła młoda dziewczyna w recepcji, ubrana w mundur marynarki wojennej bez insygniów.

Mayers bez słowa wszedł do windy i wcisnął przycisk. Pojechał jedno piętro wyżej niż zazwyczaj. Od razu zdeponował teczkę na biurku ochrony i odczekał, aż młody człowiek z sekretariatu generała zaanonsuje jego przyjście.

- Pułkowniku, Conrad - przywitał go starszy siwy mężczyzna.

- Generale - przywitał się równie zdawkowo, podając rękę.

- Czy mamy jakieś wieści z Polski? - spytał generał.

- Na razie nasz człowiek regularnie raportuje. Poznaliśmy mechanizm transferu środków do centralnego punktu i późniejszej redystrybucji. Cały czas pracujemy jeszcze nad ustaleniem miejsc magazynowania danych. Jak tylko poznamy te miejsca, będziemy mogli zająć się samym Grochem i wyeliminować go w sposób definitywny.

- Conrad, wiesz, że ten projekt jest oznaczony pomarańczowym priorytetem?

- Tak jest, generale.

- Senator i jego brat chcieliby widzieć efekty naszej pracy bardzo szybko, na pewno przed rozpoczęciem kolejnej kampanii wyborczej. Ujawnienie nawet ułamka informacji, w których posiadaniu jest Groch, może doprowadzić do dużej destabilizacji na naszej arenie politycznej. Pamiętaj, że senator jest powiązany z wieloma politykami i osobami piastującymi wysokie i ważne funkcje w administracji. Niepotrzebny jest nam drugi Watergate ani afera rozporkowa Clintona. Poza tym jest bardzo wysokie prawdopodobieństwo graniczące z pewnością, że w nadchodzących wyborach senator będzie wystawiony jako kandydat na wiceprezydenta. A to oznacza, że musi być czysty jak łąza. Każda rysa na jego historii na pewno zostanie wyciągnięta na światło dzienne.

- Zapewniam, że wszystko robimy zgodnie z wcześniej ustalonym planem, a nasz agent doskonale się sprawdza. Musimy mieć pewność, że będziemy w posiadaniu wszystkich materiałów. Nie możemy sobie pozwolić, żeby jakakolwiek kopia lub fragment tych informacji znalazły się poza naszym zasięgiem.

- Conrad, robienie wszystkiego może nam tym razem nie wystarczyć. Musimy zrobić więcej. Dlatego właśnie chciałbym, żebyś kogoś poznał. - W tym momencie generał wcisnął na biurku guzik interkomu i wydał krótką komendę. - Wprowadzić!

Otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł cywil. Niewysoki, ciemnowłosy mężczyzna w dobrze dobranym ciemnoszarym garniturze. Podszedł do generała i się przywitał.

- Pułkownik Conrad Mayers, kontrwywiad wojskowy. - Generał przedstawił pułkownika. - Agent specjalny Nick Brown, NSA. - Wskazał przybysza.

- NSA? - spytał zdziwiony pułkownik. - Mamy teraz coś wspólnego z agencją bezpieczeństwa?

- Siądźmy - zarządził generał i kontynuował: - Widzisz, Conrad, otrzymaliśmy informację, że twój projekt może mieć coś wspólnego z tym, co robi NSA. Agent Brown zajmuje się zorganizowanymi grupami, które działają jak prywatne armie albo raczej jak prywatne agencje wywiadowcze z własnymi grupami operacyjnymi i uderzeniowymi. To bardzo skomplikowany mechanizm. Ostatnie dane pokazują, że jest on związany ze sprawą Grocha. Agencje Brown, proszę, niech pan kontynuuje.

Człowiek kompletnie niewyglądający na agenta Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, a dzięki swojej niewielkiej posturze przypominający raczej analityka danych, wyjął z teczki komputer z przygotowaną prezentacją. Wpisał hasło i rozpoczął pokaz.

Na ekranie pojawiła się mapa krajów europejskich.

- Od początku lat dziewięćdziesiątych zeszłego stulecia prowadzimy akcję obserwacyjną i inwigilacyjną pod kryptonimem „Szara stal”. Akcja ma na celu monitorowanie kluczowych pracowników różnych struktur wywiadów krajów europejskich sprzed okresu obalenia komunizmu. Te kraje - powiedział, wskazując na ekranie rejon wschodniej Europy - to kraje komunistyczne, w których sieci wywiadowcze były rozbudowane do ogromnych rozmiarów. Po zachodniej stronie kontynentu siatki wywiadowcze były mniej rozbudowane, lecz działały równie sprawnie. Wraz ze zmianami politycznymi w tej części świata mieliśmy do czynienia z ogromnym procesem wymiany ludzi w strukturach wywiadu cywilnego oraz wojskowego. Kilkanaście tysięcy ludzi straciło pracę dosłownie z dnia na dzień. Wśród nich byli tacy, którzy nie potrafili się odnaleźć zawodowo w normalnym świecie i jednocześnie posiadali niezwykle ważne oraz cenne informacje.

Kolejny slajd przedstawiał kolorowe zdjęcie trzech mężczyzn przy kawiarnianym stoliku. Siedzieli pod rozłożystym parasolem w miejskim otoczeniu. Sądząc po kamienicy w tle zdjęcia oraz po wyglądzie witryn kawiarni, mogły to być Włochy lub Francja.

Agent Brown kontynuował.

- „Szara stal” koncentruje się właśnie na takich ludziach. Ich jednym sposobem na życie była działalność wywiadowcza i kontrwywiadowcza, więc nie zaprzestali jej po obaleniu komunizmu. Działali dalej według znanych sobie sposobów i struktur. Robili to już bez wsparcia rządowego, ale za to z ogromnym zapleczem wiedzy, kontaktów i przede wszystkim pieniędzy. Stworzyli sprawną i świetnie zorganizowaną sieć grup przestępczych, które handlują głównie informacjami, zajmują się szantażami, porwaniami lub wykonywanymi na zlecenie kradzieżami.

- Okej. Zaczynam widzieć związek z operacją, którą prowadzę - przerwał pułkownik Mayers - ale nie bardzo rozumiem, jak ta sieć może działać przez tyle lat. Mamy już przecież dwudziesty pierwszy wiek i od tamtego czasu minęły dekady.

- Ten organizm żyje własnym życiem - odparł Brown. - Stara gwardia pełni tylko funkcje zarządcze i wydaje dyspozycje oraz załatwia korzystne interesy. Operacyjnie wykorzystuje młodych ludzi, którzy nigdy nie byli związani ze służbami specjalnymi

w formacie, w jakim istniały one przed obaleniem komunizmu. Tak naprawdę to zwykli najemnicy, którzy zamiast zasilić szeregi handlarzy broni czy narkotyków, zostali zagospodarowani przez tę część nieoficjalnego rynku pracy. Ważne przy tym jest to, że znakomita większość tych ludzi formalnie nie popełnia przestępstwa.

Na ekranie komputera ukazał się kolejny slajd.

- To - powiedział agent Brown, wskazując na ekran - są obszary działania największych lub najgroźniejszych dla USA sieci w ramach „Szarej stali”. Wiemy o jednej sieci, która wywodzi się z Niemiec, i o dwóch z Francji. W Polsce działa jedna organizacja, dużo mniejsza niż te we Francji i Niemczech.

- Co wiemy o sieci z Polski? - spytał Mayers. - Czy wiemy, kto nią kieruje i czym się zajmują?

- Na jej czele stoją byli wojskowi, którzy wcześniej pracowali w strukturach wojskowego wywiadu i kontrwywiadu. Część z nich to ludzie z bardzo bogatą kartoteką. Gdyby ich akta osobowe wyszły na światło dzienne, mogłoby dojść do wielu zawirowań i konfliktów na szczytach lokalnej władzy. Ci ludzie pozostają raczej w cieniu i nie biorą udziału w publicznym życiu. Co innego jeśli chodzi o ludzi, których oni zatrudniają. Ci działają w dwóch strukturach. Jedna struktura zajmuje się zapewnianiem im bezpieczeństwa, a druga wykonuje różne działania, powiedzmy z zakresu działań operacyjnych.

- A gdzie związek z naszą operacją? - Mayers szukał wspólnego punktu działań obu agencji.

- Otóż dwa miesiące temu otrzymaliśmy meldunek od jednego z naszych agentów, któremu udało się spenetrować tę sieć. Ustalił, że ci trzej - Brown wskazał na ekran, na którym teraz widniały zdjęcia mężczyzn - są szantażowani w związku ze swoją przeszłością w wywiadzie. Ci panowie to nie byle kto. Zajmowali się likwidowaniem ludzi, łącznie mają grubo ponad setkę zabójstw na koncie. To byli bezwzględni agenci i zarazem mistrzowie w swoim fachu. Pracowali niemal we wszystkich krajach Europy, czasem wykonywali też zadania na innych kontynentach. Jak wynika z naszych obserwacji, ktoś ma informacje o ich przeszłości, informacje, które mogłyby z dnia na dzień przenieść ich do więziennej celi, i to przy optymistycznym scenariuszu. W wersji pesymistycznej jeśli nie dorwałby ich wymiar sprawiedliwości, tylko wywiady innych krajów lub koledzy z dawnych lat, nie zdążyliby nawet zmówić pacierza przed wyzionieniem ducha. Podejrzewamy też, że człowiek lub ludzie, którzy szantażują tych trzech, to ci sami, którzy są związani z pańską sprawą, pułkownika. Nasze źródło wskazuje, że osób, które mogą być szantażowane przez to samo źródło, może być znacznie więcej. Niestety nie udało nam się wytropić, w jaki sposób przekazują szantażyście pieniądze ani jak się kontaktują. Od generała wiem, że szantażyście, którego macie pod obserwacją, bardzo się pilnuje. Samych materiałów nie macie, ale ponoć poznaliście mechanizm transferu środków. Wydaje mi się, że możemy sobie nawzajem bardzo pomóc.

Mayers wiedział już wystarczająco, żeby zrozumieć wagę informacji i docenić ewentualną współpracę.

- Generale - odezwał się do przełożonego - jak widzi pan dalsze działania? Czy zapadły już jakieś decyzje w tym zakresie?

- Tak, Conrad - odparł - wszystko mamy już zaplanowane. Potrzebujemy tylko twojej zgody.



## **Piątek, szesnasty grudnia, Beskidy, Przełęcz Salmopolska**

Kozlovsky nie czuł się dobrze w tym ubraniu. Sam nie rozumiał, dlaczego tak często i tak łatwo ulegał tej dziewczynie. Czarne lateksowe spodnie przylegały ściśle do jego nóg, znacznie ograniczając ruchy. Siatkowy podkoszulek był tak cienki, jakby wcale go nie było. I do tego ta obroża na szyi. Cały zestaw przypominał mu sytuację sprzed lat. Podobna sceneria, podobne ciuchy – pomyślał. Na szczęście tym razem to jest kobieta...

Miał nadzieję, że mu się to opłaci. W końcu cel uświęca środki, a cel był wart wysiłku.

Dochodziła ósma, a jej jeszcze nie było. Miała tylko pojechać do sklepu w dolinie i wrócić. Zaczynał się niecierpliwić i obawiać, że tabletką, którą połknął pół godziny temu, nie zadziała we właściwym momencie. Sprzedawca w sex shopie powiedział co prawda, że „efekt murowany przez trzy godziny”, ale on wiedział swoje. Poważnie zaczął rozważać zaaplikowanie sobie jeszcze jednej pastylki, gdy dobiegł go warkot zbliżającego się pojazdu i po chwili przed garażem zaparkował granatowy Ford Mondeo. Po kilku sekundach silnik ucichł. Z auta wysiadła kobieta i skierowała się w stronę domu. Rozpoznał płynny ruch jej ciała, na który czekał.

Otworzyła drzwi.

Odetchnął z ulgą.

– Czy mój wilczek czekał na swoją panią?! – bardziej stwierdziła niż zapytała, patrząc na niego z błyskiem w oczach. Wiedział, że nie oczekiwała odpowiedzi. Nie lubiła, kiedy się odzywał. Tego dnia był psem, a psy nie mówią. Posłusznie siedział, podczas gdy ona zrzuciła z ramion płaszcz i powoli do niego podeszła.

Jej pierwszy dotyk przeszył go dreszczem. Jednocześnie brzydził się tego, co robi, i czuł ogromną potrzebę robienia tego oraz czerpania z tego przyjemności.

Zaskamlał cicho, wywołując delikatny grymas uśmiechu na jej twarzy.

## **Piątek, szesnasty grudnia, Warszawa**

Cztery zegary na ścianie odmierzały czas w czterech miejscach świata. Gdyby nie one, nie wiedziałby, jaka jest pora dnia w miejscu, w którym się znajdował. Pomieszczenie bez okien, z minimalnym oświetleniem, dwa piętra pod ziemią.

Cztery zegary, cztery komputery, potężny serwer i on. Na pierwszy rzut oka wychudzony i ledwo stojący na nogach biedny informatyk. W rzeczywistości ktoś potężny, kto obserwując skaczące na ekranach cyferki, steruje rynkami finansowymi w stopniu umożliwiającym efektywne działanie wielu ludzi. Ktoś, dzięki komu w różnych zakątkach globu można czynić w takim samym stopniu dobro i zło.

Dla niego roboczy tydzień właśnie dobiegał końca. Za dwie godziny zamknie się giełda papierów wartościowych w Nowym Jorku i będzie mógł udać się do domu. Miał jeszcze do przelania między konta swoich klientów około pięćdziesiąt tysięcy dolarów i dwie godziny, żeby to zrealizować. Musiał to zrobić w taki sam sposób jak przez ostatnie lata - żeby nikt nie wykrył tych transferów ani nie skojarzył ze sobą odbiorców i nadawców pieniędzy. Jak zawsze cicho i dyskretnie, tak jak cenił to jego klient. Klient, który dobrze płacił za tę pracę.

## Poniedziałek, dziewiętnasty grudnia, Poznań

- Kurwa - zaklął pod nosem.

Był zły na siebie i na niego. Dał się wmanewrować w idiotyczną rozmowę i odsłonił się jak dziecko. Na dodatek nie miał żadnej pewności, że ten człowiek tego nie nagrywał. Powinien był to przewidzieć od samego początku.

Wszystko zaczęło się tydzień temu. Był wtedy jeszcze na urlopie. Dzwoniła asystentka zarządu Wadeksu.

- Dzień dobry, czy dodzwoniłam się do pana Łukasza Sołtysiuka?

- Tak - odparł od razu.

- Przepraszam, że niepokoję pana i telefonuję w czasie urlopu, ale otrzymałam od pana Groszkowskiego polecenie, by pilnie się z panem skontaktować i połączyć rozmowę, a służbowy telefon ma pan wyłączony.

W sumie nie miał nic lepszego do roboty tego popołudnia.

- Okej. Niech pani łączy.

Groszkowski nie miał ochoty prowadzić konwersacji. Stanowczym i nieznoszącym sprzeciwu głosem wygłosił oświadczenie. Poinformował go, że w trakcie jego nieobecności będzie w jego oddziale w Poznaniu i wykona przegląd wszystkich dokumentów finansowych za ostatnie dwa lata. Oznajmił też, że w dniu audytu będzie musiał się z nim spotkać.

Sołtysiuk nie miał innej możliwości, jak tylko się zgodzić.

Kilka dni później podjechał pod hotel Ibis w centrum Poznania. W recepcji czekała na niego wiadomość od prokurenta spółki i zarazem dyrektora finansowego - oczekiwał na niego w swoim pokoju. Gdy dotarł na trzecie piętro i został wpuszczony do środka, zastał Groszkowskiego w wybitnie weekendowym ubraniu. Wytarte jeansy, polo zamiast koszuli, miękkie brązowe mokasyny, które dopełniały całości i totalnie nie pasowały do grudniowego krajobrazu za oknem.

Wskazał młodemu dyrektorowi oddziału miejsce przy niewielkim stole pod oknem. Nie zaproponował nic do picia, od razu przeszedł do sedna sprawy.

- Panie Łukaszu - zaczął - mamy problem.

Zawiesił na chwilę głos, oczekując, aż słowa zapadną głęboko w umysł jego rozmówcy. Sołtysiuk nie przerywał.

- Dokładnie to pan ma problem, a ja jestem tutaj, żeby pomóc go panu rozwiązać.

- Co ma pan na myśli, panie dyrektorze? - odparł uprzejmie mężczyzna.

- Powiem wprost. Oszukiwał pan naszą firmę - mówił te słowa bardzo powoli i patrzył mu prosto w oczy.

To stwierdzenie zaskoczyło Sołtysiuka. Pracował w Wadeksie od prawie dwóch lat i zawsze zarządzał oddziałem w jego zdaniem najlepszy możliwy sposób. Nie miał sobie nic do zarzucenia zarówno w kwestiach zarządzania pracownikami, jak i powierzonym mieniem, a szczególnie finansami.

- Czy mógłby pan powiedzieć jaśniej? - odpowiedział.

Groszkowski podniósł się z krzesła, zrobił krok w kierunku środka pokoju i powiedział:

- Wiem i mam na to dowody, że celowo zawyżał pan faktury od firm, z którymi współpracowaliśmy i współpracujemy.

- Słucham?! - Sołtysiuk nie wierzył własnym uszom.

- Tak. Dokładnie tak. Wszystko się wydało, panie dyrektorze. I mam na to wystarczające dowody.

- Człowieku, o czym ty opowiadasz? - Sołtysiuk był wyraźnie wzburzony. - To są jakieś brednie i totalne bzdury.

Groszkowski podszedł do nocnego stolika przy łóżku i podniósł z niego gruby plik kartek.

- Masz - rzucił je na stół. - Patrz i czytaj.

Dyrektor oddziału rozsunął ręką kartki po stole. Były to kserokopie dokumentów księgowych jego oddziału. Nie wszystkich dokumentów. Szybko zorientował się, że dokumenty, które przed nim leżały, pochodzą od czterech stałych dostawców firmy i od trzech firm remontowo-budowlanych, które wykonywały prace w trakcie modernizacji budynku oddziału.

- No i co? Przecież z tego nic nie wynika - powiedział już spokojniej Sołtysiuk.

- Może nie, a może tak. Te faktury same w sobie nic nie mówią, ale jeśli zestawimy je z innymi ofertami na te prace i porównamy z kosztami tych samych usług ponoszonymi przez inne oddziały w naszej firmie, widzimy, że kwoty są zawyżone. Mówiąc inaczej, panie Łukasz, można było zrobić to taniej.

- Panie Stanisławie, to jakaś fikcja, przecież to pan wydał polecenie skorzystania z tych firm!

- Ma pan na to jakiś dowód? - zapytał chłodno Groszkowski.

- Jaki dowód? - Sołtysiuk nie dawał za wygraną. - Przecież za każdym razem dzwoniłem do pana w sprawie wyboru firm.

Groszkowski spojrzał mu prosto w oczy.

- Ale czy ma pan na to jakiś dowód? Bo jeśli nie, to znaczy, że to była wyłącznie pana decyzja.

- Panie Stanisławie, ja nie wiem, do czego pan dąży, ale to jest jakaś fikcja. Nie wiem, czego pan ode mnie chce i co ma na celu to spotkanie, ale uważam je za zakończone i proszę być pewnym, że tak tego nie pozostawię - powiedział, po czym wyszedł z hotelowego pokoju, trzaskając drzwiami.

Teraz, gdy minęło siedem dni od spotkania, żałował, że tak potoczyła się ta rozmowa. Gdyby mógł, w ogóle nie rozpoczęłyby wymiany zdań na temat tych faktur. Zastanawiał się, czemu miało to służyć. W tym zdarzeniu było coś, co go niepokoiło. Groszkowski nie chciał się spotkać w biurze, tylko w hotelu. Pierwszy raz, odkąd pracował w Wadeksie, kontrola odbyła się podczas jego urlopu. Od zdarzenia minął już tydzień, a Groszkowski chyba nie podjął dalszych działań, bo nikt z zarządu nie kontaktował się z nim w tej sprawie.

## **Wtorek, dwudziesty grudnia, Warszawa**

Cholerne święta – pomyślała Dorota, wciskając pedał hamulca mocno i gwałtowniej niż zwykle.

Od ponad godziny próbowała przedostać się na drugą stronę miasta, gdzie miała umówione spotkanie ze swoim mężczyzną.

Jak to możliwe, że ci wszyscy ludzie nie są teraz w pracy, tylko na mieście – snuła dalej rozważania. Tego dnia specjalnie przyjechała do firmy wcześniej. Już o siódmej siedziała za biurkiem i przed piętnastą zrobiła wszystko, co zaplanowała na ten dzień. Miała nawet wystarczająco dużo czasu, żeby poprawić makijaż w damskiej toalecie i zrobić eyelinerem delikatne kreski, które tak bardzo lubił. Cieszyła się z tych kilku minut, które udało jej się wygospodarować. Nie potrafiła malować się w trakcie jazdy i zawsze podziwiała kobiety, które stojąc na czerwonym świetle, pokrywały kredką usta, a na kolejnym skrzyżowaniu robiły sobie cienie. Robienie makijażu uważała zresztą za czynność raczej intymną i pudrowanie nosa na środku ulicy, nawet we własnym samochodzie, było dla niej niepotrzebną ekstrawersją.

Z makijażem miała jeszcze jedno nieprzyjemne skojarzenie. Kiedy jako trzynastolatka pierwszy raz malowała się razem z mamą, dopadł je ojciec. Obie wiedziały, że w ogóle nie pochwałał malowania, ale pokusa poczucia się kobietą, nawet tylko przez chwilę i tylko przed własnym, domowym lustrem, była zbyt silna. Szczególnie dla wchodzącej w okres dojrzewania nastolatki.

Dokładnie pamiętała, co zdarzyło się, gdy ojciec stanął w drzwiach pokoju, w którym siedziały. Przez długą, pełną napięcia chwilę stał w drzwiach, a ona czuła, jak wzbiera w nim złość. W mundurze i wojskowych butach wydawał się naprawdę potężny i silny. Służbowa broń w brązowej, skórzanej kaburze tylko dodawała mu siły – siły, której ona i matka doświadczyły wcześniej niejednokrotnie i której bały się wtedy bardziej niż czegokolwiek na świecie.

W pewnym momencie ruszył do przodu. Milczał. W kilka sekund okrążył łóżko i podszedł do nich. Pierwszy cios spadł na Dorotę. Był tak silny, że dziewczyna przeleciała przez łóżko i wylądowała po drugiej stronie. Upadając na podłogę, dostrzegła kątem oka, jak ojciec zamachnął się tą samą ręką na matkę. Ta bez krzyku przyjęła cios i kolejne razy.

Dorota poczuła słony smak w ustach. Dotykając ręką krwawiącego nosa i gorącej, pulsującej coraz mocniej wargi, słuchała, jak mężczyzna, który był jej ojcem, a którego w tamtym momencie nienawidziła z całych sił, wykrzykiwał w kółko te same słowa: „Co mówiłem? No co mówiłem?”.

Dźwięk klaksonu wyrwał ją z zadumy. Samochody ruszyły i tuż przed nią powstała kilkudziesięciometrowa luka. Wrzuciła bieg i szybko ruszyła naprzód. Poczuła, jak po jej policzku spływa łza. Nie lubiła tych wspomnień. Za każdym razem, gdy próbowała przywołać jakieś pozytywne zdarzenie z tego okresu, wracały sceny przemocy i ból. Taki jak wtedy, gdy wróciła ze szkoły i zobaczyła, że ojciec zniszczył jej jedyną i ulubioną zabawkę.

Jako córka wojskowego była wychowywana w sposób szczególny. Surowe normy zachowania i wychowania obowiązywały ją od najmłodszych lat. Ojciec zakazał matce i rodzinie kupowania jej zabawek. Sam wybrał misia, który miał być jej jedyną maskotką. Po jednym ze swoich awanturnicznych napadów postanowił jednak, że wypoleruje swoje oficerskie obuwie pluszakiem swojej córki. Rozerwał zwierzaka na kawałki, usiadł na stołku w kuchni i ze starannością godną lepszej sprawy nakładał pastę i polerował skórzane cholewy resztkami materiału zabawki.

Trauma, której doświadczyła pięcioletnia dziewczynka, była nie do opisania. Jedyna zabawka. Przyjaciel w płaczu, zabawie, samotności i ciężkich chwilach leżał rozdarty na podłodze w kuchni. Powiernik największych sekretów dziecka został zniszczony. Gdy tamtego dnia wróciła do domu z przedszkola i stanęła w drzwiach kuchni, po raz pierwszy coś zablokowało ją w środku. Poczła jednocześnie ból i straszną złość. Przysięgła sobie wtedy, że przyjdzie czas, kiedy ten mężczyzna, ten potwór, zapłaci za to, co zrobił.

W późniejszych latach, w okresie szkoły średniej i studiów, niejednokrotnie próbowała usprawiedliwiać ojca. Jako przeciętny młody chłopak w wieku dwudziestu lat trafił do wojska i szybko awansował. Kiedy przyszedł na świat, był dorosłym mężczyzną w sile wieku. Miał spore doświadczenie i poważanie w armii. Miał też poważny problem. Stres, połowe warunki życia, koledzy i psychiczne obciążenie tak mocno osłabiły jego psychikę, że wpadł w nałóg. Zaczęło się jeszcze przed jej narodzinami. Coraz częstsze zakrapiane imprezy. Picie dla rozgrzewki na poligonie, na pobudkę przed wczesnymi ćwiczeniami lub po prostu z okazji spotkania się z kompanami. O ile popijanie niewielkich ilości w ciągu dnia nie było groźne dla niej i dla matki, o tyle większe imprezy miały zawsze swoje drugie oblicze w domu. Ojciec przychodził chwiejnym krokiem i tuż po przekroczeniu progu pokazywał, kto jest panem gospodarstwa - tłukł naczynia, wypijał zawartość niewielkiego barku z alkoholem, bił ją i matkę. Wiele razy zdarzyło się, że jego agresja zmuszała je do szukania schronienia u sąsiadów. Zwykle takie agresywne i destruktywne działania trwały trzy, cztery dni i później wszystko wracało do normy. Na jakiś czas...

Chociaż te wydarzenia dawno już minęły, ból pozostał. Cały czas czuła dreszcze na samą myśl, że ojciec znowu mógłby ją uderzyć, jak to wielokrotnie miało miejsce w przeszłości. Lżejsze pobicia maskowała ubraniem, zwolnieniem z zajęć wychowania fizycznego, tłumaczyła przewróceniem się na ulicy. Cięższe zmuszały ją do kilkudniowego pobytu w domu i niepokazywaniu się światu.

Ruszyła spod świąteł.

- Ostatnia prosta - szepnęła, wciskając pedał gazu i rozpędzając auto po trzypasmowej jezdni prowadzącej na drugi brzeg rzeki.

Za chwilę miała nadzieję znaleźć się w ramionach mężczyzny, który był motorem jej działań. Miała nadzieję, że z jego pomocą uda jej się zapomnieć o wielu zdarzeniach z przeszłości.

## **Poniedziałek, dwudziesty piąty kwietnia, Warszawa**

Arleta Adamczyk była asystentką zarządu od niecałych dwóch miesięcy. W tym krótkim czasie zaskarbiła sobie sympatię wielu pracowników. Cieszyła się z tego, co robiła. Wadex nie był dużą firmą, ale był spółką giełdową i ten fakt wiązał się z dużym prestiżem, który odczuwała na każdym kroku.

Powiew ciepłego, kwietniowego powietrza i myśl, że spędzi kolejny dzień w pracy, którą lubi, napawały ją radością. Kiedy szła z metra w kierunku biura, wstąpiła do sklepu spożywczego. Miała ochotę na dużą drożdżówkę i kefir. Jakbym była w ciąży – pomyślała o swoich nagłych zachciankach kulinarnych. Od jakiegoś czasu nachodziło ją niespodziewane pragnienie zjedzenia czegoś, czego akurat nie było w zasięgu ręki. Na początku łączyła to z wiosną i inną przemianą materii. Następnie próbowała wytłumaczyć to sobie zwiększoną aktywnością seksualną męża. Odkąd zaczęło się robić ciepło i ubierała się zdecydowanie lżej, ich gniazdko przypominało częściej fermę królików niż dom małżonków z trzyletnim stażem. W ciągu dwóch tygodni zrobili to w każdym pomieszczeniu, w każdej możliwej pozycji. Codzienne odkrywali w sobie nowe pokłady energii i chęci robienia tego, co sprawiało im taką przyjemność.

Drożdżówka smakowała wysmienicie. Kefir wylądował w torebce obok telefonu, pomadki i kilku innych damskich niezbędników.

- Dzień dobry, pani Arleto – przywitał ją ochroniarz w recepcji budynku.

- Dzień dobry, dzień dobry. Śliczny dzień się dzisiaj zapowiada – odparła i obdarzyła uśmiechem mężczyznę za kontuarem.

- No właśnie. Piękną wiosnę mamy tego roku. Mam nadzieję, że lato będzie równie pogodne.

Ochroniarz podał jej klucz.

- Miłego dnia, panie Darku.

- Dziękuję, nawzajem – odparł mężczyzna.

Weszła po schodach, pokonując po dwa schodki naraz. Większość osób korzystała z windy, ona jednak konsekwentnie wędrowała na pierwsze piętro na piechotę. Po kilku tygodniach wchodzenia i schodzenia odczuwała wyraźną poprawę kondycji, szczególnie że robiła to kilka razy dziennie, za każdym razem, kiedy tylko była ku temu sposobność.

W korytarzu prowadzącym do biur zarządu jak zwykle o tej porze panował półmrok. O wpół do ósmej nikt poza nią nie zapuszczał się w tę część budynku. Ręką odszukała przełącznik światła na ścianie. Halogenowe lampy pod sufitem rozblęły ciepłym żółtym blaskiem.

Jej biurko, które było recepcją, stało w zagłębieniu korytarza. Odłożyła na nie torbę i gazetę. Na krześle wylądował wiosenny płaszcz, którego używała od kilku dni. Chwyciła kubek i skierowała się do firmowej kuchenki po świeżą i gorącą kawę.

W połowie korytarza, w części, która pozostawała w półmroku, zauważyła niewyraźny kształt na podłodze. Po kilku sekundach dotarło do niej, że na ziemi leży człowiek.

Podbiegła.

W bladym świetle otwartych drzwi jednego z pokoi rozpoznała kierownika administracyjnego. Leżał pod ścianą, był blady i nieprzytomny.

- Panie Leszku! - krzyknęła, jednocześnie unosząc jego głowę. - Co się stało?

Mężczyzna nie reagował.

- Czy pan mnie słyszy? - Nagle jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki wyparowały jej z głowy wszystkie informacje o tym, jak postępować z nieprzytomną osobą.

- Panie Leszku! - powtórzyła, tym razem głośniejszym głosem, i lekko poklepała go otwartą dłonią po policzku.

Tym razem z pozytywnym skutkiem. Mężczyzna poruszył się, otworzył oczy, oblizał spierzchnięte wargi i wziął głębszy oddech. Skrzywił się w grymasie bólu, powoli podniósł rękę do klatki piersiowej.

- Dobrze się pan czuje? - Arleta próbowała rozeznaczyć się w sytuacji. Nie wiedziała, jak może pomóc. - Może wezwać pogotowie?

W odpowiedzi Leszek Zaklikowski podniósł rękę i wskazał wewnątrz pokoju, do którego drzwi były otwarte. Arleta powiodła wzrokiem za jego dłonią.

- W środku - wyszeptał ledwie słyszalnie.

Dziewczyna wstała i weszła do środka, bacznie się rozglądając. Nagle zamarła. Na podłodze tuż za drzwiami leżało ciało mężczyzny. Dopiero po kilku sekundach dotarło do niej, że to pracownik firmy. Wiedziała, że nie żyje. Stanisław Groszkowski był przeraźliwie biały. Tylko ktoś, kto nie żyje, może mieć taki kolor skóry. Zwłoki dyrektora finansowego Wadeksu spoczywały w pozycji półsiedzącej. Oparty plecami o szafę, z odchyłoną do tyłu głową i szeroko otwartymi ustami, patrzył na nią trupim wzrokiem. Mętne źrenice wydawały się jednocześnie krzyczeć i przewiercać ją na wylot okrutnym spojrzeniem śmierci.

Poczuła, jak jej żołądek przewraca się do góry nogami.

Wybiegła z pokoju.

Na korytarzu tuż za drzwiami potknęła się o nogi kierownika administracyjnego. Upadła, uderzając głową o posadzkę.

Przez chwilę świat wirował i nie wiedziała, co się dzieje.

- Pani Arleto! - Tym razem to Leszek ją nawoływał.

Wirowanie ustało. Przed oczy powrócił obraz dyrektora Groszkowskiego. Nie wytrzymała. Skurcz był tak silny, że nawet nie próbowała go opóźnić, żeby mieć szansę na dojdzie do toalety. Cała treść pokarmowa: drożdżówka, śniadanie i resztki obiadu z poprzedniego dnia znalazły się na podłodze.

Otarła usta.

Podniosła się na łokciu i rozejrzała dookoła.

- Nie żyje! - bardziej stwierdziła niż zapytała.

- Tak - usłyszała w odpowiedzi.

Leszek Zaklikowski zaczynał czuć się lepiej, chociaż ciągle odczuwał ból w klatce piersiowej.

- Chyba musimy zadzwonić po policję - znowu stwierdziła, oczekując potwierdzenia.

- Tak. Niech pani to zrobi.

- Zaraz zadzwonię, tylko... - Wskazała na podłogę.

- Niech się pani odświeży, nie ma pośpiechu.

Arleta podniosła się z podłogi i opierając się o ścianę, ruszyła w kierunku łazienki.



## Poniedziałek, dwudziesty piąty kwietnia, Zakopane

Był z siebie zadowolony. Dziesięć i pół kilometra w czterdzieści osiem minut, po górskim terenie i przy niecałych ośmiu stopniach Celsjusza. To wszystko po dość intensywnym wieczorze i niezbyt spokojnej nocy.

Górski, chłodny wiosenny poranek i niesamowite widoki Tatr stanowiły dla niego dopełnienie ostatnich kilkunastu godzin. Wiosna w górach zawsze jest piękna i kompletnie inna niż na nizinach. Lubił ją podziwiać, szczególnie w takich momentach jak ten. To był tylko i wyłącznie jego czas – bez telefonu, bez e-maili.

Michał Orłowski wszedł do hotelowego lobby.

Elektroniczny zegar na ścianie recepcji wskazywał szóstą pięćdziesiąt. Pomachał ręką w kierunku recepcjonistki, która sennym wzrokiem spojrzała na niego, uśmiechnęła się i wróciła do swojej pracy.

Lobby było o tej porze puste. Podszedł do recepcyjnego ekspresu do kawy. Przez chwilę było słychać, jak urządzenie mieli ziarna, kompresuje i pod ciśnieniem przepuszcza gorącą wodę przez kawowy pył.

Z pobliskiego stojaka z gazetami wyciągnął po egzemplarzu lokalnych i krajowych gazet. Z filiżanką kawy usiadł w jednym z foteli i rozpoczął poranny przegląd prasy.

Hotel o tej porze był jeszcze kompletnie martwy. Zauważył tylko dwóch gości, którzy pojawili się w zasięgu jego wzroku. Jeden wyszedł przed hotel zapalić papierosa, a drugi zszedł piętro niżej w kierunku wejścia do basenu. Niecałe dwadzieścia minut zajęło Orłowskiemu wypicie kawy i przebrnięcie przez wszystkie gazety.

Gdy dotarł do swojego pokoju, otworzył balkonowe okno, ustawił telewizor na kanale z wiadomościami, zrzucił przepocone ubranie i wszedł pod prysznic. Ciepła woda jak zwykle dała mu ukojenie. Im dłużej biegał, tym bardziej restrykcyjnie podchodził do późniejszych zabiegów. Jego ulubionym ćwiczeniem był naprzemienny natrysk gorącą i lodowato zimną wodą.

Właśnie sięgał do kranu, gdy usłyszał charakterystyczny dźwięk. Przykręcił kurek. Ktoś pukał. Po chwili stwierdził, że właściwie było to nieprzerwane walenie pięścią w drzwi.

Spojrzał na zegarek. Było pięć po ósmej. Na pewno nie był jeszcze nigdzie spóźniony.

– Mike! Otwórz! – rozpoznał głos.

Kasia Stawicka potrafiła się wydrzeć i wyegzekwować to, co chciała. W końcu pracowała w firmie, w której dziewięćdziesiąt trzy procent stanu osobowego stanowili facci.

– Już. Moment. Mokry jestem! – krzyknął w stronę drzwi.

Wyłączył wodę, chwycił ręcznik z wieszaka i owijając się nim wokół pasa, pomaszerował w kierunku drzwi wejściowych. Na dywanie zostały mokre ślady jego stóp.

– Co tak długo? – przywitała go tuż po otwarciu drzwi – Głuchy jesteś czy co?!

Pomimo że Orłowski był jej bezpośrednim przełożonym, ich rozmowy nigdy nie były formalne, traktowali się raczej po koleżeńsku.

- Co się dzieje? - spytał, gdy weszła i zaczęła chodzić w kółko po wolnej przestrzeni hotelowego apartamentu.

- Groch nie żyje - wypaliła i spojrzała mu prosto w twarz.

- Jak to? Groch? To znaczy Groszkowski? Kiedy?

- Przed chwilą dzwoniła Monika. Rano znaleźli go w biurze w jego pokoju.

- Jak to się stało?

- Nie mam pojęcia. Podejrzewają zawał. Tak przynajmniej mówi Monika i nie dowiedziałam się od niej niczego więcej, bo cała była w nerwach i przy tej jej astmie co drugie słowo musiała używać inhalatora.

Nagle dostrzegła ruszający się na łóżku kształt. Spojrzała pytająco na Orłowskiego i bez słowa podniosła brwi. Na białej hotelowej pościeli szerokim łukiem rozłożone były bujne włosy w kasztanowym kolorze, częściowo przygniecione dłonią z pomalowanymi na ciemnoczerwony kolor paznokciami. Nagi bark kobiety się poruszył.

Zignorował jej pytające spojrzenie i machnął ręką. Ten gest miał wystarczyć za całe tłumaczenie faktu, że w jego łóżku jest jakaś kobieta.

W tym momencie zorientował się, że ma na sobie tylko ręcznik kąpielowy.

- A wiadomo chociaż, kiedy to się stało? - spytał.

- Nie mam pojęcia, o tym nic nie wspomniała. - Stawicka wyjęła z kieszeni spodni zmiętą paczkę papierosów i zaczęła jednego wyciągać.

- U mnie nie możesz. To jest pokój dla niepalących, włączysz alarm. Możesz na balkonie.

Bez słowa odepchnęła mocniej skrzydło drzwi i wyszła na balkon. Od razu zaciągnęła się głęboko, po czym puściła przed siebie ogromny kłęb dymu. Orłowski dokończył toaletę i się ubrał. W tym czasie leżąca na łóżku kobieta zdołała wysunąć głowę spod prześcieradeł i machnęła do Stawickiej na przywitanie. Krótkim „cześć, Julka” Kaśka załatwiła całość porannych uprzejmości i zajęła się paleniem.

Po trzech minutach Mike był gotowy do zejścia na śniadanie, chociaż wcale nie miał apetytu. Śmierć Groszkowskiego - niezależnie, czy z przyczyn naturalnych czy też nie - miała wpływ na jego pracę. Tak jak wiele osób był z nim skonfliktowany, a w biurze Groszkowskiego znajdowały się notatki na temat podejrzeń wobec wielu ludzi. Groszkowski był też akcjonariuszem (i to dość dużym) Wadeksu. Każda informacja związana z takim pakietem akcji była obserwowana przez inwestorów. Gdyby wiadomość o śmierci Groszkowskiego została odebrana przez rynek w niewłaściwy sposób, mogłoby dojść do załamania wzrostowej tendencji kursu akcji, nad którą pracował przez ostatnie dziesięć miesięcy. Już raz, kilka miesięcy wcześniej, pod koniec poprzedniego roku, Groszkowski rzucił mu kłodę pod nogi, gdy sprzedał pokaźny pakiet akcji bez konsultacji z nim i z zarządem spółki, czym wywołał spadek kursu o ponad pięć procent.

Orłowski wziął z biurka kartę wejściową do pokoju i skierował się w stronę wyjścia.

- Chodź, idziemy na śniadanie - zarządził, jednocześnie sprawdzając dłonią, czy jego włosy nie są zbyt mokre i nie kapią na koszulę, bo nie miał czasu na ich suszenie.

Gdy wyszli z pokoju, Stawicka wskazała palcem na zamykające się za nimi drzwi i spytała:

- Wy... dawno...?

- Coś ty - odparł bez namysłu. - Po prostu spędziliśmy miło czas na wyjeździe.

Nie odpowiedziała i przez chwilę podążali korytarzem w milczeniu.

- Trzeba przygotować komunikat w tej sprawie - zmieniła temat, gdy zatrzymali się przed drzwiami windy.

- Tak. Skontaktujesz się z Leszkiem i ustalicie zarys komunikatu, a ja w tym czasie zadzwonię do prezesa i ustalimy, kiedy i w jakim duchu puścimy tę informację w rynek. Trzeba się też dowiedzieć, co policja sądzi o jego śmierci i czy na pewno to zawał czy może ktoś mu pomógł...

- Jak to? - spytała z przerażeniem w głosie. - Sądziś, że ktoś mógł mu pomóc? Że ktoś go...

- Nic nie sądzę. Muszę brać pod uwagę wszystkie ewentualności. Groszkowski miał na pieńku z wieloma osobami z firmy. Prawda?

- Tak - odparła bezwiednie.

- W piątek w centrali tuż pod jego nosem były praktycznie wszystkie osoby, z którymi udało mu się zdrzeć w ciągu ostatnich dwóch lat. Racja?

- Tak - kiwnęła głową i szybko dodała: - ale czekaj, on przecież w piątek miał wyjechać na jakiś zjazd do swojej uczelni czy jakiegoś klubu albo stowarzyszenia. Na pewno miał pociąg koło trzynastej, bo Arleta załatwiła mu bilet.

- Okej, to w takim razie może wrócił wcześniej albo w ogóle nie wyjechał. Policja na pewno da nam znać, kiedy to się stało. Poza tym zawsze będzie można sprawdzić na nagraniach z kamer, czy on w ogóle wychodził z budynku.

Dojechali na dolny poziom hotelu i drzwi windy otworzyły się bezszelestnie. Restauracja na parterze była już prawie pełna. Udało im się szybko przebrnąć przez tłum dobudzających się uczestników konferencji przy bufetach z jedzeniem. Znaleźli miejsce przy oknach w rogu sali z widokiem na góry. Orłowski wyjął swoje blackberry i odszukał numer w książce telefonicznej. Po chwili usłyszał dźwięk na drugim końcu linii.

- Cześć, Monika, Orłowski z tej strony - zakomunikował.

- Hej - odparła, a w jej głosie słychać było, że niedawno płakała. - Już wiesz?

- Tak, właśnie siedzimy z Kasią na śniadaniu.

- Jejku, że macie jeszcze apetyt po tym wszystkim. Ja już dwa razy rzygałam - relacjonowała, nie oszczędzając mu szczegółów. - On tam jeszcze jest. Robią mu cały czas zdjęcia i kilka minut temu przyjechali goście z ogromnym czarnym workiem i noszami.

- Słuchaj, czy prezes jest już w firmie?

- Nie wiem. Mogę poszukać i dam ci znać.

- Dobra, poszukaj. Powiedz jeszcze, co mówi policja? Czy wiadomo, kiedy to się stało i czy ktoś mu pomógł?

- No co ty! - prawie krzyknęła z oburzeniem. - Jak to pomógł?

- Normalnie. Pytam, czy miał zawał czy ktoś go stuknął.

- A po co ci taka informacja?

Orłowski szybko zripostował:

- Przecież tej informacji długo nie utrzymamy w firmie w tajemnicy. W końcu będziemy musieli powiedzieć o tym mediom i analitykom, co więcej, będziemy musieli poinformować wszystkich, co stanie się z udziałami Groszkowskiego.

- No tak. W sumie racja. Daj mi chwilę, to poszukam Skrzeczkowskiego. - Rozłączyła się.

Już po kilku minutach telefon delikatnie zawibrował. Na ekranie pojawiła się treść SMS-a: „Jest już w firmie. Gada z policją”. Teraz Orłowski musiał tylko chwilę odczekać, aż prezes będzie w miarę wolny, żeby móc do niego zadzwonić.

Dokończyli śniadanie i ruszyli w kierunku części hotelowej.

- Pamiętaj o ustaleniu treści komunikatu z Leszkiem - przypomniał Stawickiej. - Jeśli on jest w stanie...

- Dobra, dam ci znać, jak skończymy.

Stawicka skierowała się do windy, on zaś przeszedł przez lobby i poszedł w stronę centrum. Do targowiska z regionalnymi produktami miał około dziesięć minut spacerem. Po drodze zadzwonił do prezesa Skrzeczkowskiego, dowiedział się jednak niewiele więcej. Groszkowskiego znalazł Leszek, druga na miejscu była recepcjonistka, Arleta. Według policji był to zawał, który najpewniej zdarzył się w piątkowe południe jeszcze przed planowanym wyjściem dyrektora finansowego na pociąg. W ten sposób miał dotrzeć na spotkanie absolwentów swojej uczelni. Ustalili, że komunikat do mediów pójdzie późnym wieczorem, żeby nie było na niego miejsca na pierwszych miejscach sekcji inwestorskich w gazetach i portalach internetowych.

Orłowski dotarł na targ. Spośród wielu straganów wybrał dwa - jeden z lokalnymi serkami, które zawsze uwodziły go unikalnym smakiem, drugi z drewnianymi zabawkami i pamiątkami.

W powrotnej drodze do hotelu wstąpił do pobliskiej kawiarni po kawę na wynos.

Gdy wchodził do hotelowego lobby z kubkiem w połowie wypitej kawy, jego blackberry wyświetlił e-maila od Leszka Zaklikowskiego z proponowaną treścią komunikatu. Uśmiechnął się. Dzięki takim ludziom jego praca była łatwiejsza.

## **Poniedziałek, dwudziesty piąty kwietnia, Warszawa**

Cała firma wiedziała już o śmierci dyrektora finansowego. Tego dnia nikt nie pracował i nie wykonywał normalnych czynności, nie licząc recepcjonistek, które odbierały telefony przychodzące do firmy. Na korytarzach cały czas gromadziły się większe i mniejsze grupki pracowników rozmawiających półgłosem.

Umundurowani policjanci pracowali razem z nieumundurowanymi oraz z technikami, którzy co jakiś czas wchodzili i wychodzili z budynku do samochodów zaparkowanych na parkingu.

Pracownicy innych pięter biurowca również interesowali się wydarzeniami na terenie Wadeksu. Co jakiś czas wpadali niby do znajomych, choć wszyscy wiedzieli, że głównym powodem ich wizyt jest poranne zdarzenie.

Policjant, który przybył na miejsce jako jeden z ostatnich, ubrany w cywilne ubranie, przepytывał szczegółowo zarówno mundurowych, którzy pojawili się na miejscu jako pierwsi, jak i osoby, które znalazły Groszkowskiego i które mogły cokolwiek wiedzieć o jego śmierci. Na początku rozmawiał z lekarzem.

Jak wynikało ze wstępnych oględzin, dyrektor Groszkowski zmarł najprawdopodobniej na zawał serca. Lekarzowi udało się ustalić czas zgonu na piątek. Oznaczało to, że zwłoki przeleżały w biurze ponad dwa dni. Dokładniejsze ustalenie czasu było niemożliwe bez sekcji zwłok.

- Doktorze, niech pan przynajmniej powie, czy to było przed południem, po południu czy wieczorem - nalegał policjant.

- Niestety nie jestem w stanie.

- Ale dlaczego...?

- Bo facet był cukrzykiem, i to z dość długim stażem. - Lekarz wskazał palcem nakłucia na brzuchu w okolicy bioder. - Bez dokładniejszych badań nie jestem w stanie nic więcej powiedzieć.

- A na kiedy będziemy mieli opis sekcji, badania krwi i wszystko, co się da?

Lekarz szybko otworzył notes, który trzymał cały czas w ręku.

- Sekcję zrobimy jeszcze dzisiaj, nie mamy nic zaplanowane. To był spokojny weekend, więc koło piętnastej powinniśmy być gotowi.

- Dzięki, doktorze.

Policjant podszedł do dwójki techników, z których jeden pracował przy śladach na framudze drzwi, a drugi przy biurku.

- Jakież efekty? - spytał.

- Na razie nic. Nie ma żadnych śladów walki, szarpania, włamania. Kompletnie nic szczególnego. Wygląda na to, że to zwykły zawał - odparł i po chwili dodał: - Aha, a ten gość miał chyba cukrzycę, bo znaleźliśmy to.

Technik wyciągnął rękę z czarnym podłużnym pudełkiem. W środku była strzykawka wielkości długopisu i kilka ampulek.

- ...i jeszcze to. - Technik podał mu niewielki notatnik. - To chyba zapiski poziomów cukru o różnych porach i dawek, jakie sobie aplikował. Bardzo porządnie i systematycznie spisywane. Facet był skrupulatny jak aptekarz.

- Dziękuję - powiedział policjant. - Spiszcie tylko protokoły z oględzin i jesteście wolni. Ja się zajmę resztą...

- Szukał mnie pan - odezwał się wysoki mężczyzna, który właśnie pojawił się za plecami nadkomisarza Choryło. Wyprzedzając pytanie policjanta, szybko dodał: - Marek Skrzeczkowski, jestem prezesem Wadeksu.

- Aaa... tak - odparł podkomisarz. - Czy możemy zamienić kilka słów bez świadków?

Prezes Skrzeczkowski gestem wskazał drogę do swojego gabinetu.

- Co udało się panom ustalić? - spytał policjanta, gdy weszli i zamknęli za sobą drzwi.

- Na razie wiemy niewiele i wszystko sprawdzamy. W sumie trwają teraz rutynowe czynności wyjaśniające. Bardzo by nam pomogło, gdybyśmy mogli wzbogacić swoją wiedzę o coś, co możecie państwo posiadać tu w firmie...

- Służę pomocą - wtrącił szybko prezes.

- Chodzi o nagrania z kamer i ewentualnie rejestr wejść i wyjść z budynku. Widziałem, że wszyscy wchodzący do środka mają karty magnetyczne, którymi otwierają sobie drzwi.

- Jeśli chodzi o karty magnetyczne, to możemy to załatwić od ręki, kadry mają wgląd w ten system - odpowiedział Skrzeczkowski. - Dzięki temu nie musimy mieć dodatkowych list obecności pracowników.

Podniósł słuchawkę i wystukał kilka cyfr na klawiaturze telefonu.

- Pani Arleto? Aha. Jeszcze jest z lekarzem? Dobrze, w takim razie pani Moniko, poproszę, żeby ktoś z kadr przyniósł mi aktualne wydruki z systemu wejść na kartę od... - Zakrył słuchawkę i spytał podkomisarza: - Od kiedy?

- Od czwartkowego poranka - szybko i zdecydowanie odparł Choryło.

- ...w takim razie od czwartku rano do dziś. Dobrze. Czekamy.

- A jak z kamerami? Czy ten obraz jest nagrywany?

- Już sprawdzam - odparł Skrzeczkowski i ponownie podniósł słuchawkę.

Po pięciominutowej rozmowie z administratorem budynku prezes miał pełną wiedzę na temat działania systemu kamer wewnątrz i na zewnątrz obiektu. Jak się okazało, każdy korytarz i każda klatka schodowa wewnątrz budynku były monitorowane, podobnie jak wejścia i wyjścia z parkingu oraz część terenu bezpośrednio wokół biurowca. Nagrania były przechowywane przez trzydzieści dni.

Nadkomisarz Choryło wychylił się z gabinetu prezesa Skrzeczkowskiego tylko na moment, żeby wysłać techników do pomieszczenia, w którym były nagrania z monitoringu. Poleciał im, aby zabezpieczyli je na wszelki wypadek.

- Sądzi pan, że to nie był zawał serca? - zapytał prezes.

- Wie pan, nie ma znaczenia, co ja sędzę czy co ja czuję. Muszę działać według pewnych procedur, a te procedury nakazują mi sprawdzić każdą ewentualność. Dopóki patolog nie powie, że zgon nastąpił z przyczyn naturalnych, muszę brać pod uwagę udział osób trzecich.

- Rozumiem.

- Poza tym od środy zaczynam urlop i nie chciałbym, żeby z powodu jakiegokolwiek niedopatrzenia ktoś zawracał mi głowę i ściągał mnie tu, bo czegoś nie dopilnowałem.

W tym momencie otworzyły się drzwi i do pokoju weszła młoda dziewczyna o kruczoczarnych włosach.

- Panie prezesie, to wydruki, o które prosił pan kadry - powiedziała i położyła na biurku kilkanaście kartek zadrukowanych tabelami.

- Dziękuję, pani Moniko.

Nadkomisarz wziął do ręki wydruki i zaczął je przeglądać.

- Czy był pan w piątek w biurze?

- Tak, oczywiście.

- Czy to był jakiś szczególny dzień? Czy cokolwiek odbiegało od normy?

- U nas każdy dzień jest szczególny - próbował zażartować Skrzeczkowski. - W piątek był zjazd dyrektorów oddziałów, więc w biurze przebywało dwanaście dodatkowych osób. Nasz dział marketingu i relacji inwestorskich przygotowywał się do wyjazdu na najważniejszą konferencję w roku. Można więc uznać, że ten dzień był dość wyjątkowy, faktycznie dużo się działo.

- A pan Groszkowski? - Choryło nie dawał za wygraną. - Czy uczestniczył w tych wydarzeniach?

- Z tego, co pamiętam, to przed południem miał krótkie spotkania z dyrektorami. Takie spotkania jeden na jeden. Rano prowadził dla nich półgodzinny wykład dotyczący nowych druków zamówień.

- A po południu?

- Dokładnie nie wiem, ale wydaje mi się, że miał gdzieś wyjechać. Mogę zaraz to ustalić.

Kolejny raz połączył się z asystentką i po wysłuchaniu szczegółowych informacji powiedział:

- Pan Groszkowski w piątek wczesnym popołudniem miał jechać na zjazd absolwentów swojej uczelni do Krakowa. Planował tam zostać przez cały weekend aż do niedzieli. Bilet powrotny kupowała nasza asystentka, miał wrócić do Warszawy wieczornym pociągiem.

Nadkomisarz się zamyślił:

- Kto był cały czas w biurze i mógłby opisać, jak wyglądał jego dzień?

- Tylko asystentki i mój zastępca, Mirosław Kozłowski.

- Nazwisko brzmi obco - zauważył Choryło. - To Polak?

- Jego ojciec albo dziadek chyba nie pochodzili z Polski. On jest tutejszy.

- Dobrze, to poprośmy najpierw asystentkę, może uda się ustalić, jak wyglądał jego ostatni dzień pracy, czyli piątek.

Prezes Skrzeczkowski tym razem wyszedł z gabinetu i po kilku minutach wrócił z Arletą Adamczyk. Dziewczyna przywitała się z policjantem i zajęła miejsce wskazane przez prezesa. W ciągu następnych kilkunastu minut nadkomisarz zadawał pytania, zaś dziewczyna odtwarzała z pamięci wszystkie informacje. Udało się stworzyć przybliżony przebieg ostatniego dnia pracy dyrektora finansowego spółki. Jak się okazało, pojawił się w biurze tak jak zwykle, czyli kilka minut przed ósmą rano. Zrobił sobie kawę i punktualnie o ósmej zaczął sprawdzać, kogo jeszcze nie ma jeszcze w biurze. Była to jego ulubiona czynność - wylapywanie spóźnialskich. Następnie, jak przypomniała sobie asystentka, poszedł do swojego pokoju i wyszedł z niego dopiero w momencie, w którym przekazała mu informację, że wszyscy dyrektorzy oddziałów czekają na niego w sali konferencyjnej. Było to około dziewiątej rano lub tuż po dziewiątej. Na spotkaniu z dyrektorami przebywał do mniej więcej dwunastej, po czym opuścił salę konferencyjną, a wraz z nim niezadowoleni i rozjuszeni dyrektorzy oddziałów. Arleta Adamczyk nie potrafiła dokładnie określić, co było powodem niezadowolenia dyrektorów, jednak wiedziała, że rozmowa była impulsywna i emocjonalna, bowiem donośny głos dyrektora dochodzący z sali słyszała nawet ze swojego

miejsca. Jak określiła, „bardziej przypominało to tyradę miażdżących wypowiedzi” niż cokolwiek, co powinno być biznesową, profesjonalną postawą wobec pracowników spółki.

Dla Choryły najważniejsze było ustalenie, że po naradzie dyrektor Groszkowski nigdzie nie wychodził i miał jedynie kilka spotkań indywidualnych z pracownikami. Asystentka nie wiedziała dokładnie, kto i w jakiej kolejności wchodził do pokoju dyrektora, bo w tym czasie była na poczcie z korespondencją.

Udało się potwierdzić, że rezerwowała dla Groszkowskiego zarówno bilet kolejowy do, jak i z Krakowa, jak również hotel na krakowskim Kazimierzu. Jednocześnie wyjaśniła, że normalnie dyrektor podróżował samochodem, lecz tym razem, z uwagi na „zakrapiany” charakter spotkania, zamierzał pojechać pociągiem.

Prawie skończyli, gdy do pokoju prezesa zajrzał mężczyzna w mundurze pracownika ochrony.

- Panie komisarzu, to jest nasz szef ochrony obiektu - wyjaśnił prezes Skrzeczkowski - pomoże nam wyjaśnić zapisy monitoringu oraz systemu kontroli dostępu.

Nadkomisarz podziękował asystentce. Miejsce Arlety Adamczyk zajął szef ochrony. Od razu sięgnął po wydruki z systemu komputerowego, które leżały na biurku prezesa.

- Tutaj widać, że pan Groszkowski wszedł do biura o godzinie siódmej czterdzieści dziewięć rano. - Mężczyzna wskazał palcem na jedną z tabel. - A dokładnie to godzina otwarcia drzwi na poziomie minus jeden naszego parkingu. Sprawdziłem w dyżurce, że do parkingu wjechał o siódmej trzydzieści dwie, tego nie widać na tym zestawieniu.

- Czy w ciągu dnia dyrektor gdzieś wychodził? - spytał Choryły.

- Tylko raz, wyszedł o godzinie dwunastej siedem. - Wskazał ręką drugą część budynku za oknem. - Tym łącznikiem. Poszedł do naszej biurowej kantyny.

- O której wrócił?

- Tutaj widać. - Ochroniarz wskazał palcem w tabeli kolejny wpis. - To była dwunasta trzydzieści jeden. Po tym wejściu nie ma w systemie żadnych danych o wyjściu dyrektora z tej strefy.

- Jeszcze jedno pytanie - powiedział nadkomisarz. - Jak działa ten system? Czy wystarczy pojawić się obok czytnika, czy też trzeba przez czytnik przeciągać kartę magnetyczną?

- Wystarczy być w pobliżu czytnika - odparł mężczyzna. - Każde drzwi mają wmontowaną pętlę indukcyjną, czyli taki rodzaj anteny, która widzi karty z chipem, które przez nią przechodzą.

- Dziękuję panu. - Nadkomisarz wstał i pożegnał się z szefem ochrony.

Gdy zamknęły się drzwi, zapytał prezesa:

- Czy dyrektor finansowy na coś chorował? Czy miał jakichś wrogów w firmie?

- Na pewno miał cukrzycę, bo często musiał jeść posiłki i brał też zastrzyki z insuliny - bez większego namysłu odparł Skrzeczkowski.

Była to dla niego oczywista informacja, bowiem cała firma o tym wiedziała. Groszkowski był diabetykiem i bardzo skrupulatnie pilnował zarówno swojej diety, badania poziomu cukru, jak i dawkowania insuliny. Jego wojskowy tryb życia przyzwyczał go do regularnego i skrupulatnego działania. Z dokładnością szwajcarskiego zegarka Groszkowski spożywał posiłki i robił to nawet w trakcie spotkań. Potrafił wysłać asystentkę do swojego pokoju po baton energetyczny lub kanapkę.

Nadkomisarz dalej pytał:

- Jak z wrogami w firmie lub poza nią? Czy miał z kimś na pieńku?



- Raczej łatwiej byłoby wymienić, z kim nie był na wojennej ścieżce - odparł Skrzeczkowski. - Pan Stanisław był fajnym facetem, ale dla wielu osób zbyt surowym. Na palcach jednej ręki można by wymienić osoby, które uważały go za przyjaciela lub z którymi nie był w złych stosunkach.

- Czy z grona nieprzyjaciół ktoś szczególnie się wyróżniał? A może było to kilka osób?

- Nie, raczej nikt się nie wyróżniał. Na pewno miał koszmarne złe stosunki z dyrektorem naszego oddziału w Poznaniu i z dyrektorem marketingu, który pracuje tutaj na miejscu...

- Czy obaj byli w piątek w biurze? - Policjant przerwał wypowiedź.

- Tak, dyrektor Sołtysiuk przyjechał na comiesięczne spotkanie dyrektorów. Dyrektor Orłowski z działu marketingu tego dnia wyjeżdżał na konferencję w Zakopanem, gdzie miał reprezentować naszą firmę. Zresztą właśnie ta konferencja była jednym z powodów ich ostatniej czwartkowej kłótni, którą słyszało całe biuro, a atmosfera między panami była gęsta jeszcze w piątkowy poranek.

- O co im poszło?

Skrzeczkowski wziął głęboki oddech:

- W sumie o to samo, co zawsze. Dyrektor finansowy odpowiada za wynik finansowy i controlling w firmie. Pan Stanisław wszędzie szukał oszczędności i w jego opinii nasze wystąpienie na weekendowej konferencji było kompletnie niepotrzebnym wydatkiem dwudziestu tysięcy złotych. Właśnie z tym pobiegł do Orłowskiego, bo myślał, że to była jego samodzielna decyzja. Najpierw tak go zbeształ i zwymyślał od najgorszych, że zbiegło się pół naszego biura, a później, nie dając Orłowskiemu jakiegokolwiek możliwości obrony, wyszedł z jego gabinetu. Orłowski wybiegł za nim, chwycił go za ubranie i niemal podniósł do góry. Wykrzyczał mu prosto w twarz, żeby się od niego odczepił, powiedział mu również, że nie jest jego przełożonym i że to była decyzja prezesa, czyli moja. Pan Stanisław podobno odgrażał się jeszcze, że Orłowski za to zapłaci i że jeszcze tego samego dnia pójdzie złożyć zawiadomienie o naruszeniu nietykalności osobistej, ale z tego, co wiem, nie zrobił tego. Odradził mu to w rozmowie członek naszej rady nadzorczej.

- Dobrze, na razie to chyba wszystko.

- Czy panowie Orłowski lub Sołtysiuk będą mieli problemy? Będziecie ich przesłuchiwać?

- Raczej nie. Lekarz mówi, że to był zgon naturalny, ale dokładnie potwierdzi to w trakcie sekcji. Na razie muszę tylko stworzyć raport i opisać okoliczności znalezienia zwłok oraz samego zdarzenia. Jeśli faktycznie był to naturalny zgon, to mój raport będzie gotowy za dwa dni, podpisze go mój zwierzchnik i sprawa będzie zamknięta.

- Rozumiem. - Skrzeczkowski kiwnął głową. - Czy poinformowaliście państwo już córkę pana Stanisława?

- Córkę?

- Tak. Pan Stanisław był wdowcem. Miał tylko córkę. Pracuje tutaj z nami. Nie mieszkała z nim. Dziś miała mieć dzień wolny - wyjaśniał prezes. - Pani Dorota Groszkowska pracuje w naszej księgowości i odpowiada za przygotowanie danych do raportów finansowych.

- Czy ktoś już do niej dzwonił?

- Nie wiem. Mogę tylko sprawdzić. - Prezes Skrzeczkowski podniósł słuchawkę i połączył się z asystentką.

- Tak, dzwoniła do niej jej przełożona z księgowości, pani Teresa Kondraciuk. Pani Dorota jest w drodze i pewnie będzie za niecałą godzinę.

- Dziękuję. Z mojej strony to już wszystko. Gdybym miał jakieś pytania, pozwolę sobie do pana zadzwonić. - Choryło wstał i żegnając się z Markiem Skrzeczkowskim, wziął z biurka jego wizytówkę.

**Poniedziałek, dwudziesty piąty kwietnia,  
trasa Zakopane - Warszawa**

Czas dłużył mu się okropnie. Od pięciu godzin siedział w pociągu na trasie Zakopane - Warszawa. Gdyby nie zimna i deszczowa pogoda, na konferencję przyjechałby motocyklem. Po zimie miał niesamowitą ochotę pojeździć na dwóch kołach i poczuć tę charakterystyczną wolność.

Telefon wydał z siebie cichy dźwięk i oznajmił, że jest już w zasięgu sieci komórkowej. Ktoś próbował się z nim połączyć. Od razu rozpoznał ciąg cyfr i wybrał opcję oddzwonienia.

- Cześć! Dzwoniłeś! - rzucił do słuchawki, rezygnując z tradycyjnego powitania.

- Tak - odparł Łukasz Sołtysiuk, dyrektor oddziału Wadeksu z Poznania. - Słyszałeś już?

- O Grochu? Tak, słyszałem z samego rana. Kiepska sprawa. Podobno cały dzień w biurze rozwalony i nikt normalnie nie pracował.

- A słyszałeś, że policja chodziła po biurze i wypytywała, z kim był skłócony i komu najbardziej zalaż za skórę?

Orłowski rozejrzał się wokoło i upewnił, że nikt go nie słyszy.

- Dziewczyny z recepcji mówiły, że pytali o moją ostatnią awanturę z nim i ogólnie o nasze słabe stosunki. Ale wydaje mi się, że nie mamy się o co martwić, bo lekarz orzekł na miejscu, że nikt mu nie pomógł i że to zawał serca.

Tego Sołtysiuk nie wiedział.

- No to przynajmniej wiemy, że nie będą węszyć jak ten stary trep. Zawał mu się należał za tę całą wredność. Mam nadzieję, że smaży się już u Lucyfera bez szans na przedterminowe zwolnienie.

- Na pohybel mu - zawtórował w tym samym tonie Orłowski.

Pociąg właśnie wjechał na stację Warszawa Centralna.

- Ty - zaczął dyrektor z Poznania - a ty w ogóle wiesz, czym się Groch kiedyś zajmował? To znaczy wcześniej, jak jeszcze pracował w wojsku?

- No nie bardzo, wiem tylko, że niechętnie o tym mówił i nikt oprócz właścicieli spółki nic nie słyszał - odparł Mike, wychodząc z pociągu na peron stacji.

- Ha! Widzisz, to ja wiem więcej. Wszystko od mojej Darii - pochwalił się Sołtysiuk. - Opowiem ci, jak spotkamy się następnym razem.

- Kiedy będziesz? - spytał Orłowski, stojąc przed wejściem do dworcowej kawiarni.

- Pewnie pod koniec tygodnia.

- Okej, to daj info, jak będziesz jechał.

Rozłączył się i wszedł do Starbucksa, wiedziony zapachem świeżej kawy.

Mała czarna i kanapka wystarczą - pomyślał, przekraczając próg lokalu.

## **Poniedziałek, dwudziesty piąty kwietnia, Warszawa**

Świeże pieczywo pachniało obłędnie. Nawet przez grubą papierową torbę czuł, że bagietka i korzenne bułki są jeszcze ciepłe. To jedna z niewielu fajnych rzeczy w tym kraju – pomyślał Jim, zaciągając się ponownie zapachem specjałów z pobliskiej piekarni. Popołudniowe wypieki wydawały mu się zdecydowanie lepsze od tych porannych, dlatego właśnie późnym popołudniem chodził do kawiarenki, którą upatrzył sobie w trakcie jednego ze spacerów po okolicy.

Przydział do Polski od samego początku wydawał mu się egzotycznym wyzwaniem. Teraz, po kilku miesiącach, oceniał, że jest to wyzwanie ekstremalne. Ciągłe miał w pamięci zimowe miesiące, w trakcie których tyłek marzył mu tak często i tak dotkliwie, że miał dość lokalnego klimatu jeszcze przed gwiazdką. Do tego kierowcy na ulicach jeździli gorzej niż ci w Iraku. Tam przynajmniej uważali na pieszych, a tu nawet zielone światło nie gwarantowało bezpiecznego przejścia na drugą stronę ulicy.

Z każdym dniem coraz bardziej zazdrościł Timmowi, który wrócił już w rodzinne strony i po miesięcznym szkoleniu w Quantico został wysłany do jednostki Vandenberg w Kalifornii.

Przechodził właśnie przez jezdnię, gdy poczuł w kieszeni wibrację telefonu. Wolną ręką sięgnął do spodni i wydobyl komórkę. Wiadomość tekstowa. Wcisnął klawisz, żeby ją odczytać. Na ekranie telefonu wyświetliła się informacja: „Kwota ostatniej transakcji kartą VISA ...1787 wynosi 28.50 zł”.

Dla postronnego obserwatora, który przypadkiem odczytałby tę wiadomość, była to zwykła informacja o wartości ostatniej płatności kartą. Jednak Jim wiedział, co ona naprawdę oznacza. To była część procedury awaryjnej jednego z kontaktów. Miał wryte w pamięci kody przypisane do agentów terenowych aktywnych w tym kraju. Jeden siedem osiem siedem to była końcówka numeru rachunku bankowego i karty przypisanych do agenta pracującego prawie dwa lata nad tym samym tematem. Tej karty agent mógł użyć wyłącznie w celu wywołania spotkania lub przekazania informacji, że ma problemy.

Teraz Jim miał trzy godziny, żeby pojawić się w ustalonym miejscu i odebrać meldunek. System działał w ten sposób, że agent miał kartę płatniczą powiązaną z numerem telefonu opiekuna, który był łącznikiem pomiędzy agentem i centralą – w tym przypadku w Pentagonie. Agent używał karty tylko do przekazania konkretnej informacji. Zakup za kwotę mniejszą niż dziesięć złotych oznaczał, że Jim w ciągu godziny musi pojawić się w miejscu, w którym odbierze meldunek od agenta. Gdyby kwota była w przedziale od dziesięciu do dwudziestu złotych, Jim miałby do spotkania dwie godziny czasu. Co dziesięć złotych przybywała kolejna godzina. Gdyby agent wykonał trzy transakcje za trzydzieści, sześćdziesiąt i dziewięćdziesiąt złotych, byłyby to sygnał niebezpieczeństwa wzywający do podjęcia agenta z bezpiecznej kryjówki w przeciągu dwudziestu czterech godzin.

## **Poniedziałek, dwudziesty piąty kwietnia, California**

W pomieszczeniu operatorów transmisji nigdy nie gasło światło. Pokój ukryty trzy piętra pod ziemią stanowił część kompleksu podziemnych bunkrów. Bez dostępu dziennego światła, ze specjalnymi filtrami powietrza na wypadek ataku chemicznego, zbiornikami zmagazynowanego tlenu oraz zapasami wody i własnymi generatorami prądu. Miejsce to zostało przygotowane jako jedno z rozproszonych centrów łączności i dowodzenia na wypadek wojny. W przypadku zagrożenia taki bunkier jest w stanie pomieścić nawet osiemset osób personelu i zapewnić im przetrwanie przez około trzydzieści dni.

W czasach pokoju ta żelbetowa konstrukcja stanowi jeden z podstawowych elementów struktury komunikacyjnej działań wywiadowczych armii. Kilkaset komputerów w trybie całodobowym monitoruje sygnały przychodzące od zewnętrznych agentów terenowych i sieci informacyjnych. Zanim wiadomość dotrze do tego pomieszczenia, jest kodowana, powtórnie kodowana i przed wysłaniem przesyłana w specjalnym połączeniu, zestawianym tylko do tego celu pomiędzy nadawcą i odbiorcą informacji.

Operatorzy informacji pracują podobnie do kontrolerów lotów. Ich zadanie polega na odbiorze informacji, nadaniu im statusu oraz wprowadzeniu do odpowiednich podsystemów lub wszczęciu procedur w ściśle opisanych przypadkach.

Taki przypadek właśnie miał miejsce. Na pulpicie jednego z operatorów pojawił się komunikat, że nadeszła nowa informacja ze statusem, który nakazuje odczytanie jej w bezpiecznym pomieszczeniu i rozpoczęcie procedury awaryjnej. Ten sam komunikat o nadejściu wiadomości ze specjalnym priorytetem pojawił się również na monitorze koordynatora sekcji radiooperatorów.

W tym samym czasie dwaj umundurowani mężczyźni wstali od swoich stanowisk i skierowali się do korytarza, na końcu którego w bezpiecznym pomieszczeniu użyli dwóch imiennych identyfikatorów, aby odkodować i odczytać informację. Zgodnie z instrukcją po jej odczytaniu zobowiązani byli wdrożyć procedurę awaryjną zainicjowaną przez terenowego agenta po drugiej stronie świata.

## Poniedziałek, dwudziesty piąty kwietnia, Warszawa

Jeszcze tylko dwa dni pracy i dwa tygodnie laby - nadkomisarz Choryło cieszył się na myśl o nadchodzącym urlopie. Specjalnie tak zaplanował wakacyjny wyjazd, żeby wymienić się ze swoim przełożonym i móc wyjechać w okresie, kiedy wakacyjne kurorty są jeszcze puste, bez tysięcy wrzeszczących dzieciaków i miłośników *all inclusive*<sup>5</sup>, którzy cały dzień ładują w siebie hektolitry alkoholu.

Podjechał właśnie pod dom Doroty Groszkowskiej. Córka dyrektora finansowego mieszkała w starym budynku na Mokotowie. Tak jak nakazywała instrukcja służbowa, musiał przeprowadzić krótki wywiad na temat zmarłego, umieścić go w aktach i spisać raport końcowy. Później pozostawało tylko liczyć na to, że jego przełożony - komisarz Kłopotcki - nie przyczepi się do niczego i sprawa wpadnie do archiwum jako zakończona.

Nowoczesny wideodomofon nie pasował do starego muru budynku mieszkalnego z czasów PRL-u. Dziwnie się czuł, wiedząc, że rozmówca może go widzieć przez wyłupiasty obiektyw, podczas gdy on nie miał tej możliwości.

Gdy tylko rozległ się szczeł podnoszonej słuchawki, od razu się przedstawił i po chwili usłyszał brzęczyk elektrycznego zamka w drzwiach.

Czekała na niego na czwartym piętrze w otwartych drzwiach. Dostrzegł, że nie wyglądała na osobę pogrążoną w wielkim smutku. Była ubrana w ciemnoszarą koszulę, jeansy i była bez makijażu.

- Pani Doroto - zaczął tuż po przekroczeniu drzwi - prowadzę czynności wyjaśniające okoliczności zgonu pani ojca. To rutynowe działanie i chciałbym zadać pani kilka pytań, które pozwolą mi sporządzić końcowy raport.

- Bardzo proszę - powiedziała, przechodząc do pokoju dziennego i wskazując mu miejsce na kanapie.

- Czy pani ojciec na coś chorował, leczył się lub czy ostatnimi czasy miał jakieś poważniejsze problemy ze zdrowiem?

Dorota Groszkowska usiadła na wprost podkomisarza.

- Od ponad dwudziestu lat chorował na cukrzycę. Miał specjalną dietę i przyjmował insulinę. Poza tym był raczej zdrowy. Co prawda w ostatnich miesiącach wspominał, że czuje się słabszy niż kiedyś, ale nie mówił, że coś mu dolega.

- Rozumiem. - Choryło notował skrzątnie. - A czy w ostatnim czasie zauważyła pani jakąś zmianę w jego zachowaniu? Coś, czego wcześniej nie robił?

- Raczej nie. Od dłuższego czasu mieszkamy osobno i widywaliśmy się głównie w biurze, ale tam też nic nie zauważyłam - odparła, po czym zapytała: - A czy wiadomo już, co było przyczyną śmierci ojca?

- Tak. Wczoraj późnym popołudniem lekarz wykonał sekcję. Tak jak przypuszczał, był to zawał serca, i to bardzo rozległy. Nawet gdyby ktoś był przy nim w momencie, kiedy to się stało, to raczej nie było szans na to, by go uratować. Tak więc proszę przyjąć wyrazy współczucia.

Panna Groszkowska nic nie odpowiedziała, tylko spuściła głowę. Podkomisarz kontynuował:

- Kto zajmie się sprawami pogrzebu, mieszkaniem i majątkiem pani ojca?

- Ja - odpowiedziała. - Ojciec nie miał innej rodziny.

- Czy w pracy lub poza pracą miał jakieś problemy, wrogów, konflikty, w których uczestniczył?

Dziewczyna zamyśliła się przez moment.

- Chyba nie. A jeśli nawet, to nie mówił mi o tym. Przez całe życie, moje życie, nie rozmawiał ze mną o swoich sprawach. Ojciec był kiedyś zawodowym wojskowym i to wyrobiło w nim nawyk trzymania pewnych spraw wyłącznie dla siebie.

- Dobrze, dziękuję. To chyba wszystko. - Choryło wstał i podał jej rękę na pożegnanie, po czym obrócił się do wyjścia.

Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, dziewczyna podeszła do krzesła i z leżącej na nim torebki wyciągnęła telefon komórkowy. Wykręciła numer.

- Był u mnie policjant. Ten sam, który wczoraj był w biurze - powiedziała do rozmówcy. - Lekarz napisał w raporcie z sekcji, że to był rozległy zawał. Teraz jadę do niego do mieszkania.

Rozłączyła się.

---

[5](#) *All inclusive* (ang.) - wszystko w cenie, pełen pakiet.

## Wtorek, dwudziesty szósty kwietnia, Kansas City

Posterunek policji na przedmieściach Kansas City był jak zwykle wypełniony ludźmi. To nie była jego pierwsza wizyta w tym mieście i w tym miejscu. Nawet nie pamiętał, ile razy był w tych pomieszczeniach. Wyprawy do Kansas City przestał liczyć za piątym razem. Dla niego była to konieczność wynikająca z bezpieczeństwa narodowego. Jak każdy pracownik NSA miał swoje zadania, które akurat dla niego były nie tylko pracą, ale i pasją.

- Agencie Brown! - Sierżant w mundurze nawoływał z drugiej strony biurka, przy którym Nick przeglądał akta. - Twój telefon dzwoni.

Brown wyrwał się z zamyślenia. Odebrał połączenie.

- Tak?

- Agent Nick Brown? - usłyszał w słuchawce. - Dzwonię z polecenia pułkownika Mayersa. Proszę włączyć kodowanie transmisji w telefonie, zanim zaczniemy weryfikację i właściwą rozmowę.

Brown odsunął telefon od ucha i z menu telefonu wybrał opcję szyfrowanej transmisji, po czym wprowadził dwunastocyfrowy kod bezpieczeństwa. Po trzydziestu sekundach, podczas których jego telefon był weryfikowany i nawiązywał bezpieczne połączenie z biurem pułkownika, ponownie usłyszał głos asystentki z biura Pentagonu.

- Dziękuję, agencie Brown. Mamy już bezpieczne połączenie. Jeszcze tylko weryfikacja głosowa.

Przez kolejną minutę powtarzał za komputerem wybrane losowo słowa z katalogu wcześniej przygotowanych wyrazów. Komputer analizował falę głosową i porównywał ją z posiadanymi w pamięci próbkami głosu Browna.

- Agencie Brown - odezwała się kobieta - weryfikacja zakończona. Przełączam do pułkownika Mayersa.

Po kilku sekundach usłyszał głos pułkownika.

- Witam, agencie Brown.

- Panie pułkowniku - przywitał się równie uprzejmie.

- Nasza rozmowa będzie dotyczyła operacji „Lornetka”, którą, jak pan zapewne pamięta, prowadzimy razem dzięki decyzji generała Stankinsa.

- Tak jest, panie pułkowniku - odparł w wojskowym tonie Brown, chociaż jako pracownik cywilny nie był do tego zobligowany wewnętrznymi regulacjami służby.

- Wczoraj, to jest w poniedziałek, główny obiekt operacji „Lornetka” został uznany za dezaktywowanego. Na razie nie mamy więcej szczegółów.

- A co z dokumentacją, której tak długo szukaliśmy? Czy jest w naszym posiadaniu?

- Niestety nie i na razie nasz człowiek nie ustalił, gdzie ona się znajduje. Dlatego właśnie dzwonię. Od tego momentu operacja „Lornetka” zostaje wstrzymana i rozpoczynamy operację „Wodospad” według wcześniej przygotowanych założeń.

- Rozumiem.

- Operacja została oznaczona poziomem czerwonym, więc proszę pamiętać o zachowaniu wszelkich środków ostrożności.



- Tak jest, panie pułkowniku. Jestem tego świadomy.

Mayers kontynuował:

- Spotkanie u generała Stankinsa dziś w biurze o godzinie dwadzieścia zero zero -  
oznajmił w wojskowym formacie. - Zdąży pan z Kansas City?

Brown spojrział na zegarek.

- Tak, zdążę. Mój samolot ląduje w Waszyngtonie o osiemnastej czterdzieści pięć.  
Przyjadę bezpośrednio z lotniska.

- Do zobaczenia, agencie Brown - odparł pułkownik.

Połączenie zostało zakończone.

## **Wtorek, dwudziesty szósty kwietnia, Warszawa**

Galeria handlowa o tej porze jeszcze nie tętniła życiem. Po pustych alejkach spokojnie przemieszczali się pierwsi klienci. W sklepach krzątały się wyraźnie zaspane ekspedientki. Tylko dwie kawiarnie przy wejściu były wypełnione gośćmi. Zapach kawy przyciągał gości szczególnie rano, kiedy tak wiele osób desperacko potrzebuje kofeiny.

Prezes Skrzeczkowski siedział na fotelu w salonie fryzjerskim. Wokół niego krzątała się młoda dziewczyna, przygotowując go do sesji zdjęciowej.

- Tylko wie pani - zagaił - ja poproszę delikatnie z tym makijażem, żebym nie wyszedł na jakiegoś...

Dziewczyna uśmiechnęła się w odpowiedzi, nic nie mówiąc.

- Panie Marku, proszę się nie martwić - odezwał się stojący obok i kontrolujący przebieg przygotowań Michał Orłowski, który niejedną taką sesję miał już za sobą.

Trochę zdziwiła go decyzja prezesa Skrzeczkowskiego, żeby nie odwoływać sesji. Orłowski sądził, że śmierć Groszkowskiego wpłynie na prezesa i ten odwoła to zaplanowane dużo wcześniej wydarzenie. Tak się jednak nie stało. Ani prezes, ani wiceprezes nie widzieli podstaw do rezygnacji z przeprowadzenia sesji zdjęciowej, która przygotowywana była głównie na potrzeby działań z zakresu relacji inwestorskich i dla mediów.

Orłowski dokładnie zaplanował każdy punkt sesji. Był profesjonalistą i w jego pracy nie było miejsca na ryzyko lub przypadek. Wiele tygodni wcześniej wybrał i przygotował miejsce, zorganizował fotografa ze sprzętem oraz ekipę do charakteryzacji i wizażu.

Panowie Skrzeczkowski i Kozlovsky stawili się o umówionej porze w drzwiach salonu w galerii handlowej. To była wielka zaleta pracy z ludźmi o technicznym wykształceniu. Dla nich pojęcie „punktualność” oznaczało to, co naprawdę miało znaczyć - sami nie tolerowali spóźnień i byli dla siebie w tej kwestii surowi.

Fryzjer właśnie skończył porządkować włosy Kozlovskiego, na jego miejsce przechodziła makijażystka. Wiceprezes przypatrywał się ruchom dziewczyny w lustrze, które stało na wprost jego fotela. Dziewczyna zauważyła jego spojrzenie i odwzajemniła uśmiech.

- Czy jest pan gotowy? - spytała, stawiając kuferek z kosmetykami i akcesoriami na półce przed lustrem.

- Na wszystko, co może pani ze mną zrobić, i jeszcze więcej - odparł Kozlovsky i spojrzał jej prosto w oczy.

- Na wszystko to chyba nie - powiedziała zadziornie. - Do wszystkiego trzeba energii i kasy.

- Sądzisz, że czegoś mi brakuje? - Kozlovsky zaczął mówić do niej na ty.

- Tak mi się wydaje...

Flirt został przerwany wejściem fotografa.

- Jesteśmy gotowi. Wszystkie lampy mamy ustawione i dodatkowe blendy również.

- Jeszcze dwie minuty - powiedział Orłowski, pokazując na stanowiska fryzjera i makijażystki.

Sesja rozpoczęła się na dolnym korytarzu galerii. Prezesi wyglądali na mocno skrupowanych zarówno samą pracą przed obiektywem, jak i tym, że przechodzący klienci sklepów przyglądali się im z zaciekawieniem. Fotograf miał świadomość, że przez pierwsze kilkanaście minut będą oswajać się z nową sytuacją. Po kilku próbnym ujęciach pokazał wszystkim zdjęcia i wskazał mężczyznom, jakie pozy i miny są dobre, a których mają unikać.

Przez następne dwie godziny migawka aparatu sprzęgniętego z lampami fotograficznymi pracowała regularnie, wykonując dziesiątki zdjęć w wielu miejscach galerii i różnych pozycjach.

Skrzeczkowski miał już dosyć i tylko zapewnienia Orłowskiego, że warto i że niedługo skończą, utrzymywały go w takim nastroju.

Ostatnim elementem sesji była scena w sali zabaw dla dzieci. Obaj panowie weszli do basenu wypełnionego kolorowymi kulkami, nad którym górowała czerwona zjeżdżalnia dla dzieci. Plan został wykonany w całości. Wszystkie miejsca i wszystkie konfiguracje póz zostały zrealizowane.

Kozlovsky podszedł do makijażystki, która cały czas towarzyszyła im ze swoim kuferkiem i co jakiś czas poprawiała makijaż.

- To jak? Chcesz się przekonać, czy mam warunki na wszystko? - spytał bez dodatkowych wyjaśnień i wstępów.

- Okej. Kiedy się przebierzesz i będziesz gotowy, przyjdź na parter obok fontanny. Tam się spotkamy.

W odpowiedzi mrugnął do niej, obrócił się i pomaszzerował w stronę salonu fryzjerskiego, który na te kilka godzin specjalnie dla nich przekształcił się w szatnię. W pięć minut zrzucił z siebie ubrania i zmył makijaż chusteczkami, które czekały przygotowane obok ubrań.

- Marek, ja będę w biurze trochę później, muszę jeszcze coś załatwić - rzucił w przelocie do Skrzeczkowskiego i szybko oddalił się, nie dając prezesowi szansy na jakąkolwiek odpowiedź.

Skierował się w stronę fontanny. Gdy wyszedł z bocznego korytarza, zobaczył, że dziewczyna czekała dokładnie tam, gdzie obiecała. Podszedł do niej. Spojrzała mu prosto w oczy, ale tym razem inaczej niż w salonie. Była bardziej stanowcza, zdecydowana i zarazem kokieteryjna.

- Jesteś pewny? - zapytała, przechylając głowę na bok.

- Sprawdź mnie.

Chwyciła go za rękę i bez słowa pociągnęła w kierunku jednej z alejek, które promieniście odchodziły od fontanny. Przez dwadzieścia metrów szli w milczeniu, ona o pół kroku przed nim. Ciągle trzymała go za rękę. To ona nadawała tempo i wskazywała kierunek.

Zatrzymała się przed jednym ze sklepów. Obróciła głowę, żeby na niego spojrzeć, i delikatnie pociągnęła go do środka. Od razu skierowała się w stronę przebieralni. Podeszła do obszernej kanapy, obróciła się i popchnęła go na siedzisko.

- Zaczekaj tu - powiedziała i szybko zniknęła między półkami.

Kozlovsky wyciągnął z kieszeni komórkę. Zaczął sprawdzać e-maile, ale zanim zdążył się wczytać w treść pierwszego, ona przemknęła tuż obok z różnymi wieszakami i zniknęła w drzwiach przymierzalni. Po kilku minutach stanęła przed nim w nowiutkich obcisłych jeansach i krótkiej czarnej bluzeczce z wielkim różowym napisem na piersiach. Uśmiech rozjaśnił jego twarz.

- Okej - przytaknął i lekko klepnął ją w pupę.

Dziewczyna spojrzała na niego zalotnie i pomknęła z powrotem do przymierzalni.

Po wyjściu ze sklepu ponownie była przewodnikiem Kozlovskiego po galerii. Trzymając w jednej ręce torbę z zakupami, za które za chwilę miała zapłacić, poprowadziła go na górny poziom. Minęli kilkadziesiąt sklepów i zatrzymali się w pobliżu wejścia na parking. Dziewczyna rozejrzała się. Najwyraźniej nie mogła czegoś znaleźć. Szybko wyciągnęła komórkę z kieszeni i wybrała numer.

- Gdzie jesteś? - zadała pytanie i po kilku sekundach dodała: - Dobra. Czekam.

Prawie w tym samym momencie z naprzeciwka wyłoniła się kobieta pchająca przed sobą wózek ze szczotkami i środkami czyszczącymi. Podeszła do nich, wyjęła z kieszeni kartę i otworzyła drzwi oznaczone napisem „pomieszczenie służbowe”. Dziewczyna i Kozlovsky znaleźli się sami w niewielkim magazynie służbowym galerii handlowej. Kilka stołów, regały, masa kartonów i różne krzesła.

- Masz - powiedziała dziewczyna, podając Kozlovskiemu pojedynczą paczkę z prezerwatywą. - Ubieraj się.

Zwinnym ruchem zrzuciła z siebie sukienkę i stojąc w samej bieliznie, patrzyła na niego. Kozlovsky był równie szybki. Zsunął spodnie i kiwnął palcem, żeby się zbliżyła. Posłusznie podeszła i wyginając się jak kotka, obróciła się do niego tyłem. Czowała, jak jego męskość robi się coraz większa. Wsunęła ręce pod swoje plecy i używając dwóch palców, zsunęła jego bieliznę. Był gotowy. Wyjęła mu z ręki otwartą paczkę z prezerwatywą, chwyciła ją między palce i nałożyła, dokładnie rozwijając i przy okazji sprawdzając jego reakcję na dotyk jej ręki. Zrobiła szybki skłon do przodu, żeby pozbyć się bielizny. Ubrana jedynie w stanik, rozchyliła nogi tylko na tyle, żeby mógł w nią wejść. Prezes Kozlovsky jak buhaj natarł na jej kobiecość, powodując, że z jej ust wyrwał się cichy jęk. Poruszał się gwałtownie i nierówno. Dopiero po chwili odnalazł swój rytm i wchodził w nią jednostajnie i miarowo. Dziewczyna co jakiś czas wydawała z siebie głośne jęki, wsunął więc rękę pod jej piersi i podniósł jej tułów do góry, po czym przesunął dłoń tak, aby zakryć jej usta. Mając pewność, że nie będzie krzyczała, przyspieszył i drugą ręką zaczął ścisnąć jej pośladki. Uderzył ją. Klaps w pośladek był tak mocny i tak niespodziewany, że ugryzła go w dłoń, którą ciągle zakrywał jej usta. To go rozechociło. Całym ciężarem ciała przygniótł ją do stołu, o który się opierała, i napał jeszcze mocniej. Przez następne sekundy wchodził i wychodził, nie dbając o jej komfort.

Nagle zawibrował telefon w jego kieszeni. Nie przerywając, szybko wydobyl go i spojrzał na ekran. Dzwoniła „ona”. Odrzucił połączenie i dostrzegł, że na ekranie ma informację o dwunastu nieodebranych połączeniach od „niej”.

- Kurwa - zaklął na głos.

Dziewczyna nawet nie usłyszała przekleństwa, pochłonięta płaceniem za zakupy sprzed kilkunastu minut.

Kozlovsky nie miał już ochoty na kontynuację. Był poirytowany nieodebranymi połączeniami. Wszedł z dziewczyny, chwycił ją za włosy, obrócił twarzą do siebie i kładąc rękę na barku, popchnął ją w dół w kierunku krocza. Rzucił:

- Dokończ ustami, byle szybko, bo muszę spadać.

Uklękła, zdjęła prezerwatywę i posłusznie spełniła jego polecenie. Dwie minuty później skończyła płacić za nowe ubrania. Jeansy i koszulka były już tylko jej.

Kozlovsky podciągnął spodnie.

- Cześć, mała - powiedział i szybko zniknął za drzwiami, zostawiając ją z zakupami, nieubraną, ale zadowoloną z transakcji.

Idąc korytarzem, wybrał numer do Doroty.

- Miałem sesję - rzucił do słuchawki, gdy usłyszał jej głos.

- Jestem u ojca w mieszkaniu. Ktoś się tu włamał i przewrócił wszystko do góry nogami.

## **Wtorek, dwudziesty szósty kwietnia, Kraków**

W pokoju panowała cisza zmacona jedynie odgłosami pierwszych turystów, którzy przybywali do dawnej stolicy na długi majowy weekend. Z każdym dniem gwar dochodzący z ulicy stawał się głośniejszy, częściej było też słyszeć muzykę z ulicznych kawiarenek oraz pobliskiego rynku. Aktywności turystów sprzyjała ciepła i słoneczna pogoda.

Mężczyzna siedział w fotelu dokładnie na wprost okna. Przed sobą widział dachy odległych kamienic zabytkowego Kazimierza. Nieruchomo wpatrywał się w dal, gdzieś daleko poza stojące przed nim budynki.

W pewnym momencie do dźwięków ulicy dołączył charakterystyczny sygnał trąbki. Trębacz na Wieży Mariackiej ogłaszał wybicie pełnej godziny.

Mężczyzna podniósł rękę i spojrzał na zegarek. Jak zwykle miał rację. Wskazówka minutowa pokazywała dokładnie godzinę dwunastą. Odsuwając rękę od twarzy, sięgnął w kierunku stojącego obok niewielkiego stolika. Podniósł szklankę i pociągnął łyk whisky. Odstawił ją z powrotem, tuż obok czarnego i mocno zniszczonego makarova. Drewniana rękojeść, mocno porysowana, wytarta w kilku miejscach, wskazywała, że pistolet był używany przez długi czas i nie był eksponatem muzealnym.

Ciche brzęczenie telefonu oznajmiło przychodzące połączenie. Spojrzał na wyświetlacz. To był numer, na który czekał. Wcisnął przycisk odbierania połączenia i podniósł urządzenie do ucha.

- Tak - powiedział ze spokojem.

- To my - usłyszał z drugiego końca linii. - Byliśmy już w pierwszym sklepie, ale nie było tego, czego potrzebujemy, więc idziemy do drugiego.

W słuchawce nastąpiła cisza.

W końcu mężczyzna zapytał:

- Czy na pewno dobrze szukaliście?

- Zdecydowanie tak - od razu odparł rozmówca.

- Rozumiem - odpowiedział mężczyzna i się rozłączył.

Nie był zadowolony z takiego rozwoju sytuacji. Spodziewał się, że będzie miał więcej czasu. Teraz zmuszony był improwizować i starać się zapobiec najgorszemu. Jeśli jego ludzie nie znajdą tego, czego szukają, i co gorsza wpadnie to w niepowołane ręce, to zarówno on, jak i kilka bliskich mu osób mogą mieć poważne problemy.

Spojrzał na niedużych rozmiarów torbę podróżną, która stała pod ścianą tuż obok drzwi wejściowych do pokoju. To był jego plan awaryjny. Jeśli i drugi „sklep” okaże się niewypałem, będzie musiał wyruszyć w teren.

Ponownie.

## **Wtorek, dwudziesty szósty kwietnia, Polska**

- Lima oscar, dwa, pięć, dziewięć, witamy w domu. Właśnie wlecieliście na terytorium RP. - Obaj piloci uśmiechnęli się na tę wiadomość.

- Lima oscar, dwa, pięć, dziewięć, dziękujemy - odpowiedział kapitan.

Czarterowy Boeing 767 miał już za sobą dziesięć godzin lotu. Zaraz miało się rozpocząć podchodzenie do lądowania.

Z pokładowych głośników w części pasażerskiej rozległ się głos pilota:

- Szanowni państwo, właśnie przekroczyliśmy polską granicę. Będziemy lądować na warszawskim lotnisku Okęcie za około czterdzieści minut.

Ponad setka podróżnych w skąpanej słońcem kabinie samolotu zaczynała powoli odczuwać znużenie podróżą. Wszyscy wracali z wakacji. Dla niektórych pasażerów był to kolejny lub jeden z wielu urlopów w odległych krańcach świata. Było też kilku pasażerów, dla których dwutygodniowy urlop nad morzem karaibskim był spełnieniem wieloletnich marzeń.

Dla Rafała Kłopockiego ta zapowiedź i lądowanie w Warszawie oznaczały definitywny koniec wakacji. Dwa tygodnie minęły mu bardzo szybko. Pamiętał jeszcze, jak pakował walizki przed wyjazdem. Koledzy składali mu telefoniczne gratulacje z okazji zakończonej dużej sprawy. Do późnej nocy komórka rozbrzmiewała dzwonkiem skocznej melodii „W grocie króla gór”.

To był jego pierwszy urlop od bardzo długiego czasu. Bywał co prawda z Agatą na różnych dwu- i trzydniowych wyjazdach, ale nie przypominał sobie, aby kiedykolwiek spędzili dwa tygodnie wyłącznie na wypoczynku, i to tak daleko od kraju. Jeszcze pół roku wcześniej hasło „Karaiby” brzmiało dla niego bardzo obco i nigdy nie przypuszczał, że spędzi tam dwa najpiękniejsze tygodnie swojego życia. Przez czternaście dni nie kontaktował się z biurem i nie sprawdzał poczty elektronicznej. Po raz pierwszy od wielu lat rozstał się na tak długo ze swoim ulubionym glockiem. Bez broni czuł się jak dziecko - bezbronny i niezaradny.

Od kilku dni, z każdą minutą, która przybliżała go do powrotu, coraz częściej czuł pokusę włączenia telefonu, wybrania numeru i pytania, co się dzieje w biurze. Nie uważał się za pracoholika, ale odczuwał silną potrzebę pracy i przynależności do organizacji, w której pracował. Otwarcie przyznawał się, że praca jest jego pasją i że ta pasja często wpływa na jego życie prywatne - zaprzęta myśli, zmienia rodzinne plany i zabiera go żonie oraz dziecku.

- O czym myślisz, kochanie? - usłyszał głos Agaty.

Podniosła głowę z poduszki, którą opierała o jego ramię.

- Praca - odparł krótko. - Może to wyda ci się śmieszne, ale myślę o pracy. Jestem bardzo ciekawy, co się będzie działo jutro w biurze i co nowego dostanę... - zawiesił głos. - I wiesz co... - kontynuował - z tym całym pragnieniem powrotu do codzienności mam również silne pragnienie kontynuowania naszych wakacji. Mógłbym jeszcze dzisiaj wsiąść w powrotny samolot i spędzić z tobą kolejne dwa cudowne tygodnie w Punta Cana.

Agata się uśmiechnęła.

- To były wspaniałe wakacje. Mam nadzieję, że nie ostatnie. - Wsunęła swoją dłoń w jego otwartą rękę, w której spoczywał służbowy telefon.

Dla niej ten telefon był symbolem. Wiedziała, że jeśli dzwoni w nocy, to tylko po to, żeby wyciągnąć męża z łóżka i sprowadzić do miejsca, w którym coś się wydarzyło, najpewniej ktoś został zamordowany. Nie była zazdrosna o pracę. Przynajmniej tak jej się wydawało. Wierzyła w to, co robił jej mąż, i dopingowała go przez cały okres kariery zawodowej. Minęło osiemnaście lat, zanim dotarł tam, gdzie właśnie się znajdował. Przez ten czas trwała przy nim niestrudzenie. Teraz - jako żona komisarza wydziału zabójstw - była z tego dumna, chociaż nie lubiła się tym chwalić. Poza pasją oraz interesującym życiem pełnym akcji i niebezpieczeństw istniała druga strona medalu, z którą na co dzień to ona musiała się borykać. Posada komisarza nie była zajęciem dobrze płatnym, ale na pewno czasochłonnym.

- Prześpijmy się jeszcze trochę - usłyszała głos męża.

- Dobrze - odparła i przytuliła się do niego.

To były ostatnie spokojne i beztroskie chwile, które mogli spędzić razem, z dala od codzienności.



## **Wtorek, dwudziesty szósty kwietnia, Warszawa**

Gdy wysiadał z taksówki przed wejściem do apartamentowca, od razu zauważył policyjny radiowóz i stojący za nim drugi samochód z niebieskim światłem błyskowym przypiętym na magnes do dachu auta. W mieszkaniu pracowało dwóch mężczyzn w cywilnych ubraniach. Dorota rozmawiała przy stole z dwoma mundurowymi, którzy skrzętnie notowali każde jej słowo. Co jakiś czas pokazywała na inną część pokoju i wtedy przerywali notowanie, żeby spojrzeć we wskazane miejsce.

Zobaczyła go stojącego w otwartych drzwiach.

- Przepraszam na chwilę - powiedziała do policjantów i podeszła do Kozłowskiego.

- Zaraz powinniśmy skończyć - powiedziała do niego.

- Czy coś zginęło? - spytał, rozglądając się po mieszkaniu.

Wyglądało to tak, jakby wszystkie przedmioty, które pochowane były w szafkach, regałach i na półkach, ktoś z premedytacją powyrzucał na podłogę. To, co najbardziej rzucało się w oczy, to staranność, z jaką wykonano tę czynność. Ubrania, książki, dokumenty były wyrzucone na środek pokoju i tworzyły niewielkich rozmiarów kurhan.

- Nie wiem. Nie jestem w stanie tego określić, bo nie bywałam tu aż tak często.

- A co na to panowie z policji?

- Na razie nic nie znaleźli. Nie ma żadnych konkretnych śladów... podobno. Powiedzieli też, że w tej okolicy takie włamania mają miejsce co najmniej raz na tydzień.

Kozłovsky nachylił się w jej stronę i powiedział:

- Poczekam, aż skończysz. Będę na dole w kawiarence, tuż przy wejściu, i odwiozę cię do domu.

- W porządku.

Pół godziny później Dorota zamknęła mieszkanie należące do jej ojca na jedyny niezniszczony zamek i wraz z policjantami wyszła z budynku.

Ciężko opadła na kawiarniane krzesło przy stoliku Kozłowskiego.

- Zamówić ci coś? - spytał.

- Butelkę zimnej wody... na wynos, bo chcę do domu.

Zamówił wodę i uregulował rachunek.

- Jak myślisz - spytał, gdy szli do jej auta - czy to przypadek, czy też włamywacze wiedzieli, że on nie żyje?

- Nie mam pojęcia. Raczej przypadek, bo skąd mieliby wiedzieć? Poza tym on przecież często wyjeżdżał służbowo.

- Dużo ukradli?

- W sumie nie wiem. - Wzruszyła ramionami. - Na pewno nie ukradli tego...

Odchyliła torbę przewieszoną przez ramię. We wnętrzu zabłysła złota biżuteria.

- Nieźle! Przeoczyli coś takiego? To co najmniej pół kilo złota!

- Nie sądzę.

- Jak to?

- Ta biżuteria leżała na wierzchu, w szkatułce na komodzie. Na pewno zajrzeli do niej, bo stała w innym miejscu, niż zwykły stawiać ją ojciec.

- Czyli co? Szukali czegoś innego? - Kozlovsky nie mógł uwierzyć, że włamywacze nie skusili się na taki łup.

- Być może, tylko nie mam pojęcia, czego. W tym mieszkaniu nie było nic cennego. Nawet obrazy to zwykłe podróbki, i to niezbyt dobrej jakości.

- A dokumenty? Jakież dostępy do rachunków bankowych, akcje, obligacje?

- Nigdy nic takiego nie miał, a jeśli miał, to na pewno nie trzymał tego w domu. Wszystkie kody do rachunków miał w głowie, tak go nauczono, żeby niczego nie zapisywać... Wiesz, ta jego wojskowa przeszłość.

Dojechali na miejsce. Dorota wyciągnęła dłoń, aby otworzyć drzwi auta.

- Poczekaj. - Kozlovsky chwycił ją nagle za rękę. - Patrz!

Spojrzała za jego palcem, który wskazywał w górę, tam, gdzie znajdowało się jej mieszkanie.

- Widzisz?

- Ale co? - Dorota nie wiedziała, na co ma patrzeć.

- Wydaje mi się, że przed chwilą w twoim oknie poruszyła się firanka i coś błysnęło, tak jakby odbicie światła z latarki.

Przez dłuższą chwilę wpatrywali się w okno mieszkania Doroty, ale bezskutecznie. W mieszkaniu nie było widać żadnego ruchu. Wysiedli z auta i udali się na górę.

Drzwi do mieszkania były uchylone, ze środka nie dochodził żaden dźwięk. Nagle usłyszeli, jak ktoś zbiega klatką schodową. Dorota podeszła do okna. Z budynku wybiegła postać. W świetle latarni nawet nie potrafiła określić, czy był to mężczyzna czy kobieta. Postać pobiegła w kierunku najbliższego budynku i zniknęła za nim.

Weszli do mieszkania. Od razu dostrzegli, że zostało przeszukane w taki sam sposób, jak wcześniej mieszkanie jej ojca.

- To już chyba nie jest przypadek - powiedział Kozlovsky.

- Ale czego on szukał?

- Sprawdź biżuterię i pieniądze.

Dorota przeszła do sypialni i po chwili się odezwała:

- Tak samo jak u ojca, nic nie wzięli.

- Dziwne - wymamrotał pod nosem Kozlovsky.

- Trzeba zadzwonić na policję - odparła, opierając się o framugę drzwi.

Pół godziny później Dorota powtarzała te same czynności, które wykonywała wcześniej w mieszkaniu ojca. Tym razem różnica polegała na tym, że towarzyszył jej Kozlovsky. Bacznie przyglądał się zarówno przedmiotom wyrzuconym na środek pokoju, jak i pracy policjantów.

- Chodź, pojedziemy do mnie - powiedział, gdy po dwóch godzinach funkcjonariusze wyszli z mieszkania. Dorota bez słowa podniosła z ziemi torbę, wrzuciła do niej kilka rzeczy, spojrzała na porozrzucane przedmioty i skierowała się do drzwi. Była zmęczona i marzyła tylko o tym, żeby zasnąć.

## **Wtorek, dwudziesty szósty kwietnia, Warszawa**

Tego wieczoru widział cały ciąg zdarzeń. Zarówno dwóch mężczyzn wchodzących do mieszkania, jak i ich kolegę, który czekał w aucie. Obserwował też, jak dziewczyna i jej chłopak przyszli do mieszkania i spłoszyli włamywacza. Po tym, jak radiowóz odjechał spod budynku, tylko czekał, aż wyjdą.

Tak jak przypuszczał, wsiedli do jej samochodu i pojechali prosto do niego. Niecałe pół godziny później światła w mieszkaniu Kozlovskiego zgasły. Odczekał jeszcze dwadzieścia minut i skończył obserwację. Pojechał do domu. Musiał sobie to wszystko poukładać w głowie. Wydarzenia już nie przypominały tych sprzed kilku dni, nagle wszystko zaczęło dziać się w innym, szybszym tempie. To dobrze – pomyślał.

Już wkrótce może się okazać, że uda się zrealizować cel misji.

## **Wtorek, dwudziesty szósty kwietnia, USA**

Zamknął brązową teczkę, w której był tablet. Przez trzy godziny, czyli od momentu startu samolotu, po kilka razy czytał te same dokumenty. Chciał wszystko zapamiętać, nawet najdrobniejsze szczegóły. Było tego sporo: materiały zbierane przez pięć lat, z czego trzy lata nad sprawą pracował agent operacyjny; setki raportów i tysiące stron tekstu oraz analiz. W ciągu tych pięciu lat akcja pod kryptonimem „Lornetka”, która powstała z luźnego podejrzenia, zmieniła się w „Wodospad” - przedsięwzięcie operacyjne z zakresu bezpieczeństwa narodowego.

Wiele razy nachodziły go wątpliwości, ale się nie poddawał. Na każdym spotkaniu ze zwierzchnikami i na każdej z wielu odpraw jak mantrę powtarzał swoją tezę o istnieniu zorganizowanej grupy byłych agentów wywiadu i kontrwywiadu wojskowego.

Na ich ślad wpadł przypadkiem, ale nie od razu połączył wszystkie informacje. Niecałe dwa lata przed rozpoczęciem „Lornetki” wykonywał w Europie zadanie związane z inwigilacją pracowników ambasady. Spędził rok w Berlinie i poznał wszystkie miejsca, w których bywali (nie tylko służbowo) amerykańscy dyplomaci, politycy i biznesmeni. Na podstawie tego, co zobaczył, mógłby napisać niejedną książkę obyczajową o zdradzających mężach, niewiernych żonach, puszczałskich asystentkach i głupich amerykańskich nastolatkach. Wiele razy w miejscach, które obserwował, widywał polityków: senatorów, gubernatorów i kongresmenów. Z reguły o ich przyjeździe wiedział odpowiednio wcześniej, bo struktury wywiadowcze w USA działały w tym zakresie bez zarzutu. On jako agent rezydent na wszelki wypadek otrzymywał informację o miejscu ich pobytu, by w razie jakiegokolwiek zagrożenia zapewnić im bezpieczeństwo.

Pewnego listopadowego wieczoru uwagę Nicka przykuł gubernator jednego z południowych stanów. Był właśnie w trakcie kampanii wyborczej do kongresu i niespodziewanie przyjechał z nieoficjalną wizytą na dwa dni do Berlina. Już sam fakt, że wyjechał z kraju w kluczowym momencie przed wyborami, był bardzo zastanawiający. Tajemniczości tej wizycie dodał fakt, że przyjechał kompletnie sam i nie na statusie dyplomatycznym, ale jako osoba prywatna. Przełożeni zlecili dyskretną obserwację i czekali.

Brown nie wietrzył podstępu, ale zgodnie z procedurą pojawił się na lotnisku, na którym najpierw miał wylądować gubernator - czyli w Zurychu. W Szwajcarii gubernator miał spędzić łącznie dziesięć godzin, pomimo że był to tylko port przesiadkowy. Brown czekał na niego w terminalu, w pobliżu wyjścia z samolotu. Gubernatora poznał od razu. Nawet w swetrze i kurtce jego zadbana twarz oraz fryzura, dobrana przez speców od wizerunku polityków, wyróżniały go z całej rzeszy podróżujących ludzi.

Gubernator nie wiedział, że będzie miał opiekuna, więc Brown trzymał się za nim w bezpiecznej odległości.

Polityk od razu skierował się do wyjścia z lotniska. Szedł szybkim i pewnym krokiem, nie zwracał uwagi na znaki dla podróżnych. Wyglądało na to, że nie był to jego pierwszy pobyt w tym mieście. Podróżował tylko z podręcznym bagażem, więc w ciągu kilku minut wy dostał się ze strefy tranzytowej. Kiedy szedł w kierunku wyjścia z hali lotniska, wyciągnął

telefon i zadzwonił do kogoś. Powiedział kilka słów, po czym się rozłączył. Przed halą przylotów zatrzymał się na chodniku, rozejrzał i po paru sekundach zatrzymał się przed nim czarny mercedes klasy S. Kierowca bez słowa podszedł do jego walizki i schował ją w bagażniku, po czym otworzył mu tylne drzwi.

Brown szybko podszedł do postoju taksówek i wsiadł do pierwszego auta. Jechał za czarnym mercedesem prawie pół godziny. Powiedział kierowcy, że jedzie za kochankiem żony. W ten sposób uzasadnił, że nie wie, dokąd jadą, oraz to, że muszą dyskretnie jechać za autem, które zatrzymało się w końcu przed siedzibą Julius Bär, jednego z najstarszych banków w Zurychu. Nick polecił kierowcy zaparkować po drugiej stronie ulicy, skąd mógł widzieć, jak gubernator wszedł do budynku. Czarny mercedes wraz z kierowcą czekał przed wejściem. To była standardowa usługa tutejszych instytucji finansowych. Wysyłali po swoich majątnych gości limuzynę na lotnisko, do hotelu lub w inne miejsce, z którego właściciele milionowych depozytów chcieli być wygodnie i dyskretnie dowiezieni do banku.

Po upływie kolejnych trzech kwadransów gubernator wyszedł z banku i tak samo jak poprzednio kierowca schował jego bagaż w tylnej części auta. Dalsza droga wiodła z powrotem na lotnisko, na którym poza obfitym posiłkiem polityk nie oddawał się zbyt wielu czynnościom. Późnym wieczorem wsiadł do samolotu, którym szybko doleciał do Niemiec. Agent Brown podążał za nim jak cień przez całą drogę z Zurychu do Berlina i zakończył obserwację dopiero wtedy, gdy w pokoju gubernatora zgasło światło.

Następnego dnia o świcie czekał w hotelowym lobby. Filiżanka gorącej kawy i poranna gazeta powodowały, że niczym nie odróżniał się od innych gości hotelowych. Tuż po ósmej rano dostrzegł, jak gubernator z walizką wysiada z windy i udaje się do restauracji. Po drodze zamienił kilka słów z recepcjonistą.

Przez szklaną szybę Brown widział, jak mężczyzna zamawia posiłek u kelnera i je w pośpiechu, co jakiś czas zerkając na zegarek. Z restauracji skierował się wprost do recepcji i zapłacił za nocleg, po czym wyszedł z hotelu i poszedł wzdłuż ulicy. Ciągnął za sobą niewielkich rozmiarów walizkę na kółkach, tę samą, z którą dzień wcześniej wysiadł z samolotu i następnie pojechał do banku.

Przeszedł trzy przecznice i dopiero gdy mijał park, zwolnił i zaczął się rozglądać. Przeszedł przez jezdnię i wszedł do kawiarni po drugiej stronie ulicy. Usiadł niedaleko wejścia w taki sposób, że Brown widział, jak do stolika podchodzi wysoki brunet, wita się i siada na wprost gubernatora. Rozmowa trwała tylko kilka minut. Mężczyzna nawet nie wypił kawy, którą przyniósł kelner. Wstając, brunet wziął ze stołu brązową kopertę, którą gubernator wyjął z podręcznego bagażu. Spotkanie było zakończone. Tego dnia już nic więcej się nie wydarzyło. Agent Nick Brown, tak jak wcześniej planował, podążył za gubernatorem na lotnisko i patrzył, jak ten przechodzi przez kontrolę bezpieczeństwa. Następnego dnia zebrał w jeden raport wszystkie informacje dotyczące wizyty gubernatora i przesłał do centrali. Wtedy jeszcze nie zdawał sobie sprawy z tego, czego był świadkiem. Nie przypuszczał, że to, co widział, jest częścią większej sprawy. Tylko przypadek sprawił, że powiązał wszystko w całość i wykrył coś, co zmieniło bieg jego zawodowej kariery.

Niecałe dwa miesiące po obserwacji senatora Nick spędzał wieczór w lokalnym pubie w towarzystwie znajomych z ambasady i ich rodzin. Na wielkim ekranie nad barem śledzili mecz piłki nożnej. Rozgrywka na światowym poziomie pochłaniała wszystkich zgromadzonych w lokalu poza jednym mężczyzną, który samotnie siedział w najdalszym końcu sali, nieco schowany w cieniu narożnika. Za każdym razem, gdy do pubu ktoś wchodził, podnosił wzrok – wyraźnie na kogoś czekał. Co jakiś czas spoglądał na zegarek

i teczkę, która leżała na sąsiednim krześle. Tuż przed końcem meczu do środka wszedł mężczyzna i od razu skierował się w stronę stolika z samotnie siedzącym klientem.

Nowo przybyły bez powitania usiadł na wprost mężczyzny i coś do niego powiedział. Tamten wyciągnął rękę w kierunku teczki i wyjął z niej kopertę, którą położył na stole. Przybysz schował kopertę w wewnętrznej kieszeni kurtki i wstał od stołu, po czym bez pożegnania odwrócił się i skierował do wyjścia. Dopiero gdy zamknęły się drzwi baru, Brown skojarzył, że przebieg tego spotkania był dokładnie taki sam jak kilka tygodni wcześniej z senatorem. W tamtej chwili zadziałał instynktownie, przeczuwając, że musi tak zrobić i że ma to związek z bezpieczeństwem kraju - jego kraju.

Wybiegł szybko z pubu. Miał szczęście. Mężczyzna szedł spokojnie ulicą w kierunku centrum. Brown wyciągnął telefon i wykręcił numer do jednego z kolegów, który pozostał w barze. Poprosił go, aby ten niepostrzeżenie zrobił zdjęcie mężczyźnie, który ciągle siedział samotnie przy stole. Po kilkunastu minutach, ciągle podążając za nieznanym, dotarł do jednej z przepięknych przedwojennych kamienic. Na parterze i na piętrze budynku były zapalone światła. Mężczyzna podszedł do drzwi i zadzwonił. Czekając, spojrzął na zegarek. Dochodziła dwudziesta druga. Brown zauważył ruch w oświetlonych wnętrzach domu. W kierunku drzwi podążał mężczyzna. Na szczycie schodów pojawiła się kobieta. Najwyraźniej dał jej znak, że zajmie się gościem, bo odwróciła się i zniknęła z pola widzenia Browna.

Gdy starszy człowiek otworzył frontowe drzwi, nad wejściem do domu rozblęśta zabytkowa lampa. W jej świetle Brown dokładnie widział obu mężczyzn. Gospodarz nie wpuścił gościa do domu. Zamienił z nim kilka słów, po czym przybysz wyciągnął z kurtki kopertę i przekazał rozmówcy. To była ta sama koperta, którą pół godziny wcześniej dostał w barze.

Brown, który stał po przeciwnej stronie ulicy, przyglądał się bacznie gospodarzowi. Im dłużej patrzył, tym bardziej potęgowało się w nim wrażenie, że zna tego starszego mężczyznę.

Zajście nie trwało długo i zakończyło się chwilę po przejęciu koperty. Nick podążył śladem dostawcy koperty. Przeszli razem kilka ulic, po czym mężczyzna wsiadł do osobowego auta zaparkowanego przy krawężniku i odjechał. Brown pozostał niezauważony, sam na sam ze swoimi myślami. Sytuacja, którą widział, wydawała mu się dziwna. Wyglądała podobnie jak w przypadku gubernatora. Po drugie ten mężczyzna wydawał mu się znajomy... Idąc w kierunku służbowego mieszkania na obrzeżu centrum, cały czas próbował odszukać w pamięci obraz tego człowieka i połączyć go z jakąś informacją lub zdarzeniem z przeszłości.

Tamtej nocy długo nie mógł zasnąć. Położył się po północy. O trzeciej rano zerwał się, jakby zobaczył ducha. Przypomniawszy sobie, kim był starszy mężczyzna, który przyjął kopertę. Zrozumiał, dlaczego nie rozpoznał go od razu i kompletnie nie wiedział, jak połączyć to wszystko, co zobaczył poprzedniego wieczoru, z gubernatorem. Ten człowiek był emerytowanym pracownikiem francuskiego DST - *Direction de la Surveillance du Territoire* - służby kontrwywiadu Republiki Francuskiej. Nazywał się Jean Pierre Carcasse. Brown nie rozpoznał go, bo nie był świadomy, że ten mieszka poza Francją, na terenie Niemiec. Było to o tyle zaskakujące, że Carcasse uchodził za wysoką figurę w strukturach kontrwywiadu francuskiego i z pewnością mógłby spokojnie oraz dostatnio żyć w swoim kraju - tak przynajmniej sądził Nick, gdy próbował przypomnieć sobie więcej szczegółów na jego temat.

Tamtej nocy nie miał już szans na sen, więc po krótkim prysznicu i przebraniu się ruszył do biura w ambasadzie. Zamierzał poszukać informacji na temat Francuza i znaleźć

jego powiązanie z gubernatorem.

Zaspany strażnik nie zwrócił na niego większej uwagi, gdy pojawił się w budynku. Dopiero gdy wykladał rzeczy z kieszeni do kontroli bezpieczeństwa, zauważył, że jego blackberry pokazuje nieodczytane e-maile. Otworzył pocztę. Tylko jedna wiadomość. W pierwszym odruchu chciał ją zignorować. Tytuł „twoje zdjęcie” podsunął mu myśl o kolejnym portalu społecznościowym, który w ten sposób reklamował swoje usługi. Dopiero po chwili, gdy zobaczył nadawcę wiadomości, przypomniał sobie, jak ważną treść może zawierać ten e-mail. W błyskawicznym tempie przeszedł przez bramkę wykrywacza metali i skierował się do swojego biura. Na ekranie komputera fotka wyglądała dużo lepiej niż w komórce. Wyraźnie widać było twarz mężczyzny samotnie siedzącego przy stole. Kolega, do którego dzwonił po wyjściu z baru, spisał się doskonale. Zdjęcie było na tyle ostre i zrobione pod takim kątem, że idealnie nadawało się do programu rozpoznawania twarzy.

Wprowadził plik do systemu, wykadrował twarz i pozwolił działać terminalowi sprzęgniętemu z bazą milionów zdjęć, które były w zasobach połączonych struktur wszystkich służb czuwających nad bezpieczeństwem kraju i świata. Na ekranie przeskakiwały kolejne zdjęcia. System próbował dopasować otrzymane fotografie do tych, które miał w bazie. Dzięki temu Brown miał szansę dowiedzieć się, kim był ten człowiek i dlaczego odtwarzał dokładnie taką samą sekwencję zdarzeń jak wcześniej senator.

Cały czas nurtowała go sprawa wysokiego oficera DST, którego widział kilka godzin wcześniej. Usiadł przy drugim komputerze, włączył internet i w wyszukiwarce wpisał „Carcasse”. Przez następne kilka godzin przejrzał setki dokumentów, notatek i zdjęć zgromadzonych na jego temat. Ślady tego człowieka prowadziły do różnych miejsc Europy, ale żaden nie wskazywał konkretnie na jego związki z Niemcami.

Tuż przed ósmą rano system porównujący i rozpoznający twarze zabrzęczał, po czym wyświetlił komunikat o prawdopodobieństwie dopasowania twarzy ze zdjęcia z bazą danych. Prawie dziewięćdziesięcioprocentowe dopasowanie to dużo. Brown spisał dane z terminala i wprowadził je do komputera stojącego obok, po czym zamarł. Twarz na zdjęciu z poprzedniego wieczoru należała do polityka. Jego *dossier* było ogromne. Był Brytyjczykiem i byłym członkiem brytyjskiego parlamentu oraz aktualnym wysokim urzędnikiem ministerstwa spraw zagranicznych. Zagadką pozostawało, co ten człowiek robił w pubie w Niemczech, dlaczego spotkał się z mężczyzną, któremu wręczył kopertę, i wreszcie co było w tej kopercie.

Przez następne osiem miesięcy Nick Brown oprócz rutynowych zadań przydzielanych przez centralę zgłębiał życiorysy gubernatora, brytyjskiego dygnitarza oraz byłego pracownika DST. Gdy tylko miał taką możliwość, obserwował dom Francuza. Dzięki tym obserwacjom ustalił, gdzie mieszka kurier (czyli odbiorca kopert) i jak często spotyka się z Carcassem.

Przez ten czas Nick był świadkiem kolejnych czterech podobnych spotkań. Dwa z nich wyglądały dokładnie tak samo jak te, od których zaczął interesować się tą sprawą. Dwa kolejne były inne. W jednym z nich brała udział kobieta i nie było przekazywania żadnej koperty, a w drugim osobiście uczestniczył Carcasse. To, co łączyło te spotkania, to profil zawodowy i status społeczny tych, z którymi się odbywały. Zawsze byli to ludzie z kręgów administracji lub służb specjalnych. Później agent Brown znalazł jeszcze jeden wspólny mianownik. Wszyscy byli ludźmi w zaawansowanym wieku i na eksponowanych stanowiskach.

Przez długi czas Brown próbował poukładać w całość informacje, które posiadał. Z każdym dniem zagłębiał się w tę sprawę coraz bardziej. To było jego prywatne śledztwo.

Na początku kierowało nim czyste przecucie, ale im więcej czytał, tym bardziej był przekonany, że odkrył coś dużego i ważnego. Po przeczytaniu tysięcy stron archiwów wywiadu, stron internetowych, archiwalnych magazynów i dzienników prasowych wpadł na pomysł. Jak się później okazało, to był strzał w dziesiątkę. Z pomocą przyszedł mu szwajcarski rząd, który po wielu oficjalnych próbach administracji rządu USA i naciskach innych krajów zgodził się uchylić bankowe tajemnice. Dzięki temu Brown wiedział, że konta wszystkich osób, które widział na spotkaniach z Carcassem lub jego ludźmi, pomniejszały się o bardzo pokaźne kwoty w gotówce lub papierach wartościowych.

Problemem było jednak to, że Brown nie wiedział, dokąd te kwoty trafiają. Żadne z kont Carcasse'a nie rejestrowało wpływu takich sum, a on sam nie podróżował ani do Szwajcarii, ani innego miejsca, w którym mógłby deponować te środki.

Zrzędzeniem losu było jedno popołudnie, w trakcie którego przed domem Carcasse'a Nick zobaczył samochód na polskich numerach rejestracyjnych. Szybko zaparkował i korzystając z radiowego podsłuchu podłożonego kilka dni wcześniej w przewodzie wentylacyjnym, zaczął nasłuch. Carcasse rozmawiał z kimś w języku niemieckim. Gość posługiwał się nim biegle, ale wyraźnie dało się słyszeć, że nie jest to jego ojczysty język. Brown słyszał zaledwie ostatnie dziesięć minut rozmowy i to mu wystarczyło. Mężczyźni rozmawiali o nowym systemie transferu i dystrybucji środków. Z rozmowy zrozumiał tylko, że system ulega zmianie na bezpieczniejszy i obwarowany nową technologią. Dowiedział się także, że gość jest w posiadaniu materiałów, których ujawnienie mogłoby bardzo zaszkodzić tym, którzy im płacą.

Brown nie potrzebował więcej informacji. Jeszcze tego samego wieczoru nadał do centrali wiadomość z zapytaniem, czy senator, którego obserwował w trakcie jego pobytu w Europie, jest lub był obiektem szantażu na duże kwoty, co mogłoby się wiązać z jego przeszłością.

Ku jego zaskoczeniu w ciągu kilkunastu minut dostał zwrotną odpowiedź z centrali. W przekazie podano, że informacja jest tajna i przy jego certyfikacie bezpieczeństwa nie może być ujawniona.

Kilka dni później sprawa zeszła na drugi plan, gdy dostał zadanie o podwyższonej klauzuli tajności. Zgodnie z rozkazem udał się do bazy wojskowej niedaleko Berlina, która była głównym miejscem stacjonowania wojsk amerykańskich w Europie. W bazie zaprowadzono go do jednego z odległych hangarów. W jego wnętrzu stał tylko jeden niewielki samolot pasażerski. Młody oficer żandarmerii kazał mu wejść do środka, po czym zniknął w ciemnościach nocy poza hangarem. Brown wszedł do cywilnego samolotu. Wiedział, że to rządowy samolot, nienależący do wojska. Armia nie używała gulfstreamów w tej wersji. Tylko Narodowa Agencja Bezpieczeństwa i CIA dysponowały takimi maszynami.

Gdy wszedł, drzwi zamknęły się za nim automatycznie i prawie bezszelestnie. Na pokładzie był tylko jeden człowiek, zdecydowanie wyglądający na cywila. Bez słowa wskazał Brownowi miejsce do siedzenia, po czym wstał, podszedł do tylnej ściany samolotu i wcisnął kilka przełączników.

- To dla bezpieczeństwa - powiedział. - Teraz znajdujemy się w prawdziwej klatce Faradaya. Żaden sygnał radiowy nie jest w stanie przedostać się do środka ani na zewnątrz. Podobnie wszystkie urządzenia nagrywające stają się bezużyteczne. Ta technologia pozwoli nam spokojnie porozmawiać.

- A o czym, panie...?

- Nie ma większego znaczenia, jak się nazywam. Ważniejsze jest, dlaczego tu jestem. - Mężczyzna usiadł z powrotem w fotelu. - I to, dlaczego musiałem lecieć przez pół świata,



żebyśmy mogli spokojnie porozmawiać.

Brown przyglądał mu się w milczeniu. Mężczyzna kontynuował.

- Zacznijmy od tego, że temat naszej rozmowy jest ściśle tajny i objęty klauzulą bezpieczeństwa, która ludziom w pańskiej strukturze wywiadowczej nie jest znana.

- Rozumiem - odparł Nick.

- Wątpię, ale wystarczy, żeby pan wiedział, że nasze spotkanie nie istnieje i nigdy nie miało miejsca, a jakiegokolwiek inne stwierdzenie stanowi zdradę stanu.

Kilka sekund później kontynuował.

- Wysłał pan niedawno pewne zapytanie do swojego operacyjnego dowódcy. - To brzmiało jak stwierdzenie, a nie pytanie.

- Pańskie zapytanie pozostaje w bezpośrednim związku z obserwacją, którą zlecono panu kilka miesięcy wcześniej. Chcę wiedzieć, dlaczego pan o to pytał i co pan wie ponad to, co mogłem wyczytać w raporcie z zadania operacyjnego.

Brown w ciągu pięciu kolejnych minut zreferował swoje obserwacje i podejrzenia. Gdy skończył, w samolocie zapadła kilkuminutowa cisza.

- Posiada pan bardzo cenne informacje i umiejętności, panie Brown - powiedział mężczyzna i dodał: - Myślę, że będziemy jeszcze mieli okazję, by z nich skorzystać. Do zobaczenia, być może.

To był koniec spotkania. Od tego momentu sprawy potoczyły się lawinowo. Po powrocie z bazy wojskowej czekały na niego w ambasadzie nowe rozkazy.

Został relokowany do domu - tyle że tym razem bezpośrednio do Pentagonu. Za sprawą tajemniczego pasażera samolotu dostał oficjalny przydział - miał dalej prowadzić tę sprawę w ramach struktur kontrwywiadu i NSA. W kolejnych miesiącach prowadził śledztwo, w które zaangażowana była siatka agentów operacyjnych w Europie. Udało mu się ustalić, że na terenie starego kontynentu istnieje zorganizowana grupa byłych agentów wywiadów i kontrwywiadów różnych państw, którzy po zburzeniu muru berlińskiego nie odeszli na emeryturę. Jak się okazało, byli oni w posiadaniu cennych informacji wywiadowczych, które wykradli tuż przed polityczną przemianą w Europie. Informacje były na tyle cenne i wrażliwe, że bardzo wiele osób z pierwszych stron gazet, z mediów oraz kręgów władzy było gotowych płacić pokaźne sumy pieniędzy tylko po to, żeby te informacje pozostały w ukryciu i nigdy nie ujrzały światła dziennego.

W dokumentach było wszystko, o czym każdy porządny szantażysta mógł tylko marzyć. Tysiące stron dokumentów, zdjęć, nagrań audio i wideo. Zdjęcia z prostytutkami, kochankami obu płci i wreszcie kompromitujące dowody dotyczące współpracy, deklaracje lojalności, dowody na przemyt, oszustwa i przestępstwa różnego rodzaju.

Ujawnienie nawet niewielkiej liczby tych dokumentów mogło spowodować poważne zawirowania polityczne i gospodarcze.

Seksskandale od dawna pogrążyły polityków. To, co znajdowało się w posiadaniu tych ludzi, mogłoby w jednej chwili pogrążyć kilkaset kluczowych osób świata polityki i biznesu. Najbardziej nurtujące było to, że byli agenci nie bazowali wyłącznie na starych informacjach. Dzięki środkom pochodzącym z szantażu mogli rozwinąć własną działalność wywiadowczą w stopniu umożliwiającym pozyskiwanie nowych, cennych informacji oraz stosowanie prowokacji i pułapek, w które wpadały coraz to nowe osoby z pierwszych stron gazet oraz ekranów telewizorów.

Jak udało mu się ustalić, mózгами i zarządzającymi tą przestępczą organizacją byli właśnie Carcasse oraz Polak, były nielegal, który przez ponad dwadzieścia pięć lat działał na terenie zachodniej Europy pod kryptonimem Versal. Od tego momentu celem „Lornetki”

było ustalenie, gdzie znajdują się te wrażliwe informacje i kto odpowiada za ich przechowywanie. W ramach „Lornetki” wdrożono regularną obserwację Carcasse’a w Austrii oraz wprowadzono do operacyjnego wykorzystania zakonspirowanego agenta, który działał w Polsce. Główny wysiłek wywiadowczy przesunięto właśnie na Polskę, bo analitycy NSA wskazali, że najprawdopodobniej właśnie tam znajduje się centrum przechowywania danych oraz ośrodek zarządzania transferem finansów.

Po trwających pół roku przygotowaniach w bezpośrednim otoczeniu Versala udało się umieścić agenta operacyjnego, dzięki któremu zgromadzono dużą ilość przydatnych informacji, ale ani o krok nie przybliżono się do namierzenia miejsca przechowywania danych.

Gdy część osób w kierownictwie Pentagonu zaczęła już powątpiewać w sukces „Lornetki”, nastąpił zwrot akcji. Miało miejsce jedno wydarzenie, które mogło ich bardzo szybko doprowadzić do sukcesu, ale i do porażki.

Z Polski przysłała wiadomość od agenta operacyjnego, że Versal nie żyje.

---

[6](#) *Dossier* (franc.) – akta.

## **Wtorek, dwudziesty szósty kwietnia, Polska**

Boeing 767 przebijał się przez gęstą warstwę chmur. Silne boczne podmuchy wiatru rzucały samolotem. W kabinie co chwilę słychać było trzeszczące i ocierające się o siebie plastikowe elementy wystroju wnętrza.

Pasażerom samolotu wydawało się, że silniki pracują bardzo nierówno, lecz tak naprawdę było to tylko złudzenie wywołane przez masy powietrza o różnej gęstości, które otaczały maszynę. Samolot nieustannie zbliżał się do płyty lotniska i obniżał swój lot zgodnie z planowaną ścieżką zejścia na pas przydzielony do lądowania.

Tuż po tym, jak wylądowali, zanim zgasł napis „zapiąć pasy”, komisarz Kłopocki uległ dręczącej go pokusie włączenia telefonu. Po kilkudziesięciu sekundach urządzenie było gotowe do pracy. Wybrał numer poczty głosowej.

- Masz pięć nowych wiadomości - usłyszał w słuchawce zapowiedź automatu.

Pierwsze trzy wiadomości były dla niego bez znaczenia - kolega z pracy, który nie zdążył pogratulować mu zakończonego sukcesem śledztwa, doradca z banku w sprawie kredytu i wiadomość od matki w sprawie nowego nagrobku dla ojca. W końcu usłyszał coś, na co czekał.

- Cześć, tu Kamil - niepotrzebnie się przedstawiał, bo i tak Kłopocki poznałby jego charakterystyczny głos. - Mam coś w sam raz dla ciebie. Świeżutka sprawa z dzisiejszego poniedziałkowego poranka. Jak będziesz mógł, to zadzwoń do mnie wieczorem, po powrocie.

Kłopocki odruchowo spojrzął na zegarek. Pamiętał, że nie przestawił go jeszcze na warszawski czas. Szybko dodał sześć godzin do czasu wskazywanego przez wyświetlacz. Była siedemnasta pięćdziesiąt. Około godziny powinno zająć pobranie bagażu, odprawa paszportowa i dotarcie do samochodu, który stał na jednym z parkingów pod lotniskiem. Później pół godziny jazdy i będzie w Ożarowie. W sumie wyliczył, że godzina ósma nie będzie zbyt późną porą, żeby zadzwonić do przełożonego. Już cieszył się w myślach. Kamil Rudzki, jego bezpośredni przełożony i osobiście wieloletni przyjaciel, zawsze dawał mu takie sprawy, które wymagały najwyższego zaangażowania i były prawdziwym wyzwaniem.

Krótki dźwięk w telefonie oznaczał koniec czwartej wiadomości. Pozostała jeszcze jedna.

- Jeszcze raz ja. Słuchaj, ta sprawa, którą dla ciebie mam, trochę nam się skomplikowała i chciałbym, żebyś zajął się nią od razu po powrocie. W drodze do domu wstąp proszę do biura i weź teczkę z dokumentami. Zostawię ją na twoim biurku.

Rudzki go zaintrygował. Co takiego mogło się zdarzyć w ciągu niecałych dwudziestu czterech godzin od rozpoczęcia śledztwa, żeby mogło się skomplikować? Kłopocki postanowił, że prosto z lotniska pojedą do biura i dopiero później do domu.

## **Wtorek, dwudziesty szósty kwietnia, Polska**

Opróżniona do połowy butelka Chivas Regal była jedynym wyznacznikiem upływającego czasu. Jego praca w większości przypadków polegała na czekaniu na informację, na właściwy moment, na człowieka, który był ofiarą lub informatorem.

Krakowski Kazimierz tętnił życiem, choć chłód wieczoru wdzierał się przez otwarte okno do wnętrza mieszkania. Cały czas siedział na tym samym fotelu, obok którego na stole leżała broń.

Czekał na telefon i kolejny raz powtarzał w myślach plan działania na wypadek niepowodzenia jego wysłanników.

Po dwóch kolejnych łykach whisky w jego telefonie uruchomił się wibrator, oznajmiając przychodzące połączenie. Odebrał.

- W drugim sklepie też nic nie znaleźliśmy - powiedział mężczyzna na końcu linii, nie czekając na powitanie.

Nastała chwila ciszy.

- Czy ktoś to kupił przed wami? - spytał zachrypniętym głosem.

- Nie... - Rozmówca zawahał się. - Raczej nie.

Zakończył połączenie. Telefon położył obok makarowa. Podniósł książkę, która leżała na stole. Spomiędzy jej kart wyciągnął trzy zdjęcia. Wszystkie przedstawiały tego samego mężczyznę w różnych ujęciach i w różnych sytuacjach. Przyjrzał im się dokładnie, tak samo jak przyglądał się im od poprzedniego wieczoru, gdy dostał je od swojego współpracownika. Nigdy nie spotkał tego mężczyzny, ale wiedział już, że rozmowa z nim może mu bardzo pomóc. Nie miało dla niego żadnego znaczenia, czy będzie chciał z nim rozmawiać czy też nie. Umiał przekonać kogoś do rozmowy i wcześniej lub później zawsze dostawał te informacje, których szukał.

Czas na plan awaryjny - pomyślał, wstając z fotela.

Przed pułkownikiem Dzierzgońskim rysowała się perspektywa bezpośredniego włączenia się do działań operacyjnych. Nie robił tego od lat, ale sytuacja wymagała, aby ponownie zaangażował się osobiście w nurt wydarzeń. Stawka była zbyt wysoka, żeby mógł pozostawić sprawę swojemu biegowi.

Włożył lekki, wiosenny płaszcz i zadzwonił po taksówkę.

## **Wtorek, dwudziesty szósty kwietnia, Warszawa**

Agata nie była zadowolona. Po jedenastu godzinach lotu zamiast prosto do domu, Rafał musiał jechać do Pałacu Mostowskich. To oznaczało co najmniej godzinne opóźnienie.

Gdy podjechali pod budynek na warszawskiej Woli, szybko wbiegł po schodach, nie zamieniając nawet słowa z oficerem dyżurującym przy wejściu. Po niecałych trzech minutach był z powrotem na dole i szedł w kierunku samochodu z opasłą teczką pod pachą.

Tego wieczoru ta teczka była jego trofeum. Do późnej nocy wertował karty maszynopisu, zeznania, opinie patologa i zdjęcia z ulicy Garażowej.

Poznawał sprawę i układał plan działania.

Przez całą noc jego towarzyszem był dzbanek z kawą. Z początku gorąca, a później chłodna i w końcu zimna, znikająca w regularnym tempie jednej filiżanki na pół godziny.

Tuż po drugiej w nocy wstał od stołu i podszedł do okna, próbując ułożyć w głowie wszystkie informacje. Wiedział dużo, ale ciągle niewystarczająco, żeby wskazać jedną drogę, którą powinno potoczyć się dochodzenie. Ciągle było to dochodzenie w sprawie, a nie postępowanie przeciwko komuś konkretnemu.

Miał zwłoki i dokładny opis z sekcji uzupełniony fotografiami. Wiedział, jak wyglądało miejsce, w którym znaleziono ciało i czym zajmuje się firma. Z protokołów przesłuchań wiedział dużo o Wadex Trading i mniej więcej orientował się, jaki zakres obowiązków i odpowiedzialności miała ofiara.

Podszedł do biurka i jeszcze raz przyjrzał się fotografii przedstawiającej zwłoki w biurze. Coś było nie tak. Wiedział, że coś nie pasuje do całości. Choć wciąż na nowo czytał te same dokumenty, nie potrafił wskazać tego elementu lub elementów, które nie pasowały.

Poddał się przed piątą rano. Po cichu wślizgnął się do sypialni. Miał przed sobą co najmniej dwie godziny snu, a później długi dzień w pracy.

## Środa, dwudziesty siódmy kwietnia, Mazury

Obudził się. Zdawał sobie sprawę, że już nie śpi i że ciągle jest noc. Tak przynajmniej wnioskował z dźwięków, które dochodziły do jego uszu. Przez lata treningu i późniejszej służby nauczył się wybudzać w taki sposób, aby ktoś, patrząc na niego, nie mógł się domyśleć, że już nie śpi. Robił tak cały czas, pomimo że lata jego służby dawno minęły. Nie był w stanie określić, czy skłania go ku temu przyzwyczajenie czy też jakiś inny powód.

Po kilku minutach otworzył oczy.

Wpatrywał się w otaczającą go ciemność rozświetloną jedynie odległym blaskiem gwiazd i księżyca. Powoli przekręcił się na prawy bok i wyciągnął spod kołdry rękę z zegarkiem. To kolejny nawyk – spanie w zegarku. „Macie być gotowi zawsze i o każdej porze” – tak mawiał ich pułkownik. Prawdziwego imienia i nazwiska tego człowieka nigdy nie poznali. Dla nich to był tylko pułkownik. Mentor prowadzący szkolenie, który zrobił z nich prawdziwych i twardych ludzi.

Zegarek wskazywał kwadrans po czwartej rano.

Starszy mężczyzna stwierdził, że nie ma sensu dłużej leżeć w łóżku.

Wstał i skierował się w stronę kuchni. Zagotował wodę i zaparzył kawę. Wszystko bez dodatkowego światła. Nie chciał, żeby ktokolwiek z zewnątrz widział, gdy krząta się po domu.

Tuż przed piątą zaczęło się robić widniej. Przebrał się i skierował do wyjścia. Miał przed sobą godzinny spacer po okolicznym lesie. To była jego metoda na utrzymanie dobrej kondycji. Pomimo osiemdziesięciu czterech lat wynikających z jego prawdziwej metryki, tej, która oficjalnie została zniszczona dziesiątki lat wcześniej, czuł się świetnie i mógł być uważany za mężczyznę we wczesnych siedemdziesiątych latach swego życia.

Codziennie starał się spacerować inną trasą. Tym razem wybrał ścieżkę przy samym brzegu jeziora. Jej zaletą było to, że cały czas mógł widzieć swoją działkę, samemu pozostając niezauważonym i schowanym za przybrzeżnymi krzakami oraz drzewami porastającymi brzegi jeziora. Jego dom nie prezentował się okazale. Zwykła drewniana chata, podobna do kilkunastu innych, które były rozsiane luźno i nieregularnie wzdłuż linii brzegowej. Jedna droga dojazdowa do najbliższej wsi czyniła to miejsce bardzo odludnym i zarazem bardzo dla niego wygodnym. Jego celem było ukrycie się przed światem. Znał doskonale swoich sąsiadów, ale nie utrzymywał z nimi specjalnych kontaktów. Czasem wręcz ich unikał. Nie było w tym nic szczególnego. Warmia i Mazury pełne były takich miejsc, w których ludzie chcieli zaznawać wyłącznie ciszy i spokoju, a obu tych rzeczy miał tu pod dostatkiem.

Major Stanisław Mocadowski był dokładnie w połowie trasy wokół jeziora, gdy kątem oka dostrzegł ruch na przeciwległym brzegu pomiędzy chatami. Wiedział, że o tej porze było jeszcze za wcześnie na ruch lokalny. Sąsiedzi zwykle nie wychodzili z domu przed siódmą rano, a do siódmej pozostało jeszcze sporo czasu.

Z podręcznej torby, którą miał przewieszoną przez ramię, wyciągnął lornetkę. Oparł się o drzewo i dłuższą chwilę patrzył, co dzieje się po drugiej stronie. Pod lasem, za domami,

w cieniu drzew ktoś szedł od strony głównej wiejskiej drogi. Poruszał się w kierunku jego domu, który stał jako ostatni, najdalej odsunięty od wsi.

W pewnym momencie, na krótką chwilę, przybysza oświetliło słońce przebijające się pomiędzy gałęziami. Major rozpoznał go. Widywał tę twarz wiele razy. Wtedy jednak była ona gładsza i nie miała tylu zmarszczek co teraz, a sama postać była mniej zgarbiona.

Major schował lornetkę do torby, poprawił pasek na ramieniu i ruszył ścieżką w kierunku domu. Nie miał pojęcia, dlaczego ten człowiek przybył do niego osobiście.

Instynktownie sięgnął ręką pod pachę i dotknął rękojeści wiernego walthera. Musiał się upewnić, że tam jest – tak na wszelki wypadek. Musiał być gotowy zawsze i na wszystko, a ta wizyta była zarówno niezapowiedziana, jak i nieoczekiwana.

## Środa, dwudziesty siódmy kwietnia, Warszawa

Brzęczyk magnetycznego zamka oznajmił, że blokada w drzwiach została zwolniona. Wszedł do środka.

- Dzień dobry, pani Arleto - powiedział nadkomisarz Choryło, który szczylił się tym, że łatwo zapamiętywał imiona nowo poznanych osób.

- Dzień dobry...

Dziewczyna wydawała się lekko zaskoczona jego wizytą w firmie tak wcześnie rano - tym bardziej że w biurze nie było jeszcze nikogo z zarządu Wadeksu.

- Mam coś dla pani - powiedział i na recepcyjnym kontuarze położył brązową kopertę.

- Co to?

- Komplet rzeczy pana Groszkowskiego, które zabraliśmy z pokoju. - Wskazał palcem na pomieszczenie w głębi korytarza. - To nie są jego osobiste rzeczy, więc zwracamy je do firmy, bo osobiste zostaną formalnie wydane córce.

Otworzył kopertę i wyjął wszystko na blat. Na koniec wyciągnął niewielką kartkę i sprawdził z listą, czy wszystko się zgadza.

- Wystarczy, że pokwituje pani w imieniu firmy. - Palcem pokazał, w którym miejscu kartki kobieta ma złożyć podpis.

Recepcjonistka przypatrywała się przedmiotom na blacie.

- To chyba nie są klucze pana Groszkowskiego. - Wskazała na pęk kluczy.

- To znaczy...? - Choryło był kompletnie zaskoczony tym stwierdzeniem.

- No chodzi mi o to, że dyrektor Groszkowski nosił swoje klucze na takim samym kółeczku, tylko nałożone w zupełnie inny sposób.

- Jaki konkretnie?

- Inaczej...

Dziewczyna podniosła pęk i wybrała cztery z pięciu kluczy.

- Widzi pan? Te klucze mają ułożone zębki w tę samą stronę, a ten - pokazała palcem na ostatni, piąty klucz, luźno wiszący na drugiej połowie breloka - ma zębki ułożone w drugą stronę.

- A skąd pani wie, że zawsze były ułożone tak samo?

- To proste. Pan dyrektor był bardzo dokładny i pedantyczny. Kiedyś dorabiałam dla niego klucze do naszego magazynu na tyłach budynku i włożyłam je na brelok naprzemiennie. Nie wiedziałam, że będzie to miało dla niego jakiegokolwiek znaczenie, ale strasznie się zdenerwował. Nawet nakrzyczał na mnie, że jeśli mam taki nieporządek w kluczach, to on aż boi się pomyśleć, jaki nieporządek będzie w dokumentach. Byłam tak zdenerwowana, że przekładając je na właściwą stronę, złamałam sobie paznokieć...

- Okej. Rozumiem. - Choryło zamyślił się. - A czy jest możliwe, że ktoś inny niż dyrektor mógł używać tych kluczy?

- Nie sądzę. On zawsze miał je przy sobie...

- Dobrze, to na razie proszę pokwitować odbiór tych przedmiotów, muszę lecieć dalej.

Arleta szybko podpisała kartę wydania rzeczy.



- A na co umarł dyrektor? - spytała, gdy Choryło stał już przy drzwiach wyjściowych i czekał na zwolnienie magnetycznego zamka.

- Zawał - odpowiedział i machnął ręką na pożegnanie.

Ciekawe - pomyślał, schodząc po schodach na parter.

Kto mógł podmienić pedantowi układ kluczy w breloku i w jakim celu? Nie znał odpowiedzi na to pytanie, więc postanowił zepchnąć je na drugi plan, bo czekały go jeszcze zakupy przed wyjazdem na urlop.

## **Środa, dwudziesty siódmy kwietnia, Warszawa**

Kłopocki nagle otworzył oczy. Jakiś wewnętrzny impuls kazał mu wstać i jeszcze raz przejrzeć akta sprawy. Czuł, że nie zauważył czegoś ważnego.

Po cichu, żeby nie budzić żony, wyszedł z łóżka i już po chwili wertował stos papierów, przy których spędził większą część nocy.

Był już przy końcu dokumentacji, gdy nagle doznał olśnienia. To, czego szukał - nieprawidłowość - przez cały czas była przed nim.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła dziewiąta. W biurze już pracowali.

- Cześć - rzucił do słuchawki, gdy na drugim końcu linii usłyszał głos Choryły. - Słuchaj, ta sprawa gościa z poniedziałku, tego, którego znaleźli w biurowcu na Garażowej... Muszę wiedzieć, czy przy sekcji była robiona biochemia.

- Nie pamiętam, ale jeśli nie ma tego w teczce sprawy, to pewnie nie. A czemu pytasz?

- Coś mi przyszło do głowy i chciałem to sprawdzić. Powiem ci, jak się spotkamy w biurze. Będę za jakąś godzinę, bo dopiero wstałem. Tymczasem załatw szybko, żeby zlecić to badanie, póki nie jest jeszcze za późno. I spotkajmy się za godzinę, ale w kostnicy.

- Dobra, niech ci będzie.

## Środa, dwudziesty siódmy kwietnia, Warszawa

Wszystko miał już przygotowane i ułożone w głowie. Do umówionego czasu na wszelki wypadek dodał jeszcze jedną godzinę. Minęły trzy popołudnia, w trakcie których tamten nie pojawił się ani nie przekazał żadnej informacji. Ponieważ wcześniej nie zapowiadał swojego wyjazdu, Gawiński musiał wdrożyć procedurę awaryjną.

Zegar wybił dokładnie dziewiątą. Informatyk wstał z krzesła i rozpoczął wyłączanie komputerów. Teraz, zgodnie z wcześniej opracowanym schematem działania, miał dwie godziny, żeby zdemontować wszystkie urządzenia znajdujące się w pomieszczeniu i włożyć je do odpowiednich pudełek, które zawsze były w pogotowiu. Następnym zadaniem było zawiezenie ich do umówionego magazynu i oczekiwanie na wyznaczenie nowego miejsca instalacji.

Był zdenerwowany. Nic nie zapowiadało, że jego pracodawca nagle zniknie. Uprzedzał go wcześniej, że taka sytuacja może mieć miejsce, ale Gawiński odsuwał od siebie tę myśl głównie dlatego, że pieniądze, które zarabiał, były duże. Nie chciał nawet myśleć o utracie takiego źródła dochodu.

Mężczyzna, który go zatrudnił, był bardzo restrykcyjny i zasadniczy. Nawet nie próbował dochodzić tego, w jaki sposób do niego dotarł. Po prostu pewnego dnia usiadł przy jego stoliku w trakcie lunchu i powiedział, że chce, aby dla niego pracował. Gawiński był tak zaskoczony, że nie potrafił wydusić z siebie słowa. Mężczyzna zostawił tylko kartkę z numerem telefonu i odręcznie napisaną kwotą miesięcznych zarobków. Dwa dni później, po dwóch bezsennych nocach, Gawiński wykręcił numer, który widniał na kartce. Ku jego zdziwieniu otrzymał komunikat, że wybrany numer jest niepoprawny. Tym większym zaskoczeniem był dla niego fakt, że jeszcze tego samego dnia ten sam mężczyzna podszedł do niego na parkingu pod domem i przekazał datę oraz miejsce następnego spotkania.

Później sprawy potoczyły się lawinowo. Gawiński spędził weekend w prywatnym domu pod Poznaniem, gdzie dowiedział się dokładnie, na czym ma polegać jego praca i jakimi warunkami będzie obwarowana. Otrzymał wszystkie informacje, które miały być mu potrzebne do wykonywania zadania i musiał nauczyć się procedur, które miały zapewnić bezpieczeństwo jemu i jego pracodawcy. Musiał też uwierzyć, że tylko ślepe posłuszeństwo i bezbłędne wykonywanie procedur zapewnią mu spokój.

Zgodnie z ustalonym schematem codziennie rano lub po południu jego pracodawca przychodził do podziemnego pomieszczenia, w którym pracował. Jeśli wyjeżdżał na jakiś czas, Gawiński wiedział o tym wcześniej. Wszystko odbywało się ustnie - nie dzwonili do siebie i nie wysyłali maili. Pieniądze też dostawał bezpośrednio do ręki. Żadnych dokumentów, żadnych umów i podatków.

Po niecałych dwóch godzinach wszystkie urządzenia były spakowane w pudła i zabezpieczone w taki sposób, żeby postronna osoba nie wiedziała, do czego służą. Miały wyglądać jak zwykłe komputery, takie jak setki tysięcy w różnych biurach w okolicy.

## Środa, dwudziesty siódmy kwietnia, Warszawa

Z teczki z aktami sprawy wyjął czarny notatnik.

- Patrz. - Otworzył na ostatniej zapisanej stronie.

Mężczyzna w lekarskim fartuchu poprawił okulary i uważnie studiował ostatnie widoczne zapisy. Po chwili z koperty leżącej na stole wyjął plik ze zdjęciami. Szybko wyszukał to, które najbardziej go interesowało.

- Wygląda na to, że masz rację. Popatrz tu. - Wskazał na zdjęcie.

Kłopotcki nie pierwszy raz był w prosektorium. Mimo że tym razem oglądał tylko zdjęcia fragmentów ciała, przeleciał go taki sam dreszcz jak zwykle, gdy odkrywano przed nim zwłoki, żeby coś mu pokazać. Tym razem to on skłonił patologa do ponownego obejrzenia zwłok, a przynajmniej ich zdjęć.

- Czyli co? Mam rację? - spytał Kłopotcki.

- Tego nie wiem. Ale na pewno dobrze rozkodowałeś te zapiski. Ten facet był insulinozależny i zapisywał każdy poziom cukru i każdą dawkę insuliny, którą sobie podawał. To widać tutaj. - Końcówką ołówka wskazał dwie równoległe kolumny wypełnione liczbami.

- A strona?

- Tu też się raczej nie mylisz. On regularnie zmieniał miejsce zastrzyków. Używał takiego niewielkiego pióra z igłą, które dziś jest bardzo popularne wśród diabetyków. Miejsca po nakłuciach miał tylko na poziomie pasa, więc przyjmujemy,

że tylko tam robił sobie zastrzyki. Te ślady, które ma na ciele, potwierdzają się z tym znacznikiem, który jest w notatniku przy zapisach. Mężczyzna raz na siedem dni zmieniał stronę, w którą się wkłuwał.

- Czyli przez siedem dni prawy bok i przez kolejne siedem dni lewy bok? - pytał Kłopotcki, jednocześnie pokazując dłonią swoje biodra dla lepszego zobrazowania metody, o której rozmawiali.

- Tak jest. I jak wynika z tych zapisów, zmianę robił zawsze w niedzielę.

- Czyli niedziela była dniem, w którym zmieniał stronę przyjmowania zastrzyków? - Kłopotcki chciał być absolutnie pewny, że jego tok rozumowania nie zawiera błędów.

- Zaczynał zawsze od niedzieli. Ostatni tydzień też zaczął od niedzieli. Obstrzykiwał sobie prawą połowę ciała i liczba tych małych ran, które widzisz na zdjęciu, odpowiada liczbie wpisów w notesie za okres od niedzieli do piątku, czyli do daty zgonu.

- Dobra, doktorze, to w takim razie skąd po lewej stronie wzięła się ta ciemna plama po zastrzyku? Musiała pojawić się w piątek, czyli na dwa dni przed zmianą.

- Na to pytanie nie znam odpowiedzi. Mogę ci tylko powiedzieć, że zaintrygował mnie twój telefon. Pierwszą rzeczą, którą zrobiłem z samego rana, było obejrzenie tego miejsca pod różnymi kątami i w dużym powiększeniu. Ślad na pewno jest świeży, z piątku. Jest też coś ciekawego. Ten ślad nie jest taki jak pozostałe. Zobacz.

Lekarz położył przed Kłopotckim duże powiększenia nakłuć Groszkowskiego. Na dole i na boku każdego zdjęcia widać było skalę. Odręcznie na boku widniała zapisana liczba.

- Tutaj - wskazał na pierwsze zdjęcie - widzisz nakłucia z prawej połowy ciała. Wszystkie są dokładnie takie same. A na drugim zdjęciu jest ślad po tym pojedynczym nakłuciu z drugiej strony. To nakłucie jest o jakąś jedną czwartą większe w średnicy. Gołym okiem tego nie widać, ale przy dużym powiększeniu dużo łatwiej dostrzec różnicę.

- Ale to jeszcze nie wszystko - kontynuował lekarz. - To nakłucie jest też dużo głębsze, jakieś dwa razy głębsze. Pamiętaj, że to może być również od podania insuliny, tyle że inną igłą.

- Wykluczyłem to, choć na początku też tak myślałem. W pokoju, tam, gdzie go znalezione, było tylko jedno pudełko z małą strzykawką długopisem. Nie było innych igieł, opakowań ani innego długopisu. Sprawdziliśmy też kosz na śmieci w jego gabinecie, bo ostatni zastrzyk brał przed południem, czyli w godzinach pracy, i jeśli miały zostać po tym jakiś ślad, to właśnie w biurze.

- Rafał, ja tylko dostarczam ci informacje na podstawie faktów. - Lekarz wziął głęboki oddech i odsuwając od siebie zdjęcia, dodał: - Reszta to już twoja robota. Pogłównuj i pewnie wszystko wykombinujesz. Ja dla pewności zleciłem pełną biochemię, żeby wykluczyć lub potwierdzić udział osób trzecich.

- Dzięki. - Kłopotcki zaczął składać wszystkie dokumenty ze stołu do teczki. - Kiedy będą wyniki?

- Najwcześniej za jakieś dwa lub trzy dni. Tylko pamiętaj, że do tego czasu to, że ktoś zabił tego faceta, to tylko luźna hipoteza, którą wysnułeś, a ja ją tylko lekko uprawdopodobniłem.

- Wiem - odparł Kłopotcki zdecydowanie, jakby był pewny, że wyniki badania tylko potwierdzą jego podejrzenia.

- A swoją drogą nieźle to wykombinowałeś, bo ani Choryło, ani ja nie zwróciliśmy na to uwagi.

Komisarz uśmiechnął się i pożegnał.

## Środa, dwudziesty siódmy kwietnia, Mazury

Dzień miał się już ku zachodowi. Major siedział na werandzie i rozmyślał nad wydarzeniami minionych godzin oraz informacjami, które usłyszał od przybysza. Na stole stał kubek gorącej kawy, a pod kurtką, która spoczywała na sąsiednim krześle, leżał jego przyjaciel walther z pełnym magazynkiem.

Powoli, dokładnie odtwarzając w pamięci każdy szczegół, analizował poranne zajście. Musiał mieć pewność, że wszystko, co zobaczył i usłyszał, było prawdziwe - bo jeśli takie było, to jego i jego dawnych towarzyszy czekało sporo pracy.

Poranny gość czekał na niego oparty o drzewo i jednocześnie w cieniu wielkiej gałęzi. Z daleka nie sposób było odczytać wyrazu jego twarzy. W tej pozycji miał zapewniony doskonały punkt obserwacyjny. Widział drogę w kierunku wsi oraz wszystkie leśne ścieżki, które docierały do tej małej warmińskiej osady.

Major w swoim zwykłym tempie dokończył spacer trasą wokół jeziora. Wychodząc na polanę, skierował się w stronę swojego gościa. Mężczyzna ciągle stał bez ruchu pod drzewem. Samo pojawienie się majora na polanie nie wywołało u niego najmniejszej reakcji.

Mocadowski zbliżył się do dawnego kolegi i w milczeniu wyciągnął dłoń na przywitanie. Tamten odwzajemnił uścisk, cały czas lustrując twarz majora.

Gospodarz obrócił się i skierował w stronę domu - bez słowa i bez gestu zaproszenia. Dla obu mężczyzn było oczywiste, że rozmowa na podwórku nie wchodzi w ogóle w rachubę. Bez słowa weszli do drewnianego domu i skierowali się do kuchni. Major zdjął podręczną torbę, która cały czas wisiała na jego ramieniu, jednak kurtkę pozostawił na sobie, nie chcąc ujawniać tego, co było pod nią, ukryte w skórzanej kaburze.

Pytająco skinął głową w kierunku przybysza, który stał w drzwiach wejściowych do kuchni.

- Ktoś zdjął Grocha - oznajmił gość bez żadnych emocji.

- Skąd wiesz?

- Przyjaciel przyjaciela ma za zadanie sprawdzać dwa razy w tygodniu wszystkich członków zespołu. W ostatnim sprawdzeniu wyszło, że Grocha nie ma. Szybko udało się ustalić, że zszedł. Ponieważ okoliczności były nietypowe, sprawę zaczęła badać policja, więc nasz przyjaciel dotarł do dokumentów z sekcji. Wynika z nich, że to był zawał serca.

- To dlaczego twierdzisz, że ktoś go zdjął? - spytał major.

- Znasz Grocha. Widziałeś go całkiem niedawno. Wiesz, że wszystkie badania zawsze przechodził bez problemu i dbał o siebie pomimo tej cholernej cukrzycy. Jedyne, co mu dolegało, to bezgraniczna głupota i uzależnienie od pieniędzy, ale serce miał zdrowe.

Major się zamyślił.

- A może to zbieg okoliczności? Przecież zawał to teraz choroba cywilizacyjna, a on nie dawał za wygraną i cały czas był bardzo aktywny.

- Stasiu, pomyśl chwilę. Przecież to zbyt wiele zbiegów okoliczności. Poza tym najlepsze zostawiłem na koniec. Posłuchaj... moment...

Pułkownik w stanie spoczynku, Ludwik Dzierżgoński, podszedł do zlewu i odkręcił oba kurki, po czym zrobił dwa kroki w stronę radia i włączył je, ustawiając maksymalny poziom głośności. Nawet w dobie elektronicznych superpodśluchów, mikrofonów i oprogramowania, które były w stanie podsłuchać ich z drugiej strony jeziora, ufał starym metodom zagłuszania, które znał jeszcze z czasów swojego szkolenia w latach pięćdziesiątych.

Kontynuował.

- Znajomy lekarz przyjrzał się dokładnie zdjęciom, które zostały zrobione podczas sekcji, i całemu opisowi. Groch miał uregulowane życie. Wszystko działa się dokładnie według planu, jak w zegarku. Pamiętasz, jak pedantycznie podchodził do tematu posiłków i badania cukru? Wyobraź sobie, że Groch miał system nakłuwania się tym długopisem z insuliną. Co tydzień zmieniał stronę, w którą się wbijał. Ktoś go załatwił w piątek, kiedy według swojego systemu miał jeszcze dwa dni do zmiany strony. Na jego ciele po jednej stronie nad biodrem było sporo czerwonych plam po ukłuciach i tylko jedna po drugiej stronie, o mniej więcej tu. - Mężczyzna wskazał palcem na bok, tuż nad biodrem.

- I o czym to niby miałyby świadczyć, według tego lekarza?

- O tym, że to nie on zrobił sobie zastrzyk. Poza tym na zdjęciu plama po lewej stronie jest inna niż te, które są po drugiej stronie. Jest wyraźnie większa i bardziej podłużna.

- Czyli co? - Major był głodny wniosków - Ktoś mu pomógł?

- Na to wygląda.

- A znaleźli coś w organizmie?

- Na razie nic.

Pułkownik i major spojrzeli na siebie w milczeniu. Doskonale zdawali sobie sprawę, co to mogło oznaczać. Farmakochemicznie wywołany zawał serca, który poza wylewem od ukłucia igły nie pozostawia żadnych śladów. Brzmiało znajomo.

- Wiemy, kto i dlaczego?

- Niestety. Dlatego tu jestem - odparł Dzierżgoński.

- No to mamy kurwa problem. - Mocadowski w zamyśleniu podrapał się po zaroście.

- Stasiu, problem to był od dawna. Teraz musimy wykombinować, jak to rozwiązać. Moi ludzie już przeczesał dom Grocha i jego córki. Niczego nie znaleźli.

- To co robimy dalej? Przecież nie ruszałeś się z Krakowa tylko po to, żeby mi zakomunikować, że nic nie masz?

Dzierżgoński spojrzał na dawnego kompana z zaskoczeniem w oczach.

- A ty skąd wiesz o Krakowie?

- To, że mieszkam na zadupiu, nie świadczy o tym, że jestem kompletnie odcięty od świata. Mam swoje źródła informacji - odparł i dodał, patrząc w podłogę przed sobą: - Co wiesz?

Na moment zapadła cisza. Pułkownik Dzierżgoński wyglądał, jakby zastanawiał się, jakich słów ma użyć. Zaniepokoił go fakt, że nie był tak tajemniczy, jak mu się wydawało, a Mocadowski nie był tak bardzo na emeryturze, jak mu donoszono. W końcu podszedł do wiszącej na krześle kurtki i wyjął z niej niewielki plik zdjęć.

- Poznajesz tego faceta?

Mocadowski wziął do ręki dwie pierwsze fotografie i przyglądał im się przez dłuższą chwilę.

- Nie znam. Kto to?

- Widzisz, to jest na razie jedyny trop, który mamy. Ten gość pracuje... albo raczej pracował z Grochem w jednej firmie. Ale to jeszcze nie koniec. Pamiętasz Stępnia?

- Tego, którego podejrzewaliśmy, że jest mózgiem całej operacji szantażu?

- Dokładnie tego. Ten młody człowiek wynajmuje od niego dom pod Warszawą.
  - No to ładny pasztet. Rozumiem, że to nie jest zbieg okoliczności?
  - Sądzę, że to jest w jakiś sposób powiązane. Groch i Stępień pracowali razem przez wiele lat. Jakimś cudem później zaczęło się im świetnie powodzić, chociaż nie prowadzili żadnej działalności poza pracą w firmie...
  - Ale tego nie jesteśmy pewni na sto procent...
  - Niczego nie jesteśmy pewni. Groch, gdy był jeszcze w strukturach jako Versal, miał dostęp zarówno do Stępnia, jak i do materiałów. Obaj nie są już w takim wieku, żeby latać po świecie i nadstawiać karku, więc potrzebowali kogoś młodego. Uważam, że ten facet jest naszym kluczem do znalezienia archiwum Versala i zniszczenia go, żebyśmy mogli spokojnie spać.
  - Masz jakiś pomysł, jak to załatwić? - Mocadowski odłożył zdjęcia na stół.
  - Mam pomysł, ale musisz mi pomóc - odparł pułkownik i palcem stuknął w twarz młodego mężczyzny na zdjęciu.
- Major zaczął się domyślać, na czym polega ten plan.



## Środa, dwudziesty siódmy kwietnia, Warszawa

- Chcesz kawy? - spytał, gdy wyszła zaspana z sypialni.
- Tak, białą i z cukrem - odparła, lokując się na kanapie.

Ubrana była tylko w cienkie koronkowe majtki. Nie krępowano jej to. Usiadła, opierając się o poduszki i wyciągając nogi na siedzisku. Podparła ręką głowę i patrzyła, jak jej kochanek przygotowuje kawę na kuchennej wyspie.

Jak na swoje czterdzieści pięć lat wyglądał dość dobrze. Nie na tyle dobrze, aby chciała z nim spędzić resztę życia i wydać na świat potomstwo, ale wystarczająco dobrze, aby zrealizować z nim aktualne cele.

Owinięty w biały ręcznik kąpielowy Kozlovsky niósł dwa kubki kawy w kierunku sofy. Pomimo tego, że spędził z nią całą noc, jak nastolatek wpatrywał się w jej nagie piersi. Za każdym razem, gdy na nie patrzył, robiło mu się przyjemnie ciepło na wspomnienie wszystkich tych rzeczy, które wielokrotnie robiła z nim w łóżku. Ich erotyczna przygoda zaczęła się przypadkiem - firmowy wyjazd, dużo alkoholu i dobrej muzyki. Po prostu rano obudzili się w jego pokoju i mieli ochotę na więcej.

Spotykali się nieregularnie. Robili to raczej na wyjazdach i w weekendy, czasem w jego lub jej mieszkaniu, wtedy, gdy mieli absolutną pewność, że nikt nie będzie o tym wiedział. Oboje byli wolni, ale żadne z nich nie chciało, aby o ich romansie ktokolwiek wiedział. Nie rozmawiali o tym. Natura ich relacji była jednak ściśle określona. Przypominało to dobrze funkcjonującą relację biznesową, w której obie strony są wygranymi. Tylko czasem rozmawiali o firmie i sprawach służbowych. Jeśli dyskutowali, to głównie o tym, co działo się poza firmą. W biurze nie okazywali sobie żadnych uczuć ani czułości. Byli zwykłymi szefem i podwładną.

Zadzwoił telefon Doroty. Spojrzała na wyświetlacz i odebrała połączenie.

- To notariusz z kancelarii, potwierdzał, czy przyjdę dziś na odczytanie testamentu - powiedziała po skończonej rozmowie.

- Na którą się umówiłaś?

Spojrzała na zegarek w telefonie.

- Za dwie godziny mam tam być.

Kozlovsky zamyślił się i po chwili spytał:

- Przewidujesz jakieś komplikacje?

- Nie. Według notariusza wszystkie dokumenty są w porządku. Nie wiem tylko, dlaczego kazał mi zarezerwować co najmniej trzy godziny na to czytanie testamentu.

- Może jest długi, a może trzeba wyprodukować do niego jakąś dokumentację. W końcu mówimy o kilku milionach złotych w akcjach spółki, które odziedziczysz.

- Pewnie masz rację.

- Szkoda tylko, że przenieścieście tych akcji na ciebie będzie tyle trwało. Minie sporo czasu, zanim będziesz mogła z nich korzystać.

- A właśnie. - Dorota zmieniła temat. - Masz już kupiony bilet?

- Tak, dokładnie tak jak się umawialiśmy. Będę na miejscu dzień po tobie... Czyli masz sporo czasu na zakupy i zwiedzanie.

- Pewnie - odparła, popijając kawę z kubka, który cały czas trzymała w dłoniach na poziomie brzucha. - Tylko pamiętaj, żebyś nie wygadał się w biurze, że jedziesz.

Kozlovsky puścił do niej oko i idąc w kierunku sypialni, odstawił kubek w kuchni.

Dorota została sama w salonie. Za kilka godzin za sprawą testamentu swojego ojca stanie się bogatsza - dużo bogatsza. Miała odziedziczyć pokaźną sumę pieniędzy. Wiedziała, co chce z nimi zrobić. Musiała tylko przebrnąć przez wszystkie formalności.

## Środa, dwudziesty siódmy kwietnia, Berlin

W każdą środę po południu wsiadał w samochód i jechał na przedmieścia Berlina. Pomimo że dystans, który miał do pokonania, był niewielki (zaledwie dwadzieścia kilometrów), podróż zajmowała mu zwykle około półtorej godziny. Nigdy nie jechał na miejsce spotkania bezpośrednio z domu. Za każdym razem wybierał inną trasę. Dzięki dobrze rozbudowanej sieci dróg szybkiego ruchu wokół Berlina mógł dowolnie układać przejazd przez miasto. Nigdy nie jechał swoim autem aż do samego celu. Kiedyś, kiedy nie było możliwości śledzenia samochodów za pośrednictwem nadajników GPS oraz telefonów komórkowych, musiał się tylko upewnić, że z tyłu nie ma drugiego auta, które go śledzi. Teraz, w dobie wysoko rozwiniętej inwigilacji elektronicznej, to nie wystarczało. Dlatego zostawiał samochód gdzieś w centrum miasta, najczęściej w jednym z wielu centrów handlowych, i stamtąd podróżował dalej komunikacją miejską lub taksówką.

Na miejsce, do niewielkiej prywatnej willi na przedmieściach, przyjeżdżał zawsze na godzinę siedemnastą. Bez telefonu komórkowego, który zostawiał w aucie na parkingu w centrum miasta. Wysiadał dwie przecznice przed celem podróży. Resztę drogi pokonywał pieszo.

Gdy podszedł do drzwi wejściowych, tym razem nie musiał korzystać z dzwonka na ścianie. Ktoś otworzył je od środka. W bladym świetle korytarza zobaczył znaną postać.

- Hans. - Jean Carcasse wyciągnął rękę.

- Cześć - odwzajemnił powitanie mężczyzna, który otworzył mu drzwi.

Weszli do środka. Prowadził gospodarz, mężczyzna w wieku około sześćdziesięciu pięciu lat, z wygoloną na gładko głową. Nosił się tak od wielu lat. Starannie golił się co drugi dzień. Jego wizerunek był bardzo oczywisty: zawsze wybierał białą koszulę i ciemne spodnie. Nawet teraz, gdy już nie pracował w swojej kancelarii prawnej i od prawie dekady zajmował się nieformalnie sprawami tylko jednego klienta, ubierał się tak samo schludnie jak przez lata swojej kariery zawodowej.

Szli w kierunku biblioteki, która mieściła się na drugim końcu willi.

- Jean, mamy chyba niedobre wieści z Polski.

- To znaczy?

Hans Zunkerst odwrócił się w półmroku korytarza i spojrzał prosto w oczy swojego gościa.

- Od poniedziałku nie są realizowane nowe zlecenia transakcyjne, a Versal zniknął... definitywnie.

- Usunięty? - spytał krótko Carcasse.

- Nie wiemy tego. Na razie mamy tylko informację, że nie żyje i że lokalna policja bada sprawę. Znaleźli go w biurze po kilku dniach. Żadnych konkretnych śladów.

Weszli do biblioteki i usiedli, Carcasse na krześle przed biurkiem, Zunkerst na obszernym fotelu przy biurku.

- Kiedy to było?

Adwokat przerzucił kilka kartek z notkami.

- W piątek wczesnym popołudniem, a znaleźli go w poniedziałek rano. Badanie patologa miało się odbyć w poniedziałek wieczorem, ale nie wiemy jeszcze, czy się odbyło i jaka jest jego opinia. Wszystkie informacje dostaliśmy dzisiaj rano od naszego kontaktu w Warszawie.

Carcasse zamyślił się, wpatrzony w okno. Taka sytuacja musiała się kiedyś zdarzyć. Wiedział o tym zarówno on, jak i jego najbliżsi współpracownicy. Każdy z nich najlepsze lata młodości miał już dawno za sobą. Śmierć któregośkolwiek z nich komplikowała bardzo wiele i w momencie jej nadejścia musieli działać sprawnie i szybko. W takiej sytuacji jak ta nie było miejsca na błędy. Versal był ich depozytariuszem - jedyną osobą, która wiedziała, gdzie znajduje się najcenniejsza część ich zbiorów i jedyną osobą, która mogła tę wiedzę przekazać dalej, swojemu następcy.

- A co z jego córką? Obserwujemy ją?

Zunkerst spojrział na gościa z lekkim zdziwieniem.

- Oczywiście, przecież na tym opiera się trzon instrukcji, którą mieliśmy opracowaną na taką okoliczność. To ona ma nas doprowadzić do miejsca, w którym znajdują się wszystkie archiwa.

- A nasz człowiek na miejscu?

- Jest przygotowany na twój przyjazd. Tutaj masz bilet na jutrzejszy poranny lot do Polski. Na miejscu wszystko jest gotowe.

Carcasse spojrział na zegarek. Mieli sporo detali do przedyskutowania i zapamiętania przed końcem spotkania. Musiał zdążyć przed zamknięciem centrum handlowego, w którym pozostawił auto.

## Środa, dwudziesty siódmy kwietnia, Waszyngton

Taksówka powoli przebiegała się przez miasto. Poranny szczyt komunikacyjny już dawno się skończył, jednak na ulicach było gęsto od aut zmierzających w różnych kierunkach. W ciągu dwudziestu pięciu minut zdołał dojechać z hotelu do mostu na rzece Potomak. Hotelowy konsjerż<sup>7</sup>, który zamawiał dla niego taksówkę, poinformował go, że z uwagi na zwiększony ruch w mieście droga na lotnisko międzynarodowe Dulles zajmie mu około dwie godziny.

Był zmęczony. Po nocnym locie do Waszyngtonu udało mu się zameldować w hotelu kwadrans po pierwszej w nocy. O szóstej trzydzieści rano był już w hotelowej restauracji. W kwadrans zjadł śniadanie i wyszedł przed budynek, gdzie czekał na niego czarny cadillac należący do wojska. Trzy kwadransy później dotarł na spotkanie z generałem Stankinsem oraz dwoma doradcami generała do spraw bezpieczeństwa. Operacja „Wodospad” zaczynała nabierać tempa. Generał dysponował licznymi meldunkami z Europy potwierdzającymi podwyższoną aktywność osób, którymi Nick interesował się w ramach tej operacji.

Przez dwie godziny układali plan działania i weryfikowali go w odniesieniu do wcześniejszych scenariuszy. Sytuacja była poważna. Agent terenowy, działający w głębokiej konspiracji, nie zdołał dotrzeć do najważniejszej informacji dotyczącej położenia dokumentów, które miały znaczenie dla bezpieczeństwa kraju. Jedyne człowiek, który mógł ich doprowadzić do archiwów zawierających te dokumenty, nie żył. Za sprawą agenta wiedzieli, że inni zainteresowani tymi dokumentami już działali i koncentrowali swoje wysiłki na ich poszukiwaniu. Z ich analiz wynikało, że nawet najbliżsi współpracownicy Versala nie wiedzieli, gdzie szukać.

Jego zadaniem miało być dotarcie do materiałów przed wszystkimi, przy dużym udziale lokalnego agenta.

Spojrzał na zegarek. Za piętnaście godzin miał być w Europie.

---

<sup>7</sup> Od franc. „la concierge”. Współcześnie pracownik hotelu, który zajmuje się załatwianiem najróżniejszych spraw dla gości, np. rezerwowaniem biletów w teatrze czy organizowaniem rozrywek.

## Środa, dwudziesty siódmy kwietnia, Warszawa

- Kurwa - Kłopocki zaklął, chowając telefon do kieszeni.

Oficer dyżurny siedzący przy wejściu do komendy spojrział na niego pytająco.

Machnął ręką i ruszył w kierunku schodów. Gdy zmierzał do swojego pokoju, w głowie zadawał sobie tylko jedno pytanie: Dlaczego?

Śmierć Groszkowskiego na pierwszy rzut oka wydawała się zwykłym zgonem starszego człowieka. Z drugiej strony od kilkunastu godzin zdawał sobie sprawę, że kwestia zastrzyku niezgodnego z harmonogramem wynikającym z zapisków w kalendarzyku wprowadza chaos do takiego toku myślenia. A teraz jeszcze doszło włamanie do mieszkania denata i mieszkania jego córki.

Czy to mogło się jakoś łączyć? A jeśli tak, to w jaki sposób? Ciągle nie wiedział, czy Groszkowski zmarł z naturalnych przyczyn czy też nie. A jeśli z naturalnych, to dlaczego ktoś włamał się do jego mieszkania? Czy czegoś szukał? A może chciał coś zabrać, żeby nikt tego nie znalazł, lub coś podłożyć? A jeśli nie zmarł z przyczyn naturalnych, tylko ktoś go zabił, to w jakim celu? Czy chodziło o coś, co mężczyzna miał w swoim posiadaniu?

Z tysiącem pytań kołających się w głowie komisarz usiadł za biurkiem, na którym spoczywało kilkadziesiąt brązowych teczek z aktami różnych spraw. Podniósł słuchawkę telefonu stojącego na biurku i z pamięci wykręcił numer.

- Kłopocki - rzucił po chwili do słuchawki. - Potrzebuję raportów z wczorajszych włamań do mieszkania Groszkowskiego i jego córki. Wszystko, co możemy mieć. Notatki policjantów, którzy byli na miejscu, informacje od techników, zdjęcia... i chciałbym tam pojechać.

Przez chwilę słuchał głosu po drugiej stronie linii, po czym odłożył słuchawkę.

Zamyślił się. To nakłucie igłą po stronie niezgodnej ze schematem nie dawało mu spokoju. Jeszcze raz podniósł słuchawkę i wykręcił numer.

- Masz chwilkę? - spytał, po czym dodał: - Dobra, to wbijaj do mnie.

Pięć minut później przy jego biurku na krześle dla gości siedział mężczyzna postury niedźwiedzia grizli i z takim samym zarostem. W skupieniu słuchał tego, co przekazywał mu Kłopocki, i uważnie chłonał każdy szczegół sprawozdania. Był wydziałowym psychologiem i negocjatorem, ale często pomagał kolegom jako profiler, szczególnie że z wykształcenia był psychologiem z bogatym doświadczeniem w analizie ludzkich zachowań.

- ...i to właśnie mnie zastanowiło - Kłopocki skończył swoją wypowiedź, stukając ręką w kalendarzyk Groszkowskiego i pokazując zapiski dotyczące podawania insuliny.

Obaj pochylili się nad notatkami.

W tym momencie uchyliły się drzwi i do środka weszła młoda dziewczyna z plikiem wydruków.

- Dzień dobry, komisarzu - powiedziała do Kłopockiego, a zwracając się do jego rozmówcy, dodała: - Cześć, Marcin.

- I jak? Mamy coś o tych wczorajszych włamaniach? - spytał Kłopocki.

- Tak. Tu są kopie notatek służbowych, zdjęcia i wstępne przesłuchania z wczoraj oraz jakieś informacje od techników, ale nie raport, tylko takie ciekawostki, które podali mi przez telefon.

- Dobra, zreferuj, co wiemy na ten moment.

Dziewczyna wzięła oddech i kładąc po kolei kartki na biurku, mówiła:

- W obu przypadkach wezwanie było od tej samej osoby, czyli od córki zmarłego. W obu przypadkach zastała mieszkanie w takim samym stanie: było otwarte, ale umiejętnie i bez zniszczeń. Nikt z sąsiadów nic nie widział i nie słyszał. W budynkach nie ma pełnego monitoringu. Kamery przy wejściach nic nie zarejestrowały. W przypadku tego drugiego mieszkania kobieta mówiła, że ktoś uciekał po klatce z budynku, ale żadna kamera tego nie nagrała i tak samo nie widać tego na kamerze, która jest przed sklepem na wprost wejścia do budynku.

- A technicy? - spytał Marcin.

Dziewczyna przełożyła kilka kartek na biurku i podsunęła mu jedną z nich, sunąc nią palcem po blacie biurka.

- Ogólnie to nic. Żadnych śladów włamania. Zero dewastacji. W jednym mieszkaniu odciski tylko denata i córki, a w drugim odciski jej i jeszcze paru osób, ale stare i niewyraźne. Nic świeżego. Zamki w obu mieszkaniach były dość słabej jakości i przeciętny włamywacz nie musiałby się z nimi specjalnie trudzić. Technicy zwrócili uwagę, że w obu przypadkach przeszukanie wyglądało dokładnie tak samo. Każda szafka, półka, skrytka i wszystkie pudełka zostały otwarte, a zawartość starannie wyjęta i odłożona na środku pomieszczeń. - Wyjęła z teczki zdjęcia i położyła je na biurku Kłopotckiego. - Wygląda to tak, jakby nic nie działo się tam przypadkowo i wszystko było przeprowadzone bardzo starannie, to cytuję z tego, co mi powiedzieli - dodała dziewczyna.

- Mamy coś jeszcze? - Kłopotkiem wydawało się, że wie tyle samo, co wcześniej.

- Przesłuchanie córki Groszkowskiego nie wniosło nic nowego, ale technicy mówią, że ich zdaniem włamywaczy było co najmniej dwóch. Popatrzcie... - Spośród kartek, które trzymała w dłoni, wyciągnęła jeszcze jedno zdjęcie i wskazała na nie palcem. - O, tutaj.

Pochylili się nad fotografią.

- Dwa rozmiary butów - dodała, gdy mężczyźni analizowali obraz. - Jeden w okolicy rozmiaru czterdzieści pięć, drugi zdecydowanie mniejszy, około numeru trzydzieści sześć... Może osiem, prawie jak na damską nogę, gdyby nie robotniczy design. Ten pierwszy to zapewne cięższy gość, bo wgniecenie wydaje się głębsze. Ten mniejszy to być może ten sam but co na wcześniejszych zdjęciach, ten, który leży na stercie z ubraniami. - Wskazała palcem zdjęcie spoczywające obok, na którym widać było wyrzucone z szafy ubrania, buty, ręczniki, sportową torbę i jakieś książki.

Kłopotcki się wyprostował.

- No, to z mojej strony to wszystko. Jakbyście czegoś potrzebowali, to będę u siebie - powiedziała dziewczyna i wyszła.

Gdy zamknęły się drzwi, psycholog wstał z krzesła i podszedł do okna. Patrząc w jakiś bliżej nieokreślony punkt, powiedział:

- Czyli sprawa wygląda mniej więcej tak... Facet jest cukrzykiem i ktoś wykombinował, że go sprzątnie, podając mu zamiast zastrzyku insuliny coś innego, co wywoła zawał serca. Podał mu to w taki sam sposób, jak on podawał sobie insulinę, jednak nie wiedział, że ofiara miała system tej cotygodniowej zmiany...

- I tutaj od razu nasuwa mi się wątpliwość - przerwał mu Kłopotcki. - Jak to możliwe, że morderca mógł podać zastrzyk bez żadnego oporu, bez szamotaniny i walki? Przecież

zostałby po tym jakiś ślad.

- Więc musimy przyjąć, że to był ktoś, komu udało się podejść tego Groszkowskiego. Na przykład ktoś z jego bliskich współpracowników lub ktoś, z kim akurat stał po tej samej stronie biurka i przeglądał jakieś dokumenty.

- Teoretycznie możliwe - mruknął Kłopocki pod nosem.

Psycholog kontynuował:

- Najważniejsze pytanie, które mi się nasuwa, to nie czy ktoś go zabił, bo to jest bardzo wysoce prawdopodobne - palcem wskazał leżący na biurku czarny notatnik - tylko dlaczego go zabił i co na tym zyskał. Jak łączę to z włamaniami do mieszkania ofiary i jego córki, to jedyne, co mi przychodzi do głowy, to że komuś bardzo zależało na tym, co ten człowiek miał. A musiało to być coś bardzo cennego, skoro zdecydował się dla tego czegoś zabić. Coś takiego, że gdyby wyszło na światło dzienne, mogłoby zrujnować takiego człowieka. Może chodziło o pieniądze, ale w to wątpię, bo jak mówiłeś, wszystkie kosztowności w obu mieszkaniach zostały nietknięte.

- Dokładnie.

Psycholog ciągnął swój wywód: - Ciekawe jest spostrzeżenie o tym, w jaki sposób ktoś przeszukiwał mieszkania. Ten pedantyzm, odkładanie wszystkiego w jedno miejsce pośrodku pokoju i systematyczne opróżnianie miejsc oraz pudełek wskazują, że szukano czegoś niewielkich rozmiarów, co nie stanowi wartości samej w sobie, ale jest cenne dla tego, kto tego szuka.

- Jakiś pomysł, co to mogłoby być?

- Nie wiem, może jakieś kompromitujące zdjęcia szefa z prostytutką, akt zakupu mieszkania dla kochanki lub jakieś dowody dotyczące malwersacji w firmie, co zresztą jest prawdopodobne, bo jak sam mówiłeś, miał na pieńku z kilkoma osobami, które podejrzewał o nadużycia.

- Tak czy inaczej wychodzi na to, że to raczej nie zawał serca, tylko morderstwo.

- Tego nie możemy być pewni, ale sporo przesłanek na to wskazuje.

- Czyli sugerujesz, żeby prowadzić tę sprawę w tę stronę...

Dźwięk telefonu przerwał mu w pół zdania.

Kłopocki podniósł słuchawkę i przez chwilę słuchał, po czym powiedział: „Dziękuję, będę czekał” i zakończył rozmowę.

- No to chyba już wiem, jak dalej działać. To był nasz patolog, który robił sekcję Groszkowskiego.

- I?

- Na razie są pierwsze wyniki biochemii. Na pewno zawał serca. Tylko że poziom potasu był nienaturalnie wysoki. Pełny wynik będzie najwcześniej jutro rano, ale patolog już teraz powiedział, że ten potas mógł być powodem zgonu, bo przy takim poziomie serce staje w kilka sekund.

- Czyli jednak morderstwo?

- Raczej tak. I wychodzi na to, że w ustaleniu tego faktu pomogła nam wyłącznie ofiara. Chyba musimy dokładniej przyjrzeć się temu Groszkowskiemu.



## **Środa, dwudziesty siódmy kwietnia, Los Angeles**

Sarah Townsend od dzieciństwa wiedziała, że zostanie dziennikarką. Nawet pięcioletnie studia prawnicze zakończone wyróżnieniem nie odwiiodły jej od tego zamiaru. Przez całą szkołę średnią i studia udzielała się aktywnie w szkolnej, a później studenckiej gazecie. W każde wakacje załatwiała tylko sobie znanymi sposobami staże w lokalnych i krajowych gazetach oraz stacjach telewizyjnych. Kiedy jej koledzy i koleżanki po skończeniu uczelni aplikowali do największych kancelarii prawnych, ona miała już załatwione miejsce w redakcji dziennika „Los Angeles Times”. Kilka lat później nawiązała kontakt z „New York Times”. Najpierw pisała dla nich krótkie reportaże, które drukowali w weekendowym wydaniu lub publikowali w internecie. Dopiero gdy trafiła na duży temat dotyczący korupcji senatora z Kalifornii i przeprowadziła własne dziennikarskie śledztwo, redakcja zainteresowała się nią i zaprosiła na rozmowę. Zaproponowano jej stałe zatrudnienie. Pół roku później była pełnoetatowym dziennikarzem. Jej ulubionym tematem były korupcja, przekręty na styku biznesu i polityki oraz tajne operacje rządu. Szybko zorganizowała sobie grono płatnych informatorów, którzy dostarczali jej ciekawych tematów. Niektóre z nich były gorące i wymagały natychmiastowego działania dziennikarskiego, zaś inne nazywała tematami drzemiącymi. Trzymała je w pamięci i śledziła rozwój wydarzeń w oczekiwaniu na właściwy moment.

Jeden z takich momentów miał miejsce tego wieczoru. Sarah była w redakcji i robiła przegląd wiadomości dnia, gdy zawibrowała jej komórka. Spojrzała na wyświetlacz i zauważyła, że ktoś dzwoni z ukrytego numeru. Odebrała połączenie. To był jeden z jej informatorów, dobry i sprawdzony. Zaledwie pół roku wcześniej podał jej temat, który po publikacji nie schodził z czołówek przez kilka tygodni – aferę seksualną w wojskowym ośrodku treningowym. Pułkownik odpowiedzialny za ten ośrodek z dnia na dzień musiał pożegnać się z mundurem i do tego groziły mu sprawy karne. Niestety przyszłość ofiar nie była ani prosta, ani oczywista. Wszyscy poszkodowani, a szczególnie ci o słabszej psychice, mieli przed sobą długie leczenie i proces wychodzenia z traumy.

Informator nic nie powiedział przez telefon. Nawet nie dał jej szansy na zadanie pytania. Zażądał tylko pilnego spotkania w ciągu piętnastu minut. Podał nazwę pobliskiej kawiarni, w której wcześniej kilkakrotnie się spotkali.

Gdy przyszła na miejsce, informatora jeszcze nie było. Zamówiła kawę i gdy czekała przy ladzie, jej komórka ponownie zadzwoniła. Informator kazał jej opuścić kawiarnię i kierować się na zachód, w kierunku autostrady. Idąc ulicą, rozglądała się dyskretnie i przeglądała w sklepowych wystawach, szukając znajomej twarzy informatora. Bezskutecznie. Gdy dochodziła do drugiej przecznicy, telefon zadzwonił po raz trzeci. Tym razem otrzymała instrukcję wejścia do wielopoziomowego parkingu po drugiej stronie ulicy. Tam czekał na nią jej człowiek. To nie pierwszy raz, gdy w taki sposób prowadził ją na miejsce spotkania. Wiedziała, że robił to z czystej ostrożności i niezwyklej wręcz dbałości o ochronę swoich interesów. Nie chciał, aby jego nazwisko było powiązane w jakikolwiek sposób z wyciekiem informacji, a już na pewno nie w związku z płatnym wyciekiem do

mediów. Między innymi dlatego dzwonił do niej z ukrytego numeru, z aparatu na kartę, który nigdzie nie był zarejestrowany i który kupił tego samego dnia tylko po to, aby po spotkaniu zniszczyć go i wyrzucić w innej części miasta, nad oceanem, który pochłonie resztki potłuczonej i zmiążdżonej na drobny pył elektroniki.

Spotkanie trwało tylko kilka minut, ale to, co usłyszała, sprawiło, że szybciej zabiło jej serce. Jeden z jej drzemających tematów właśnie stawał się gorącym wulkanem. Musiała szybko działać.

Dziesięć minut później wchodziła do biura redaktora naczelnego.

- Po twojej minie wnioskuję, że coś cię poruszyło i masz nowy temat, którym chcesz się zająć - powiedział, gdy tylko przekroczyła próg jego pokoju.

Zaskoczył ją.

- Skąd wiesz?

Miała już ułożone krótkie przemówienie, które obmyśliła w drodze powrotnej, ale wybił ją z rytmu swoim powitaniem.

- Rumieńce na twarzy, które masz zawsze, gdy przychodzisz do mnie z jakimś nierozpracowanym tematem. Po drugie ślady kawy na bluzce, które wskazują, że szłaś z nią szybciej niż normalnie i byłaś tak pochłonięta tą nowiną, że ich nie zauważyłaś, bo inaczej poszłabyś je zmyć.

- Okej. Nieważne - skwitowała jego wywód. - Słuchaj, pamiętasz tego gościa od tematu seksafery w jednostce wojskowej, tego, który przyniósł mi tamten temat?

- Uhm - potwierdził, potakując głową.

- Dobra, to pewnie pamiętasz też, że mówiłam ci o innym temacie, który mi zaparkował. Chodzi o sprawę, w którą zamieszanych było co najmniej dwóch senatorów. W jakiś sposób było to związane z agencją bezpieczeństwa.

- Tak, to chyba temat sprzed dwóch, trzech miesięcy. Pamiętam.

- No właśnie. Temat był ledwo ciepły, ale kilka dni temu coś się ruszyło. Nie znam jeszcze wszystkich szczegółów, ale po pierwsze zmieniono priorytet tej operacji i nadano jej oficjalny status, który wskazuje, że operacja weszła w stan realizowania aktywnych działań operacyjnych. Poza tym w JSOC oddelegowano do tego osobny zespół złożony z analityków, ludzi od operacji międzynarodowych i prawników. Coś jest na rzeczy, szczególnie że gość, który zajmował się tą operacją z doskoku, nagle został przesunięty wyłącznie do niej i nie zajmuje się innymi sprawami.

- Skoro połączone dowództwo sztabów pochyliło nad tym głowę, to musi to być coś istotnego. Co proponujesz?

Sarah miała już gotowy plan. Tak samo jak poprzednim razem, gdy pracowała nad tematem seksafery, poprosiła o budżet i wolną rękę na czas prowadzenia dziennikarskiego dochodzenia. Przekonanie szefa do swojego planu zajęło jej dwa kwadransy. Naczelnym jak zwykle miał swoje obiekcje, ale miał też silną potrzebę sukcesu. Od dłuższego czasu gazecie brakowało porządnego tematu, który podniósłby czytelnictwo. Uzgodnili, że Sarah będzie codziennie raportować postępy i informować go, jakie będą jej kolejne kroki. Gdyby jej dziennikarskie śledztwo nie posuwało się naprzód przez co najmniej trzy dni, miała zarzucić temat i wracać.

- Tylko uważaj na siebie! - krzyknął, gdy domykała drzwi jego pokoju, jednak ona już tego nie słyszała.

Miała w głowie długą listę rzeczy, które trzeba było zrealizować przed następnym porankiem.

## Czwartek, dwudziesty ósmy kwietnia, Warszawa

Narożna kamienica była typowym przykładem architektury, która pojawiła się w Warszawie w powojennych dziesięcioleciach. Budynek u zbiegu ulicy Kruczej i Alej Jeruzolimskich nie wyróżniał się niczym szczególnym: mało wyszukane glify okienne i same okna nie tak wysokie jak w przedwojennych kamienicach, których ledwie garstka pozostała po powstaniu warszawskim. Nie miały one balkonów i reprezentacyjnych wejść, a na wewnętrznych dziedzińcach znajdowały się staromodne trzepaki i elewacje nadgryzione zębem czasu. Klatki schodowe niejednokrotnie cuchnęły uryną i piwem.

Gdyby nie stalowa tablica z czarnymi literami, nie sposób byłoby się domyśleć, że w jednym z tutejszych mieszkań znajduje się kancelaria znanego notariusza.

Dorota stanęła przed wejściem do kamienicy. Przez chwilę zastanawiała się, dlaczego ojciec wybrał właśnie tego notariusza. Nigdy wcześniej o nim nie słyszała. Nie przypuszczała, aby był to ktoś z jego znajomych lub kolegów z pracy. Być może zadziałał efekt znanego i poważanego nazwiska lub po prostu próżność – ojciec lubił korzystać z czegoś, co pozwalało mu czuć się lepszym od innych.

Treść testamentu znała od dawna. Ojciec od razu po podpisaniu dokumentu dał jej kopię i powiedział, do którego notariusza powinna pójść. Oznajmił, że to bardzo ważne, aby poszła właśnie do tego konkretnego człowieka. Nigdy nie zastanawiała się, dlaczego ma tak zrobić. Było jej to kompletnie obojętne, szczególnie że i tak – jako jedyne dziecko Stanisława Groszkowskiego – dziedziczyła wszystko.

Nacisnęła dzwonek domofonu. Po kilku sekundach brzęczyk oznajmił zwolnienie blokady w drzwiach i mogła wejść na klatkę schodową. Stukot jej obcasów odbijał się echem od ścian korytarza. Gdy weszła do windy, z niesmakiem wcisnęła brudny bakelitowy przycisk. Winda szarpnęła, aby po chwili ostro zahamować na trzecim piętrze.

Drzwi do kancelarii były uchylone, a ze środka wydobywało się światło.

- Dzień dobry, pani Doroto. - Notariusz powitał ją już przy wejściu i uprzejmym gestem wskazał drugie pomieszczenie. - Zapraszam do gabinetu. Wszystko mam już przygotowane.

- Dzień dobry.

Podawała mężczyźnie rękę na powitanie i weszła do niewielkiego pokoju, w którym jedynymi meblami było ogromne ciemne biurko z dostawką w stylu przedwojennych gabinetów ministra oraz prostokątny stół z czterema krzesłami wyściełanymi zielonym materiałem. W pomieszczeniu nie było żadnych ozdób, jedynie nad miejscem, w którym zasiadał notariusz, wisiało godło państwowe. Na biurku stał duży płaski monitor podłączony do stacji dokującej przenośnego komputera.

Dorota zajęła miejsce przy stole, najbliżej biurka i tyłem do okna, dzięki czemu widziała, jak notariusz przechodzi przez recepcję przy wejściu i zamyka drzwi do gabinetu.

- Dziś nikt nie będzie nam przeszkadzał - powiedział, widząc jej pytające spojrzenie. - Na prośbę pani ojca wszystkie sprawy testamentowe mamy załatwić w cztery oczy.

Serce zabiło jej mocniej. Nie wiedziała, że to będzie się tak odbywać. Była zaskoczona, ale i zaniepokojona. Czy było coś, o czym nie wiedziała?

- Czy mogę zaproponować pani coś do picia?

- To wystarczy - odpowiedziała, wskazując na szklanki i kilka butelek wody, które stały na środku stołu.

- Pani Doroto - zaczął notariusz, sadowiac się wygodnie w fotelu za biurkiem i otwierając leżącą tam teczkę. - Dzisiaj sporządzimy dwa dokumenty, które pozwolą pani przyjąć spadek po tacie. Jeden dokument to protokół poświadczenia dziedziczenia, a drugi to akt dziedziczenia. To zwykle formalności.

Notariusz poprosił ją o dowód i akt zgonu, który miała ze sobą w torebce, po czym przez dłuższą chwilę wprowadzał dane do komputera i przygotowywał dokumenty.

W pewnym momencie odwrócił się od komputera i wyjął z teczki z dokumentami kopertę, a z niej plik kartek.

- Cieszę się, że posłuchała pani prośby ojca, żeby po jego śmierci załatwić wszystkie formalności u mnie. To ważne, bowiem pani tata obdarzył mnie zaufaniem. Nie tylko sporządził w mojej kancelarii testament, ale poprosił mnie też, bym poinformował panią o kilku innych kwestiach.

- To znaczy? - przerwała mu w pół zdania.

- Raz na jakiś czas pani ojciec przychodził do mnie i aktualizował listę dóbr wchodzących w skład majątku, który miał pani przyspaść w przypadku jego śmierci. Tutaj - wskazał palcem na kartki wyjęte z koperty - jest pełny wykaz, uaktualniony mniej więcej dwa miesiące przed jego śmiercią. To ma pani ułatwić odnalezienie się w tym wszystkim. Ojciec zaznaczył, że o niektórych składnikach jego majątku pani na pewno nie wie i dlatego ta lista jest taka ważna.

- Czy mogę ją zobaczyć?

- Oczywiście - odparł mężczyzna i wręczył jej komputerowy wydruk.

Szybko przejrzała kartki. Część pozycji była jej znana, zauważyła jednak, że na liście jest wiele rzeczy, których nigdy nie widziała i nie przypuszczałaby, że są w posiadaniu ojca. Przy niektórych wpisach na liście był komentarz naniesiony drobniejszym drukiem. W głowie kołatały jej pytania: „Dlaczego? Dlaczego ojciec nie powiedział mi o tym wcześniej? Dlaczego ukrywał przede mną listę i całą masę rzeczy?”.

- Ta lista jest dla pani i ma być pomocna w przepisaniu całego majątku na panią - kontynuował po chwili notariusz. - Teraz proponuję, abyśmy dopełnili formalności. Wydrukuję dokumenty i przeczytamy je, żeby sprawdzić, czy wszystko się zgadza.

Po chwili każde z nich trzymało kartki papieru, które wysunęły się z laserowej drukarki stojącej obok biurka na niewielkim przyborniku. Dorota próbowała skupić się na czytaniu dokumentów, lecz w głowie cały czas miała listę i te kilka pozycji, które zauważyła, a o których nie wiedziała.

Notariusz zaczął czytać na głos, ale słowa, które wypowiadał, nie docierały do Doroty. Jej myśli ciągle krążyły wokół listy. Skoncentrowała się jedynie na fragmencie: „spadek nabyła Dorota Groszkowska, córka Stanisława Władysława Groszkowskiego”. Siedziała nieruchomo, pogrążona w myślach, nawet gdy rejent skończył mówić.

- Pani Doroto? Czy wszystko w porządku?

Spojrzała na niego jak wyrwana ze snu.

- Tak. Tak, zamyśliłam się.

- Czy możemy kontynuować?

- Oczywiście.

Notariusz podał jej długopis i położył oba egzemplarze wydruku na stole przed biurkiem.

- Na każdej kartce na dole poproszę o parafkę, a na ostatniej stronie, na tej długiej linii, pełny podpis imieniem i nazwiskiem.

W milczeniu złożyła podpisy. Gdy przekładała kolejne strony wydruku, mężczyzna wyjął z biurka dużą brązową kopertę, otworzył ją i wyjął z niej mniejszą kopertę oraz kilka kartek papieru. To była jednorazowa koperta - taka, jakich banki używają czasem do deponowania pieniędzy klientów. Rzecz włożona do takiej koperty jest w niej zamykana i może być otwarta tylko raz. Każde otwarcie koperty powoduje jej uszkodzenie bez możliwości ponownego użycia. Koperty numerowane są indywidualnie, a numer znajduje się zawsze na kopercie oraz dwóch niewielkich kuponach, które można oderwać od koperty i dać na przykład klientowi składającemu depozyt.

Dorota skończyła podpisywanie dokumentów i przesunęła kartki w kierunku biurka. Notariusz wziął je do ręki i połączył z wydrukami, które leżały na brzegu biurka, po czym powiedział:

- Pani Doroto, jest coś jeszcze. - Zrobił krótką przerwę, aby skupić jej całkowitą uwagę. - Pani ojciec prosił panią o przyjęcie spadku w mojej kancelarii, gdyż chciał, aby w dniu przyjęcia spadku zapoznała się pani z tym, co jest w tej kopercie.

Podsunał w jej stronę to, co wyjął z dużej brązowej koperty.

Dorota Groszkowska siedziała w milczeniu, przypatrując się jedynie niewielkiemu przedmiotowi, który spoczywał przed nią na stole.

- Jak pani zapewne rozpoznaje - kontynuował - na kopercie widnieje odręczny podpis pani ojca. Zgodnie z instrukcją, którą otrzymałem, mam panią poinformować, że w środku jest płyta CD z krótkim nagraniem od ojca. Nagranie to jest dodatkową częścią testamentu, rodzajem ostatniej woli zmarłego, której nie dało się zapisać w testamencie przewidzianym przez nasze prawo cywilne.

- Co mam z tym zrobić?

- Ojciec życzył sobie, żeby odtworzyła pani tę płytę tutaj w kancelarii i tylko tutaj. Płyta nie może opuścić tego biura. Gdy już zostanie przez panią odtworzona, mam ją zniszczyć - powiedział mężczyzna, wskazując stojącą pod ścianą niszcarkę na dokumenty, karty magnetyczne i płyty CD.

- A jeśli tego nie zrobię albo nie będę chciała przyjąć tego, o czym ojciec mówi w nagraniu?

- W takim przypadku po pani wyjściu mam zniszczyć płytę. - Notariusz podniósł kilka kartek, które do tej pory leżały przed nim na blacie biurka, a które wcześniej wyjął z koperty. - Proszę, tutaj jest pełna instrukcja tego, czego życzył sobie pan Stanisław.

Dorota wzięła od niego kartki i pobieżnie je przejrzała. Nie wiedziała, czy powinna godzić się na dodatkowe elementy testamentu. Czuła niepokój w związku z tą dziwną sytuacją. Gdy rano wstała i przygotowywała się do wyjścia, była przekonana, że będzie to zwykła czynność, taka jak w opisach na stronach internetowych, które wcześniej przeglądała, żeby zorientować się, na czym polega przyjęcie spadku. Ta sytuacja była jednak zupełnie inna.

Mężczyzna wstał zza biurka.

- Pani Doroto, zostawię panią teraz samą. Proszę podjąć decyzję, czy chce pani obejrzeć to nagranie. - Odwrócił komputer w jej stronę. - Sprzęt jest do pani dyspozycji. Ja w tym czasie przygotuję wypisy. Proszę się czuć swobodnie. Jak pani skończy, znajdzie mnie pani w pokoju obok.

Dorota została sama. Sięgnęła po kartki z instrukcją pozostawioną notariuszowi przez jej ojca. Przeczytała tekst. Faktycznie płytę mogła obejrzeć tylko w biurze notariusza. Instrukcja nie wyjaśniała, co na niej jest.

Odłożyła kartki i sięgnęła po płytę CD. Zauważyła, że to zwykła płyta, taka, jaką można bez problemu kupić w każdym sklepie. Przysunęła bliżej komputer, otworzyła napęd i załadowała CD do środka. Po chwili ekran zrobił się czarny, a następnie zobaczyła opcje wyboru odtwarzania lub wysunięcia płyty. Kliknęła odtwarzanie. Na ekranie ujrzała zbliżenie ojca tuż przed kamerą - włączał nagrywanie. Po kilku sekundach cofnął się i wtedy zauważyła, że nagranie wykonano z komputera w tym samym pokoju, w którym się znajdowała. Ojciec usiadł na krześle w takiej odległości od kamery, że było go widać od pasa w górę. Na nagraniu słychać było trzaski drewnianego krzesła i jakieś dźwięki ocierania się materiału. Po chwili Stanisław Groszkowski przemówił, patrząc centralnie w kamerę.

- Witaj, córeczko. Jeśli oglądasz to nagranie, to po pierwsze ja już nie żyję, a po drugie pomożesz mi w czymś bardzo ważnym. Zostawiłem dla ciebie coś bardzo cennego, coś, w czego posiadaniu byłem przez wiele lat. To coś wielu ludzi chciałoby mieć i dałoby ogromne pieniądze, żeby to mieć lub zniszczyć. Tobie pozostawiam decyzję, co z tym zrobić. Teraz najważniejsze jest, żebyś się z kimś spotkała i porozmawiała. Wtedy dowiesz się więcej. Zapamiętaj to nazwisko: Albert Konieczny - zrobił pauzę i jeszcze raz powtórzył - Albert Konieczny.

Na chwilę zapadła cisza.

- Skontaktuj się z nim telefonicznie - mówił Groszkowski, nie odrywając oczu od kamery. - Im szybciej to zrobisz, tym lepiej.

Następnie przedyktował numer telefonu, pod który miała zadzwonić.

Na koniec lekko nachylił się w stronę kamery i podnosząc dłoń, powiedział:

- Mam nadzieję, że ciągle nosisz ten prezent ode mnie. To specjalny prezent.

Groszkowski wyciągnął rękę w kierunku kamery i nagrywanie zostało zatrzymane.

Dorota siedziała nieruchomo. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że to koniec wiadomości. W pierwszym odruchu spojrzała na swój przegub. Spod mankietu bluzki wystawała srebrno-czerwona bransoletka, którą dostała od ojca. Była to chyba jedyna rzecz od niego, którą lubiła, zapewne dlatego, że kiedyś sama mu ją wskazała.

Zdała sobie sprawę, że nie ma pojęcia, o czym mówił jej ojciec. Na nagraniu nie powiedział nic wprost i był bardzo tajemniczy. Mówił o czymś, co było dla niej kompletnie obce.

Uderzyła w klawisz komputera i odtwarzanie video rozpoczęło się od nowa. Słuchała tych samych słów, jednak z większą uwagą. Próbowwała doszukać się jakiegoś dodatkowego znaczenia. Bezskutecznie. Pięć razy odtworzyła nagranie, a przy okazji zapisała w komórce numer telefonu Alberta Koniecznego. Zastanawiała się, dlaczego to imię i nazwisko nic jej nie mówią. Nigdy nie słyszała o tym człowieku, a z nagrania nie wynikało, kto mógłby to być.

Pół godziny później siedziała w kawiarni Starbucks na rogu ulicy. Na niewielkim stoliku obok pachnącego cappuccino spoczywała teczka z logo notariusza. Wyjęła z niej tylko jeden dokument - listę składników majątku. Przeglądała ją kolejny raz. Powoli docierało do niej, że tak naprawdę nic nie wiedziała o ojcu i jego interesach. Nie wiedziała o udziałach w hotelu w Zakopanem ani o kilkunastu działkach na Mazurach czy dwóch skrytkach bankowych. Nie miała pojęcia, gdzie znajdują się obrazy wymienione na liście, pomimo że przy ich opisach były wskazane adresy. Nie знаła ich.

Spojrzała na telefon. Cały czas rozważała, czy zadzwonić do Alberta Koniecznego. Z jednej strony, kierowana najzwyczajszą ciekawością, chciała to zrobić. Z drugiej jednak

zwlekala z tym, bojąc się tajemniczości, której towarzyszył przekaz ojca.

Coś, co bardzo wielu ludzi chciałoby mieć – w myślach powtarzała usłyszane niedawno słowa, które padły z nieistniejącej już płyty CD. Gdy zawołała notariusza i poinformowała go, że zapoznała się z nagraniem, zapytał, czy chciałaby odtworzyć je jeszcze raz. Zaprzeczyła, a wtedy on wyjął płytę z komputera i położył na podajniku niszczarki.

Nagle doznała olśnienia. Skoro ojciec miał coś, co inni bardzo chcieli mieć, to właśnie to mogło być powodem włamania. Być może właśnie tego szukał włamywacz lub włamywacze. A skoro tak, to czy poprzestaną na tym? A może będą szukać, aż znajdą? Wątpliwości w jej głowie mnożyły się błyskawicznie. Potrzebowała informacji i odpowiedzi na wiele pytań. Jedyнным punktem zaczepienia był człowiek, o którego istnieniu dowiedziała się zaledwie godzinę temu, Albert Konieczny.

Podniosła telefon i wykręciła numer.

- Dzień dobry, pani Doroto – usłyszała, gdy po pierwszym sygnale ktoś odebrał telefon.  
- Czekałem na kontakt od pani.

## Czwartek, dwudziesty ósmy kwietnia, Warszawa

Wysiadł z auta i skierował się prosto do biura administratora budynku.

Niewielkie pomieszczenie przypominające komórkę na niepotrzebne sprzęty pachniało starymi dokumentami, kawą i papierosami. Jako dziecko bywał w takich pomieszczeniach, gdy jego ojciec, też milicjant, zabierał go ze sobą do pracy. Jedyne, co odróżniało to pomieszczenie od tych z przeszłości, to cztery płaskie monitory, na których widać było obraz z kamer przemysłowych umieszczonych w różnych częściach budynku.

- Dzień dobry, panie Rafale. - Administrator budynku, w którym znajdowała się siedziba Wadeksu, przywitał go, gdy stanął w drzwiach. - Zapraszam. Wszystko mam przygotowane.

Kłopocki był umówiony. Wcześniej dzwonił do administratora, żeby umówić się na obejrzenie nagrań z monitoringu. To był jeden z tropów, który chciał zbadać, zanim przyjdą pełne wyniki analizy biochemicznej. Skoro dokumenty z sekcji wskazywały, że Groszkowski mógł nie umrzeć z przyczyn naturalnych, lecz zostać zamordowany, postanowił sprawdzić, jak wyglądał ostatni dzień jego życia i z kim miał wtedy kontakt.

- Okej, może najpierw mógłby mi pan wytłumaczyć, jak działa wasz system monitoringu - poprosił, wskazując palcem na monitory. Pokazywały one na bieżąco, co działo się w różnych miejscach obiektu.

Pracownik administracji wziął głęboki oddech i zaczął wyjaśniać:

- W budynku i wokół budynku mamy rozmieszczone łącznie osiemdziesiąt dwie kamery. Większość z nich jest na korytarzach. Kamery nagrywają obraz całodobowo i zapisują go na dyskach, które są tutaj - powiedział, stukając palcem wskazującym w obudowę komputerową, na której cały czas migały dziesiątki kolorowych diod.

- Nagrania rejestrowane są w trzymiesięcznej pętli - kontynuował - co oznacza...

- Tak, wiem, co to oznacza - przerwał Kłopocki. - A gdzie dokładnie są kamery w przestrzeni Wadeksu i na drodze do ich biura?

- Wadex ma biuro wzdłuż jednego korytarza, więc u nich jest jedna kamera na początku korytarza przy wejściu i druga przy tylnym wyjściu. Ta pierwsza jest umieszczona nad recepcją. Widać z niej, co robi recepcjonistka, a także wchodzących do biura oraz do sali konferencyjnej. Druga, ta z końca, rejestruje, kto poruszał się po korytarzu, w jakim szedł kierunku i gdzie wchodził.

- A na korytarzach przed ich biurem?

- Tak, na każdym piętrze mamy jeszcze po jednej kamerze przed windą, w przestrzeni wspólnej. Moment - powiedział administrator, wyciągając segregator spod biurka i rozkładając na stole arkusz z planem piętra.

- Tak to wygląda. - Pokazał palcem miejsce na planie, gdy uporał się z płachtą papieru. - Tutaj jest ich biuro, a kamery są tutaj i dodatkowo tu i tu na klatce.

- A w garażu? Czy macie też obraz z garażu?

- Tak, ale tylko z rampy, po której się wjeżdża i wyjeżdża. Żeby prześledzić, jak ktoś poruszał się po budynku, to trzeba zobaczyć, jak wchodzi pieszo od strony głównego wejścia.



Tych, którzy przyjeżdżają autem, widać tylko na rampie, a później jak wychodzą z windy na swoim piętrze.

- Na początek chciałbym przejrzeć zapisy z tamtego piątku, kiedy zmarł pan Groszkowski. - Komisarz miał ułożony w głowie schemat, według którego chciał przejrzeć nagrania. - Najlepiej z tej kamery nad recepcją, tak żebym mógł zrobić listę osób, które miały kontakt z dyrektorem.

Przez następne dwie godziny Kłopocki wpatrywał się w monitory i odtwarzał nagrania, zapisując godziny i osoby pojawiające się na korytarzu Wadeksu. W pewnym momencie zadzwonił do firmy i poprosił, żeby ktoś zszedł na dół i pomógł mu w rozpoznawaniu postaci na ekranie. Przysłali Monikę Perniak z biura administracji. Dziewczyna sprawnie rozpoznawała wszystkie twarze i do każdego dodawała krótki opis, dzięki czemu od razu zestawiał to, co widział, z informacjami zapamiętanymi z akt sprawy.

Na koniec zaczęli przeglądać nagrania z garażu.

- To jego auto - powiedziała Monika Perniak, dotykając ekranu. - To znaczy dyrektora Groszkowskiego.

- Moment! - Kłopocki wcisnął klawisz pauzy na odtwarzaczu i zaczął w pośpiechu przekładać kartki z notatkami.

W końcu znalazł to, czego szukał.

- Jak duży jest ten parking? - spytał.

Monika Perniak nie zrozumiała pytania.

- No taki normalny. Dwa piętra ma.

- Ile stanowisk jest na każdym piętrze?

- Myślę, że około pięćdziesięciu. My mamy wykupione dwadzieścia dwa na poziomie minus dwa.

- Ile pani zdaniem zajmuje wjechanie do podziemia, zaparkowanie i wjechanie windą do biura?

Perniak się zamyśliła.

- Myślę, że jakieś pięć do dziesięciu minut - odparła w końcu.

- To w takim razie dlaczego panu dyrektorowi zajęło to czterdzieści minut?

- Jak to?

Kłopocki podsunął jej swoje notatki.

- To jest godzina wejścia do waszego biura. - Pokazał palcem zapis na kartce. - Przed chwilą widzieliśmy to na nagraniu. A tutaj - wskazał na ekran - jest godzina wjazdu do garażu. Odstęp między tymi zdarzeniami to około czterdzieści minut.

- Faktycznie - stwierdziła kobieta, pocierając ręką czoło. - Ale nie mam pojęcia, gdzie on mógł spędzić tyle czasu.

- Czy macie jakieś biura na innych piętrach albo firmy, z którymi współpracujecie?

- Nie, raczej nie. Przynajmniej ja nic o tym nie wiem.

- Panie Rafale - administrator wtrącił się do rozmowy - a może pomogłyby panu odczyty karty magnetycznej?

- To znaczy? - Kłopocki nie zrozumiał.

- Każdy pracownik ma swoją kartę magnetyczną z indywidualnym kodem. Taka karta otwiera drzwi i to zdarzenie jest rejestrowane przez komputer sterujący systemem. Dzięki temu możemy na przykład ustawić, że niektórzy pracownicy nie mogą wejść do garażu lub do jakichś pomieszczeń.

- Czyli można z tego systemu wyczytać, którydy ktoś się przemieszczał i jakie otwierał drzwi?

- Dokładnie - odparł administrator biurowca. - Jeśli pan chce, to mogę zamówić te dane, bo tylko nasz informatyk umie to wysupłać z systemu. Ja jestem za cienki w tych sprawach.

Mężczyzna zadzwonił do informatyka i Kłopotcki dowiedział się, że będzie musiał uzbroić się w cierpliwość, bowiem dane nie będą dostępne od ręki. Cały czas zastanawiał się, co zajęło zmarłemu tyle czasu w drodze z parkingu do biura. Miał podejrzenie, że to nie była śmierć z naturalnych przyczyn, dlatego chciał zbadać każdą okoliczność.

Żadnych luźnych tropów - pomyślał, wychodząc z biurowca i kierując się w stronę parkingu dla gości.

## Czwartek, dwudziesty ósmy kwietnia, Waszyngton

Większość lotnisk na świecie działa w podobny sposób. Od wczesnych godzin porannych wysyłają i przyjmują tysiące podróżnych, a wraz z nadejściem wieczora i nocy spowalniają obroty i przechodzą w stan kilkugodzinnego letargu. Cykl ten jest niezależny od tego, czy jest to dzień roboczy czy weekend. Tylko nieliczne samoloty startują późną nocą. Najczęściej są to loty międzykontynentalne, rzadziej lokalne.

Było już po drugiej w nocy, gdy Nick Brown przeszedł przez bramki bezpieczeństwa na lotnisku. Waszyngton o tej porze ciągle żyje, choć na tablicy odlotów widać było mniejszą liczbę rejsów niż kilka godzin wcześniej. Stanowiska odpraw biletowych tylko gdzieniegdzie były otwarte. Brown szybko odprawił się na podróż do Europy, przechodząc przez stanowisko klasy biznes. To był jeden z przywilejów związanych z jego pracą. Dużo podróżował i bardzo istotne dla niego i jego zwierzchników było to, żeby nie tracił czasu na stanie w kolejkach do odprawy lub wejścia na samolot.

Do odlotu miał jeszcze trzy kwadranse. Skierował się do kawiarenki tuż obok bramki z rękawem prowadzącym do samolotu. Stał w kolejce do kasy, żeby zamówić coś do picia, gdy poczuł, że jego telefon wibruje.

Spojrzał na wyświetlacz telefonu. Komunikat wskazywał, że ktoś dzwonił do niego w szyfrowanym trybie. Przyłożył palec do czytnika linii papilarnych na obudowie. Telefon przestał wibrować. Po chwili jego odcisk palca został poprawnie zidentyfikowany. Połączenie zostało nawiązane. Po drugiej stronie usłyszał głos generała, co oznaczało, że rozmowa będzie krótka i bez dodatkowej weryfikacji głosowej.

- Agencie Brown, witam.

- Witam, generale.

- Cieszę się, że udało mi się pana złapać jeszcze przed wylotem. Właśnie dostałem informację, że nasz obiekt w Berlinie udał się na lotnisko i odprawia się na samolot do Warszawy. Sprawdziliśmy też, że kupował bilet pięć godzin temu.

- Rozumiem. To cenna informacja. Dziękuję.

Połączenie zostało zakończone.

Carcasse jedzie do Polski. Po co? - zastanawiał się Brown. Z akt zgromadzonych w operacji „Lornetka” nie wynikało, aby wcześniej tam bywał. Z obserwacji Nicka, którą później prowadzili jego następcy w Berlinie, wynikało, że w ogóle nie wyjeżdżał. Jedyne, co mu przyszło do głowy, to że Francuz jedzie załatwić coś osobiście - coś, co jest dla niego bardzo ważne. To najbardziej logiczne wytłumaczenie. Dla Browna było oczywiste, że ma to związek z niespodziewaną śmiercią Grocha i że agent, którego udało się ulokować w jego otoczeniu, bezpośrednio w Wadeksie, może wreszcie wpaść na jakiś konkretny ślad.

Młodziutka stewardessa American Airlines z rozbrajającym śnieżnobiałym uśmiechem oznajmiła rozpoczęcie *boardingu* <sup>8</sup>.

---

<sup>8</sup> *Boarding* (ang.) - wejście na pokład.

## Czwartek, dwudziesty ósmy kwietnia, Warszawa

Odebrał telefon po pierwszym sygnale.

- Dzień dobry, pani Doroto. Czekałem na telefon od pani.

Była zaskoczona.

- Dzień dobry...

Nie wiedziała, co powiedzieć. Odsunęła telefon od ucha, żeby spojrzeć na wyświetlacz i upewnić się, że dobrze wybrała numer. Była przekonana, że nigdy wcześniej nie kontaktowała się z nim ani on z nią.

- Pan Albert Konieczny? - wydusiła w końcu.

- Tak, zgadza się. Cieszę się, że pani do mnie dzwoni, ale i smucę zarazem, bo to znaczy, że Staszek stoi już przed naszym Stwórcą.

Dorota Groszkowska nie była wierząca i nie rozpatrywała śmierci ojca w kategoriach wiary. Zastanowił ją jednak sposób, w który ten człowiek nazwał jej ojca. Niewielu ludzi nazywało go Staszkiem. Mówili tak do niego tylko jego bliscy koledzy z pracy i dziadek.

- Tak, tata nie żyje... - zawiesiła głos, kompletnie nie wiedząc, jak poprowadzić dalej rozmowę z nieznanym.

- Powinniśmy się spotkać - z pomocą przyszedł Albert Konieczny. - Im szybciej, tym lepiej. Czy może pani do mnie podjechać na Stare Miasto?

Zgodziła się. Pół godziny później wysiadła z taksówki i stanęła przed okazałym budynkiem z przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku. Jeszcze raz spojrzała na adres zapisany na kartce i na tabliczkę na budynku. Adres się zgadzał. Stała przed klasztorem ojców paulinów. Obok znajdował się nieduży, aczkolwiek okazały kościół.

Weszła do środka. Długi i ciemny korytarz wiodący od drzwi wejściowych gdzieś w głąb budynku zdawał się nie mieć końca. Odnotowała, że powietrze pachniało jakimś rodzajem ziołowego kadzidła. Było cicho i spokojnie.

Z drzwi po jej prawej stronie wyszedł mężczyzna.

- Zapraszam, pani Doroto - powiedział, wskazując ręką przestrzeń, z której właśnie się wyłonił.

- Pan Konieczny? - Dorota była kompletnie dezorientowana.

- Tak, to ja.

- Pan jest...

- Zgadza się, jestem bratem zakonnym - dokończył za nią - a to jest dom mój i moich braci zakonnych.

- Nie wiedziałam - powiedziała.

Sama nie zdawała sobie sprawy, co ją bardziej zaskoczyło: czy fakt, że jej rozmówca był zakonnikiem, czy też że spotkanie miało miejsce w klasztorze.

- Bo i nie miała pani skąd o tym wiedzieć. Zaraz wszystko wyjaśnię. - Wskazał ręką korytarz. - Przejdziemy do miejsca, w którym będziemy mogli spokojnie porozmawiać.

Kolejny długi korytarz niósł echem dźwięk jej szpilek uderzających o kamienną posadzkę. Zakonnik poruszał się jakby w powietrzu, cicho i bezszelestnie. Kiedy byli na

schodach prowadzących do drugiej części budynku, kobieta zauważyła, że Albert zwinnie pokonuje po dwa stopnie naraz. Jego biały habit unosił się nad schodami, odsłaniając co jakiś czas sportowe trampki.

Pokonali kolejne schody, tym razem prowadzące w dół, żeby znaleźć się w przyziemiu budynku. Albert Konieczny zatrzymał się i odchylił jedno z wielu identycznych drzwi wzdłuż korytarza. Przytrzymał je i wpuścił Dorotę do środka. Znaleźli się w zakonnej celi. Surowo i skromnie urządzone wnętrze było przestronne i niezwykle czyste. Jedynie koc na łóżku i poduszka na fotelu ocieplały charakter pokoiku, który oddawał chłód i surowe warunki życia jego mieszkańca.

- Proszę usiąść przy stole - powiedział, po czym podszedł do szafki, na której stało staromodne radio wyglądające na eksponat muzealny. Przekreślił jedną z bakelitowych galek. Na przednim panelu zabłysło światło żarówki umieszczonej w środku obudowy.

Konieczny usiadł po drugiej stronie stołu.

- Pani Doroto. To, co pani powiem, jest bardzo ważne i musi pani to zapamiętać. Ani teraz, ani później proszę nie zapisywać żadnej z tych informacji.

Spojrzał na nią, robiąc pauzę. Chciał się upewnić, że cała jej uwaga skupiona jest na tym, co ma jej do powiedzenia.

- Dlaczego? - spytała nagle. - O co chodzi z tym spotkaniem?

- Staszek, to znaczy pani tata, prosił mnie, abym po jego śmierci coś dla niego zrobił. Chodzi o przekazanie pani pewnych informacji oraz jednej... rzeczy.

- A nie mógł tego napisać w testamencie? Dlaczego?

- Sprawa jest delikatna, a powierzenie tych informacji notariuszowi byłoby co najmniej nieodpowiedzialnym działaniem. Mogłoby też narazić na niebezpieczeństwo wiele osób.

- Dobrze. Proszę mi powiedzieć, o co chodzi, bo dziwnie to wygląda.

- Potrzebuję dziesięć minut, żeby wszystko pani wyjaśnić.

Dorota kiwnęła przyzwalająco głową.

- Kiedyś, w poprzednim ustroju, pracowaliśmy razem. Ja raczej w ukryciu, Staszek w terenie. Robiliśmy, jak na tamte czasy, duże rzeczy. Wtedy uważaliśmy, że to, co robimy, jest słuszne i ważne. Mieliśmy ogromne możliwości i dostęp do ludzi z pierwszych stron gazet. W czasach, gdy normalni ludzie ledwie wiązali koniec z końcem i bez zgody lokalnego komendanta milicji nie mogli wyjechać do sąsiedniego miasta, nie mówiąc o wyjeździe za granicę, my podróżowaliśmy najlepszymi autami i lataliśmy pierwszą klasą po całym świecie. Gdy czasy się zmieniły, obaj musieliśmy odejść ze służby. Nasze życie się zmieniło. Groziło nam życie zwykłych, szarych ludzi. Nie chcieliśmy tego, to nie było dla nas. Szukaliśmy pomysłu na siebie w tej nowej rzeczywistości. Wkrótce okazało się, że nasza wiedza i umiejętności mogą się komuś przydać. I tak przez lata działaliśmy w organizacji, która dzisiaj żyje własnym życiem.

- Co to za organizacja? - spytała Dorota, wykorzystując to, że Konieczny zrobił przerwę na wzięcie oddechu.

Powstrzymał ją gestem dłoni.

- Nazwa jest nieważna. Istotne jest, że to potężna struktura, która ma moc decydowania o wielu rzeczach na świecie. Ważne jest też to, że teraz, po śmierci Staszka, to pani stała się częścią organizacji.

- Słucham?! - powiedziała to głośniejszym głosem, niż wymagało tego miejsce ich rozmowy.

- Staszek był w tej organizacji kimś na wzór skarbnika, który pilnował najcenniejszego składnika majątku. - Albert zignorował jej pytanie i kontynuował wypowiedź. - Teraz, po

jego śmierci, to pani została skarbnikiem organizacji, przynajmniej tymczasowo.

W pomieszczeniu zapadła cisza. Dorota siedziała nieruchomo na krześle i analizowała zasłyszane słowa. Konieczny w tym czasie podszedł do szafki w rogu i wyjął z niej nieduży płaski pakunek. Wrócił do stołu i położył go przed Dorotą.

- To jeden z czterech przedmiotów, które Staszek dla pani zostawił - powiedział spokojnym tonem, dużo ciszej niż wcześniej. Przez moment Dorota miała wrażenie, że zakonnik mówi do niej szeptem.

- Jestem w posiadaniu tylko jednego z nich - kontynuował. - Pozostałe trzy musi pani sama odebrać od innych osób. Ci, którym Staszek powierzył przekazanie pani tych przedmiotów, nie wydadzą ich nikomu innemu. Tak jak ja, dostali pani numer telefonu, zdjęcia i dokumenty, dzięki którym można panią zidentyfikować. Dla bezpieczeństwa mam pani podać miejsce, gdzie znajduje się druga taka paczka. Nie wiem, gdzie są kolejne. Tylko w ten sposób Staszek mógł zadbać o to, by to, co miał pani do przekazania, nie dostało się w ręce nieodpowiednich osób.

- Ale co to jest? O czym my w ogóle rozmawiamy?

- To - wskazał palcem na przedmiot leżący przed nimi - jest dysk komputerowy z danymi. Ten dysk jest raczej z tych szczególnych, bo ma specjalne zabezpieczenia. Można go podłączyć do komputera tylko z pozostałymi dyskami i kluczem kodującym. Żaden z dysków nie może być odczytany samodzielnie, bo wszystkie dane zostały podzielone na małe kawałki i porozrzucane między tymi dyskami. Dane to informacje. Bardzo szczególne informacje. Dzięki temu, co jest na tych dyskach, można namieszać w polityce w różnych krajach, a przy odrobinie wyobraźni doprowadzić do zmian w gospodarce. Na pewno można dzięki temu zapewnić sobie dostęp do ogromnych pieniędzy. Myślę, że właśnie to był cel Staszka. Chciał, żeby zastąpiła go pani w organizacji i czerpała z tego korzyści tak jak on.

- Korzyści?

Konieczny poprawił się na krześle i spojrzał jej w oczy. Powoli, cedząc każde słowo, powiedział:

- Siedemnaście milionów euro. Taki był stan jego skarbca depozytowego w banku w Szwajcarii miesiąc temu. Pokazał mi wyciąg, kiedy u mnie był i siedział na tym samym krześle, co pani teraz. Miałem o tym powiedzieć na wypadek, gdyby się pani wahała. Te pieniądze będą pani, a żeby dowiedzieć się, jak je wydobyć, musi pani znaleźć pozostałe trzy urządzenia.

Dorota była oszołomiona tym, co usłyszała. Zarówno kwota, którą wymienił mnich, jak i sam fakt, że praktycznie nic nie wiedziała o ojcu, spowodowały, że straciła rezon. Już w kancelarii notarialnej, gdy zobaczyła listę składników majątku, czuła lekki niepokój i mętlik w głowie. Jednak to, co usłyszała w zakonnej celi, przerosło jej najśmielsze oczekiwania.

- A co potem?

- Może pani wziąć te pieniądze i zniknąć albo działać razem z nami, zastępując ojca. Wybór należy do pani.

Odchylił się na krześle. W tej pozycji nie wyglądał na mnicha. Przypominał bardziej ubeką przesłuchującego podejrzanego, kontrolującego sytuację, będącego na swoim terenie i przekonanego o tym, że właśnie złożył komuś propozycję nie do odrzucenia.

- Niezależnie od tego, co pani zdecyduje, proszę zapamiętać, gdzie jest druga przesyłka. Adres i telefon musi pani zapamiętać. Proszę tego nigdzie nie zapisywać, ani w telefonie, ani na kartce czy w kalendarzu. To ważne. Dopóki ta informacja jest tylko w pani głowie, jest pani bezpieczna.

Oczy Doroty zauważalnie się rozszerzyły. Kiedyś przeszło jej przez myśl, że ojciec pracował dla kogoś jeszcze oprócz Wadeksu. Ciągle gdzieś wyjeżdżał, spotykał się z różnymi ludźmi, którzy w żaden sposób nie byli związani z firmą.

Nie wiedziała, czy dobrze robi, zgadzając się na warunki postawione przez ojca i biorąc udział w jego planie. Czuła, że Konieczny nie mówi jej wszystkiego, ale też nie miała pojęcia, o co dokładnie go pytać. Była zakładnikiem gry, której nie wymyśliła, a w którą ją zaangażowano, nie pytając w ogóle o zdanie.

Przez kolejny kwadrans razem z zakonnikiem powtarzała dziesiątki razy, z kim i gdzie ma się spotkać.

Na koniec spotkania Konieczny odprowadził ją do drzwi wyjściowych z drugiej strony budynku. Gdy je otworzył, spojrzała na niego pytającym wzrokiem, szukając wyjaśnienia powodu, dla którego miała wyjść przez ciemne i posępne podwórze.

- Na wszelki wypadek - powiedział, choć nie uspokoiło jej to ani trochę.

## **Czwartek, dwudziesty ósmy kwietnia, Warszawa**

Blackberry delikatnie zawibrował na biurku.

Spojrzał na wyświetlacz i odblokował telefon. Nowa wiadomość e-mail, która właśnie do niego dotarła, otworzyła się błyskawicznie. Dostał wirtualną kartę podarunkową księgarni Amazon.com na sto dolarów. To był sygnał. Ktoś wzywał go w umówione miejsce na pilne spotkanie. Zazwyczaj dni i godziny spotkań były ustalone sztywno. Przychodził, kupował kawę, a jego telefon sam wymieniał informacje z telefonem operacyjnego pracownika, który był wtedy w kawiarni. Nie musiał siadać obok niego, nie musiał wymieniać powitania. Wystarczyło, że tamten był w promieniu dwudziestu metrów.

Czasem wysyłał tylko przygotowany wcześniej raport, czasem dostawał zwrotnie jakieś informacje. Często informowano go na bieżąco o akcji i o zmianach w lokalnej agenturze, pod którą podlegał operacyjnie i która była jego pierwszym punktem pomocy w awaryjnej sytuacji.

W tej akcji to było pierwsze wezwanie w trybie pilnym. Oszacował, ile potrzebuje czasu, aby dostać się do umówionego miejsca na Placu Trzech Krzyży. Wyszedł z biurowca i skierował się do pobliskiego sklepu. Kupił gazetę.

Chwilę później w centrum miasta Jim usłyszał dźwięk wiadomości SMS. Agent potwierdził spotkanie - miał być w kawiarni w ciągu godziny.

Spotkanie odbyło się tak jak zwykle. Kawa, kilka mignięć niewielkiej, standardowej diody na obudowie. Tym razem agent zdecydował się też na kanapkę i usiadł przy jednym ze stolików ustawionych na chodniku przed wejściem. W ciepłych promieniach wiosennego słońca, osłonięty kurtką, odczytał wiadomość w telefonie.

Zwierzchnicy zmienili status jego operacji. Już nie była to operacja „Lornetka” - spokojna i nastawiona na powolne pozyskiwanie informacji oraz drażnienie tematu. Status „Wodospad” oznaczał, że działania operacyjne można prowadzić w inny sposób. Czas zaczął grać bardzo istotną rolę. Poza śmiercią Grocha musiało stać się coś jeszcze, co skłoniło dowództwo do takiej zmiany.



## Czwartek, dwudziesty ósmy kwietnia, Warszawa

W otwartych drzwiach pokoju Kłopockiego stanął młody aspirant.

- Co tam? - zapytał komisarz.

Funkcjonariusz w mundurze w odpowiedzi podniósł rękę z kopertą.

- Dawaj!

Na przedniej stronie koperty odręcznie i niechlujnie napisane było jego imię i nazwisko.

Rozdarł papier. To była przesyłka od informatyka z Wadeksu. Pierwsze kartki zawierały zapis dat, godzin i numerów czytników, w których Groszkowski używał swojej karty magnetycznej w biurówcu Wadeksu. Na kolejnych opisano lokalizację czytników. Spis dotyczył prawie miesięcznego okresu przed jego śmiercią.

Kłopocki godzinę wertował spis w przód i w tył, robiąc notatki na marginesie. Zauważył, że to, co zastanowiło go w nagraniu monitoringu wideo, które analizował wcześniej w siedzibie Wadeksu, potwierdzało się w odczytach z karty. W dniu śmierci Groszkowski wszedł do holu windowego z garażu podziemnego i dopiero po czterdziestu minutach dotarł na piętro, gdzie mieściły się biura. Zgodnie z danymi z wydruków w tym czasie jego kartą otworzono tylko jedne drzwi. W spisie czytników opisano je jako „magazyny”.

Wyciągnął teczkę z aktami sprawy i odszukał numer telefonu administratora budynku. Zarządca przez dłuższą chwilę usiłował sobie przypomnieć, co oznacza wpis „magazyny” na liście czytników. Chodziło o podziemne schowki, które mieściły się na tym samym piętrze, co parking. Wadex nie miał tam biur. Administrator nie wiedział, po co Groszkowski tam wchodził.

Kłopocki odłożył telefon. Coś przyszło mu do głowy. Wziął do ręki czerwony długopis i zaczął podkreślać te miejsca na wydrukach, w których pojawiał się identyfikator czytnika przy drzwiach do wejścia „magazyny”. Serce zabiło mu szybciej, gdy zorientował się, że Groszkowski niemal codziennie po zaparkowaniu przechodził przez te drzwi i spędzał w podziemnym pomieszczeniu jakiś kwadrans. Robił to prawie zawsze o tej samej porze, tylko rano.

Kłopocki podskoczył na krześle, gdy zadzwonił telefon. Spojrzał na wyświetlacz komórki i zobaczył, że dzwoni administrator budynku Wadeksu.

- Słucham? - rzucił do słuchawki, ciągle patrząc na czerwone podkreślenia w tabelach leżących przed nim na stole.

- Przypomniałem sobie, że jedno z tych pomieszczeń na dole wynajmował prywatnie pan Groszkowski. To nie było związane z Wadeksem. Na początku tego nie skojarzyłem, bo on to wynajął jeszcze zanim zacząłem tu pracować i to jest jedna ze starszych umów.

- Co to za pomieszczenie?

- W tamtym korytarzu są tylko małe pomieszczenia magazynowe, takie po dziesięć, dwadzieścia metrów, bez żadnych okien. Najemcy chowają tam głównie jakieś stare i niepotrzebne graty, czasem starą dokumentację księgową.

- Czy mógłbym zobaczyć magazynek pana Groszkowskiego?

- Tak, oczywiście - odparł administrator. - Będę w pracy jeszcze godzinę. Zdaży pan?

Pół godziny później Kłopocki zjeżdżał windą do podziemnego garażu w budynku Wadeksu, która po krótkim szarpnięciu zatrzymała się na poziomie minus dwa. Administrator szedł pierwszy i pokazywał drogę. Weszli w wąski i słabo oświetlony korytarz. Do Groszkowskiego należał magazyn położony w połowie korytarza.

- Jak często tutaj sprzątacie? - spytał policjant.

- Średnio raz na dwa tygodnie - odparł administrator i powiódł wzrokiem za spojrzaniem Kłopockiego. Na podłodze było widać ślady stóp kogoś, kto wchodził i wychodził z pomieszczenia.

- Wyglądają na świeże i tej samej osoby, a to - komisarz pokazał palcem w kierunku podłogi - wygląda, jakby ktoś stawiał tu pudełko, torbę albo walizkę... i to nie jeden raz.

Administrator otworzył drzwi. Odszukał ręką włącznik światła. Lamy na suficie rozblęły bielą. Ich oczom ukazało się puste wnętrze. Nie licząc drobnych paprochów i dwóch rolek po taśmie do zaklejania pudełek, w pomieszczeniu było kompletnie pusto.

Kłopocki wszedł do środka i się rozejrzył. Na wykładzinie dywanowej były odcisnięte różne ślady.

- Jak pan myśli, co mogło tutaj stać? - zapytał administratora.

- Chyba jakieś komputery, takie duże, stacjonarne. Do tego ten zapach... pachnie jak u nas w serwerowni.

- No właśnie. - Kłopocki zamyślił się. - Wie pan co, chciałbym sprawdzić, czy był ktoś jeszcze, kto korzystał z tych drzwi tak samo często jak pan Groszkowski, i chciałbym wiedzieć, jakie tu było zużycie prądu.

- Informatyk to musi zrobić. Ale prąd możemy sprawdzić od razu.

Gdy szli do biura zarządcy, Kłopocki spytał:

- Czy moglibyśmy od razu przejrzeć monitoring z kamery przy windzie na minus dwa? Chciałbym sprawdzić, czy w ostatnich dniach ktoś wynosił z tego magazynku jakieś rzeczy.

- Zrobi się. Mamy możliwość cofania nagrania.

Weszli do biura. Administrator uruchomił komputer i przez minutę wystukiwał coś na klawiaturze.

- Dziwne - powiedział w końcu. - Patrzę teraz na konto rozliczeniowe tej umowy i wygląda tak, jakby ktoś tam prowadził regularne biuro. Proszę spojrzeć.

Komisarz podszedł do komputera i spojrzął na rzędy liczb.

- Tutaj - administrator pokazał palcem na ekranie - jest zużycie energii dla tego pomieszczenia. Każdy najemca ma własny licznik prądu, który spisujemy co miesiąc i wprowadzamy do tego systemu. A tutaj obok są wypisane zużycia energii dla sąsiednich pomieszczeń.

- Rozumiem. - Kłopocki kiwnął głową. - W pozostałych zużycie jest prawie zerowe, a w magazynku Groszkowskiego jak w fabryce. Czy tak było zawsze?

Zarządca przełączył widok konta w systemie.

- Tak, z niewielkimi różnicami, ale na pewno tak. Coś pobierało tam dużo energii.

- A rachunki? Kto je płaci? Gdzie były wysyłane?

Kolejne kliknięcia i na monitorze komputera pojawiły się nowe dane. Kłopocki spojrzął na ekran, po czym zaczął wertować kartki notatnika.

- To adres zmarłego.

- Tutaj - administrator pokazał palcem dół ekranu - jest informacja, że płatności za media i za czynsz były robione jako wpłata na pocztę, taka zwykła, gotówkowa.

- Okej, to zobaczmy ten monitoring.

Administrator przesiadł się do biurka z konsolą kontrolującą system monitoringu. Wybrał kamerę i cofał obraz na podglądzie. Co jakiś czas pojawiali się użytkownicy parkingu. O poranku wychodzili z hali garażowej i wsiadali do windy, zaś po południu pokonywali odwrotną drogę. Czasem w ciągu dnia ktoś zjeżdżał do garażu i po jakimś czasie wracał.

Gdy cofnęli zapis kamery do wtorkowego wieczoru, na ekranie przez dłuższą chwilę nikt się nie pojawiał. W pewnym momencie zobaczyli mężczyznę wchodzącego od strony parkingu. Minął wejście do windy oraz na klatkę schodową i skierował się do korytarza prowadzącego w stronę magazynków. Po chwili ten sam mężczyzna pokonywał odwrotną drogę, tyle że tym razem na niewielkim wózku pchał przed sobą kilka kartonów. Taką trasę pokonał w sumie osiem razy.

- Cholera - Kłopotcki drapał się po głowie i wyglądał na zmartwionego. - Na żadnym z tych ujęć nie widać twarzy, tylko te długie włosy i czapka.

Administrator kilka razy przewinął całe nagranie w przód i w tył. Bez skutku. Zatrzymał film i przesuwiał po jednej klatce do przodu. Nigdzie nie pojawiła się twarz człowieka z podziemnego magazynu.

- A może kamera na rampie garażowej? - zaproponował administrator.

- To znaczy?

- No może udało się nagrać coś tej kamerze, która rejestruje wszystkie auta wjeżdżające do podziemia. Ona ma wyższą rozdzielczość, a poza tym jest ustawiona centralnie na wprost samochodów jadących po rampie, więc może przez szybę udało się coś zarejestrować.

- Sprawdźmy - zarządził Kłopotcki, odwracając się w stronę monitorów.

Administrator już operował przełącznikami i po chwili na ekranie widać było rampę zjazdową i auta wjeżdżające tego dnia do garażu.

- To ten. Pasuje do znacznika czasowego nagrania z holu windowego. Tylko trzy minuty różnicy pomiędzy tym i tamtym nagraniem - z triumfem w głosie oznajmił komisarzowi. - Twarzy też nie widać, ale za to ma pan wyraźny numer samochodu.

Kłopotcki spisał dane z tablicy rejestracyjnej i podziękował za pomoc.

Idąc w stronę samochodu, wybrał na komórce numer telefonu.

- Cześć - rzucił do rozmówcy, gdy nawiązał połączenie. - Potrzebuję rzucić numery auta na bęben. Im szybciej, tym lepiej. - Podyktował numer rejestracyjny auta i się rozłączył.

Teraz mógł tylko czekać na sprawdzenie w bazie pojazdów, do kogo należy auto, którym przyjechał tajemniczy mężczyzna z podziemia budynku Wadeksu.

W drodze powrotnej do biura zadzwonił do techników i wydał zlecenie zabezpieczenia odcisków palców w pomieszczeniu w podziemiu oraz nagrań z monitoringu.

## **Czwartek, dwudziesty ósmy kwietnia, Warszawa**

Zrobił wszystko dokładnie tak, jak przewidywała procedura. Teraz miał czekać na sygnał, co robić dalej. Ktoś miał się z nim skontaktować. Tylko raz dziennie, pod koniec dnia, miał się pojawiać z telefonem w pobliskim centrum handlowym. Jeśli tam nikt go nie zaczepi, miał przyjść kolejnego dnia i kolejnego, aż do skutecznego nawiązania kontaktu.

Wszedł do mieszkania i zamknął drzwi. Rzucił klucze na kolorową komodę stojącą przy wejściu, po czym skierował się do lodówki w aneksie kuchennym.

Z zimnym piwem usiadł na kanapie, włączył telewizor i ustawił kanał ze sportem. To był jedyny kanał, który istniał dla niego w kablowej telewizji. Nieważne, jaki sport pokazywali, ważne, że był to sport. Z umiejętnościami wysokiej klasy informatyka nie potrafił skupić się na zwykłych filmach, nie wspominając już o programach informacyjnych czy publicystycznych.

Na ekranie leciał mecz futbolu amerykańskiego. Wpatrywał się w ekran i zastanawiał, dlaczego nikt się z nim nie skontaktował. Poszedł w umówione miejsce i był tam przez ustalony czas. Dyskretnie przeglądał się w różnych wystawach, chromowanych i stalowych elementach, żeby dostrzec, czy ktoś go obserwuje lub podąża za nim po galerii. Starał się zapamiętać jak najwięcej twarzy. Przez czterdzieści pięć

minut nie zauważył nic, co mogłoby wskazywać, że ktokolwiek się nim interesuje.

Telewizor wypełniał pokój cichym dźwiękiem stadionowego szumu. Tylko głos komentatora co jakiś czas bardziej żywiłowo komentował wydarzenia na boisku, głównie w momentach, w których publiczność na trybunach intensyfikowała doping.

Marek Gawiński spojrzał na prawie opróżnioną butelkę piwa i stwierdził, że ogarnia go senność. Ułożył się wygodniej na oparciu kanapy, tak żeby promienie ciepłego wiosennego słońca, które wpadały przez balkonowe okna, ogrzewały jego legowisko.

Był już na granicy jawy i snu, gdy usłyszał dźwięk. Nie zareagował. Po minucie dźwięk się powtórzył. Był dokładnie taki sam i tak samo cichy. Poczul, że się wybudza, otworzył oczy i rozejrzał się wokół. Nie spał długo, w telewizji ciągle leciał mecz, wynik był ten sam, a słońce świeciło tak samo mocno jak w momencie, gdy zamykał oczy.

Dźwięk się powtórzył. Teraz był pewny, że to pukanie. W myślach próbował ustalić jego źródło. Drzwi wydały mu się nielogicznym rozwiązaniem z uwagi na zainstalowany tuż przy framudze dzwonek opatrzony dużymi cyframi oznaczającymi numer mieszkania.

Wstał z kanapy i powoli przeszedł przez kuchnię w kierunku korytarza. W holu wejściowym ponownie usłyszał dźwięk. Tym razem był pewny, że ktoś puka do drzwi zamiast użyć dzwonka. Bez namysłu podszedł i otworzył je.

- Dzień dobry, pan Marek.

Za drzwiami zobaczył niewysokiego mężczyznę w podeszłym wieku. Miał siwe włosy. Mężczyzna wypowiedział powitanie w taki sposób, że Gawiński od razu zrozumiał, że ma do czynienia z obcokrajowcem.

Przybysz zrobił krok w stronę drzwi wejściowych do mieszkania. W tym momencie Gawiński zauważył, że starszy pan lekko wspierał się na rączce parasolki, która w pierwszej

chwili skryła się w fałdach wiosennego płaszcza, zaś główka parasolki przykryta była kapeluszem, który trzymał w dłoni.

- Znajomy powiedział mnie, że pan sprzedaje rzadka okaz ryb.

Gawiński nie wiedział, co powiedzieć. Nie był do końca wybudzony, a sytuacja go zaskoczyła. Po kilku sekundach zorientował się, że to, co powiedział starszy mężczyzna, to było hasło rozpoznawcze. Myślał gorączkowo, próbując sobie przypomnieć, jaki jest prawidłowy odzew. W końcu powiedział:

- Ja już zamknąłem hodowlę, ale dam panu kontakt do mojego przyjaciela, który ma dokładnie taką samą.

Obserwował twarz swojego gościa, ale nie mógł z niej nic wyczytać. Starszy pan postąpił kolejny krok naprzód i przechodząc obok Gawińskiego, wszedł do mieszkania.

Po wejściu do środka Carcasse bez pytania zajrzał do każdego z pomieszczeń, sprawdzając, czy są sami. Szybko zlustrował wszystkie wnętrza, dłużej zatrzymując się przy kuchennej wyspie i stole w pokoju dziennym. Lekko pochylił się nad znajdującymi się tam różnymi wydrukami, gazetami i dokumentami. Na koniec odsunął jedno z krzeseł i usiadł, rozpinając poły płaszcza, założył nogę na nogę. Parasolkę w kształcie laski oparł o stół.

Gawiński cały czas stał w holu przy drzwiach i obserwował gościa. Gdy ten usiadł na krześle pośrodku pokoju, mężczyzna zamknął drzwi i stanął w bezpiecznej odległości z drugiej strony wyspy kuchennej. W głowie kołatały mu tysiące myśli. Mężczyzna znał hasło rozpoznawcze, a więc był częścią planu awaryjnego przekazanego mu przez Groszkowskiego. W planie co prawda nie było mowy o tym, że spotka się z samym Groszkowskim ani z kimś, kogo znał, ale właśnie na to liczył. Zaskoczyło go, że przybysz nie mówił dobrze po polsku. Było dla niego oczywiste, że jest to obcokrajowiec, który zna polski, ale na podstawie tych kilku słów nie był w stanie powiedzieć, z jakiego kraju pochodzi.

Tym, co zastanawiało go jednak najbardziej, to dlaczego do spotkania doszło u niego w domu, a nie w wyznaczonym przez plan miejscu. Szybko przywołał w myślach plan awaryjny i był przekonany, że pojawił się we właściwym miejscu spotkania o właściwej porze.

- Cieszę, że dokładnie wykonał pan plan awaryjny. - Carcasse odezwał się po dłuższej chwili wpatrywania się w Gawińskiego. - To jest bardzo, bardzo ważna.

Marek Gawiński milczał.

- Teraz trzeba dalej robić. Nowe miejsce. Praca ta sama.

Carcasse zmrużył oczy i dokładnie analizował twarz informatyka oraz jego reakcję na słowa, które wypowiedział.

- Ale pierwsze - kontynuował Carcasse.

- Dlaczego nie spotkaliśmy się w umówionym miejscu, tylko tutaj? - spytał Gawiński, przerywając mężczyźnie.

- To jest bardzo bezpieczne - odparł szybko. - Ja musiałem sprawdzać w sklepie, jak pan był, czy jest sam i czy sam wróci tu - podkreślił, wykonując palcem wskazującym kółko w powietrzu tuż obok twarzy.

- Co teraz?

- Musi być wszystko bezpieczna - odparł Carcasse. - Praca i instalacja po przerwie. Teraz pan jedzie wakacje. Pan musi zniknąć na trochę. To na wszelkie wypadek.

- Zniknąć? - Gawiński pochylił się do przodu, mocniej opierając się o wyspę.

- Tak - odparł i z wewnętrznej kieszeni marynarki wystającej spod płaszcza wyciągnął kopertę. - Tutaj są złotówki, euro i dolary. Jest kartka z adresem strony z wycieczkami.

Pojedzie pan do Dominican Republic na trzy tygodnie. Wylot koniecznie z lotniska w Berlin. Do Berlin jedzie pan samochodem swoja.

Gawiński patrzył na Carcassea i próbował ułożyć to sobie w głowie.

- Z Berlin musi być last minute. Najpóźniej wylot pojutrze. Zanim będzie wracał, dowie się, co dalej, jaki plan... Teraz pan wszystko powtórz. Nic nie wolno zapisać.

Gawiński na życzenie gościa dwa razy powtórzyl, co ma zrobić, po czym wziął do ręki kopertę i przejrzał jej zawartość.

- Na pewno wystarczy i trocha zostanie na zakupy i parking na Berlin lotnisko - powiedział Carcassee, podnosząc się z krzesła.

Wyciągnął rękę w kierunku Gawińskiego.

- Miło było pana poznać - powiedział, uściskawszy jego dłoń, po czym bez słowa skierował się do wyjścia.

Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, Gawiński wyjął pieniądze z koperty i szybko je przeliczył. Uruchomił komputer i wstukał adres strony internetowej zapisanej na kartce w kopercie. Szybko oznaczył kraj i daty pobytu. Wyświetliła się lista ofert. Przyjrzał się cenom za trzytygodniowe pobyty. Rozmówca miał rację, pieniądze, które były w kopercie, wystarczą na takie wakacje i pewnie zostanie jeszcze sporo nadwyżki.

Wcześniejsze znużenie i senność zniknęły. Wyciągnął z lodówki kolejną butelkę schłodzonego piwa i zaczął przeglądać oferty.

**Czwartek, dwudziesty ósmy kwietnia,  
Warszawa**

Dorota niechętnie wróciła do swojego mieszkania, żeby spakować się na wyjazd. Choć z domu nic nie zniknęło, straciła poczucie spokoju i bezpieczeństwa. Czuła, że coś się zmieniło. Mieszkanie, które dotychczas uważała za swoją cichą przystań i prywatny azyl, nagle stało się miejscem, które nie izolowało jej od zewnętrznego świata.

Potrzebowała dwóch kwadransów, żeby spakować walizkę i wyjść. Z ulgą opuszczała budynek. Kiedy wsiadała do taksówki, pomyślała, że po wszystkim będzie musiała pozbyć się tego mieszkania i nabyć coś w nowoczesnym apartamentowcu z ochroną i monitoringiem.

Na lotnisko dojechała niezwykle szybko, sporo przed czasem. Przez całą drogę zastanawiała się nad tym, co powiedział zakonnik. Wszystko, co jej przekazał, brzmiało tajemniczo. Nie wiedziała, jak powinna się zachować w takiej sytuacji. Z jednej strony pieniądze, o których wspominał Albert Konieczny, były pociągające, z drugiej jednak strony czuła, że z tym człowiekiem i tym, o czym mówił, związane było ryzyko. Postanowiła, że decyzję o tym, co zrobić z informacjami od zakonnika, podejmie po powrocie z Paryża. Na razie chciała zrealizować to, co zaplanowała wcześniej.

Przy stanowisku odprawy spędziła zaledwie kilka minut, po czym pomaszerowała w kierunku strefy dla pasażerów. Spojrzała na tablicę z informacjami o odlotach, żeby zorientować się, że do odlotu pozostały jeszcze dwie godziny. Stwierdziła, że spędzi ten czas w restauracji.

## **Czwartek, dwudziesty ósmy kwietnia, Warszawa**

Na biurku komisarza Rafała Kłopockiego zawsze panował nieład, kiedy analizował akta spraw. Pootwierane teczki odkładał w różne miejsca, a gdy brakowało mu wolnej przestrzeni na blacie, korzystał z pobliskich krzeseł i podłogi. Otwarte segregatory i różnorakie zakładki wsunięte pomiędzy karty akt pozwalały na szybkie sprawdzanie tego, co mówili świadkowie, i weryfikowanie zeznań z aktami medycznymi, zdjęciami czy opiniami biegłych. Wśród opasłych segregatorów spoczywał gdzieś telefon, portfel i drobne kartki z notatkami. Czasem Kłopocki kreślił jakieś schematy, żeby za moment uznać, że nie mają sensu. W ten sposób pracował i rozwiązywał sprawy. Nawyk wielowątkowego studiowania materiałów pozostał mu ze studiów prawniczych, gdy czytał materiały dostarczone przez wykładowców w otoczeniu otwartych kodeksów, ustaw i druków aktów prawnych.

Teraz jego biurko przykrywały w całości akta Stanisława Groszkowskiego. Na jednej z teczek na wewnętrznej stronie okładki przykleił fiszkę z napisanym drukowanymi literami wyrazem „morderstwo”. Tak traktował tę sprawę i chociaż nie znał jeszcze ani motywu, ani sprawcy, to dotychczasowe przesłanki – głównie wynikające z rozmowy z patologiem – wskazywały, że dalsze śledztwo będzie prowadził w kierunku morderstwa.

Tego wieczoru pracował w komfortowych warunkach. Budynek jak zwykle o tej porze pustoszał. Większość pracowników wychodziła około siedemnastej. Gwar z korytarza i sąsiednich pokoi stawał się coraz słabszy. Kiedy kilka godzin wcześniej rozkładał na biurku akta spięte grubą gumką recepturką, chciał wytypować na podstawie materiału kogoś, kto mógłby mieć motyw do zabicia Groszkowskiego. Po dwukrotnym przeczytaniu wszystkich dokumentów jedynym punktem zaczepienia było dwóch pracowników Wadeksu. Sam przyznał przed sobą w duchu, że podejrzani byli słabi i bardziej czuł, że należy mieć ich na oku, niż wnioskował to z analizy materiału.

Pierwszym podejrzanym był szef działu marketingu Michał Orłowski – był w sporze z Groszkowskim, a ich awantury były częste, burzliwe i wszystkim znane. Drugim podejrzanym był dyrektor oddziału z Poznania Łukasz Sołtysiuk. Kłopocki przyjrzał mu się baczniej, szczególnie że Sołtysiuk był tego dnia w warszawskiej siedzibie Wadeksu i miał poważny motyw. Z notatek kolegów, którzy rozmawiali z pracownikami, wynikało, że Groszkowski podejrzewał Sołtysiuka i Orłowskiego o zawyżanie faktur i wyciąganie pieniędzy poprzez inne, powiązane z nimi firmy. To samo znajdowało się w notatkach Groszkowskiego, w kalendarzu znalezionym obok jego zwłok. Na jednej ze stron denat zrobił zestawienie, z którego wynikało, że Wadex przepłacał za niektóre usługi co najmniej dziesięć procent, a kwoty szły w dziesiątki tysięcy. Mechanizm miał być dość prosty: Wadex płacił swoim dostawcom zawyżone faktury, a ci dzielili się nadwyżką z Sołtysiukiem lub Orłowskim.

Kłopockiego zastanawiało, dlaczego firma tolerowała takich pracowników. Skoro na pierwszy rzut oka mieli informacje o nierzetelnym postępowaniu pracowników, mogli każdego z nich zwolnić. Lista faktur była nie tylko długa, ale przede wszystkim sięgała kilku



lat wstecz. Jak wynikało z notatek Groszkowskiego, wiedział o tym procederze od co najmniej dwóch lat - jeśli oczywiście się nie mylił i faktury były rzeczywiście zawyżane.

Dla komisarza było oczywiste, że pieniądze mogły być doskonałym motywem do zabójstwa - szczególnie duże pieniądze. Przeglądając akta, odtworzył przybliżony przebieg dnia Sołtysiuka i Orłowskiego. Z tego, co mówili pracownicy Wadeksu i z tego, co wynikało z danych logowania ich indywidualnych kart magnetycznych, przez większość poranka i wczesnego popołudnia obaj przebywali tam, gdzie denat, a więc mieli sposobność i czas. Dodatkowo z niektórych wypowiedzi pracowników wynikało, że Sołtysiuk mógł być ostatnią osobą, która widziała Groszkowskiego.

Komisarza zastanawiało, czy Sołtysiuk i Orłowski działali razem w zakresie zawyżania faktur, czy każdy z osobna i czy to przypadek, że robili to samo. Jeśli działali razem, to czy mogli zaplanować zabójstwo?

Wątek wspólnego zabójstwa wydawał się Kłopockiemu interesujący, jednak szybko go porzucił, nie znajdując wspólnych motywów obu podejrzanych. Każdy z nich działał w innym mieście i w innym obszarze. Orłowski zajmował się marketingiem z poziomu centrali, Sołtysiuk był dyrektorem oddziału i zajmował się głównie pracą handlowców, serwisantów oraz pracowników administracyjnych, a z marketingiem nie miał nic wspólnego. Nie obsługiwali tych samych kontrahentów, nie mieli wspólnych zadań czy klientów.

Po analizie wszystkich za i przeciw Kłopocki stwierdził, że obu podejrzanych nie można zarzucić nic konkretnego. Miał tylko silne przeczucie i żadnych realnych dowodów na poparcie swoich przypuszczeń. Postanowił, że na wszelki wypadek dokładniej przyjrzy się obu potencjalnym podejrzanim.

Z nieskrywaną niechęcią zaczął pisać wniosek o wgląd do kont bankowych, ksiąg wieczystych i danych urzędu skarbowego. Na sam koniec zostawił sobie spisanie wniosku o całodobową obserwację prewencyjną - liczył, że jeśli są winni, to będą musieli popełnić jakiś błąd, gdy zorientują się, że policja prowadzi śledztwo w sprawie o morderstwo.

## **Piątek, dwudziesty dziewięty kwietnia, Berlin**

Po siedmiu godzinach podróży autostradą zobaczył znak wskazujący, że jest prawie u celu. Z autostrady numer sto jedenaście zjechał prawym pasem na długą betonową estakadę opadającą łagodnie w kierunku berlińskiego lotniska Tegel. Spojrzał na zegar umieszczony na centralnej konsoli dziesięcioletniego Forda Explorera. Dochodziła szósta rano. Jechał prawie całą noc, z jednym tylko postojem w Poznaniu, gdzie zatrzymał się na posiłek i rozprostowanie kości. Gdy zamawiał jedzenie w całodobowym McDonalddie, gość za kasą dziwnie mu się przyglądał i wymownie spoglądał na zegarek, dziwiąc się, że w środku nocy ktoś zamawia dwa powiększone zestawy Big Mac. Gawiński nic sobie nie robił z wymownego spojrzenia i gestu pracownika restauracji. W myślach usprawiedliwiał tę późną porę kolacji (albo śniadania) adaptacją do nowej strefy czasowej. Poza tym wolał zjeść coś według niego normalnego, ponieważ spodziewał się, że na pokładzie samolotu dostanie jakieś sztuczne jedzenie bez smaku i zapachu. Tam, gdzie się wybierał, był dopiero wieczór. Różnica czasu pomiędzy Europą i Republiką Dominikany wynosiła dokładnie sześć godzin. Tyle samo, ile do Nowego Jorku i giełdy.

Na samo wspomnienie giełdy poczuł niepokój w żołądku – bliżej nieokreślone uczucie niebezpieczeństwa, które odczuwał od momentu wizyty nieznanego mężczyzny w jego mieszkaniu, która miała miejsce kilka dni wcześniej. Z każdym dniem potęgowało się jego wrażenie, że od samego początku układ ze Stanisławem Groszkowskim nie do końca był legalny i nie należał do bezpiecznych. Zniknięcie mocodawcy i wizyta tajemniczego mężczyzny tylko spotęgowały to wrażenie. Pomimo to działał zgodnie z wcześniej ustaloną procedurą i dlatego znalazł się w Berlinie, a przed nim rozpościerał się obszerny budynek hali odlotów lotniska Tegel i wielopoziomowy podjazd na różne poziomy obiektu.

Od razu zorientował się, że ruch przed lotniskiem odbywa się po ogromnym okręgu, a parking znajduje się na samym początku, jeszcze przed tym okręgiem.

Skręcił w prawo, jednocześnie wciskając hamulec, i skierował się w stronę bramek wjazdowych na długoterminowy parking dla pasażerów. Pobrał bilet wjazdowy i gdy przejechał za szlaban, zorientował się, że na parterze nie znajdzie miejsca. Skręcił w prawo i skierował auto do rampy prowadzącej na wyższy poziom.

Pierwsze promienie porannego słońca wpadały na parking i odbijały się od dachów zaparkowanych aut, tworząc świetliste refleksy na suficie.

Na drugim poziomie wypatrzył puste miejsce. Znajdowało się daleko od wejścia do windy. Jechał powoli po ułożonych pod różnymi kątami wielkich betonowych płytach, które tworzyły podłogę. Stalowo-betonowa konstrukcja wibrowała pod kołami jego SUV-a. Parking wyglądał jak tymczasowa konstrukcja wzniesiona niskim kosztem, bez solidnych fundamentów.

Podjechał do pustego stanowiska i wprowadził auto pomiędzy linie wyznaczające miejsce parkingowe. Wyłączył silnik i opadł na fotel. Chciał odpocząć po nocnej jeździe. Do odlotu miał jeszcze ponad trzy i pół godziny. Postanowił, że kwadrans w pozycji półleżącej mu nie zaszkodzi, a na pewno pomoże zrelaksować się i odzyskać siły. Był tak zmęczony, że

nie zauważył, jak na miejscu po drugiej stronie alejki parkuje terenowe bmw z czarnymi szybami, ale nikt z niego nie wysiada.

Kwadrans minął błyskawicznie - tak mu się przynajmniej wydawało. Gawiński otworzył drzwi i wysiadł. Stał na betonowej posadzce garażu. W pierwszym odruchu wyciągnął ręce ku górze, przeciągając się jak po wstaniu z łóżka.

Sięgnął do wnętrza auta i wyjął saszetkę z dokumentami, paszportem i portfelem oraz telefon komórkowy. Zatrzasnął drzwi i skierował się w stronę bagażnika. Walizka oraz podróżna torba służąca za podręczny bagaż były wypakowane po same brzegi. W ramach limitu wagowego (dwadzieścia pięć kilogramów podstawowego bagażu rejestrowego i pięć kilogramów bagażu podręcznego) musiał zmieścić wszystkie ubrania i potrzebne rzeczy, które miały mu wystarczyć na długi pobyt nad Morzem Karaibskim.

Sięgnął do wnętrza bagażnika, aby wyjąć walizkę.

Prawdopodobnie nic nie poczuł. Cios spadł tak szybko i był na tyle silny, że wystarczył, by zmiażdżyć podstawę czaszki i uszkodzić rdzeń kręgowy. Świst krótkiej stalowej pałki trwał tylko ułamek sekundy. Całe ciało Gawińskiego stało się miękkie jak guma, nie kontrolował żadnego mięśnia.

Napastnik wiedział, czego spodziewać się po tak silnym uderzeniu i był na to przygotowany. Od razu po zadaniu ciosu chwycił opadające ciało i pchnął je w kierunku wnętrza bagażnika. Zwłoki z głuchym odgłosem padły na twardą i szorstką podłogę forda, tuż obok walizki i podręcznej torby.

Atakujący z bocznej kieszeni czarnych spodni wyciągnął podłużne pudełko, otworzył je i z wnętrza wydobył igłę. Wbił ją w ramię Gawińskiego bezpośrednio przez ubranie. Wcisnął tłok strzykawki, opróżniając ją w całości. Odczekał dziesięć sekund, po czym dwoma palcami sprawdził tętno na szyi leżącego w bagażniku mężczyzny. Nic nie wyczuł. Uśmiechnął się. Dobrze wykonał swoją robotę.

Opuszczenie parkingu i oddalenie się z tego miejsca było dla niego tylko formalnością.

## **Piątek, dwudziesty dziewięty kwietnia, Warszawa**

Pora drugiego śniadania w bufecie biurowca Wadeksu oznaczała czekanie w kolejce do kasy. Nie miało znaczenia, co zamawiało się do jedzenia. Dla niektórych był to pierwszy posiłek, dla innych drugie śniadanie, a dla tych, którzy wstawali bardzo wcześnie, pora lunchu. Tak było i tym razem. Długi rząd ludzi z tacami stał wzdłuż lady, za którą uwijały się panie w białych kuchennych fartuchach.

Niektórzy wychodzili na przerwę parami lub grupami, inni woleli spędzić ten czas w samotności. Orłowski nie miał jednego utartego schematu odwiedzania biurowej jadłodajni, którą popularnie zwali paśnikiem. Czasem wychodził z kolegami ze sprzedaży, czasem ze swoimi pracownikami z działu marketingu, a czasem sam.

Tym razem był sam, pogrążony w myślach do tego stopnia, że przez pierwsze kilka sekund nie zorientował się, że dzwoni jego telefon w kieszeni spodni. Wydobył go jedną ręką, drugą trzymając tacę z jedzeniem. Właśnie przesuwiał się w kierunku stanowiska z kompotami.

Spojrzał na wyświetlacz komórki.

- Cześć, Łukasz - powitał kolegę z firmy, dyrektora oddziału w Poznaniu.

- Hejka - odparł Sołtysiuk. - Co tam w centrali? Jak nastroje?

- Na razie minorowe. Wszyscy chodzą z nosami na kwintę, odkąd ktoś z policji powiedział, że Groch został zamordowany.

- No nie dziwię się...

- Zresztą po budynku cały czas łążą ci ludzie z policji. Najpierw wypytywali nas o różne rzeczy i każdego brali do sali konferencyjnej, a później sprawdzali z zarządcą budynku czytniki naszych kart. Chcieli wiedzieć, kto gdzie wchodził i takie tam.

- Taaaa... u mnie też byli. Chcieli się dowiedzieć, jak wyglądało moje ostatnie spotkanie z Grochem. Mówili nawet, że wiedzą, że tylko ty i ja się z nim kłóciliśmy.

- Czekaj, a czy innych też sprawdzali? - Orłowski przerwał koledze.

- Jakich innych?

- No wiesz, innych dyrektorów, na przykład Tomka z Łodzi albo Konrada z Wrocławia? Przecież oni też byli wtedy w Warszawie w biurze, kiedy było spotkanie dyrektorów.

- No właśnie to jest dziwne. Pytałem o to, ale żadnego z chłopaków nie odwiedził nikt z policji.

- Trochę to dziwne.

- Dziwne jak cholera. Tak jakby nas o coś podejrzewali.

- No coś ty?! - odparł od razu zdziwiony Orłowski. - A niby o co?

- Nie wiem, ale wydaje mi się, że od tamtego czasu ktoś za mną czasami łązi - ciszej powiedział Sołtysiuk. - Mam takie jakieś przeczucie.

- Dziwne to wszystko.

- Może i dziwne, ale na pewno trzeba o tym pogadać.

- No to kiedy będziesz w stolicy?

- Nie wiem jeszcze, ale dam ci znaka.
  - Okej. To tymczasem.
  - No tymczasem i oglądaj się za siebie, żeby nikogo nie przylepili ci do tyłka - powiedział na zakończenie dyrektor z Poznania.
- Orłowski się zamyślił.

## **Piątek, dwudziesty dziewiąty kwietnia, Warszawa**

- Cześć, Rafał. - Kłopocki usłyszał w telefonie znajomy głos sekretarki wydziału kryminalnego.

- Hejka, co tam? - odparł, jednocześnie zmieniając biegi w samochodzie i pas ruchu. Był w drodze do pracy i był mocno spóźniony. Korek, w którym stał, wydawał się nie mieć końca.

- Mam dla ciebie wyniki z techniki. Chodzi o... - Kobieta zawiesiła głos i Kłopocki przez chwilę słyszał, jak przekłada kartki. - Już mam. To sprawa Groszkowskiego, pokój w podziemiu biurowca na Garażowej.

- Super, przeczytaj mi proszę, co tam napisali.

- Okej - odparła i ponownie usłyszał szelest kartek. - Ślady daktyloskopijne dwóch osób... obie w bazie danych... Stanisław Groszkowski, to chyba ten zmarły... Marek Gawiński, notowany za *fraud* <sup>9</sup> elektroniczny, włamanie na serwery... Opracował jakiś system kradzieży danych kart kredytowych... No ogólnie z wydruku z bazy wynika, że te drugie odciski to jakiś człowiek od przestępstw komputerowych w internecie. Na końcu jest jeszcze napisane, że w pomieszczeniu pracowały co najmniej cztery lub pięć komputerów i że była w nim szafa rakowa umożliwiająca połączenie komputerów w układ serwerów. Znaleźli też włosy i mają je zachowane na wypadek, gdyby trzeba było zrobić odczyt DNA.

- Masz tam adres tego Gawińskiego?

- Tak, Bernardyńska dwadzieścia osiem, mieszkanie numer siedemdziesiąt trzy.

- Dzięki. - Kłopocki rozłączył się i wrzucił kierunkowskaz. Zdecydował, że od razu pojedzie do człowieka, który miał coś wspólnego z działalnością Groszkowskiego, o której nikt w Wadeksie nie wiedział. To mógł być jakiś trop, ale mogła to być również ślepa uliczka. Zainteresowało go to, że ktoś powiązany z Groszkowskim miał wcześniej problemy z prawem. Potencjalnie czyniło go to podejrzanym o możliwe przyczynienie się do zgonu dyrektora finansowego.

Zmiana celu podróży była dla niego wybawieniem z niekończącego się sznura aut sunących przez centrum miasta. Pół godziny później stał przy domofonie i wystukiwał numer mieszkania informatyka. Gdy po trzeciej próbie nikt nie otworzył drzwi, wybrał połączenie z ochroną budynku. Od razu został wpuszczony do środka. Uprzejmy starszy pan w pomieszczeniu z monitorami pokazującymi obraz z kamer w budynku nie znał Gawińskiego, ale skierował komisarza do dozorca, który okazał się skarbnicą wiedzy o lokatorach apartamentowca. W pięć minut, bez okazywania legitymacji służbowej, dowiedział się, że Gawiński był singlem, miłośnikiem pizzy z owocami morza, pepsi oraz panienek z agencji z sąsiedniego budynku, a najbardziej rudej o imieniu Ewelina.

- Ale on chyba wyjechał - w pewnym momencie powiedział dozorca.

- Skąd pan wie?

- Oddał wczoraj ten wynajęty samochód, co parkował na swoim miejscu w podziemiu, i przyjechał terenowym. Później zniósł walizki i torby i wyjechał przed wieczorem.

- A wie pan może, dokąd pojechał i na jak długo?
- Ja to nie, ale może właściciel mieszkania będzie wiedział...
- Właściciel? - Kłopotcki wszedł mu w słowo.

- No tak, bo to mieszkanie to on tylko wynajmuje od takiego jednego, co ma apartament na samej górze.

Kłopotcki nie zamierzał nie skorzystać z takiej szansy. Razem z dozorcą pojechał do właściciela mieszkania. Właściciel nie miał pojęcia, dokąd mógł pojechać jego lokator, ale po obejrzeniu policyjnej legitymacji zaproponował wejście do mieszkania. Szybko odnalazł klucze i zjechali razem na niższe piętro.

Mieszkanie sprawiało wrażenie uporządkowanego, ale nie opuszczonego. Kłopotcki zaczął od łazienki. Szybko stwierdził, że po kosmetykach zostały tylko puste miejsca w łazienkowej szafce i ślady na półkach. Nie było maszynki do golenia, żadnego dezodorantu ani kremu. W pokoju na stole zidentyfikował miejsce, na którym wcześniej prawdopodobnie stał laptop. Obok pustego miejsca po komputerze stała drukarka. Schylił się do plastikowego kosza na śmieci, podniósł go i całą zawartość wyrzucił na stół, zanim właściciel mieszkania zdążył zaprotestować. Tylko dozorca, który cały czas towarzyszył im w roli milczącego świadka, stał przy drzwiach i przyglądał się wszystkiemu bez emocji. Zapewne liczył na to, że niedługo będzie mógł opowiedzieć komuś o policjancie przeszukującym apartament informatyka.

Kłopotcki przyglądał się zawartości kosza. Poza papierkami od batonów i dwoma puszkami po pepsi było tam mnóstwo

pogiętych kartek. Jedną po drugiej wyjmował je ze stosu i rozprostowywał. Niefrasobliwy lokator nie podał wydruków, tylko gniótł je w kulki, po czym wrzucał do kosza.

- Znalazł pan coś? - spytał właściciel z odrobiną zniecierpliwienia w głosie, jakby obawiał się, że przeszukiwanie śmieci przekracza jego uprawnienia jako wynajmującego.

- Chyba pana lokator wyjechał na dłuższy urlop. - Kłopotcki wskazał na pomięte wydruki. - Tutaj są wydruki trasy z Warszawy do Berlina i mapa lotniska Tegel w Berlinie. A z kolejnych wynika, że pan Gawiński szukał kilkutygodniowego urlopu na Dominikanie.

- Faktycznie - powiedział właściciel mieszkania, pochylając się nad stołem z rękami splecionymi za plecami, jakby bał się cokolwiek dotknąć i zostawić swoje odciski palców.

- I chyba nie planował tego wyjazdu - dodał Kłopotcki, otwierając drzwi lodówki. - Jedzenia jest co najmniej na tydzień, a przed wyjazdem nikt nie robi takich zakupów.

Gdy odsunął się od lodówki, obu mężczyznom ukazało się wewnątrz całkowicie wypełnione produktami spożywczymi. Dla wszystkich było oczywiste, że Kłopotcki ma rację.

- Powiedział pan - inspektor zwrócił się do dozorca - że Gawiński przyjechał wczoraj do domu terenówką, tak?

- Tak - odparł dozorca.

- Jaki to samochód? Czy ma pan może numer rejestracyjny?

- Terenowy Ford Explorer. Taki sprowadzany z Ameryki. Nawet tylne światła ma całe czerwone, i migacze.

- A kolor? Numer?

- Kolor taki nijaki, a numer to będzie zapisany w biurze, bo każdy mieszkaniec zgłasza, jaki samochód będzie parkował. Jak zapomni pilota, to znamy numer i możemy wpuścić. Mamy taki guzik do ręcznego otwierania bramy.

Kłopotcki nie potrzebował więcej. Pięć minut później, z numerem rejestracyjnym auta zapisanym na samoprzylepnej kartce, ruszył w kierunku swojego samochodu. Jadąc do

biura, wybrał numer sekretariatu wydziału kryminalnego i poprosił o przygotowanie wniosku do niemieckiej policji w Berlinie z prośbą o pomoc w ustaleniu, czy Marek Gawiński był na liście pasażerów lecących na Dominikanę i czy jego auto pojawiło się na którymkolwiek parkingu. Miał nadzieję, że wszystkie parkingi w okolicy lotniska Tegel są wyposażone w system automatycznego rozpoznawania i zapisu tablic rejestracyjnych.

Wszystko wskazywało na to, że informatyk wyjechał z Warszawy dość nagle i że nie planował tego wyjazdu. Jeśli faktycznie tak było - zastanawiał się Kłopotcki, pocierając intensywnie ciemny zarost na brodzie, tak jak zawsze, gdy był zatopiony we własnych myślach - to co skłoniło go do takiej decyzji? Czyżby coś go spłoszyło? Czy miał jakiś związek ze śmiercią Groszkowskiego i przestraszył się, że śledztwo prowadzone jest w kierunku morderstwa? Tylko skąd się o tym dowiedział? Kłopotcki miał nadzieję, że berlińska policja pomoże mu znaleźć jakieś sensowne wyjaśnienie.

Ciągle nie rozwiązała się kwestia sprzętu z magazynku. Komputery, które pracowały w podziemnym pomieszczeniu biurowca Wadeksu, wynajmowanym przez ofiarę morderstwa, zniknęły. Gawiński wywiózł je wynajętym samochodem, ale nie wiadomo dokąd, tak samo jak nie wiadomo, do czego służył ten sprzęt. Kłopotcki miał nadzieję, że w biurze czeka na niego informacja na temat auta i wypożyczalni.

Wcisnął mocniej pedał gazu, żeby szybciej dojechać na miejsce.



## **Piątek, dwudziesty dziewiąty kwietnia, Paryż**

Obudziła się. A raczej coś ją obudziło. Jakiś ruch.

W pokoju ktoś był.

Kompletna, idealna czerń spowijała wnętrze pomieszczenia. Leżała na ogromnym hotelowym łóżku pod satynową kołdrą. W myślach przeklinała się za zaciągnięcie ciężkich kotar na i tak zasłonięte żaluzjami okna. Zrobiła to poprzedniego wieczoru, gdy tylko weszła do hotelowego pokoju. Była potwornie zmęczona podróżą. Najpierw lot z Warszawy do Berlina, a stamtąd do Paryża. I jeszcze całą podróż musiała spędzić sama - bez towarzystwa. Dorota, tak jak to wcześniej uzgodnili, wyleciała z Warszawy. Początkowo zakładali, że spotkają się na lotnisku Schoenefeld w południowym Berlinie i dalej polecą razem. Dopiero gdy siedziała pod bramką na lotnisku Chopina, dostała lakonicznego SMS-a: „Spotkamy się na miejscu. Sprawa pilna. Wyjaśnię”. W pierwszym odruchu krew się w niej zagotowała ze złości. Ten cały wyjazd to był jego pomysł, a teraz miała sama podróżować i czekać na nie wiadomo co. Nie miała ochoty na zakupy, a tym bardziej na samotne siedzenie w hotelu. Ich jedyny, ściśle wyznaczony punkt tego wyjazdu przypadał na sobotnie popołudnie. Mieli spotkać się z właścicielami fabryki nakłuwaczy medycznych. Właściciele chcieli sprzedać fabrykę z zamiarem przejścia na emeryturę. Ona zaś, ze swoimi pieniędzmi ze spadku, miała stać się właścicielem głównego pakietu akcji. Wszystko wyglądało poprawnie i bezpiecznie. Fabryka istniała już dwunasty rok i z każdym rokiem zwiększała zarówno produkcję, jak i sprzedaż. Wszystkie dokumenty, które dostała, wyglądały fantastycznie. Czuła, że jest gotowa na to nowe wyzwanie.

Samolot wylądował w porcie Charles De Gaulle o czasie. Błyskawicznie przemknęła przez odprawę i z jedną walizką bagażu podręcznego popędziła w kierunku postoju taksówek. Miała swój własny plan na dokończenie dnia. Jeszcze na lotnisku w Berlinie wyszukała w internecie interesujące ją adresy, wykonała kilka telefonów i umówiła sobie trzy spotkania. Kierowca taksówki, Algierczyk nie tylko z wyglądu, ale również z akcentu, obdarzył ją szerokim uśmiechem, gdy zobaczył kartkę z odręcznie skreślonymi adresami. Po drodze do hotelu mieli trzy przystanki w trzech różnych częściach miasta - dla niego oznaczało to spory zarobek.

Do hotelu dotarła dopiero o dwudziestej trzeciej. Jego jeszcze nie było. Wiadomości również nie było. Wzięła szybki prysznic w gorącej wodzie, zmusiła się do zjedzenia kilku winogron z patery stojącej w pokoju i położyła się do łóżka, zasypiając od razu, gdy tylko jej głowa zetknęła się z poduszką.

Teraz poczuła ruch w dolnej części łóżka. Ktoś lub coś stanęło tuż obok jej stóp. Kolejny ruch i poczuła, że materac ugina się tuż obok jej prawej nogi. Starła się spokojnie oddychać, co było utrudnione przez fakt, że leżała na brzuchu.

Następny ruch tuż obok jej barku. Poczuła, jak męskie ciało powoli przygniata ją do prześcieradła.

Poczuła woń perfum. Bez trudu rozpoznała ten słodki i lekko drażniący zapach - coś, co kojarzyło jej się z Indiami, pomarańczą i ciepłem kominka w zimowy wieczór.

Gdy zapadała się w tę znajomą woń, silna dłoń przesuwiała się od biodra w kierunku brzucha i wyżej w kierunku piersi. Tuż nad lewym uchem poczuła jego oddech, a po chwili delikatne muśnięcie językiem. Była już całkiem wybudzona ze snu. Zaczęła się poddawać tym pieszczotom. Pozwoliła swojemu mężczyźnie leniwie pieścić wszystkie wybrane przez niego miejsca. Podczas gdy on rozpalał ją coraz bardziej, ona bawiła się kosmykiem jego włosów i tylko delikatnym mrużeniem wyrażała aprobatę dla jego działania.

Zdecydowanie podobało jej się to, co robił. Stęskniła się za nim. Całe ciało było stęsknione. On też o tym wiedział, a teraz, spoczywając z głową pomiędzy jej udami, miał tego dodatkowy dowód.

Z każdą minutą poświęcał jej coraz więcej energii i z coraz większą intensywnością pieścił jej czułe miejsce. Jego drogowskazem i zachętą było przeciągłe mrużenie, które stawało się coraz głośniejsze. W pewnym momencie chwyciła go mocniej za włosy i przycisnęła do łona, jednocześnie zastygając w bezruchu. Wydała z siebie przeciągły stłumiony jęk, po czym przyciągnęła jego twarz do swojej, objęła nogami w pasie i jak zapaśnik przekręciła go zwinnie na plecy.

Teraz był czas intensywnych doznań dla obojga. Uniosła jego dłonie za głowę i trzymając je tam, rozpoczęła kołysanie biodrami. Powoli unosiła się i opadała, bardzo dokładnie obserwując jego reakcje. Co jakiś czas zębami przygryzała sutki na jego torsie. Gdy miała pewność, że oboje są na to gotowi, usiadła na nim swobodnie i pozwoliła mu wypełnić siebie. Pociągnęła jego ręce do swoich piersi i pozwoliła, aby je pieścił, podczas gdy ona cały czas poruszała biodrami w rytm jego ciała.

## **Piątek, dwudziesty dziewiąty kwietnia, Waszyngton**

Kiedy Sarah Townsend zdecydowała się na pracę dziennikarki, wiedziała, że będzie musiała przezwyciężyć strach przed lataniem. Nie można robić dobrego dziennikarstwa na światowym poziomie i pracować dla największych wydawców w kraju, nie przemieszczając się szybko lotniczym transportem. W tak dużym kraju jak Stany Zjednoczone była to jedyna opcja. Po kilku latach pracy zdążyła się już do tego na tyle przyzwyczać, że nie potrzebowała leków przed podróżą. Tak naprawdę nigdy, nawet przed samą sobą, nie określiła dokładnie, czy to, co czuje, to strach czy jakaś forma choroby lokomocyjnej. Niezależnie od tego, co to było, poczuła ulgę, gdy samolot wylądował na waszyngtońskim lotnisku.

Wyjście z terminala zajęło jej kilka minut, ponieważ podróżowała tylko z niewielkim bagażem podręcznym. Podeszła do pierwszej taksówki z długiego rzędu aut stojących przy krawężniku. Kierowca nawet nie pofatygował się, żeby otworzyć bagażnik. Rzuciła więc torbę na siedzenie, po czym z ulgą opadła na tylną kanapę.

Droga przez miasto upływała powoli. W gęstym ruchu tracili cenne dla niej minuty. Z jednej strony nie chciała spóźnić się na spotkanie z poważanym, wieloletnim senatorem. Z drugiej, co jeszcze bardziej motywowało ją do szybkiego spotkania, miała swój plan na przeprowadzenie rozmowy i była zdeterminowana, żeby go zrealizować.

Przed willą republikańskiego senatora podjechała pięć minut przed umówioną godziną. Taksówce pozwolono wjechać na teren posiadłości pod same drzwi wejściowe. W momencie, w którym postawiła stopy na żwirze pokrywającym podjazd, w drzwiach pojawiła się młoda kobieta ubrana na czarno i przepasana białym fartuchem.

Chwilę później Sarah siedziała na obszernej kanapie w bibliotece urządzonej w kolonialnym stylu, niezwykle pasującej do okazałej rezydencji, w której dominowały kamień i drewno okraszone olejnymi obrazami i rzeźbami z różnych epok. Na sporym drewnianym stole kawowym stojącym przed nią ta sama dziewczyna postawiła dzbanek i dwie filiżanki do herbaty.

- Witam, panno Townsend. - Senator wszedł bocznym wejściem, obdarzając ją swoim wystudiowanym uśmiechem, którym przez wiele lat oczarowywał wyborców na partyjnych wiecach. - Ile to się nie widzieliśmy? Rok? Dobrze pamiętam?

- Świetna pamięć, senatorze - odparła, odwdzięczając się uśmiechem. - Widzieliśmy się rok temu na wiosnę. Wywiad po konferencji prasowej na temat nowej ustawy o bezpieczeństwie.

- Tak, trudna ustawa. To był wielki sukces, że przeszła. Herbaty? - chwycił dzbanek z tacy i zaczął nalewać, nie czekając na jej odpowiedź.

- Dziękuję.

- Z tego, co pamiętam, dziś też chciała pani porozmawiać o kwestiach bezpieczeństwa narodowego? - Spojrzał jej w oczy, po czym uśmiechnął się i kontynuował: - Tylko proszę mnie nie zmuszać do ujawniania żadnych tajemnic państwowych.

Ponownie obdarzył ją wystudiowanym uśmiechem w oczekiwaniu na pytania.

Sarah wzięła głęboki oddech.

- Tak, chodzi o sprawy kontrwywiadu.

- Ooo, w takim razie nie wiem, czy jestem właściwym rozmówcą - przerwał jej żartobliwie.

- Chciałabym porozmawiać o ostatnich ruchach w Europie...

- Panno Townsend, to nie moja działka - ponownie jej przerwał.

- ...i akcji „Wodospad” - dokończyła Sarah.

Senator gwałtownie odchylił się do tyłu, obdarzając ją przenikliwym, chłodnym spojrzeniem.

- Nie powinna pani w ogóle wiedzieć o tej operacji - powiedział po chwili, ciszej niż poprzednio. Zauważyła, że mocniej zacisnął szczękę, a na jego skroni pojawiła się intensywnie pulsująca żyła.

- A jednak o niej wiem, senatorze. Wiem też, że operacja „Wodospad” jest kontynuacją poprzedniej operacji pod nazwą „Lornetka” i że ta zmiana oznacza, że wydarzyło się coś ważnego. A ja jestem tu po to, aby się dowiedzieć, co to takiego i jaki to ma wpływ na bezpieczeństwo naszego kraju - wyrzuciła z siebie jednym tchem.

Senator wstał z sofy i podszedł do barku stojącego w rogu pokoju. Nalał sobie whisky do szklanki, nie oferując poczęstunku dziennikarce. Duszką wychylił całą zawartość szklanki, po czym nie odwracając się od barku, powiedział:

- Wiedza, którą pani posiada, panno Townsend, może być groźna, bardzo groźna...

- Co pan ma na myśli, senatorze, bo zakładam że to nie jest groźba?

- Tylko to, co powiedziałem - odparł patrząc w okno i znajdujący się za nim ogród. - Proszę na siebie uważać. To nie jest taka sprawa jak poprzednia, którą się pani zajmowała.

Sarah uniosła brwi ze zdziwieniem. Sądziła, że człowiek zajmujący się sprawami wagi państwowej nie będzie znał szczegółów jej dziennikarskiej kariery.

- Proszę się nie dziwić. Muszę wiedzieć takie rzeczy. To moja codzienna praca.

- Senatorze, pomimo to chciałabym wiedzieć więcej. Co pan wie o akcji „Wodospad”? Czemu jest ona taka ważna i jaki jest pana związek z tą operacją kontrwywiadu?

Mężczyzna podszedł do kanapy i stając na wprost dziennikarki, wyciągnął do niej dłoń.

- Miło było panią gościć w moim domu.

Sarah Townsend wstała. Przed spotkaniem szacowała, że na dziewięćdziesiąt pięć procent właśnie w ten sposób potoczy się ich rozmowa. Nie myliła się, ale też nie taki był jej cel. Liczyła na coś jeszcze.

- Dziękuję, senatorze.

Ściskając jego dłoń, spojrzała mu głęboko w oczy. Nie zobaczyła w nich nic poza wielkim chłodem i surowością wyrazu, która kompletnie nie korespondowała z uprzejmym i serdecznym powitaniem na początku spotkania.

Gdy wypuszczono ją z rezydencji polityka, betonowym podjazdem skierowała się w kierunku bramy wjazdowej. W połowie drogi wyciągnęła z torby telefon i udała, że wybiera numer korporacji taksówkowej i zamawia transport. Rozłączając się, aby wyglądało to naturalnie, spojrzała na zegarek, tak jak czyni to większość ludzi po zamówieniu taksówki.

Wyszła przez bramę, którą otworzył dla niej ktoś z domu, zapewne obserwujący jej ruch po podjeździe. Skierowała się na przeciwną stronę ulicy i odeszła niedaleko, aby nie było jej widać z okien domu senatora.

## **Piątek, dwudziesty dziewięty kwietnia, Warszawa**

- Rafał! - Sekretarka wydziału kryminalnego stała w otwartych drzwiach jego pokoju.  
- Telefon do ciebie. Z Niemiec dzwonią.

- Kto?

- To chyba ta sprawa informatyka Wadeksu.

Komisarz ruszył do pokoju szefa. Na biurku sekretarki leżała odłożona słuchawka.

- Halo.

- Komisarz Kłopocki? - spytał po angielsku głos z drugiej strony linii.

Przedstawił się. Rozmówcą był jego odpowiednik z berlińskiej policji. Od razu wyjaśnił, że chodzi o morderstwo. Człowiek, którego w ramach pomocy operacyjnej poprzez niemiecką policję próbował namierzyć Kłopocki, nie żył. Auto Marka Gawińskiego odszukano na podstawie tablic rejestracyjnych, które są rejestrowane automatycznie przez kamery obserwujące wjazd na parking. Gawiński miał odlecieć porannym lotem z Berlina na Dominikanę. Gdy tylko udało się zlokalizować auto na lotniskowym parkingu, wysłano tam patrol, który szybko ustalił, gdzie dokładnie zaparkowany jest samochód Gawińskiego. Policjanci podjęli rutynowe działania. Wyszli z radiowozu i zaczęli oglądać pojazd. Gdy jeden z nich chwycił za klamkę, okazało się, że samochód jest otwarty. Na przednim siedzeniu pasażera policjanci zauważyli paszport, wydrukowany bilet elektroniczny linii LTU oraz kluczyki wyjęte ze stacyjki. To wzbudziło ich podejrzenia, bo w pobliżu auta nikogo nie było, a wchodząc na parking, nikogo nie mijali i nie było opcji, żeby ktoś przedostał się obok nich niezauważony. Policjanci otworzyli bagażnik forda i znaleźli Marka Gawińskiego. Zdjęcie z paszportu na przednim siedzeniu potwierdzało, że to on. Nie żył od co najmniej dwunastu godzin.

Niemiecki policjant zapewnił Kłopockiego, że zabezpieczyli nagrania z monitoringu i że z tego, co było na nich widać, w tym czasie z parkingu wychodził tylko wysoki mężczyzna w czarnym kapturze i okularach przeciwsłonecznych.

- No to kurwa niewiele - powiedział Kłopocki, odkładając słuchawkę po zakończeniu rozmowy. - I do tego niezły pasztet.

## **Piątek, dwudziesty dziewięty kwietnia, Edynburg**

- Dlaczego tu? Nie było innego miejsca? - spytał po angielsku.

Irlandzki akcent wybrzmiewał w każdym wyrazie, który wypowiadał.

Carcasse spojrział na jego wielkie ciało skryte pod obszerną czarną bluzą. Faktycznie miejsce na spotkanie wybrał osobliwe i dogodne tylko dla niego. Ponad dwumetrowy dryblas nie pasował do wąskich i niezwykle niskich korytarzy edynburskiego Scots Monument.

- Tutaj mamy to, czego nam teraz potrzeba - również po angielsku odparł Carcasse, wskazując na panoramę miasta i królewskiego zamku, rozświetloną iluminacjami podkreślającymi najważniejsze walory architektoniczne. - Jest spokojnie, można porozmawiać i nie ma świadków.

Stali na jednej z zewnętrznych galerii wieży, która w średniowieczu była doskonałym punktem obserwacyjnym na przedpolach królewskiego zamku. Rycerze, którzy pełnili tu służbę, byli w stanie dostrzec zbliżające się wojska i zawnocześnie mogli ostrzec króla i mieszczan przed atakiem.

Carcasse zaciągnął się wilgotnym, zimnym powietrzem.

- W Warszawie i w Berlinie sprawiłeś się bardzo dobrze. To da nam trochę czasu, żeby załatwić najważniejszą sprawę.

- Okej, więc co teraz?

Carcasse pochylił się, aby oprzeć przedramiona na poręcz galerii.

- Musisz odzyskać to, czym opiekował się Groszkowski. Tylko on miał w pieczy całe archiwa. Był naszym skarbnikiem. Wiemy, że zostawił wszystko córce. Wszystkie te czki zamienił na cyfrową wersję i wgrał na trzy dyski. Żeby odtworzyć to, co na nich jest, trzeba je połączyć i znać klucz odcodowujący. Dostęp do dysków ma tylko jego córka. Każdy dysk powierzył komuś innemu, ludziom, których znał ze starych czasów, a oni wydadzą je tylko dziewczynie.

- A fizyczne dokumenty?

- Nie wiemy, gdzie są. Groszkowski powiedział, że tylko Dorota, jego córka, będzie w stanie do nich dotrzeć.

- Jak mam działać?

- Tak jak dotychczas, likwidujesz tych, którzy mieli dyski, ale dopiero po tym, jak ona je odbierze. Jak już będzie miała wszystkie, zabierasz je.

- A dziewczyna?

- Likwidujesz - odparł Carcasse. - I to nie musi wyglądać na wypadek.

- Jasne.

Carcasse wyciągnął z kieszeni kartkę. Podał ją rozmówcy.

- Po wykonaniu zadania dyski dostarczysz pod ten adres. Tam otrzymasz zapłatę, podwójna stawka tym razem. Środki na bieżące działanie dostaniesz tak samo jak zawsze.

Francuz odwrócił się i bez pożegnania zszedł schodami w dół. Spotkanie było zakończone. Teraz musiał czekać na efekty pracy swojego najbardziej zaufanego człowieka od zadań specjalnych.

## **Piątek, dwudziesty dziewięty kwietnia, Waszyngton**

Sarah stała przed posesją senatora. Nie musiała długo czekać. To, czego się spodziewała i co podejrzewała, właśnie zaczęło się dziać. Skryta w cieniu drzew gęsto porastających zbocze na wprost domu, miała świetny punkt obserwacyjny. Nawet gdyby nagle przyszła ulewa, byłaby świetnie chroniona przed deszczem i podmuchami wiatru przez poszycie z liści i gałęzi, które miała nad głową.

Pół godziny po jej wyjściu senator wyjechał samochodem z posesji. Z reguły jeździł z kierowcą, który mieszkał na terenie posiadłości i był do jego dyspozycji dwadzieścia cztery godziny na dobę. Tym razem jednak senator prowadził sam, co oznaczało, że nie chce, aby ktokolwiek wiedział, dokąd się udaje.

Ten czas wystarczył, aby dać znać człowiekowi, który był z nią umówiony. W nieoznakowanym aucie, które wyglądało jak typowy prywatny samochód matki i gospodyni domowej z przedmieścia, siedziała wraz z kierowcą, który pracował z nią kiedyś w „Los Angeles Times”. Gdy odszedł i przeniósł się na północ do Waszyngtonu, nie wykasowała numeru jego komórki z książki adresowej. Teraz okazało się, że było to bardzo dobre posunięcie. Jeszcze przed wylotem zadzwoniła do niego i poprosiła o pomoc, na co on chętnie się zgodził.

Gdy tylko auto senatora oddaliło się na bezpieczny dystans od bramy wjazdowej, ruszyli za nim. Senator najwyraźniej się spieszył, bo jechał znacznie szybciej niż pozwalały na to przepisy i znaki drogowe. Dwadzieścia minut później zatrzymał się przed okazałym domem na przedmieściach. Zaparkował na ulicy. Kierowca Sary przejechał obok domu i skręcił w następną ulicę, po czym zawrócił i zaparkował w bezpiecznej odległości. Gdy zatrzymali się, senator już wchodził do środka. Po chwili w pomieszczeniu na lewo od wejścia rozbrły światła i senator oraz gospodarz usiedli na kanapie stojącej bokiem do okna.

- Jaki to adres? - spytała Sarah.

Kierowca w odpowiedzi puknął w ekran samochodowego systemu GPS. Sarah wpisała nazwę ulicy do telefonu i dodała numer widniejący na domu, który ją interesował. Po chwili miała to, czego szukała. Dom należał do prawnika, najprawdopodobniej do osobistego prawnika senatora. Nie mogła dowiedzieć się, o czym rozmawiają, ale z artykułów prasowych, które wyświetliły się na ekranie jej komórki, szybko się zorientowała, że adwokat, przed którego domem stała, specjalizuje się w obsłudze polityków z pierwszych stron gazet oraz czołowych działaczy partii republikańskiej.

Kończyła przeszukiwanie drugiej strony wyników na temat prawnika, gdy pod dom podjechało auto. Kierowca zaparkował za tylnym zderzakiem samochodu senatora. Przez chwilę nie wychodził ze środka. Z daleka Sarah zdołała zauważyć, że mężczyzna za kierownicą ma okulary na twarzy.

Gdy otworzył drzwi i stanął w świetle latarni, Sarah zagwizdała cicho przez zęby. Spodziewała się, że senator jest powiązany z kimś ważnym z kręgów wywiadu, ale nie spodziewała się, że będzie to ktoś z samej góry, ktoś, od kogo zależały wszystkie tajne

operacje kontrwywiadu na całym świecie. Od razu zdała sobie sprawę, że skoro na spotkanie przyjechał ten człowiek, to sprawa jest jeszcze bardziej poważna, niż sądziła, a senator, który miał być kandydatem do prezydentury w kolejnych wyborach prezydenckich, jest uwikłany w coś bardzo poważnego.

W książce adresowej telefonu wyszukała numer i wcisnęła zieloną słuchawkę.

- Chyba wkrótce będziemy mogli się spotkać - powiedziała, gdy na drugim końcu linii zostało nawiązane połączenie.



## **Sobota, trzydziesty kwietnia, Warszawa**

Spojrzał na zegarek. Do wyznaczonej godziny spotkania miał jeszcze dużo czasu. Wsiadł na motocykl i odpalił silnik. Cylindry zagrały miarowo wysokimi obrotami. Nie namyślając się, włożył kask i zasunął kurtkę. Wrzucił bieg i już po chwili żółte suzuki mknęło z prędkością prawie stu kilometrów na godzinę po lokalnej drodze.

Trasę do centrum miasta pokonał w niecałe pół godziny. Tak jak kazał mu Łukasz, dla bezpieczeństwa zaparkował na podziemnym parkingu. Była pora sobotniego brunchu. Widział, jak z zaparkowanych samochodów wylewają się rodziny z dziećmi i hałasując, wędrują w kierunku wind, żeby za moment zacząć konsumpcję wszystkiego, co znajduje się w szwedzkim bufecie.

Wsiadł do windy. W powietrzu unosił się mocny zapach parzonej kawy pochodzący z poprzedniego przystanku windy, tuż obok wejścia do restauracji. Wcisnął przycisk piątego piętra. Jego celem był pokój pięć jeden dziewięć – taki numer wysłał mu rano Łukasz. Tylko numer i żadnych dodatkowych wyjaśnień. Z jakiegoś powodu Sołtysiuk był niesamowicie ostrożny, nie chciał wyjawić powodu ani celu spotkania. Orłowski wiedział jedynie, że ma to związek z Grochem i że Łukasz jest w posiadaniu jakichś istotnych informacji.

Stłumiony gong oznajmił, że winda zatrzymała się na właściwym piętrze. Z tabliczki na wprost Orłowski zorientował się, że musi iść w prawo, do ostatniego pokoju w tym korytarzu.

Zapukał do drzwi.

## **Sobota, trzydziesty kwietnia, Mazury**

Pracowali razem przez wiele lat i znali się bardzo dobrze, jednak w ich relacji zawsze dominowała podstawowa zasada agenta kontrwywiadu, żeby nigdy i pod żadnym pozorem nikomu nie ufać. Podejrzliwość i ciągle sprawdzanie – to było to, co wpojono im do głowy na całe życie. Mieli nie ufać żonom, kochankom, przełożonym ani łącznikom. Mieli wykonywać polecenia i rozkazy, lecz nigdy nie ufać.

Nawet teraz, w innych czasach, złączeni wspólnym działaniem, dalecy byli od pełnego zaufania względem siebie.

Mocadowski stał w kuchni z dużym nożem do krojenia warzyw opartym o soczystego pomidora. Przyglądał się, jak jego kolega, pułkownik Dzierzgoński, rozmawia przez telefon na werandzie. Z daleka, oddzielony szybą, słyszał tylko pojedyncze dźwięki rozmowy, fragmenty słów. Dzierzgoński stał do niego tyłem, nie mógł więc czytać z ruchu jego ust. Choć od zakończenia wspólnej pracy dla rządu minęły już ponad dwie dekady, nigdy nie nazywał go w myślach inaczej niż „pułkownikiem”.

- Wszystko załatwione – powiedział Dzierzgoński, gdy skończył rozmowę i wszedł do domu przez frontowe drzwi. Siadł na krześle przy kuchennym stole i przyglądał pomarszczoną dłońią siwe włosy, których cienka warstwa pokrywała jego czaszkę.

- To znaczy?

- Moi ludzie będą po nas za godzinę.

- I co dalej?

Dzierzgoński w odpowiedzi wyjął mapę z podręcznej torby leżącej na stole i rozłożył ją przed sobą.

- Tu. - Wskazał palcem miejsce. - Tu będziemy pracować tak długo, aż wszystkiego się dowiemy i będziemy mogli przejść do następnego etapu.

## **Sobota, trzydziesty kwietnia, Warszawa**

- Rafał, to dla ciebie.

Kłopocki podniósł głowę znad papierów zalegających jego biurko. Nawet nie usłyszał, że ktoś wchodzi do pokoju. Spojrzał na dziewczynę w cywilnym ubraniu i dopiero po kilku sekundach zorientował się, że sekretarka wydziału trzyma w wyciągniętej ręce kilka kartek.

- Dzięki - powiedział, jakby dopiero się obudził.

Dziewczyna wyszła z pokoju. Rzucił okiem na papiery i poczuł, że serce bije mu szybciej. Wydruki z bazy danych pojazdów potwierdzały, że auto, którym Gawiński wywiózł sprzęt elektroniczny z podziemia Wadeksu, należało do firmy Avis zajmującej się wynajmem samochodów. Szybko odnalazł numer telefonu do centrali firmy i ustalił, w którym oddziale Avis może sprawdzić, jaką trasę zarejestrował nadajnik GPS zamontowany w samochodzie wynajętym przez informatyka. Niestety przez telefon nikt nie chciał udzielić takich informacji. Nie pozostało mu nic innego, jak wsiąść w samochód i przejechać na drugi brzeg Wisły, gdzie znajdowało się biuro firmy.

Na miejscu młody pracownik, wyglądający na studenta w trakcie letnich praktyk, przyjrzał się uważnie służbowej legitymacji Kłopockiego, po czym w kilka sekund odszukał auto wynajęte przez Gawińskiego. Po kilku kolejnych kliknięciach na ekranie wyświetliła się mapka z ciemnymi liniami pokazującymi trasę samochodu. Kłopocki po kolei przyglądał się punktom na mapie. Rozpoznał adres Wadeksu, mieszkania informatyka i galerii handlowej blisko jego domu. Tylko jednego adresu nie znał, a samochód zgodnie z zapisem pozycji z komputera pojawił się tam dwa razy, i za każdym razem na więcej niż dwie godziny. Młody pracownik firmy wynajmującej auta na prośbę komisarza wy dobył z systemu dokładny adres, pod którym parkowało wtedy auto. Kłopocki znał to miejsce i wiedział, że są tam stare zabudowania fabryczne.

Nie zwlekając, pożegnał się i ruszył pod adres, gdzie potencjalnie mogły być zmagazynowane przedmioty z podziemnego pomieszczenia wynajmowanego przez Stanisława Groszkowskiego.

Teren dawnej fabryki, miejsca niegdyś ważnego dla władz poprzedniego systemu, otoczony był wysokim płotem i pilnowany przez pracowników ochrony. Choć lata świetności zabudowania miały już za sobą, ciągle prezentowały się monumentalnie. Kłopocki objechał cały teren tylko po to, aby stwierdzić, że było tam co najmniej osiem dużych budynków i jedna brama wjazdowa.

Pokazał swoją legitymację pracownikowi ochrony i zagadnął o Gawińskiego. Ochroniarz miał nie tylko dobrą pamięć, ale i pełny rejestr wjeżdżających aut oraz wchodzących osób. Szybko przewertował karty obszernego zeszytu z ręcznymi wpisami i stuknął palcem w jeden z nich.

- Proszę bardzo - powiedział. - Tutaj ma pan dzień i godzinę wjazdu, a tutaj numer magazynu, do którego jechał.

Kłopocki nie potrzebował nawet patrzeć w swoje notatki. Od razu dostrzegł, że data i godzina wjazdu są zgodne z tymi z nagrań monitoringu w budynku Wadeksu i z rejestrem

systemu GPS firmy wynajmującej auta. Numer rejestracyjny też się zgadzał.

- Czy można tam wejść lub przynajmniej podejść w okolice magazynu? - spytał ochroniarza.

- Oczywiście. To jest średniej wielkości magazyn oddzielony siatką od pozostałych magazynów w tej samej hali.

W kilku zdaniach wytłumaczył komisarzowi, jak podejść do właściwego budynku i jak rozpoznać magazyn, który wynajmował Gawiński.

Budynek niczym nie różnił się od pozostałych. Był tak samo sponiewierany upływem czasu jak cała reszta. Położony najdalej w głębi terenu, zapewniał użytkownikom największą prywatność. Bramę wjazdową i wielkie drzwi wejściowe dzieliło około czterysta metrów. Droga częściowo biegła po resztkach asfaltu, a częściowo po szutrze. Kłopocki zaparkował auto przy rampie obok wejścia do budynku. Wszedł przez uchylone drzwi. Ze środka nie dochodził żaden odgłos. W półmroku panującym we wnętrzu dostrzegł, że przestrzeń budynku podzielono na różnej wielkości magazyny sięgające sufitu. Każdy magazyn miał dwuskrzydłowe drzwi wejściowe z siatki, przy których z boku widniała tabliczka z numerem pomieszczenia. Część najemców od wewnętrznej strony swoich lokali poprzykręcała do siatki wielkie płyty, żeby zasłonić wnętrza swoich schowków i zakryć to, co się w nich znajdowało.

Odszukał magazyn, którego numer podał mu ochroniarz przy wjeździe. Ściany nie były niczym zabudowane. W niewielkiej przestrzeni, pomiędzy dwoma dużymi i wypełnionymi pod sufit magazynami, Gawiński ułożył pudła wywiezione z biurowca Wadeksu. Na drzwiach do magazynu wisiała solidna kłódka. Kłopocki nie miał wątpliwości, że magazyn jest zamknięty. W bladym świetle dochodzącym z sodowej lampy na korytarzu dostrzegł, że wszystkie pudła stoją na paletach i są owinięte przezroczystą folią z rolki. Wyglądało to tak, jakby Gawiński przywiózł pudła i ustawił je na paletach, przygotowując wszystko do jakiegoś dalszego transportu.

Kłopocki niewiele mógł zrobić, wyciągnął więc telefon z kieszeni spodni i zrobił kilka zdjęć, po czym wyszukał numer oficera dyżurnego i zadzwonił. W kilku słowach zreferował, gdzie jest, i poprosił o przydzielenie techników, którzy mogliby zdjąć odciski palców z kłódki i kraty oraz ewentualnie przyjrzeć się pakunkom kamerą na wysięgniku. Miał nadzieję, że w ten sposób znajdzie coś, co dałoby podstawę, by wystąpić do prokuratora o nakaz przeszukania. Dyżurny przekazał mu, że technicy będą w ciągu godziny, bo kończą w innym miejscu.

Aby usprawnić ich przyjazd i skrócić oczekiwanie, Kłopocki wrócił do samochodu i podjechał do bramy wjazdowej, żeby poinformować ochroniarza o przyjeździe techników. Polecił mu skierować ich do magazynu, w którym był chwilę wcześniej. Sam zdecydował, że poczeka w aucie obok obiektu magazynowego.

Gdy jechał z powrotem, zauważył, że ostatni budynek - ten, w którym Gawiński wynajął powierzchnię magazynową - ma jeszcze jedno wejście. Podjechał do niego. Zaparkował i wszedł do środka. Tym razem mógł zobaczyć te same magazyny od tyłu. Korytarz, w którym się znalazł, był czymś na wzór drogi ewakuacyjnej dla pracowników magazynów. Zauważył, że w tej części budynku magazyny oddzielone są siatką o wiele niższą niż z drugiej strony. Podeszedł do interesującego go magazynu i zauważył, że siatka ma wysokość niecałych dwóch metrów. Gdy stał tuż pod tylnym wejściem zrozumiał, dlaczego nie zauważył go po drugiej stronie magazynu. Wejście było schowane za dużych rozmiarów filarem i nie było tak szerokie jak to, które widział z drugiej strony.

Odruchowo popchnął drzwi. Ku jemu zdziwieniu ustąpiły. Nie były zamknięte. Na zamku nie było kłódki. Rozejrzał się. W pobliżu nikogo nie było. Spojrzał na zegarek. Oceniał, że do przyjazdu techników ma jeszcze co najmniej pół godziny.

Postanowił, że nie zmarnuje takiej szansy.

## Sobota, trzydziesty kwiecień, Warszawa

Paulina stała plecami do okna, Łukasz siedział w fotelu na wprost łóżka. Pokój nie wyróżniał się niczym szczególnym. Zwykły podwójny materac, biurko pod ścianą, na którym stał telefon i telewizor.

- Dlaczego w hotelu? - spytał Orłowski.

- Bo to bezpieczne miejsce - odparł Łukasz.

- Znam tutaj menadżera - szybko dodała Paulina. - Mamy pokój w cenie dla rodzin pracowników i dużo anonimowości, bo jesteśmy zameldowani jako jego rodzina ze Śląska.

- Sprytnie, tylko po co ta konspiracja?

Łukasz chrząknął, ale nie zamierzał udzielić odpowiedzi, tylko wymownie spojrzał na żonę.

- Widzisz, Mike - odpowiedziała - mówiąc najogólniej, obaj znaleźliście się w niezłym gównie.

- Dlaczego?

- Zaczę od tego, że tak naprawdę nie jestem księgową, tak jak mówił ci Łukasz, i nie pracuję w urzędzie wojewódzkim.

Łukasz siedział bez ruchu, a jego twarz nie wyrażała żadnych emocji.

Paulina kontynuowała.

- Pracuję w państwowej instytucji zajmującej się kompletnie innymi tematami i zadaniami. Nazwę tej instytucji możemy pominąć. Dla was obu ważne jest to, że wasz przełożony dla niektórych był cenny jako trup, a dla innych jako żywy człowiek. Jedni i drudzy podejrzewają teraz, że macie coś wspólnego z jego śmiercią. Taką wersję przynajmniej stara się lansować policja.

- Masz na myśli to, że ktoś cały czas za nami łązi? - Orłowski starał się wyłapać tok jej rozumowania.

- Tak, ale nie tylko. Groszkowski to nie tylko udziałowiec Wadeksu. To również facet z przeszłością.

- Czyli kto?

- Były wojskowy.

- To wiedzą wszyscy w firmie - odparł Orłowski.

- Tak, ale nie wszyscy znają szczegóły. Pracował w tajnej komórce wywiadu PRL na terenie zachodniej Europy. Przez lata pracy zgromadził całe tony różnych dokumentów, którymi do dziś szantażował ludzi.

- Ludzi? Jakich ludzi? - dopytywał Orłowski.

- Różnych, głównie tych, od których można wyciągnąć dużą kasę. Mówimy tu o ludziach ze świata polityki, show-biznesu i tych, dla których ujawnienie informacji o tym, co robili lub zrobili w przeszłości, oznaczałoby koniec ich aktualnej kariery.

- Okej, gdzie tu związek ze mną i z Łukaszem?

Paulina usiadła okrakiem na krześle na wprost niego, położyła ręce na oparciu i kontynuowała.

- Widzisz, Groszkowski nie działał sam. Miał kolegów, coś na wzór zorganizowanej grupy przestępczej. Trzymał informacje i mówił, do kogo dotrzeć, a oni docierali do właściwych ludzi, brali pieniądze i razem z nim zajmowali się ich legalizacją. Był kimś na wzór skarbnika, taki strażnik najcenniejszego skarbu. Moja firma od niecałych dwóch lat interesowała się jego działaniami i nie poznaliśmy jeszcze wszystkich mechanizmów ich funkcjonowania. Wiemy, że teraz, gdy Groszkowski nie żyje, wszyscy bardzo się uaktywnili. Domyślamy się, że będą chcieli odnaleźć swój najcenniejszy skarb, żeby dalej móc na nim zarabiać.

- To w sumie jest logiczne - Łukasz wtrącił się do rozmowy.

- Tak, tylko że to jeszcze nie koniec historii. Wśród osób, które były szantażowane, byli też ludzie, z którymi kiedyś pracował. Szantażował własnych kolegów. Część z nich prowadzi dziś legalną działalność, ale jest kilku, którzy działają po drugiej stronie i to im zależy najbardziej, żeby informacje z archiwów Groszkowskiego nigdy nie ujrzały światła dziennego. Jak się domyślamy, oni również chętnie położyliby łapę na tej części archiwów, która ich nie dotyczy, żeby móc przejąć dochody z szantażu. I tutaj pojawiacie się wy. Policja nie ma pojęcia o działalności Groszkowskiego poza Wadeksem. Nie znają też szczegółów jego pracy dla wojska. Według wstępnych ustaleń policji to wam obu z całej firmy mogło najbardziej zależeć na śmierci Groszkowskiego. Co więcej, obaj poza motywem mieliście sposobność, bo byliście wtedy w firmie.

- Moment - przerwał Orłowski. - Czyli twierdzisz, że on nie umarł, tylko został zamordowany?

- Dokładnie - odparła. - Lekarz najpierw napisał w karcie, że to był zawał, ale po szczegółowych badaniach patologa wykryli, że ktoś mu pomógł. Wszystko zostało tak przeprowadzone, żeby wyglądało na zwykły zawał serca.

- Czyli na czym teraz stoimy?

- Cóż, Mike, policja wstępnie uważa, że to wy go sprzątnęliście. Podobnie sądzą współpracownicy Groszkowskiego i jego przeciwnicy. To ich obawiam się najbardziej. O ile policja bez solidnych dowodów nic wam nie zrobi, to ich współpracownicy nie potrzebują żadnych dowodów. A jeśli dodamy do tego, że mogą uważać, że pozbyliście się go tylko dlatego, żeby zgarnąć jego archiwum, to znaczy, że jesteście w niebezpieczeństwie i powinniście na siebie uważać.

- Niezły burdel - mruknął Łukasz.

- Taa... - Mike też nie wydawał się zachwycony sytuacją. - Paulina, czy ty wiesz, kim są ci ludzie? Jak się z nimi skontaktować albo jak się przed nimi ukryć?

- Właśnie - odparła - i tutaj dochodzimy do sedna sprawy. Ja jako przedstawiciel mojej firmy nie jestem w stanie wam pomóc, ale mam plan. Łukasz będzie jeszcze przez dwa, trzy dni funkcjonował tak jak dotychczas. We wtorek wyjeżdża do Mediolanu do oddziału waszej firmy. Załatwiliśmy mu już drugi bilet do Londynu. Ty też musisz tam dotrzeć, ale nie tą samą drogą, poza tym masz jeszcze tu coś do zrobienia.

- To znaczy?

- W Londynie mieszka gość, który jest w stanie ulokować was obu w bezpiecznym miejscu, tak żeby ani jedni, ani drudzy was nie nękali, dopóki sprawa się nie wyjaśni. On też pracował kiedyś z Groszkowskim i miał z nim kontakt, jak ten już zajmował się szantażami. Moja firma nie może do niego oficjalnie wystąpić, ale wy z pewnością możecie.

- A dlaczego miałby nam powiedzieć coś, czego nie powie tobie? - spytał Orłowski.

- Bo to mój chrzestny - Łukasz odpowiedział, zanim zdążyła to zrobić Paulina.

- Jezu, ale pokręcone to wszystko. - Mike wstał i zaczął chodzić po pokoju. W końcu spytał:

- Jak te informacje od twojego chrzestnego są nam w stanie w czymkolwiek pomóc?

Paulina kontynuowała:

- Po pierwsze nie wiemy dokładnie, jakich informacji możemy się spodziewać w archiwum Groszkowskiego. On był bardzo głęboko zakonspirowanym agentem. O jego istnieniu i zadaniach ówczesnie wiedziało tylko trzech ludzi. Po drugie nie wiemy, kim są ci, którzy byli szantażowani i chcą przejąć archiwa. Wiemy tylko, że wysłali swoich chłopców do mieszkania Groszkowskiego i jego córki, ale to nic nie dało.

- Dobra, ale po co ja mam jechać do Londynu? Mogę na kilka dni zaszyć się gdzieś w okolicy.

- Chcemy, żebyś zawiózł do Londynu to. - Paulina wskazała na niewielkie pudełko. - To kopia wszystkich akt w tej sprawie, którą udało mi się wykonać. On musi się z tym zapoznać, a Łukasz nie może z tym przejść przez kontrolę na lotnisku. To są materiały, najogólniej mówiąc, wrażliwe i pozyskane nie do końca legalnie.

Orłowski się zamyślił.

- Dobra, to jaki jest wasz pomysł?

- Powinieneś wyjechać jeszcze dziś - oznajmiła Paulina. - Najlepiej w taki sposób, żeby nikt o tym nie wiedział. Minimalny bagaż, żadnych zakupów przed wyjazdem czy telefonów do znajomych albo przygotowywań w domu. Na wypadek, gdyby ktoś cię obserwował, ma to wyglądać absolutnie normalnie, tak jakbyś wychodził do sklepu czy na spotkanie z jakąś laską na mieście.

Ustalili szczegóły i zaplanowali wydarzenia najbliższych godzin i dni. Przez kilkadziesiąt minut dziesiątki razy powtarzali adresy, miejsca noclegu i spotkań. Studiowali mapy. Zgodnie z dyspozycją Pauliny niczego nie zapisywali. Ustalili, że do czasu spotkania w Londynie nie będą się komunikować i nie będą używać komórek.



## Sobota, trzydziesty kwietnia, Warszawa

Oszacował, że magazyn ma powierzchnię niecałych stu metrów kwadratowych. Poza pudłami na paletach, które znajdowały się przy drzwiach zamkniętych na kłódkę, w tylnej części stały stare regały i elementy jakichś urządzeń. Wszystko to tworzyło swoisty labirynt, który zaczynał się od strony korytarza ewakuacyjnego – tego, którym dostał się przez otwarte drzwi do magazynu.

Gdy Kłopocki zorientował się, jaki jest kształt magazynu, zaczął się zastanawiać, czy informatyk zdawał sobie w ogóle sprawę, że jest jeszcze jedno wejście do tej przestrzeni.

Komisarz przyjrzał się dokładnie wszystkim paczkom. Te, które widział przez zamkniętą kratę, były w magazynie od kilku dni. Nie było na nich kurzu ani innych widocznych objawów długiego przechowywania. Regały i to, co na nich leżało, wyglądały tak, jakby zeskładowano je bardzo dawno temu i pozostawiono na pastwę czasu, który okrył je warstwą kurzu. Kłopocki skupił się na pudełkach na paletach. Nie miały żadnych opisów. Wszystkie były dokładnie takie same. Musiały pochodzić z jednego źródła.

Gdy obchodził drugą paletę, zauważył, że jedno z dolnych pudeł jest rozerwane i widać jego wnętrze. Pochylił się, żeby lepiej widzieć. Przyklęknął i komórką oświetlił wnętrze otworu. Skierował do niego światło z telefonu. Wtedy usłyszał za plecami szurnięcie. Obrócił się dokładnie w momencie, w którym na jego głowę spadł cios. W pierwszym odruchu był przekonany, że ciemny i ciężki przedmiot minął jego skroń o milimetry. Dopiero po chwili zorientował się, że traci grunt pod nogami i bezwładnie spada na podłogę magazynu. Jeszcze zanim zetknął się z szorstkim betonem posadzki, zdał sobie sprawę, że obficie krwawi i nie widzi na prawe oko. Ostatkiem sił wsunął rękę pod lewe ramię i wyszarpnął z kabury służbowy pistolet. Trzymając broń w rękę, wycelował przed siebie. Drugą ręką próbował zetrzeć krew z twarzy. W półmroku magazynu nie widział wyraźnie, dodatkowo krew cały czas napływała na oko, utrudniając celowanie. Zobaczył ruch za pudłami tuż obok regałów.

- Stój, bo strzelam – krzyknął na tyle głośno, że usłyszał echo własnego głosu.

Cień przemieścił się bliżej niego i zniknął za paletą z pudłami. Kłopocki rozejrzał się i jedną ręką spróbował podczołgać się bliżej palety, która stała tuż obok niego. Wtedy zobaczył błysk broni po drugiej stronie magazynu, po czym usłyszał dźwięk przeładowania pistoletu. Nie namyślając się, strzelił w stronę pudeł. Bez efektu. Nie trafił. Napastnik, którego ciągle nie widział ostro z powodu krwi, zniknął mu z pola widzenia. Nagle usłyszał strzał. Kula uderzyła gdzieś obok niego w słupek ogrodzenia magazynu. Uderzyła niebezpiecznie blisko. Poczł zapach iskry powstałej z uderzenia kuli o stal. Zza palety z pudłami wychyliła się postać. Przez ułamek sekundy widział twarz strzelającego mężczyzny. Zmienił pozycję i szybko oddał strzał w kierunku napastnika. W tym samym momencie poczuł przeszywający ból w barku. Huk jego wystrzału zgrał się z wystrzałem drugiego pistoletu, który dokładnie w tym samym czasie strzelił w jego stronę.

Kłopocki wypuścił z prawej ręki pistolet i chciał nią chwycić bark, w który został trafiony.

Nie zdążył.

Ciemność nadeszła szybko i niespodziewanie.

## Sobota, trzydziesty kwietnia, Płońsk

Żółty motocykl szybko przemierzał trasę numer siedem w kierunku północnym.

- Nieźle zasuwa - zauważył aspirant Mikos prowadzący nieoznakowanego służbowego Volkswagena Passata. - Potencjalny dawca organów.

Mężczyzna siedzący na miejscu pasażera przechylił się w lewo i zerknął na prędkościomierz.

- Nie jest tak źle. Dwustu nie przekroczył. Przycina dopiero sto dziewięćdziesiąt - odparł po chwili wpatrywania się w licznik. - Poza tym to bzdura z tymi dawcami organów. Jak on się z czymś zderzy, to jego organy nadają się tylko na śmietnik. Co najwyżej rogówkę można pobrać do przeszczepu. Reszta jest jak mięso obite tłuczkiem przed smażeniem.

- Jak oni to robią? Chyba trzeba mieć wyłączoną jakąś funkcję w mózgu, żeby tak jeździć. - Aspirant nadal nie mógł się pogodzić z różnicą prędkości, z jaką poruszał się motocyklista, i z jaką poruszali się oni, siedzący w samochodzie.

- Wystarczy raz spróbować. To wciąga. Poza tym jak się schowasz za owiewką, to nawet nie jest tak źle.

- Jasne...

Szum wiatru w kabinie stawał się coraz bardziej dokuczliwy. Jechali w milczeniu, koncentrując się na drodze i utrzymaniu odpowiedniego dystansu. Obaj byli ubrani po cywilnemu. Mieli to szczęście, że ich służba polegała

w większości na obserwowaniu ludzi i zbieraniu nieoficjalnych informacji. Mogli sobie pozwolić na noszenie prywatnych ubrań w pracy. Dostawali nawet na to specjalny dodatek mundurowy, który wystarczał co najwyżej na parę skarpet i bawełniany podkoszulek, ale w odróżnieniu od swoich kolegów mundurowych w upalne dni mogli chodzić ubrani w przewiewne ciuchy, do których nie należały służbowe koszule i spodnie ze sztucznych włókien.

W pewnym momencie zauważyli, że motor zaczyna zwalniać. Kierujący hamował silnikiem. Nie zapaliło się czerwone światło hamulca, ale wyraźnie zwalniał. Po przejechaniu kolejnego kilometra dostrzegli, że zmienia pozycję. Podniósł się, jakby chciał hamować również ciałem. Prędkościomierz pokazywał sto dwadzieścia kilometrów na godzinę.

- Chyba będzie gdzieś zjeżdżał - stwierdził sierżant - trzymaj od niego trochę większy odstęp.

Suzuki cały czas zmniejszało prędkość. Tuż przed łukiem drogi nad tylnym kołem jednoślada zabłysło czerwone światło stopu, a zaraz za nim pojawiła się błyskająca pomarańczowa lampka. Motocykl wtoczył się powoli na stację benzynową i zatrzymał koło jednego z dystrybutorów.

- Wachy mu chyba zabrakło! - głośniejsze niż było to konieczne powiedział aspirant, jakby starał się ciągle przekrzyknąć szum wiatru, który omiatał kabinę auta przy prędkości prawie dwustu kilometrów na godzinę.

- Uważaj teraz. Wjedź na stację i zaparkuj przed barem. Ustaw się tak, żeby słońce padało nam na tylną szybę. W ten sposób on nie będzie nas dokładnie widział, a my jego tak.

Motocyklista wyłączył silnik i zsiadł z motoru. Przez chwilę siłował się z zapięciem kasku pod brodą. W końcu go zdjął.

- O kurwa... - aspirant Mikos tylko tyle zdołał z siebie wykrztusić, po czym w samochodzie zapadła cisza.

## **Sobota, trzydziesty kwietnia, Warszawa**

- No jesteś kurwa nareszcie, bo już się martwiłem.

Kłopotcki otworzył oczy, po czym szybko je przymrużył. Raziło go światło w pomieszczeniu.

- Gdzie jestem? - spytał.

- W szpitalu - odpowiedział siedzący obok mężczyzna, kolega z wydziału. - I ciesz się, że tutaj, bo kilka minut dłużej leżałbyś na tej podłodze i byłbyś już w lodówce.

- Krzysiu, daj spokój...

- Nie daj spokój, tylko tak. Kula przeszła przez bark i drasnęła aortę. Kilka milimetrów obok i nie dożyłbyś przyjazdu karetki. Tylko dzięki temu, że technicy wiedzieli, gdzie mają przyjechać, znaleźli cię w tym magazynie. Ochroniarz niczego nie słyszał, żadnego strzału, kamery monitoringu nic nie nagrały. A poza tym szykuj tłumaczenie dla szefa, dlaczego sam tam wlałeś. Jego poziom wkurwienia na ciebie to jakieś sto pięćdziesiąt procent normy.

- Złapaliście tego gościa?

- Nie. Nikt go nie widział. Nawet ten ochroniarz mówił, że nikogo nie wpuszczał.

- A towar zabezpieczony?

- Jaki, kurwa, towar? Rafał, ogarnij się! Jak technicy przybyli z odsieczą, to w tym magazynie nic nie było. Nie licząc oczywiście jakichś rupieci na półkach i śladów twojej krwi rozmazanych po podłodze. Wyglądało to tak, jakby ciągli po niej jakieś paczki...

- Palety - Kłopotcki wszedł mu w słowo. - Na podłodze były palety.

- Niech ci będzie. W każdym razie nic tam nie było.

- Widziałem jego twarz. Przez chwilę, ale widziałem.

- Chcesz portrecistę?

- Tak. Chcę spróbować - odparł. - I zawołaj proszę lekarza, bo dobrze się czuję i nie chcę tu leżeć.

- Hm. Ja tam słyszałem, że masz tu być kilka dni, ale jak chcesz - odparł policjant i wyszedł z pokoju, kierując się w stronę dyżurki lekarskiej.

## **Sobota, trzydziesty kwiecień, Płońsk**

- Daliśmy ostro dupy - nieregulaminowo powiedział sierżant.

Aspirant Mikos cały czas milczał. Patrzył tępo na długie ciemnobrązowe włosy, które wysypały się spod czarnego motocyklowego kasku. Kobieta, na oko dwudziestopięcioletnia, przecesała je ręką, po czym rozpięła motocyklową kurtkę i zsunęła ją z siebie. Obcisła biała koszulka przylegała do ciała tak dokładnie, że z miejsca, w którym siedział, widział każdy szczegół jej ciała.

- Kłopotki nam chyba oberwie za to jaja. Tak się dać zmylić... I to jeszcze komu?! Jakiejś babie. Szlag by to kurwa trafił. - Sierżant Zalewski nie potrafił ukryć emocji, szczególnie że wiedział, jak bardzo przełożeni nie lubią, gdy ucieka podejrzany, obserwowany lub po prostu kiedy ich praca nie przynosi spodziewanego efektu.

Dziewczyna skończyła tankować i kołysząc rytmicznie biodrami, weszła do budynku stacji benzynowej, gdzie były kasy.

Obaj funkcjonariusze siedzieli w milczeniu w aucie.

- Co teraz? - spytał w końcu Mikos.

- Nic! Kurwa nic! - wydarł się Zalewski. - Siedzimy i czekamy, a jak wróci, też za nią pojedziemy!

W tym momencie z budynku wyszła dziewczyna, którą przez ostatnie siedemdziesiąt kilometrów, czyli od samego wyjazdu z parkingu hotelu Hyatt, brali za Orłowskiego. W pozycji siedzącej na motocyklu, z włosami schowanymi pod kaskiem, nie potrafili odróżnić jej od mężczyzny. Pędziła jak szalona przez miasto oraz na trasach za miastem, przez co w ogóle nie pomyśleli, że mogą jechać za kimś innym niż Orłowski. Sam fakt, że ktoś jechał na motocyklu, który mieli śledzić, z rejestracją, którą im podano, w zupełności wystarczał, żeby uznali, że to Orłowski.

Kobieta szybko wbiła się w kurtkę, założyła kask i ruszyła do wyjazdu ze stacji. Wjeżdżając na drogę, skierowała się z powrotem w kierunku Warszawy.

Policyjny volkswagen ruszył jej śladem. Z wciśniętym do końca pedałem gazu auto próbowało nadążyć za żółtym motocyklem, który błyskawicznie się od nich oddalał. Nawet dwuipółlitrowy silnik z całą swoją mocą i przy prędkości dwustu dwudziestu kilometrów na godzinę nie był w stanie dogonić motocykla.

Zalewski, ściskając w ręku komórkę, już zaczynał układać w głowie wytłumaczenie dla przełożonego.

## Sobota, trzydziesty kwietnia, Paryż

- Co o tym sądzisz? Podobało ci się?

- Raczej tak.

Siedzieli w niewielkiej restauracji przy wejściu do Parc des Buttes Chaumont w dziewiętnastej dzielnicy Paryża. Wokół tego jednego z najstarszych publicznych parków stolicy Francji roiło się od niewielkich barów, kawiarni i restauracji, których głównym atutem był widok na przepiękną zieleń po drugiej stronie ulicy. Wybrali stolik na zewnątrz, tuż przy chodniku, po którym ludzie przemierzali się w różnych kierunkach.

Kozlovsky odchylił się na krześle, zakładając nogę na nogę. Pasował do tego otoczenia. Wyglądał jak większość Francuzów. Wyluzowany, szczupły, dobrze zbudowany, z lekko opaloną cerą. Posługiwał się francuskim na tyle biegle, że mógł uchodzić za Francuza z prowincji. Nie miał paryskiego akcentu, ale każdy, kto z nim rozmawiał, widział, że jest to język, którego używa od dawna.

- To co teraz? Co im odpowiedzieć? - spytał.

- Raczej jestem na tak, ale chcę, żeby wszystkie umowy przejrzał ktoś z kancelarii prawnej. W końcu rozmawiamy o dużych pieniądzach i biznesie wartym wiele milionów - odparła Dorota, nachylając się w jego kierunku. Ostatnie słowa wypowiedziała znacznie ciszej.

- Jasne. Chcesz, żebym się tym zajął?

- Nie. Mam już wybraną kancelarię, z którą rozmawiałam - powiedziała bez wahania.

Zaskoczyła go. Nie sądził, że jego młodziutka kochanka myśli z takim wyprzedzeniem i działa tak zachowawczo. Mimo to nie dał po sobie poznać, że jest zaskoczony.

- Poza tym - dodała - chcę z nimi przedyskutować sprawę tego dodatkowego testamentu. Zaskoczyło mnie to i nie wiem, czy przypadkiem nie jest to coś nielegalnego.

- Przyznam ci rację. Ojczulek miał chyba sporo za uszami, skoro wykombinował coś takiego, i teraz stara się ubrać cię w swoje buty.

- Jeśli kancelaria powie, że z fabryką - ręką wykonała gest wskazujący na stolik - wszystko jest w porządku i nie ma ryzyka, to podpiszę umowę przedwstępną, po czym wystawię akcje Wadeksu na sprzedaż. Do tego czasu na pewno uda się je przepisać do mojego rachunku maklerskiego na podstawie testamentu. Pieniądze ze sprzedaży przeleję na konto we Francji i zapłacę z nich za spółkę.

Do stolika podeszła kelnerka z zamówionymi daniami. Na stole położyła dwa talerze sałatek, po czym błyskawicznie się oddaliła. Kozlovsky sięgnął po opróżnioną do połowy butelkę białego wina i uzupełnił kieliszki.

- To za miłą podróż powrotną - wznosił toast.

Dorota w milczeniu wypila wino.

## **Sobota, trzydziesty kwietnia, Berlin**

Berlin był dla niego tylko nazwą, która bardziej przypominała mu koordynaty geograficzne niż kompozycję miejsc, widoków, zapachów czy smaków. Zdał sobie sprawę, że od kilku dni przebywa w Niemczech i jeszcze ani razu nie wyszedł poza budynek należący do ambasady, tak samo jak nie wyspał się porządnie od chwili, gdy wylądował w Europie. Nie miał na to czasu. Meldunki napływały do niego co kilka godzin, z różnych krajów i z różnymi materiałami.

- Nick? - Młoda sekretarka podeszła do jego biurka. - Masz telefon na kodowanej linii. Odbierz w sali konferencyjnej.

Agent Brown bez słowa wstał i podszedł do telefonu. Gdy skończył, wiedział, że nie pozna dokładnie Berlina. Zdawał sobie również sprawę, że decyzję o porządnym wyspaniu się trzeba odłożyć na później. W ramach operacji „Wodospad” musiał teraz przystąpić do odkrycia kart przed polskimi władzami. Potrzebował pomocy lokalnej policji.

Wybrał w komórce numer telefonu.

Tom Kerry odebrał po drugim sygnale.



## **Sobota, trzydziesty kwietnia, Warszawa**

- Kurwa, co za debile - powiedział po cichu i opadł z powrotem na łóżko. Pomimo silnej woli proste czynności fizyczne sprawiały Kłopockiemu duży trud. Znaczny ubytek krwi, krwiak na głowie i szwy na łuku brwiowym nie ułatwiały szybkiej rekonwalescencji.

Kolega, który cały czas był z nim w pokoju, wyjął mu z ręki komórkę.

- Zgubili Orłowskiego - powiedział w końcu Rafał. - Krzysiek, czy ty to rozumiesz? Dwóch wykwalifikowanych i wyszkolonych psów nie potrafiło upilnować w mieście jednego amatora, który zrobił ich w balona i posłał im jakąś lalę, a sam ulotnił się nie wiadomo dokąd.

- A ten drugi, ten z Poznania?

- Tego na szczęście nie zgubili. Jest na mieście w jakiejś restauracji, a wcześniej spędził poranek w hotelu.

- No to chociaż tyle. Dobrze.

- Dobrze, dobrze - Kłopocki przedrzeźniał kolegę. - Nie dobrze, tylko kurwa tragicznie, że tego pierwszego nie przypilnowali, bo jeśli wiedział, że za nim ktoś łązi i celowo się urwał, to znaczy, że ma coś na sumieniu, a my teraz nie wiemy, gdzie go szukać.

## Niedziela, pierwszy maja, Mazury

Sen był przyjemny, lecz przebudzenie bolało. Całe ciało miał obolałe. Na siłę próbował przedłużyć ten moment i nie otwierał oczu, jednak świat coraz mocniej wdzierał się pod powieki.

Uniósł je.

Ciemność. Otaczała go ciemność. To pierwsze, co do niego dotarło. Nawet gdy otworzył szerzej oczy i wyteżył wzrok w poszukiwaniu jaśniejszych plam światła, ciągle miał wokół siebie wyłącznie idealną czern.

Drugim doznaniem był zapach. Powietrze nie było świeże. W pomieszczeniu unosiła się mieszanka wilgoci, stęchlizny, potu i fekaliiów.

Nagle zorientował się, że jest mu zimno. Nie miał na sobie koszuli. Podciągnął rękę do klatki piersiowej i skrzywił się z bólu. Prosty ruch wywołał przeszywający ból przedramienia i dłoni. Gdy udało mu się dosięgnąć tułowia i ręka wyładowała na żebrach, jego twarz ponownie wykrzywił grymas bólu, a mięśnie przeszły gwałtowny skurcz.

Ktoś go pobił.

Oddychał ciężko, starając się zebrać myśli i przypomnieć sobie, gdzie jest oraz jak się znalazł w tym miejscu. Pamiętał spotkanie z Łukaszem i jego żoną, na koniec którego ustalili, że nie wróci do domu, tylko najpierw zgubi ogon w postaci dwóch policjantów. Paulina wzięła jego klucze od motocykla. Ubrana w jego kurtkę i kask wyjechała z garażu, żeby psy pojechały za nią, a on miał wtedy spokojnie wyjechać z hotelowego parkingu jej samochodem.

Razem zjechali do podziemnego parkingu. Pamiętał, że stał przy niej, jak odpalała silnik i wyjeżdżała z miejsca parkingowego. Ostatnią rzeczą, którą był sobie w stanie przypomnieć, było to, że wsiadł do jej dwumiejscowego smarta. Nic więcej. Nawet nie mógł sobie przypomnieć, czy wyjechał z parkingu.

Podniósł się na łokciu, ignorując ból wszystkich żeber. Ręką przesunął po nich i stwierdził, że co najmniej dwa są albo złamane, albo mocno obite. Przy każdym głębszym oddechu klucie było nie do zniesienia.

Przesunął ręką po podłodze obok wzdłuż ciała. Trafił wyłącznie na płaską i szorstką powierzchnię. W jednym miejscu była mokra plama, w której zmoczył rękę. Przynsunął mokre palce do twarzy i powąchał. Poczł zapach starej wody.

Przez kolejne minuty, w kompletnej ciemności, pokonując ból, w ten sam sposób zbadał całe pomieszczenie. Znajdował się w kwadratowym pokoju o długości około sześciu kroków. W jego wnętrzu nie było żadnych mebli. Nie było też okien ani załomów muru. Tylko jedno drzwi prowadziły na zewnątrz. Pod nimi wymacał cienką szparę, zaledwie kilkumilimetrową, przez które sączyło się powietrze równie nieswieże jak to, które było już w pomieszczeniu.

Z drugiej strony drzwi nie dochodził żaden dźwięk. Położył się przy podłodze i nasłuchiwał. Wydawało mu się, że w tym czasie co najmniej dwa razy się zdrzemnął. W trakcie jednej z drzemek widział obrazy, które były rzeczywiste jak na jawie. Widział

ogromną lampę skierowaną prosto w swoją twarz i ręce mężczyzny, który trzymając krótką drewnianą pałkę, bił go po brzuchu i po żebrach.

Czekał. W tym położeniu nie mógł zrobić nic innego.

## Niedziela, pierwszy maja, Waszyngton

Do hotelu wynajętego na koszt redakcji Sarah dotarła dopiero kilka minut przed północą. Spotkanie senatora z adwokatem i topowym człowiekiem z CIA trwało kilka godzin. Nikt więcej do nich nie dołączył, ale jak widziała przez okno, dyskusja była żywiołowa i panowie często wstawali oraz gestykulowali. Senator wyglądał tak, jakby krzyczał na pozostałych rozmówców. Na jego twarzy ani razu nie pojawiła się żadna z tych wystudiowanych min, którymi szafował w trakcie spotkań z mediami lub wyborcami.

Gdy spotkanie się skończyło, senator pojechał prosto do domu.

Sarah weszła do hotelowego pokoju, podłączyła komórkę do ładowarki i zadzwoniła do redakcji. Miała nadzieję, że redaktor naczelny będzie jeszcze w biurze. Niestety musiała czekać, aż przełączy ją na jego telefon komórkowy.

- Sarah?! - usłyszała w końcu w słuchawce. - Jak tam Waszyngton?

- Ładny jak zawsze. Dzwonię, bo potrzebuję twojej zgody na wyjazd do Europy.

Jej rozmówca nie zareagował.

- Mój informator miał rację co do senatora i tej operacji CIA, która jest teraz prowadzona.

- A po co konkretnie chcesz tam jechać? - spytał w końcu szef.

Sarah musiała mu coś powiedzieć, żeby go przekonać, ale nie mogła powiedzieć zbyt dużo, żeby nie stracić zaufania informatora i nie spalić tematu na tym etapie.

- Wszystko, co dotychczas powiedział mój kontakt, jest prawdą. A to znaczy, że operacja wywiadowcza, w którą jakimś sposobem zaangażowani są politycy z senatu, naprawdę się dzieje, i to właśnie w Europie. Tutaj już nic więcej nie zrobię, a tam mogę być blisko działań, które są prowadzone przez ludzi z CIA. Mój informator ich namierzył. Wie, czym się zajmują.

- Tydzień - usłyszała w słuchawce. - Jeden tydzień na starym kontynencie. Na tyle dostajesz budżet i ani dnia dłużej. I na litość boską, na przyszłość dzwoń do mnie w godzinach pracy.

Przerwał połączenie.

Miała to, czego chciała, i mogła działać. Przynajmniej przez tydzień.

## Niedziela, pierwszy maja, Mazury

Butelka whisky była już prawie pusta. Dzierzgoński odstawił ją na brzeg stołu. Chwycił szklankę i przechylił ją, jednym ruchem wlewając całą zawartość do gardła. Poczł, jak ciepłł alkoholu rozchodzi się po krtani i dociera do żóładka.

- Co proponujesz?

- Jak to co proponuję? - obruszył się Mocadowski. - To był twój pomysł, żeby przywlec tutaj tego człowieka i torturować go w podziemiu. Ja z tym nie mam nic wspólnego.

- Wiem, wiem - burknął. - Mój pomysł, ale mógłbyś ruszyć głową, jak do niego dotrzeć i dostać to, czego chcemy.

- Ludwik - Mocadowski nachylił się w kierunku kolegi i zatrzymując nos przed jego twarzą, powiedział: - od początku mówiłem, że to się nie uda. Jeśli on coś wie, to trzeba było za nim łązić, aż doprowadziłby nas do tego archiwum. A tak mamy pobitego gościa, który, jak tylko go wypuścimy, poleci z jęzorem na policję.

- To go nie wypuścimy, Stasiu - z szyderczym uśmiechem odparł Dzierzgoński.

- Czy tobie się kompletnie we łbie popierdoliło?! - krzyknął. - To już nie te czasy i nie te metody. Nie możemy tak po prostu odstrzelić jakiegoś człowieka, bo takie mamy widzimisię. Będziemy mieli psy na dupie do końca naszych dni.

- Stasiu, ale kto mówi o odstrzeleniu. Ja miałem na myśli wypadek.

- Ależ ty, kurwa, tępy jesteś!

Mocadowski się zamyślił. Pociągnął ze szklanki długi łyk trunku. Wstał i zaczął krążyć po pokoju. Był na siebie zły, że nie powstrzymał kolegi przed niepotrzebnymi ruchami. Uważał, że porwanie Orłowskiego było przedwcześnie i kompletnie pozbawione sensu. Nie mieli nawet pewności, czy ten młody człowiek współpracował z Grochem, a jeśli nawet współpracował, to na jakim polu i na jakich zasadach. Zachowali się jak sztubaki i bez przygotowania operacyjnego zdjęli człowieka na mieście tylko po to, żeby mieć z nim teraz problem.

Intensywnie szukał pomysłu na rozwiązanie tej sytuacji. Jeśli Orłowski miał informacje, to wcześniej czy później je od niego dostaną. Jeśli jednak nie był związany z organizacją, to konieczne będzie zlikwidowanie go w taki sposób, żeby nigdy nie znaleziono zwłok ani nie wykryto zabójstwa. W tym obaj mieli doświadczenie, jednak w miarę upływu lat ryzyko było coraz większe.

Zatrzymał się przed stołem, za którym siedział pułkownik Dzierzgoński.

- Chyba mam pomysł - powiedział. - Będziemy potrzebowali jeszcze jednej osoby i trochę czasu. I tym razem bez tego osiłka od obijania więźnia. Zrobimy to kompletnie inaczej.

## **Niedziela, pierwszy maja, Warszawa**

Rejsowy samolot LOT-u podjechał do rękawa po krótkim kołowaniu na płycie lotniska. Obsługa naziemna sprawnie wykonywała swoje obowiązki i w ciągu kilku minut drzwi kabiny zostały otwarte. Do wnętrza wtargnął powiew świeżego powietrza. Dorota, siedząca w trzecim rzędzie klasy biznes, poczuła chłodne i wilgotne powietrze, które mieszało się z suchym powietrzem klimatyzowanego wnętrza kadłuba. Ludzie ruszyli do przodu. Powoli wstała, chwyciła rączkę podróźnej torby, która stała już między siedzeniami, i również ruszyła w kierunku wyjścia.

Na końcu rękawa stał wysoki i barczysty mężczyzna. Jego obecność ją zaskoczyła. Była na terenie lotniska, a jego nie powinno tutaj być. Zwolniła. Gdy była tuż przed nim, wyciągnął rękę po jej walizkę.

- Zmiana planów - powiedział tajemniczo. - Mam panią zawieźć na spotkanie. Auto czeka na dole.

Wskazał przez szybę na czarne audi stojące na jezdni. Doskonale było widać zarówno pojazd, jak i to, że w samochodzie jest kierowca i czeka z włączonym silnikiem. Jej przyjaciele mieli spore możliwości. Podjechanie w strefę VIP prywatnym autem na międzynarodowym lotnisku nie było zadaniem ani łatwym, ani tanim.

- Co się stało? - spytała Dorota i dodała: - Jak w ogóle mnie pan znalazł?

Mężczyzna otworzył i przytrzymał drzwi, przepuszczając Dorotę przed sobą.

- Ja mam tylko pilnie dowieźć panią na spotkanie. Za chwilę wszystkiego się pani dowie - odpowiedział na pierwsze pytanie, przemilczając drugie.

Gdy tylko oboje wsiedli do środka, auto ruszyło w kierunku wyjazdu z terenu portu lotniczego i wkrótce pędziło przez opustoszałe o tej porze miasto.

## Niedziela, pierwszy maja, Warszawa

Odłożył telefon na stół i podszedł do stanowiska z komputerem. Wcisnął przycisk zasilania i czekał, aż urządzenie w pełni się uruchomi. Przed chwilą odebrał komunikat, dla którego, jak sądził, przyjechał do tego kraju. Nareszcie miało się zacząć dzieć coś ciekawego.

Tak jak powiedział mu przez telefon agent Nick Brown, po uzyskaniu bezpiecznego połączenia z centralą po drugiej stronie kuli ziemskiej, kilkunastosekundowej weryfikacji połączenia i ustanowieniu kodowanego kanału transmisji, na jego ekranie wyświetliły się najświeższe komunikaty. Jeden z nich opatrzony był wysokim priorytetem. Tom Kerry otworzył go i szybko przebiegł wzrokiem tekst. Sięgnął odruchowo po notatnik leżący przy komputerze i zaczął notować.

Z komunikatu wynikało, że jedna z akcji prowadzonych w Polsce otrzymała status alarmu. Operacja „Wodospad”, która od kilku dni utrzymywała stan pomarańczowy, nagle została przemianowana na kolor czerwony, co dla niego znaczyło mniej więcej tyle, że jest to akcja wymagająca najwyższego zaangażowania i najwyższej ostrożności. Jak wyczytał z komunikatu, utracono kontakt z agentem. Jako rezydent komórki wywiadu wiedział, że każdy agent posiada urządzenie, które jest monitorowane. W przypadku tego agenta, z uwagi na mobilność zadania, które wykonywał, monitorowano tylko jego telefon. Ponadto agent miał obowiązek przynajmniej raz dziennie wykonywać transakcję kartą płatniczą, co miało potwierdzać, że żyje i że jest wolny. Te czynności sprawdzane były automatycznie w centrali, więc nie wymagały udziału lokalnej komórki i rezydentów.

Szybko wyszukał na liście agentów informację, o kogo chodzi. Agent, który zniknął z radaru centrali, oznaczony był jako Phantom. Kerry sprawdził jego służbowy telefon. Faktycznie w ciągu ostatnich dwóch dni nie odnotowano ani jednej transakcji. Tom przełączył się na system śledzenia telefonu przez GPS. Na ekranie wyświetlił mu się komunikat, że telefon jest wyłączony. Kliknął jeszcze raz w menu programu i zaczął sprawdzać ostatnie miejsca logowania telefonu. Po chwili otrzymał informację, że w sobotni poranek telefon logował się po raz ostatni w sieci na moście i dokładnie w połowie mostu sygnał się urwał.

Zastanawiał się, co mogło się stać. Zgodnie z zapisem z systemu telefon stracił sygnał przy baterii naładowanej na ponad siedemdziesiąt procent. Agent nie wysyłał wcześniej żadnych informacji, że potrzebuje pomocy ani o tym, że będzie niedostępny.

Tom ustawił program na ciągły monitoring sygnału agenta. Jeśli telefon pojawiłby się gdziekolwiek w zasięgu sieci, system to wykryje i od razu przekaże tę informację bezpośrednio na jego telefon.

Kliknął w kolejną wiadomość. To były listy uwierzytelniające agenta, który do niego dzwonił. Musiał być kimś ważnym lub wykonywać jakąś ważną misję, bo w e-mailu zauważył cyfrowe sygnatury Centralnej Agencji Wywiadowczej oraz Narodowej Agencji Bezpieczeństwa, a współpraca tych dwóch instytucji, jak się orientował, odbywała się wyłącznie w wyjątkowych i bardzo trudnych operacjach o dużym znaczeniu dla kraju.

Zaczął sprawdzać trasę, którą agent przebył przed wyłączeniem telefonu. Nie miał nic lepszego do roboty. Czekał na przyjazd agenta specjalnego oraz ewentualny sygnał z telefonu Phantom.



## Niedziela, pierwszy maja, Zurych

Pierre czekał na nią przed wyjściem z terminala, dokładnie tak jak obiecał. Widziała go z daleka przez szybę oddzielającą podróżnych znajdujących się na terenie lotniska od tętniącego życiem miasta. Przywitał ją typowo francuskim pocałunkiem w policzek. Od razu stwierdziła, że nic się nie zmienił od czasu, gdy widziała go po raz ostatni.

Każde ich spotkanie wywoływało u niej motyle w brzuchu. Pierre był od niej starszy o osiem lat. Poznali się dość dawno, gdy byli akredytowani na jeden ze zjazdów Organizacji Narodów Zjednoczonych w Nowym Jorku i przydzielono im sąsiadujące ze sobą stanowiska prasowe. Pierwszego dnia w ogóle go nie zauważała, tak była pochłonięta pracą. Drugiego dnia zjedli wspólny lunch, a następnie po popołudniowej plenarnej sesji ONZ obiad połączony z poranną kawą trzeciego dnia. On traktował to jak jeden z wielu podbojów. Dla niej był to lekki, wakacyjny romans. Później pracowali razem jeszcze dwukrotnie. Za każdym razem ich relacja wyglądała dokładnie tak samo. Za każdym razem lądowali w hotelowym łóżku i uprawiali niezobowiązujący seks.

Pomimo tego, że pracowali i żyli na różnych kontynentach, raz na jakiś czas podrzucali sobie tematy, które wymagały delikatnego obrobienia i szybko mogły stać się samodzielnym materiałem. Pierre miał rękę do afer korupcyjnych oraz operacji wojskowych i właśnie takie tematy podszyłał Sarah, a ona decydowała, co dalej z nimi robić. Zawsze była to dla obojga świetna sposobność do krótkiej rozmowy telefonicznej czy kilku przyjemnych e-maili. Tyle im wystarczało.

- Dobra, to mów. O czym nie chciałeś powiedzieć mi przez telefon? - wypaliła od razu po wejściu do samochodu.

Pierre wycofał z miejsca parkingowego służbowe renault i ruszył w kierunku wyjazdu z parkingu.

- Poznałem faceta, który dostarczył mi informacje o tym, jak działa cały mechanizm szantażu - zaczął. - Wiesz, że oni szantażują tylko tych ludzi, którzy po pierwsze są na świeczniku, a po drugie mają kasę, żeby zapłacić?

- Tak.

- Do tego dodajmy od razu, że chodzi nie tylko o obywateli amerykańskich. Mówimy o ludziach z całej Europy. Ta organizacja to ogromna sieć powiązań. Coś na wzór mafii włoskiej, tyle że działającej w wielu krajach. Zasada jest zawsze taka sama. Mają kompromitujące materiały na temat jakiegoś człowieka, może to być mężczyzna lub kobieta. Zanim takie materiały zdobędą, ustalają, czy dany figurant ma zaplecze finansowe, które ich interesuje. I tutaj właśnie przydaje się ktoś taki jak nasz bankier, czyli niby szeregowy pracownik banku, ale jednak żołnierz mafii. Jego zadanie jest pozornie proste. Musi ustalić i wskazać, jakie depozyty mają poszczególne osoby publiczne, które potencjalnie mogą być szantażowane. Człowiek ten pozyskuje informacje i przekazuje je do osoby kontaktowej. Samą decyzję, czy rozpocząć akcję szantażu, podejmuje ktoś inny. Czasem nasz bankier dostarcza jeszcze ciekawostki o nowych depozytach lub o większych ruchach na rachunkach.

- A jeśli ktoś trzyma pieniądze w innym banku?

- To wtedy jest inny bankier, który obserwuje inną grupę klientów - odparł. - Sarah, zrozum, oni budowali tę siatkę i ten system przez wiele lat. Mają swoich ludzi w wielu miejscach. Czasem nawet po kilka osób w jednym banku.

- A jak trafili do twojego informatora i jak zmusili go do współpracy?

- Tak samo jak do polityków. Szantaż. Nasz przyjaciel z banku ma słabość do ładnych sukienek i jeszcze ładniejszych chłopców. Wystarczył jeden weekend, żeby zrobili mu odpowiednio dużo zdjęć i nagrań.

- To dlaczego teraz chce z nami rozmawiać? - przerwała mu.

- Świat się zmienia, mówiąc najkrócej. Prawie dziesięć lat temu, kiedy zrobili mu zdjęcia, ich ujawnienie zakończyłoby jego skromną karierę w banku. Dzisiaj bycie gejem nie jest napiętnowane społecznie i nie może być podstawą do zwolnienia z pracy. Raczej jest to coś, z czym mógłby się obnosić po firmie.

- Ufasz mu?

Zamyślił się.

- Raczej tak - odparł. - Sądzę, że zgłosił się do mnie z pobudek etycznych. Nie ma nic do stracenia. Mógłby tylko zyskać czyste sumienie, jeśli za jego pośrednictwem udałoby się zapewnić spokój wielu osobom życia publicznego. Pewnie liczył, że w ten sposób choć trochę odkupi swoje wcześniejsze grzechy wobec tych ludzi, których skrzywdził.

- To na czym polega problem? Mówiłeś, że trzeba się śpieszyć.

Zjechali z głównej ulicy na parking pod jej hotelem. Zatrzymał samochód i spojrzał jej prosto w oczy.

- Sarah, ten temat jest poważniejszy niż te, którymi zajmowałaś się poprzednio. Ten człowiek się boi i zaczyna mieć wątpliwości. Rozmawiałem z nim przez telefon dwa dni temu, zanim do ciebie zadzwoniłem. On jest przekonany, że człowiek w Polsce, ten, od którego zaczęła się cała operacja „Wodospad”, został zamordowany przez kogoś z ich organizacji. Wie, że to ludzie bezwzględni, którzy przez całe życie zajmowali się zabijaniem innych. Robili to za czasów, gdy Europa była podzielona żelazną kurtyną, robili to później i robią to dziś. Według niego ten człowiek z Polski nie będzie ich ostatnią ofiarą i jego życie również jest zagrożone.

- Okej, czy nie powinniśmy do niego jak najszybciej dotrzeć, żeby się z nim spotkać i porozmawiać?

Pierre otworzył drzwi kierowcy.

- Chodź - powiedział. - Dziś jest już za późno, żeby go odwiedzić.

Sarah spojrzała na zegarek.

- Faktycznie. Za pół godziny północ.

- Jet lag - podsumował Pierre. - Jeden, dwa dni i przyzwyczaisz się do tej strefy czasowej. Uciekł ci cały dzień przez tę podróż.

Wyjął z bagażnika jej walizkę i odprowadził ją do recepcji. Mieszkał w tym samym hotelu, więc poczekał, aż zamelduje się w pokoju.

- A może wspólny wieczorny drink i opowiesz mi coś więcej? - zaproponowała, gdy z kluczem w ręku skierowała się do windy.

- Z przyjemnością, ale nie dziś, Sarah - odparł i pocałował ją w policzek, jednocześnie przytulając na pożegnanie. - Lepiej idź spać, bo rano czeka nas praca. Musimy wyjechać z hotelu najpóźniej o ósmej rano.

Wysiadł na pierwszym piętrze, zostawiając ją samą w windzie.

## Niedziela, pierwszy maja, Berlin

Wojskowa baza nigdy nie jest przytulnym miejscem. Zawsze ktoś nie śpi. Zawsze ktoś snuje się po korytarzach, odbiera meldunki, pełni wartę lub po prostu nie może spać.

Nick nie spał, gdy do jego pokoju zastukał młody sierżant. Kazał mu wejść. Chłopak, napięty jak struna, stanął na baczność i wyciągnął przed siebie wydruk komputerowy złożony na pół. Brown szybko rozwinął kartkę i przeczytał komunikat. Jego czoło przecięła zmarszczka. Zgodnie z meldunkiem z komórki zajmującej się obserwacją agentów i potwierdzonym komunikatem od rezydenta w Polsce najważniejszy człowiek operacji „Wodospad” nagle zniknął. Nie było z nim kontaktu, a jego telefon milczał. W żaden sposób nie można było ustalić, gdzie przebywa, i taki stan trwał już ponad dobę.

Podrapał się ręką po całodniowym zarostzie. Sprawa komplikowała się coraz bardziej. Człowiek, który był jego podstawowym źródłem informacji i miał być wykorzystany operacyjnie, nagle zniknął w niewyjaśniony sposób. Zgodnie z procedurą nawet gdyby się pojawił i wytłumaczył swoje zniknięcie, jego certyfikat bezpieczeństwa nie byłby taki jak wcześniej. Takie zniknięcie mogło oznaczać wiele rzeczy, a wśród nich możliwy kontakt z tymi, na których polował. Brown wiedział, że syndrom sztokholmski nie jest teoretycznym wymysłem. Agenci infiltrujący struktury wroga niejednokrotnie po jakimś czasie zaczęli utożsamiać się z interesem tego, którego mieli śledzić lub zdemaskować. Być może było tak i tym razem. Niczego nie mógł wykluczyć.

Założył koszulę i buty, po czym pomaszerował w kierunku pomieszczenia łącznościowców. Poprosił oficera dyżurnego o połączenie z dowództwem JSOC. Spojrzał na zegarek. Było tuż po północy. W sztabie połączonych sił wojskowych, które znajdowało się po drugiej stronie Oceanu Atlantyckiego, była dopiero szósta po południu.

Poprosił o rozmowę z generałem Jenkinsem. Szybko wyjaśnił ostatnie wydarzenia i poprosił o zgodę na oficjalną współpracę z polską policją i zgodę na wylot do Polski pierwszym porannym samolotem.

Nie musiał długo przekonywać generała. Pół godziny później miał zarezerwowany lot do Warszawy. Obliczył, że może sobie pozwolić na dwie godziny snu. Tyle musiało mu wystarczyć.

## Niedziela, pierwszy maja, Mazury

Znowu widział tylko ciemność. Od dłuższej chwili leżał nieruchomo na zimnej podłodze. Nie ruszał się w obawie przed przeszywającym bólem mięśni i żeber. Tym razem pamiętał, co się działo. W pokoju, do którego go zabrali, było dwóch mężczyzn. Ten wielki, który go przyprowadził, wyszedł. Nie widział twarzy tych, którzy zadawali mu pytania. Lampa na wprost jego krzesła świeciła tak mocno, że nie mógł patrzeć nawet przez przymrużone powieki. Obaj byli w podobnym wieku. Mówili w prawie identyczny sposób. Przesłuchiwali go jak wojskowi. Metodycznie i krok po kroku. Bez emocji i bez zbędnych słów lub ruchów. Jeśli nie dostawali tego, co chcieli, na jego żebrach lądowała drewniana pałka.

Nie miał pojęcia ani która jest godzina, ani też ile czasu trwało przesłuchanie. W pomieszczeniu, w którym się znajdował, nie było żadnego okna. Już wcześniej, w kompletnej ciemności, rękoma przeszukał całe wnętrze, wymacał ściany i kratkę wentylacyjną, która dawno przestała działać i spełniać swoją funkcję. Na korytarzu, którym go prowadzono, jedynym źródłem światła były dwie żarówki wiszące bez obudowy tuż pod sufitem. Pomimo zmęczenia, braku snu i bólu wszystkich mięśni zauważył, że żarówki świecą takim samym światłem i są nowe. Nie były pokryte kurzem, tak jak większość przedmiotów i powierzchni w tym budynku.

Pokój przesłuchań, tak samo jak pozostałe pomieszczenia, nie miał okna. Ciężkie stalowe drzwi ryglowane były stalową klamką, podobną do zamknięć szluz w okrętach podwodnych z okresu drugiej wojny światowej. W czasie przesłuchania drzwi były zamknięte. Bardzo szybko w pokoju robiło się gorąco, szczególnie w świetle lamp skierowanych prosto w jego twarz. Wysoka temperatura wydawała się nie przeszkadzać gospodarzom. Jeden z nich pachniał papierosami i alkoholem. Drugi był wyraźnie spokojniejszy i wycofany, choć gdy zadawał pytania, Orłowski czuł od niego alkohol.

Nagle ciszę i ciemność panujące wokół niego przeciął szloch.

Orłowski znieruchomiał. Zaczął nasłuchiwać. Nie wiedział, czy słyszał ten odgłos naprawde czy był to omam słuchowy. Jeśli nie był to omam, znaczyło to, że ktoś jeszcze był w podobnym położeniu, i to blisko, być może za ścianą. Nie był pewien, ale odgłos szlochu ocenił jako kobiecy.

Podsunał się bliżej drzwi i nasłuchiwał. Po jakimś czasie ponownie usłyszał szloch. Był już przekonany, że to kobieta, i że płacze. Tym razem płacz był dłuższy i wyraźniejszy. Leżał nieruchomo. Wydawało mu się, że zdrzemnął się na moment ze zmęczenia. Obudziły go dźwięki dochodzące z korytarza. Ktoś po nim szedł. Po krokach rozpoznał, że to mężczyzna, prawdopodobnie ten sam, który wcześniej dwa razy po niego przychodził. Usłyszał zgrzyt zamka i otwieranie drzwi. Kilka sekund później dobiegły go stłumione głosy dwóch osób. Nie był w stanie rozróżnić słów, ale był pewny, że jeden z głosów należy do kobiety.

Nagle dźwięki stały się wyraźniejsze. Przyłożył ucho do drzwi. Wyszli na korytarz. Kobieta cały czas mówiła do mężczyzny. Awanturowała się. Orłowski zastygł w zdumieniu. Rozpoznał głos kobiety, a przynajmniej tak mu się wydawało. Nie miał pojęcia, dlaczego

córka dyrektora Groszkowskiego była w tym miejscu i czego chcieli od niej ludzie, którzy brutalnie próbowali wyciągnąć od niego informacje, których on po prostu nie posiadał.

Intensywnie myślał o swoim położeniu, chciał poskładać wszystko w logiczną całość. Wkrótce zmęczenie przejęło kontrolę nad jego organizmem. Zasnął.

## **Poniedziałek, drugi maja, Warszawa**

- Gdzie spotkamy się z komisarzem Kłopockim? - wymówienie polskiego nazwiska stanowiło dla Nicka Browna nie lada problem.

- W naszym biurze, w centrum miasta. Zgodnie z instrukcją nie powinien pan pojawiać się w budynku tutejszej policji na wypadek, gdyby miał pan później działać w terenie. Ktoś mógłby pana rozpoznać - odparł Tim Kerry, cytując fragment instrukcji, którą miał wykutą na pamięć.

W cywilnych ubraniach nie wyróżniali się z tłumu. Ubrani byli w casualowe spodnie i koszule. Nick podróżował z niewielką walizką, która wylądowała w bagażniku służbowego samochodu na polskich numerach rejestracyjnych. Z warszawskiego lotniska odebrał go polski rezydent wywiadu wojskowego.

Bez problemu dotarli do centrum miasta. Komisarz Kłopocki czekał już na nich w lobby budynku. Po krótkiej wymianie uprzejmości i obejrzeniu służbowych legitymacji zasiedli w gościnnym pokoju apartamentu należącego do rządu Stanów Zjednoczonych. Było to jedyne pomieszczenie w całym apartamencie, do którego mogli wchodzić goście z zewnątrz. Dostęp do pozostałych był zastrzeżony wyłącznie dla osób posiadających odpowiednie certyfikaty bezpieczeństwa.

Komisarzowi doskwierała rana postrzałowa, a opatrunek uwierał go pod ubraniem. Nie dał jednak po sobie poznać, że sytuacja jest dla niego niekomfortowa, szczególnie że ze szpitala wyszedł na własną prośbę i przy ogromnym sprzeciwie ordynatora, który nie zważając na to, że jest wysokim oficerem policji, wyzwał go od najgorszych i zelżył najgorzej, jak tylko umiał.

Kłopocki wiedział już wcześniej od rezydenta, jaki jest powód, dla którego kontrwywiad największego mocarstwa na świecie interesuje się byłym oficerem wojska polskiego. Szybko przekazał informacje o informatyku pracującym w podziemiach biurowca i o tym, że sprzęt komputerowy został najpierw wywieziony do magazynu, a później zniknął stamtąd w tajemniczy sposób. Nie pominął faktu, że ten sam informatyk został znaleziony w bagażniku własnego samochodu na berlińskim lotnisku i że wstępne ustalenia wskazują na zabójstwo przy użyciu substancji chemicznej wstrzykniętej domięśniowo i działającej tak szybko, że Gawiński nawet nie zdążył się zorientować, co się stało.

Brown w zamyśleniu słuchał komisarza. To, czego dowiedział się od polskiego policjanta, wpasowywało się w to, co wiedział już wcześniej na temat operacji finansowych, które namierzali w ramach NSA. Wiedział, że pieniądze od szantażowanych, które trafiają do organizacji, są już wyczyszczone i następnie przekazywane do poszczególnych grup działających na zlecenie organizacji. Jednak wyjaśnienia Kłopockiego ani trochę nie przybliżyły go do poznania mechanizmu transferu.

- Nasza operacja teraz, po śmierci Groszkowskiego, weszła w nowy etap. Prowadzimy ją pod operacyjną nazwą „Wodospad” i wierzymy, że jego córka może nam pomóc w uzyskaniu dokumentów, których szukamy od kilku lat - Brown postanowił wyjawić część wiedzy operacyjnej, choć wiedział, że niesie to za sobą pewne ryzyko.

- Dokumentów? - spytał Kłopocki, unosząc brwi.

- Tak, chodzi o dokumenty, które mają albo mogą mieć wpływ na naszą politykę wewnętrzną, ale nie tylko. Część tego, co było w dyspozycji Groszkowskiego, mogłoby wpłynąć na bezpieczeństwo i stabilność różnych krajów.

Komisarz się zamyślił.

- Dlaczego sądzi pan, że Dorota Groszkowska jest tak ważna? A może ktoś inny został powiernikiem sekretów jej ojca, w tym tych dokumentów?

Policjant swobodnie posługiwał się językiem angielskim, jednak w sposobie, w który akcentował poszczególne słowa, wybrzmiewały słowiańskie korzenie.

- Wskazuje na to fakt spisania testamentu u tego samego notariusza, który prowadził dużą część spraw dla ich organizacji, a wcześniej pracował dokładnie dla tej samej komórki kontrwywiadu, co zmarły.

- A jeśli to przypadek i ojciec wykorzystał tego samego notariusza również do celów prywatnych? - Kłopocki nie dawał za wygraną, choć wiedział, że bardziej występuje w roli adwokata diabła niż adwersarza z konkretnymi argumentami.

- Może to przypadek, ale z naszych wcześniejszych informacji z dnia, kiedy Groszkowski sporządzał testament, wynika, że notariusz przygotował dwa dokumenty notarialne. Oznaczył je następującymi po sobie numerami i tylko jeden z dokumentów był testamentem.

- Macie państwo zadziwiająco dokładne informacje - zauważył Kłopocki i dodał: - A ten drugi dokument?

- To zapewne jakiś rodzaj instrukcji, jak dotrzeć do tego, co było i nadal jest największym skarbem organizacji. To coś stanowi jej największą wartość. Nie sądzimy co prawda, żeby to był oczywisty opis dojścia do tych dokumentów. Raczej uważamy, że to jeden z elementów, który osobie wtajemniczonej w sprawy organizacji pozwoli odnaleźć materiały i z nich korzystać. Nasze rozpoznanie tematu wskazuje, że na pewno jest gdzieś fizyczne archiwum. To w nim schowane są papiery, zdjęcia, wydruki oraz ewentualnie nośniki pamięci z danymi. Oprócz tego z całą pewnością wiemy, że w wąskim kręgu krążyły też elektroniczne wersje tych materiałów. Nie wiemy natomiast, czy instrukcja, która była u notariusza, dotyczy dostępu do fizycznych dokumentów czy raczej do ich elektronicznego obrazu.

Dopiero w tym momencie Kłopocki zauważył, że jest w pokoju sam z agentem Brownem, a młody rezydent ulotnił się gdzieś bezszelestnie.

- Może warto porozmawiać z notariuszem i wyciągnąć od niego jakieś informacje? - zaproponował agentowi.

- U was jest pewnie tak samo jak u nas. Nie sądzę, żeby udało się coś wydobyć z notariusza - odparł Brown.

- A ja myślę, że warto spróbować.

## Poniedziałek, drugi maja, Warszawa

Siedziała w samym szlafroku na ogromnym szezlongu ustawionym centralnie na wprost okna. Szlafrok bezwładnie odkrywał jej nagie ciało. Poprzedniego wieczora przed pójściem spać nie miała ochoty nic na siebie zakładać. Lecąc do Zurychu, liczyła, że pierwsza od długiego czasu noc w Europie i pierwsza noc po kolejnym spotkaniu z Pierre'em skończy się tak jak zawsze, czyli namiętym i fizycznie wycieńczającym seksem w hotelowym pokoju. W zasadzie była pewna, że tak potoczy się wieczór.

Nie mogła powiedzieć, że była zawiedziona, że do niczego nie doszło. Nie było między nimi żadnej umowy i nigdy żadne z nich nie poruszało tego tematu. Zawsze był to efekt chwili, momentu, w którym oboje dochodzili do wniosku, że wzajemnie wysyłają sobie sygnały do właściwego działania.

Była rozczarowana i nie mogła poradzić sobie z ciałem, które pamiętało rozkosz doznań z Pierre'em. Tak bardzo chciała otrzymać ją ponownie.

Odstawiła szklanekę z sokiem pomarańczowym i poszła do łazienki. Zrzuciła szlafrok z ramion i podeszła do wanny.

Ciepła woda szybko ją otuliła, rozluźniając mięśnie. Myśląc o potrzebie swojego ciała, skorzystała z główki prysznica i strumienia ciepłej wody, które skierowała w stronę krocza.

Skończyła szybciej, niż przypuszczała. Ciało z niesamowitą siłą zareagowało na zewnętrzny bodziec. Jeszcze przez chwilę leżała bez ruchu, schowana pod wodą, rozkoszując się jej ciepłem.

Gdy wstała i wycierała się hotelowym ręcznikiem, oceniając swoje kształty przed lustrem, z pokoju doszedł ją dźwięk wibrującego telefonu komórkowego. Spojrzała na wyświetlacz.

- Cześć, Pierre - powiedziała na powitanie.

- Sarah, jak się masz? - odparł i dodał: - Już wstałaś czy walczysz z jet lagiem?

- Jest okej. Wstałam i się ogarniam... - zawahała się, bo dopiero w tym momencie zdała sobie sprawę, że nie ma pojęcia, która jest godzina. Odsunęła telefon od ucha i spojrzała na wyświetlacz.

- Świetnie. To w takim razie proponuję szybkie śniadanie w hotelu i ruszamy w teren.

- O której mamy tam być? - spytała, wiedząc, że ich rozmówca nie przyjdzie do hotelu i że sami muszą dojechać na miejsce spotkania.

- Umówiłem nas na jedenastą. To jest dość blisko, po drugiej stronie centrum. Z hotelu mamy tam najwyżej pół godziny.

- Jasne - odparła, odkładając komórkę.



## **Poniedziałek, drugi maja, Warszawa**

Kozlovsky spojrział na wyświetlacz telefonu. Numer kierunkowy wskazywał na połączenie z Francji. Odebrał.

- Tak?

- Chyba wszystko poszło w porządku, a przynajmniej tak nam się wydaje - powiedział dzwoniący.

- Jest przekonana do zakupu?

- Według naszej oceny jak najbardziej. Była dobrze przygotowana do spotkania. Na pamięć wykuła wszystko, co było w materiałach, które wcześniej jej przekazaliśmy.

- Zadawała jakieś niewygodne pytania?

- Pytała dużo i o wszystko. Nawet zażyczyła sobie nasze sprawozdania finansowe z ostatnich pięciu lat. Ale byliśmy na to przygotowani.

- Czy cokolwiek was zaniepokoiło?

- Kompletnie nic. Chłopaki oglądali nas na kamerach CCTV i mieli audio, tam gdzie tylko było to możliwe. Według nich wszystko poszło jak po maśle.

- W porządku - powiedział Kozlovsky, po czym rozłączył się i odłożył telefon na stół.

Wszystko szło zgodnie z jego założeniami. Tym razem jego plan był dużo lepszy niż poprzednio. Nagroda, która na niego czekała, też była dużo większa niż ostatnim razem.

## **Poniedziałek, drugi maja, Warszawa**

Siedziba notariusza była oddalona tylko o kilka przecznic od biura. Dystans pokonali pieszo. Tak jak przypuszczał agent Brown, notariusz nie był skory do pomocy. Jak sam powiedział, nie wolno mu udzielać informacji o klientach i o treści aktów notarialnych. Do tego był oschły i przyjął ich na stojąco w swoim gabinecie. Wyglądał na zdenerwowanego, a raczej poirytowanego ich przyjściem.

Gdy wychodzili, Kłopocki powiedział Brownowi, że dołączy do niego na ulicy, sam zaś wszedł do niewielkiej toalety. Brown wyszedł z biura notariusza.

Po chwili Kłopocki usłyszał, jak otwierają się drzwi gabinetu i notariusz prosi sekretarkę o połączenie z klasztorem ojców paulinów.

- Dzień dobry, proszę z bratem Albertem Koniecznym.

Kłopocki stał bez ruchu w toalecie i nasłuchiwał. Czuł, że rana pulsuje pod bandażem, a środki przeciwbólowe powoli przestają działać. Oparł się o ścianę i nasłuchiwał.

- Pochwalony - usłyszał po dłuższej chwili głos notariusza. - Jest problem... Nie, nie ma na to czasu... Był u mnie policjant z jakimś Amerykaninem... Nie, ten drugi chyba nie z policji... pytali tylko o testament i dokumenty Staszka... Tak, sam zresztą wiesz...

Trzask odkładanego telefonu.

Trzy minuty później Kłopocki był na dole i dołączył do Nicka Browna.

- Myślę, że powinniśmy spotkać się z pewnym duchownym - powiedział, po czym widząc zdziwienie na twarzy Browna, opowiedział mu o rozmowie telefonicznej notariusza. W Warszawie były dwa klasztory ojców paulinów. Ustalili, że zaczną od tego położonego po południowej stronie centrum, a jako drugi odwiedzą ten zlokalizowany na Starym Mieście.

## Poniedziałek, drugi maja, Mazury

Land rover świetnie sprawował się na leśnej drodze. Orłowski nie oszczędzał ani silnika, ani zawieszenia. Samochodem rzucało na wszystkie strony.

- Lepiej zapnij pas! - krzyknął do Doroty, która siedząc na miejscu pasażera, kurczowo trzymała się fotela. - To raczej nie będzie przejażdżka po parku.

Cały czas obserwował wsteczne lusterko. Przez chwilę wydawało mu się, że w тумanie kurzu, który zostawiał land rover, ujrzał jakieś auto podskakujące na leśnych wybojach. Czuł, że pościg może być blisko, chociaż wcale nie miał pewności, że oprawcy dowiedzieli się już o ucieczce. Ostatnie piętnaście minut było dla niego jak maraton. Bolały go wszystkie mięśnie. Sam nie wiedział, czy bardziej od spania na twardej betonowej podłodze czy od metod przesłuchiwania, które stosowali porywacze. Każdy oddech powodował przeszywający ból w klatce piersiowej.

W tym momencie najważniejsze było dla niego to, że stosowana przez porywaczy metoda blokowania drzwi pozwoliła mu wydostać się z ciemnej celi. Po jednym z przesłuchań, gdy odprowadzano go do celi, słyszał, jak zamykany jest zamek w drzwiach. Zrozumiał wtedy, że to jego jedyna szansa. Zamek był stary i źle funkcjonował. Zapadka była z pewnością wytarta i przeskakiwała przy niewłaściwym przyłożeniu siły do klucza. Gdy kolejny raz po niego przyszedli i wychodził z pomieszczenia, tak zaaranżował przejście przez próg, że zachwiał się i oparł o framugę w miejscu, w którym znajdował się otwór na zamek. Tyle mu wystarczyło. Sekunda i mały fragment cegły odłupanej od starej ściany we wnętrzu pomieszczenia wylądował w otworze zapadki zamka. Gdy przyprowadzili go z powrotem, słyszał jak rygiel zamka wsunął się do środka i odskoczył, pozostawiając zamek niezamknięty. Mężczyzna, który zamykał drzwi, nie zauważył tego i był przekonany, że po przekręceniu klucza drzwi były zamknięte.

Nie były.

Oprawcy cały czas myśleli, że jest pod kluczem w miejscu, w którym chcieli, żeby był. Wydostanie się z willi w środku lasu nie stanowiło dla niego problemu. Zapamiętał rozkład budynku, gdy kilkakrotnie prowadzono go do pokoju przesłuchań. Trasę do wyjścia mogłoby pokonać nawet z zamkniętymi oczami. Po drodze otworzył od zewnątrz jedyne pomieszczenie, które znajdowało się w piwnicy tuż obok jego celi. Już poprzedniej nocy zorientował się, że jest w nim córka Groszkowskiego. Z początku, przez tłumiące dźwięki grube drzwi, nie był w stanie rozpoznać jej głosu. Dopiero gdy położył się na podłodze z uchem przy niewidocznej szczelinie pod drzwiami, po długim nasłuchiowaniu rozpoznał jej głos. Nie wiedział, dlaczego tam była, ale domyślał się, że tak samo jak on nie jest tam z własnej woli. Gdy stanął w drzwiach jej pomieszczenia, zauważył tylko, że jest w lepszym stanie niż on, chociaż ubranie miała brudne i mocno wygniecione, tak jakby w nim spała. Zrozumieli się bez słów, choć (jak mu się wydawało) była zaskoczona jego obecnością.

Jeden rzut oka wystarczył Dorocie, aby ocenić, że Mike nie jest oprawcą, tylko tak jak ona ofiarą, która próbuje uciec. Kilka minut później siedzieli w samochodzie. Na szczęście

było to takie odludzie, że nikt nie myślał ani o zamykaniu auta, ani tym bardziej o zabieraniu kluczyków do domu.

Wyciągniętą ręką wskazał przestrzeń przed jej kolanami:

- Zajrzyj do schowka i powiedz, co tam widzisz - zakomenderował. - Szukaj telefonu, krótkofalówki, systemu GPS, czegokolwiek, co może nam się przydać.

Dziewczyna, trzymając się jedną ręką drzwi, drugą otworzyła skrytkę. Szybko przejrzała jej wnętrze. Spośród stosu rzeczy z triumfem wyciągnęła zieloną lornetkę wojskową.

- Zabieramy ją ze sobą. Zawieś ją sobie na ramieniu.

Wykonała jego rozkaz i kontynuowała przeszukiwanie schowka. W pewnym momencie znieruchomiała - na tyle, na ile było to możliwe w pędzącym po leśnych bezdrożach aucie. Dwoma palcami wyciągnęła niewielkich rozmiarów pistolet. Orłowski wyciągnął rękę i przejął zdobycz.

- Hukowy - skonstatował, oglądając broń i cały czas energicznie kręcąc kierownicą.

Wetknął znalezisko za pasek od spodni.

- Zobacz, czy z tyłu auta jest coś jeszcze - gdy tylko wypowiedział te słowa, jego uwagę przykuł punkt na niebie, tuż przed nimi.

W powietrzu znajdował się niewielki samolot. Z daleka wyglądał jak dwumiejscowa awionetka turystyczna lub samolot ultralekki, jakich wiele latało wokół dużych miast, gdzie mieszkała klasa średnia bawiąca się podniebnym transportem. Nie widział dokładnie kabiny, ponieważ górnopłat zasłaniał skrzydłami główną część kadłuba, wykonując skręt po dużym łuku. Wtedy właśnie dostrzegł ruch na skrzydle samolotu, który podsunął mu pewną myśl. Szybko zwolnił i opuścił szyby po obu stronach auta.

Zatrzymał samochód i wyłączył silnik.

Dorota w osłupieniu na niego patrzyła. Orłowski siedział nieruchomo i położył palec na ustach, nakazując jej zachowanie ciszy. Nie rozumiała, co się stało, ale błyskawicznie zastosowała się do jego poleceń.

Nasłuchiwał. Był już pewien, że jego przypuszczenia się potwierdziły. Awionetka miała wypuszczone klapy na skrzydłach, a dźwięk silnika, który dochodził przez otwarte okna samochodu, upewnił go tylko, że samolot przygotowuje się do lądowania. Oznaczało to tylko jedno. Spojrzał na pasażerkę i wskazał palcem na samolot.

- Ląduje. A to znaczy, że niedaleko jest lotnisko dla takich samolotów. Musimy tam dotrzeć.

Miał plan. Ponownie włączył silnik samochodu, wrzucił bieg i ruszył dalej leśną drogą. Tym razem jechał zdecydowanie szybciej i cały czas przyglądał się lewej stronie piaszczystego duktu. Groszkowska bardzo chciała się dowiedzieć, co takiego zauważył, lecz trzymając się z całych sił uchwytu w drzwiach pasażera, postanowiła, że ciekawość zaspokoi później. W duchu dziękowała twórcom i konstruktorom land rovera za pasy bezpieczeństwa, dzięki którym jej ciało dokładnie przylegało do fotela.

Orłowski bez żadnego ostrzeżenia wykonał ostry skręt w prawo. Auto w miękkim piasku przechyliło się na lewy bok, a w powietrze wzbily się kłęby kurzu. Silnik przez chwilę głośno pracował, wyprowadzając pojazd z łuku i piachu. Orłowski, kręcąc cały czas kierownicą, zwinnie przeprowadzał auto po wybojach, nie zważając na przeszywający ból obitych żeber i posiniaczonego brzucha. Dorota dopiero w tym momencie zauważyła, że nie jadą już drogą, tylko lasem, który akurat w tym miejscu był rzadszy niż wcześniej.

- Dokąd jedziemy? - spytała, przekrzykując szum wiatru wpadającego przez otwarte okna, mieszającego się z trzaskiem łamanych gałęzi i dźwiękami silnika pracującego na

wysokich obrotach.

- Teraz nie pytaj - odparł szybko. - Za dużo wybojów. Zaraz zobaczysz.

Za mniej niż minutę gwałtownie zatrzymał auto.

- Zbieraj się - zakomenderował - dalej musimy iść pieszo.

- Dalej? To znaczy dokąd? - spytała zdezorientowana. - Przecież jesteśmy w środku lasu!

Podniósł rękę i wskazał kierunek.

- Idziemy tam. Tam jest lądowisko. Wylądował na nim ten mały samolot, który widzieliśmy przed chwilą.

- Chyba nie masz zamiaru...? - spojrzała na niego pytająco.

- To najszybszy sposób, aby się stąd wydostać - odparł. - Tamci, kimkolwiek są, na pewno odkryli już, że uciekliśmy. Nie zacieraliśmy za sobą śladów, więc musimy liczyć się z tym, że są już za nami. Mamy maksimum piętnaście minut przewagi. Jeśli będą nas szukali z taką samą zaciekłością, z jaką mnie przesłuchiwali, to nasza przewaga nic nie da.

Nie odpowiedziała, ale w duchu się z nim zgadzała. Oprawcy byli zaciekli i bezwzględni w tym, co robili. Widziała, jak wyglądał Orłowski i jak momentami krzywił się z bólu, wykonując niektóre ruchy.

Gestem nakazał jej, aby maszerowała za nim w kompletnym milczeniu. Teraz, gdy już wiedziała, czego się spodziewać, zauważyła, że polana, którą było widać pomiędzy drzewami, miała kształt bardzo długiego prostokąta z kolorowymi patykami i chorągiewkami po bokach. Domyśliła się, że to lądowisko, na którym wylądowała awionetka. W jej głowie było wiele pytań. Nie potrafiła sobie wyobrazić, w jaki sposób mają nią odlecieć. Założyła, że żadne z nich nie umie pilotować, a wątpiła, aby pilot chciał wykonać lot z nieznanymi sobie ludźmi, którzy w dodatku nie mają przy sobie pieniędzy i wyglądają jak kłoszardzi.

Cały czas posuwali się wzdłuż pasa startowego w cieniu pomiędzy drzewami. Gdy byli w połowie drogi, na przeciwległym końcu, tuż pod ścianą lasu, zauważyła niewielki biały punkt. Dopiero po chwili zorientowała się, że patrzy na samolot. Wokół niego nic się nie ruszało. Za samolotem niewyraźnie rysował się kontur małego hangaru, a przed nim zaparkowany był samochód. Po pięciu minutach marszu pod drzewami dotarli na kraniec lądowiska. Z oddali przyglądali się, jak mężczyzna stojący obok samolotu wyciąga ze schowka w kadłubie torbę, którą przewiesza przez ramię i kieruje się w stronę hangaru. Na kilka minut stracili go z oczu. Wykorzystali ten czas na pokonanie kolejnych kilkudziesięciu metrów. Byli teraz w bezpośrednim sąsiedztwie samochodu i samolotu, od obu maszyn dzieliło ich około trzydzieści metrów. Przykucnęli za kępą gęstych krzaków i czekali. Pilot wyszedł z wnętrza hangaru, przymknął drzwi i skierował się w stronę auta. Po kolejnych sześćdziesięciu sekundach pozostał po nim wyłącznie kurz opadający na drogę, którą odjechał.

Orłowski pochylił się i wyszeptał do Doroty:

- Biegniemy prosto do samolotu. Nie zamknął drzwi, więc wejdziemy do środka i poszukamy kluczy.

- Czy ty na pewno wiesz, co robisz? - odezwała się po raz pierwszy od czasu opuszczenia samochodu.

- Tak.

- Umiesz pilotować?! - Spojrzała wymownie na stojącą przed nimi awionetkę.

- Umiem, a to - zaakcentował mocniej, żeby skończyć ten wątek - to górnopłat Cessna, jeden z najbardziej popularnych samolotów na świecie i najbardziej rozpowszechnionych samolotów transportowych w lotnictwie General Aviation. Ma

niewielkie wymagania co do obsługi i wystarczy mu kawałek prostej trawy do startu i lądowania. A teraz biegniemy. Ty wchodzisz z prawej strony, ja z lewej.

Popchnął ją. Schyleni, zaczęli biec w kierunku samolotu. Orłowski cały czas rozglądał się na boki. W ciągu piętnastu sekund dotarli do celu. Drzwi były otwarte. Po drodze zerwał osłonę rurki Pitota - prędkościomierza lotniczego. Zdjęcie osłony było konieczne dla poprawnego działania urządzenia w trakcie lotu.

- Nie zamykaj - powiedział, gdy zajęli miejsca w środku i Dorota siłowała się z drzwiami samolotu. - Musimy nasłuchiwać, czy przypadkiem ktoś się nie zbliża. Oni mogą być już blisko.

Mieli szczęście. Kluczyk uruchamiający samolot ciągle tkwił w stacyjce. Pilot najwyraźniej nie wierzył, że ktokolwiek jest w stanie ukraść samolot w tej leśnej głuszy.

Przekręcił klucz. Lampki na tablicy wskaźników błysnęły krótko. Na obu monitorach pojawił się ekran inicjacji systemów pokładowych. Orłowski omiół wzrokiem wszystkie przyrządy na tablicy ze wskaźnikami. Ekran z prawej po dziesięciu długich sekundach wyświetlił informację, na którą czekał. Temperatura oleju nie zdążyła jeszcze spaść poniżej poziomu potrzebnego do startu. Wskaźnik paliwa wskazywał siedemdziesiąt procent.

- Załóż to - powiedział, szybko wskazując Groszkowskiej wiszące pod szybą słuchawki.

Włączył radio, identyfikację i sprawdził ustawienie pozostałych obwodów niezbędnych do startu. System lokalizacji

GPS już działał. Orłowski wyciągnął rękę w kierunku pokrętki kalibracji ekranu GPS, gdy jego uwagę zwrócił dźwięk dochodzący od strony lasu. Gestem nakazał Dorocie, żeby się nie ruszała, po czym wychylił się z kabiny. Po kilku sekundach nasłuchiwania jak w amoku przełączył jeszcze kilka dźwigni, przekręcił kluczyk do końca i wcisnął starter. Silnik wydał z siebie głośne prychnięcie. Śmigło od razu zaczęło się kręcić. Szybko przesunął dźwignię obrotów do przodu. Śmigło zaczęło wirować szybciej i samolot ruszył z miejsca. Przez otwarte drzwi huk powietrza wlatywał do wnętrza kabiny.

- Zatrzaśnij drzwi - krzyknął ponad szumem silnika i wiatru.

Dorota posłusznie wychyliła się z kabiny i zatrzasnęła drzwi. W tym samym momencie zrozumiała, co spowodowało, że tak szybko uruchomił silnik i ruszył do przodu. Pomiędzy drzewami, na drugim końcu pasa startowego, z dużą prędkością przemieszczał się w ich stronę jakiś ciemny punkt. Spojrzała na Orłowskiego - on też widział to, co ona, i trzymając lewą ręką drążek sterowniczy, prawą wyciągnął całkowicie dźwignię przepustnicy. Silnik odpowiedział jeszcze głośniejszą pracą. W tym momencie Orłowski wychylił się i zatrzasnął drzwi po swojej stronie. Samolot przyśpieszał, podskakując na trawiastej nawierzchni lotniska.

Na prędkościomierzu mieli już połowę prędkości startowej, gdy z lasu na pas startowy wyskoczył niewielki szary punkt. Prosto na nich pędził mężczyzna na motocyklu - pochylony nad kierownicą, jechał dokładnie po linii startu. Ciągle nie mieli odpowiedniej prędkości do podniesienia maszyny. Strzałka prędkościomierza powoli wspiwała się do kolejnych wartości. Motocyklista był już na tyle blisko, że byli w stanie zobaczyć jego twarz skrytą w kasku. Orłowski gwałtownie ściągnął drążek sterowniczy do siebie i Cessna oderwała się od ziemi. Kątem oka zauważył, że prowadzący motocykl upadł na trawę tuż przed śmigłem i pojazd sunął dalej bez kierowcy. W tym samym momencie do dźwięku silnika dołączył regularny turkot i tuż przed maszyną zobaczyli snop szaro-białych punktów. Orłowski od razu zrozumiał, co się dzieje, i odchylił maszynę na lewe skrzydło, sprowadzając ją nad las przed końcem pasa startowego. Dzięki przechyłowi dostrzegł na skraju lasu czarny samochód

terenowy, obok którego stało dwóch mężczyzn. Jeden z nich strzelał do nich z karabinu maszynowego. Nad lasem byli bezpieczni, przynajmniej przez jakiś czas.

Wyprostował lot maszyny, schował klapy i kontynuując wznoszenie, sprawdzał położenie na lokalizatorze GPS. Zmienił skalę wyświetlacza i na ekranie ukazał się fragment mapy wraz z ich położeniem.

- Olsztyn - powiedział do mikrofonu słuchawek. - Jesteśmy blisko Olsztyna. Lądowisko leśne było na północnym wschodzie, jakieś dwadzieścia pięć, może trzydzieści kilometrów od miasta.

Dorota kiwnęła głową na znak, że rozumie. Nie odzywała się. Od momentu, gdy Mike przyspieszył, kurczowo trzymała się swojego fotela. Dla niej to był pierwszy raz. Nigdy wcześniej nie latała tak małym samolotem. To było coś kompletnie innego niż lot rejsową maszyną. Nigdy nie miała lęku przestrzeni, ale w małej kabinie awionetki nie czuła się dobrze. Cała konstrukcja drgała i wibrowała, jednocześnie podskakując na niewidzialnych nierównościach.

Orłowski rozłożył na kolanie mapę lotniczą, którą znaleźli między siedzeniami. Odczytał częstotliwość radiową kontroli lotów. Była taka sama jak ta ustawiona na radiu.

- Sierra, papa, yankee, zulu, tango, kontrola obszaru Olsztyn, dzień dobry - powiedział do mikrofonu słuchawek, wciskając równocześnie przycisk na drążku sterowniczym, dzięki któremu mógł rozmawiać z kontrolą lotów.

Po chwili w słuchawkach usłyszeli głos kontrolera:

- Yankee, zulu, tango, dzień dobry, widzimy was na radarze.

- Zgłaszam start z leśnego lądowiska na północny zachód od Olsztyna. Lot do Warszawy przez Mławę i Modlin, lądowanie na lotnisku w Konstancinie-Jeziornie. Mamy trzy tysiące dwieście stop i QNH na tysiąc dwanaście. Squawk siedem tysięcy.

- Yankee, zulu. - Kontroler, jak to przyjęte w slangu lotniczym, po rozpoczęciu komunikacji posługiwał się tylko częścią numeru rejestracyjnego. - Przyjąłem cel Warszawa, Konstancin-Jeziorna przez Mławę i Modlin. Aktualnie trzy tysiące dwieście stop. Skorygujcie baro na tysiąc trzysta. Przed wami TMA Szymany, więc sugeruję przejście na cztery tysiące i odchylenie na zachód. Według prognozy będziecie mieli ładną pogodę aż do celu. Nie ma komunikatów o zagrożeniach. Życzę miłego lotu, yankee, zulu.

- Baro tysiąc trzysta, potwierdzam wchodzenie na cztery tysiące. Dziękuję. Yankee, zulu, tango.

Dorota przyglądała się Orłowskiemu. Nie wiedziała, że kolega z pracy umie pilotować samoloty. Cała ta sytuacja była dla niej skomplikowana i nie rozumiała wszystkiego, co wydarzyło się w ciągu ostatnich godzin.

Obróciła się w kierunku Mike'a, a ten, widząc, że kobieta chce rozmawiać, wskazał gestem, aby się wstrzymała. Szybko odszukał włącznik autopilota. Ustawił go w pozycji „on” i zaprogramował kurs na Warszawę. Mieli teraz trochę czasu na rozmowę.

## Poniedziałek, drugi maja, Zurych

Nie miała ochoty na obfite śniadanie. Gdy zjeżdżała windą do hotelowego lobby, stwierdziła, że brak fizycznej aktywności nocą, na którą liczyła, lecąc do Zurychu, ogranicza ilość kalorii, którą powinna spożyć.

Jak każda Amerykanka croissanta najpierw posmarowała dżemem, a później gryzła jak zwykłą kanapkę. Dołączył do niej Pierre.

- Ciągłe nie nauczyłaś się urywać po kawałku naszego francuskiego pieczywa? - spytał, jednocześnie całując ją w policzek na powitanie.

Sarah nie odpowiedziała. Kiwnęła głową potakująco i popiła świeżo wyciskanym sokiem pomarańczowym.

Pierre zamówił taki sam zestaw śniadaniowy. Kwadrans później wsiadali do samochodu na hotelowym parkingu. Po drodze prawie nie rozmawiali. Ona podziwiała widoki za oknem, zupełnie odmienne od tych, które na co dzień widywała w Los Angeles. Pierre prowadził i jednocześnie starał się połączyć z ich rozmówcą. Był umówiony z informatorem, że zadzwoni do niego, jak tylko opuszczą hotel, żeby bankier miał możliwość wyjść z biura. Linia była wolna, ale bankier nie odbierał.

Pierre zaparkował przed budynkiem banku.

- Zaczekaj tu na mnie. Zajrzę do środka i dam mu znać, że jesteśmy - powiedział, po czym wysiadł z auta i energicznym krokiem skierował się do wejścia.

Chwilę później ponownie usiadł za kierownicą samochodu.

- I co? - spytała Sarah, widząc jego zaskoczoną minę.

- Nie ma go przy biurku. Komputer jest wyłączony. Wygląda to tak, jakby nie było go dziś w pracy.

- A pytałeś o niego?

- Nie, nie mogę. Umówiłem się z nim, że w pracy nikt nie może go ze mną łączyć. W ogóle dałem mu słowo, że nie przyjdę nigdy do jego biura, więc i tak nadwyrężyłem tę obietnicę.

- Zadzwoń jeszcze raz - wydała polecenie.

Pierre przyłożył telefon do ucha. Nawet nie musiała pytać, żeby zorientować się, że nikt nie odbiera.

- Co robimy?

- Poczekaj.

Sięgnął do schowka w podłokietniku i wyjął z niego plik złożonych na pół kartek. Szybko je przewertował i wyciągnął jedną z nich. Na brzegu ktoś zapisał odręcznie jakiś adres. Odczytał go i wprowadził do systemu nawigacji.

- To adres jego mieszkania na obrzeżach Zurychu. Pojedziemy tam i sprawdzimy, czy jest w domu - poinformował Sarę i nie czekając na jej reakcję, ruszył z miejsca.



## Poniedziałek, drugi maja, Mazury

Autopilot dał mu wreszcie chwilę wytchnienia. Gdy osiągnęli wysokość czterech tysięcy stóp i ominęli wojskowe lotnisko Szymany, ustawił kurs na lotnisko docelowe. Mógł się już odprężyć. Dopiero wtedy poczuł, jak bardzo bolą go zębra. Wyciągnął się w fotelu i słuchał tego, co Dorota miała mu do powiedzenia.

Z opowieści wynikało, że po śmierci ojca dużo zadziało się w jej życiu. Dorota skrętnie pominęła wycieczkę do Paryża, ale z tego, co mówiła, jasno wynikało, że ojciec zostawił jej coś cenniejszego niż spadek.

Orłowski poświęcał jej słowom całą uwagę. Chłonał każdy szczegół i starał się szybko opracować jakiś plan.

Gdy przysłała jego kolej, powiedział o śledzącej go policji, rozmowie z Łukaszem i jego żoną oraz o porwaniu.

- Ciekawy zbieg okoliczności. Adres, który dał ci ksiądz, i mój cel podróży to Londyn.

- Tak samo jak to, że raczej żadne z nas nie powinno teraz podróżować samolotem.

Orłowski zamyślił się.

- A może trzeba pójść na policję i im to wszystko zostawić? - powiedziała kobieta, przerywając ciszę w słuchawkach lotniczych.

- Raczej nie ma to sensu. Co im powiemy? Że ktoś nas porwał, bo twój ojciec robił coś mega tajemniczego i miał kolegę zakonnika? Wątpię, żeby nam uwierzyli. A poza tym nawet jeśli przyjęliby nasze zgłoszenie, to już wyobrażam sobie, jak długo wypytywaliby nas o wszystkie szczegóły. Od razu mi się odechciewa.

- To co robimy?

- Jak tylko wylądujemy, zadzwonię do przyjaciela, który nam pomoże. Uważam, że tak czy inaczej powinniśmy dotrzeć do Londynu. Wszystko wskazuje na to, że czekają tam na nas odpowiedzi na wiele pytań.

Przytaknęła.

- Masz jakiś pomysł, jak się tam dostaniemy? - spytała. - Samolot raczej nie wchodzi w rachubę, na lotnisku trzeba pokazać dokumenty.

W tym momencie na centralnej konsoli zabłyśła czerwona lampka, a na ekranie systemu nawigacji pojawił się napis, że cel jest w zasięgu dwudziestu pięciu mil.

Orłowski, manewrując pokręteł obok włącznika autopilota, ustawił kąt nachylenia samolotu, aby obniżyć lot, i lekko zmniejszył ustawienie przepustnicy. Dorota zamilkła, wypatrując lotniska w miejscu przed nimi, tam gdzie błękit nieba stykał się z linią ziemi. Dopiero po dłuższej chwili zaczęła rozróżniać poszczególne kształty obiektów i budynków, dostrzegając drogi i lasy.

Po kilku minutach, gdy stracili już sporą część wysokości, dostrzegła wąski zielony pas, obok którego powiewała flaga w postaci kubełka. Flaga wskazywała kierunek wiatru.

Orłowski sprawnie operował manetką gazu i obniżając lot, jednocześnie redukował prędkość.

Wysunął klapy.

Byli na tyle blisko ziemi, że mogła rozróżnić detale budynków znajdujących się pod nimi.

Mężczyzna gładkim ruchem posadził samolot na trawiastym pasie startowym. Maszynę przeszły wibracje pochodzące z nierówności podłoża.

Po zaparkowaniu Orłowski zostawił Dorotę przy samolocie i poszedł poszukać telefonu w jedynym budynku lokalnego lotniska w Konstancinie. Gdy po dłuższej chwili wrócił, Dorota stała dokładnie w tym samym miejscu, w którym była, gdy odchodził w kierunku hangarów.

- Pojedziemy do mojego kolegi. U niego możemy przenocować i załatwić transport do Londynu - powiedział, gdy był na tyle blisko, żeby go słyszała, a obsługa lotniska nie mogła zrozumieć ich słów ponad dźwiękiem samolotu, który właśnie rozgrzewał się do startu i rozpoczął kołowanie.

- Dlaczego nie do domu?

Spojrzał na nią zdziwiony, tak jakby to było oczywiste:

- Policja ma mnie na oku, chociaż niczemu nie jestem winien, a do ciebie mogą przyjść panowie, od których właśnie wracamy. Zakładam, że wiedzą o tobie znacznie więcej, niż jesteś w stanie przypuszczać.

- Okej - skwitowała krótko.

- Zabierze nas stąd za jakieś pół godziny. Jak będziemy u niego w domu, to kupimy bilety na pociąg do Berlina...

- Berlina?

- Tak. Pociągiem dotrzemy do Niemiec i stamtąd złapiemy samolot do Londynu. Tak będzie bezpieczniej.

- A ubrania, dokumenty? - Dziesiątki pytań pojawiały się w głowie Doroty.

- Mój znajomy wpadnie do mnie po paszport. Ubrania kupimy po drodze. To na wypadek, gdyby policja obserwowała mój dom. Nie chcę, żeby widzieli, że wynosi ode mnie ubrania lub walizkę. To byłoby podejrzané. Po twój dokument pojedzie w nocy. Wyjaśnisz mu, gdzie jest, i załatwi to.

- Kiedy jedziemy dalej?

- Pierwszym pociągiem z rana. Musimy trochę odpocząć i doprowadzić się do porządku... przynajmniej ja.

W tym momencie Groszkowska zdała sobie sprawę, że jego ubranie jest brudne, a on sam wygląda jak poturbowany w wypadku drogowym. Gdyby wyszedł tak na ulicę, zwracałby na siebie uwagę ludzi.

W tym momencie Mike pomimo bolących go przy każdym ruchu żeber podniósł rękę do góry w geście powitania i ruszył w kierunku wjazdu na lotnisko. Ich transport był już na miejscu.

## Poniedziałek, drugi maja, Warszawa

Kłopocki skręcił w prawo i wjechali na ulicę pokrytą kocimi łbami. Samochodem zaczęło delikatnie trząść. Wibracje spowodowały, że ponownie przypomniał sobie o ranie w barku, która pulsowała w rytm wybojów drogi. Starał się nie zwracać na nią uwagi, chociaż w głowie ciągle dudniły mu słowa lekarza, który dosadnie wyartykułował, co sądzi o chodzeniu po mieście ze świeżą raną postrzałową.

W połowie ulicy dostrzegli zaparkowany policyjny radiowóz z włączonymi światłami błyskowymi, a obok niego ambulans.

Komisarz jechał powoli, szukając właściwego numeru budynku. W tej części miasta wszystkie zabudowania według niego prezentowały się tak samo – były po prostu stare. Na dodatek nie miał pojęcia, czy klasztor paulinów powinien wyróżniać się czymś szczególnym.

Pierwszy klasztor, do którego dotarli, okazał się nie być tym, którego szukali. Rozmawiali z przeorem, który powiedział, że wśród jego braci nie ma nikogo o imieniu Albert ani o nazwisku Konieczny. Na wszelki wypadek sekretarz zakonu przyniósł księgę z rejestrem zakonników, którzy mieszkali w zakonie w ciągu ostatniej dekady. To jednak też nie przyniosło rezultatów. Przeor i sekretarz nie znali zakonników z innych zgromadzeń, więc Kłopocki i Brown niczego więcej się nie dowiedzieli.

Komisarz zatrzymał samochód przed ambulansem. Numer na budynku wskazywał, że dotarli do zgromadzenia paulinów. Przed wejściem stał umundurowany funkcjonariusz.

Wysiedli.

Kłopocki pokazał policjantowi służbową odznakę i zaczął z nim rozmawiać.

– Jakiś zakonnik został znaleziony martwy w celi – powiedział do Nicka Browna, który stał obok – podobno zawał serca, ale to sprawdzają. Chodźmy do kancelarii.

Weszli korytarzem w głąb budynku, tak jak wskazał im funkcjonariusz stojący przy wejściu. Gdy w środku powiedzieli, jaki jest cel ich wizyty, obaj mnisi zaniemówili. Spojrzeli na siebie, po czym starszy z nich powiedział:

– Nie jesteście z tymi policjantami, którzy przyjechali na wezwanie?

– To znaczy?

– Policja i lekarz przyjechali właśnie do brata Alberta...

– Kurwa... – wymknęło się Kłopockiemu – ...proszę nas tam zaprowadzić.

W drodze do części mieszkalnej Kłopocki szybko wytłumaczył Brownowi treść rozmowy. Gdy dotarli pod celę Alberta Koniecznego, dwóch policjantów prowadziło rozmowę z lekarzem i sanitariuszem.

Kłopocki nie musiał pokazywać odznaki.

– Cześć, Rafał – przywitał go jeden z mundurowych. – Nie wiedziałem, że masz dziś dyżur i cię przysła.

– Nie mam. Prowadzę inną sprawę, a to miał być nasz potencjalny świadek. – Machnął ręką w stronę pokoju. – Można?

– Tak, tylko ostrożnie, wezwaliśmy techników.

– A co tu się w ogóle stało?

- Doktorze? - Policjant zachęcił lekarza.

Młody chłopak w lekarskim kitlu, z podwiniętymi rękawami, spod których wystawała kraciasta koszula, zdjął stetoskop z szyi i zaczął tłumaczyć:

- Zatrzymanie akcji serca, najpewniej rozległy zawał... Jak przyjechaliśmy, było już za późno. Zmarł mniej więcej godzinę przed naszym przyjazdem, a przyjechaliśmy szybko, bo w mniej niż dziesięć minut od zgłoszenia.

- Udział osób trzecich? - rzucił inspektor.

- Raczej wykluczam, żadnych śladów na ciele - odparł nieśmiało lekarz.

- Wstępne oględziny, które przeprowadziliśmy, nie świadczą ani o rabunku, ani o bójce... - dodał mundurowy.

Kłopocki spojrzał na zakonnika, który z nimi przyszedł.

- Czy pan Konieczny na coś chorował albo na coś się ostatnio uskarżał?

- Nie. Absolutnie. Był zdrow jak ryba - odparł mnich bez wahania.

Kłopocki machnął na Browna, żeby razem z nim wszedł do celi zakonnika.

W pokoju panował ascetyczny porządek. Łóżko, stół, komoda, szafa, kilka książek na stoliku nocnym i niewielki dywan pośrodku pomieszczenia. Wszystko mocno zniszczone i skromne.

Zakonnik leżał na łóżku. Jego ciało spoczywało w poprzek materaca, tak jakby dopiero zamierzał się ułożyć do snu. Jedna stopa, ubrana w sportowy but, wisiała nad krawędzią łóżka. Prawa ręka leżała bezwładnie wzdłuż ciała, podczas gdy lewa spoczywała na klatce piersiowej, tak jakby umierający w ostatnim odruchu starał się chwycić za serce.

Twarz Alberta Koniecznego była szara i skrzywiona w grymasie bólu. Oczy miał ciągle otwarte i zastygłe w bezruchu.

Kłopocki i Brown stali obok łóżka i przyglądali się zakonnikowi oraz miejscu, w którym leżało jego ciało.

Inspektor wyciągnął telefon z kieszeni spodni i zaczął przeszukiwać książkę telefoniczną. Brown podszedł do komody, na której stało wielkie zabytkowe radio, stylizowane na powojenne odbiorniki z bakelitowymi pokrętłami.

- Cześć - powiedział do słuchawki inspektor. - Sprawdź coś dla mnie. Nazwisko Konieczny, imię Albert... Kiedy urodzony? Poczekaj... - Kłopocki szybko wyszedł na korytarz i zapytał mnicha, który ich przyprowadził, o dane zmarłego. Przekazał je rozmówcy i czekał z telefonem przy uchu.

Nick Brown cały czas przyglądał się radioodbiornikowi stojącemu na komodzie w celi zakonnika. Cud techniki radiowej powojennych lat był, jak mu się wydawało, w świetnym stanie. Mężczyzna chłonał obraz zabytkowego sprzętu, jednak jego myśli krążyły zupełnie gdzie indziej. Analizował sytuację. Zbyt dużym zbiegiem okoliczności był dla niego zgon zakonnika, z którym tak niedawno widziała się córka Grocha. Konieczny i Groszkowski byli w podobnym wieku. Mogli się znać i wspólnie działać, a życie w domu zakonnym na pewno dawało wiele możliwości.

Radio kusiło go coraz bardziej. Wyciągnął rękę w kierunku pokrętła w kolorze écrú i przekręcił je. Przedni panel rozblysnął bladym światłem, podświetlając skalę potencjometru.

- Halo... halo... - Kłopocki odsunął telefon od ucha. Połączenie zostało przerwane. Spojrzał na wyświetlacz. - Co jest...? - Wszedł z powrotem do pokoju zakonnika i podszedł do okna. Uniósł telefon wyżej, ale to nie pomogło, urządzenie ciągle nie miało zasięgu.

Brown patrzył, jak inspektor bezskutecznie próbuje nawiązać połączenie. Nagle przyszła mu do głowy myśl. Włożył dłoń do kieszeni spodni i wyciągnął swój telefon. Spojrzał

na ekran. Też nie miał zasięgu. Nie odrywając oczu od ekranu komórki, sięgnął ręką w kierunku bakelitowego włącznika radia. Przekręcił je do pozycji „wyłączone”. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki na ekranie pokazały się kreski sygnału telefonii komórkowej. Nick Brown ciągle trzymał rękę na przełączniku. Włączył radio ponownie. Kreski na wyświetlaczu telefonu zniknęły.

- Rafal! - Brown zawołał inspektora, a gdy ten podszedł, pokazał mu sztuczkę z radiem. Następnie zrobili to samo z telefonem Kłopotckiego. Efekt był dokładnie taki sam.

- No to ładny pasztet - stwierdził Kłopotcki, drapiąc się po brodzie, na której wyraźnie rysowała się ciemna linia zarostu. - Urządzenie do zagłuszania w celi zakonnego mnicha.

Kłopotcki odwrócił się od radia i wyszedł na korytarz. Lekarz stał w tym samym miejscu, gdzie przed chwilą.

- Czy robił pan oględziny mnicha poza stwierdzeniem, że nie żyje? - spytał medyka.

- Nie, no dokładne badanie to już raczej patolog...

Kłopotcki nie dał mu skończyć.

- Niech pan to zrobi teraz. Proszę sprawdzić, czy na ciele nie ma jakiś drobnych oznak. Może jakiś ślad po ukłuciu igłą, tak jak po zastrzyku, drobne otarcie w nietypowym miejscu... cokolwiek.

Lekarz pogotowia, widząc twarz inspektora, zrezygnował ze stawiania oporu. Ruszył w kierunku zwłok, wyciągając z kieszeni fartucha niewielką latarkę i poprawił palcem okulary na nosie. Gdy pochylał się nad mnichem, Kłopotcki stał cały czas z tyłu, a dwa kroki za nim Brown, który pomimo że nie rozumiał słów, szybko pojął kontekst całej sytuacji.

- A to ciekawe... - W pewnym momencie bardziej do siebie niż do pozostałych powiedział lekarz. - Wygląda na to, że ma pan rację, inspektorze. - Proszę spojrzeć w to miejsce.

Kłopotcki pochylił się nad ciałem i podążył wzrokiem za palcem wskazującym lekarza, który drugą ręką lekko odchylił tułów zmarłego. Na ubraniu zakonnika, na prawym barku w pobliżu łopatki widniała niewielka plama krwi. Lekarz odsunął kołnierz habitu zakonnego w taki sposób, żeby mogli spojrzeć na skórę. Pod materiałem plama była wyraźniejsza i bardziej rozmazana, ale ciągle niewielkich rozmiarów.

- Doktorze, trzeba koniecznie zapisać patologowi, żeby zrobił badanie na obecność jakiejś trucizny lub czegokolwiek, co mogło być wstrzyknięte temu człowiekowi i przyczynić się do jego śmierci.

- Podejrzewa pan, że ktoś go zabił? - Młody człowiek z niedowierzaniem spojrzał na inspektora, poprawiając na szyi stetoskop.

- Nie wykluczam tego, szczególnie że jesteśmy tu w związku z inną sprawą, w której właśnie w ten sposób zamordowano człowieka. Nie wiedzieliśmy, że Albert Konieczny nie żyje. Jechaliśmy tutaj, żeby z nim porozmawiać.

Nick Brown, który przyglądał się całemu zajściu, podszedł do inspektora.

- Chyba musimy zacząć działać szybciej - powiedział i dodał - szczególnie teraz, po tym, jak ten trop urwał nam się tak nagle.

## **Poniedziałek, drugi maja, Warszawa**

Kremowe, aksamitne espresso smakowało wyśmienicie, czego nie mógł powiedzieć o towarzyszącym kawie croissancie. Zanim upił pierwszy łyk, pozwolił, aby czarny napój przez chwilę drażnił jego nozdrza intensywnym zapachem.

Palcami urwał kawałek francuskiego ciasta i włożył do ust.

Z odległości kilkudziesięciu metrów, po przekątnej od skrzyżowania w pobliżu klasztoru, obserwował, jak na miejsce przyjeżdża karetka na sygnale. Kilka minut po niej przed ambulansem zaparkowało policyjne auto. Po kilkunastu minutach przyjechało jeszcze jedno auto i do klasztoru weszło dwóch mężczyzn - jak ocenił sytuację - dwóch funkcjonariuszy w cywilu. Jeden z nich pokazał przy wejściu odznakę mundurowemu, który stał w drzwiach.

Dopił espresso i zdecydował, że pozostawi resztę croissanta. Pomyślał, że Polacy nie potrafią odtworzyć unikalnego smaku francuskiego specjału. Nawet w jego rodzimej Irlandii robili to lepiej.

Ruszył ulicą, zostawiając za sobą kolejne zadanie wykonane dla pracodawcy.

Następne już czekało.

## Poniedziałek, drugi maja, Zurych

Sarah stwierdziła, że Zurych wiosną wygląda pięknie. To nie było to wieczne lato, które panowało w południowej Kalifornii i tylko w okresie grudnia oraz stycznia przypominało deszczową oraz ciepłą wiosnę.

Soczysta zieleń trawników i drzew we wczesnej fazie wzrostu otaczała ich z każdej strony.

Przejechanie na drugi koniec miasta pod adres zamieszkania informatora zajęło im prawie godzinę. Pierre kierował w milczeniu, a jej nie bardzo chciało się prowadzić konwersację. Przez większość czasu przeglądała pocztę w telefonie i odpisywała na najważniejsze wiadomości. Dopiero gdy zauważyła, że Pierre zwolnił i skręcił z głównej drogi, odłożyła telefon do torebki.

- Już jesteśmy na miejscu? - spytała.

- Jeszcze jakieś dwie minuty - odparł i pokazując na ekran nawigacji, dodał: - To już blisko.

Zbliżali się do osiedla apartamentowców. Wszystkie budynki wyglądały dokładnie tak samo. Równoległoboki o takim samym kolorze, porozdzielane jednakowej wielkości parkingami, których większość o tej porze dnia była pusta.

Pierre zwolnił jeszcze bardziej i pochylił się do przodu, szukając właściwego budynku.

Zatrzymał auto przy ostatnim bloku w szeregu.

- To tu. - Wskazał palcem.

Wysiedli i skierowali się w stronę wejścia, do którego prowadziła wąska alejka z równo przycięzonymi krzewami po obu stronach.

Pierre wcisnął guzik na panelu domofonu przy nazwisku informatora. Cichy brzęczyk wydawał przerywany dźwięk przez około pół minuty. Nikt się nie odezwał. Czekali w milczeniu kolejne pół minuty i Pierre ponownie nacisnął przycisk domofonu.

Spojrzeni na siebie, gdy ucichł dźwięk. Drzwi pozostawały zamknięte.

Nagle zauważyli ruch w korytarzu wewnątrz budynku. Starsza kobieta wychodziła z domu. Odsunęli się od drzwi i zrobili jej przejście. Gdy przeszła przez drzwi, nie pozwolili im się zamknąć. Weszli do środka.

Odszukanie mieszkania nie zajęło im dużo czasu.

Ani dzwonek u drzwi, ani pukanie nie dały żadnego rezultatu. Wyglądało na to, że informatora nie ma w mieszkaniu.

Pierre podszedł do okna w korytarzu i spojrzał na parking. Poza ich autem nie było tam żadnego innego samochodu.

Coś było nie tak. Sarah spodziewała się czegoś innego, gdy dostała od niego cynk, że pewien informator jest skłonny zdradzić tajemnice na tyle ważne, że zajęli się nimi wojskowi na samym szczycie amerykańskich sił kontrwywiadu.

## Poniedziałek, drugi maja, trasa Warszawa - Berlin

Żebra bolały go przy każdym ruchu. Nawet najmniejsza zmiana pozycji powodowała przeszywający ból. Mieli miejsca w wagonie pierwszej klasy, które teoretycznie były wygodniejsze niż w drugiej klasie, ale Mike i tak nie czuł się komfortowo. W ciągu zaledwie pół godziny, od chwili gdy pociąg relacji Warszawa - Berlin opuścił dworzec kolejowy w stolicy Polski, zdążył zmienić pozycję co najmniej kilkanaście razy.

Tak jak ustalili, celem ich podróży był Londyn. On miał tam pojechać zgodnie z tym, co podczas ostatniej rozmowy ustalił z Łukaszem i jego żoną, zanim został porwany. Ona dlatego, że tajemniczy zakonnik podał jej pewien londyński adres. Oboje stwierdzili, że pociąg będzie najbezpieczniejszym sposobem, by wyjechać z kraju. Żadne z nich nie chciało ryzykować wylotu z któregośkolwiek polskiego lotniska w obawie przed kontrolami granicznymi. Mike obawiał się, że policja ciągle ma ochotę za nim chodzić, szczególnie po tym, jak urwał się śledzącym go policjantom, pożyczając motocykl żonie Łukasza. Dorota wolała nie ryzykować w obawie, że porywacze mają na lotnisku znajomości, które ułatwiłyby ich namierzenie.

Na pierwszym etapie podróży mieli dotrzeć do Berlina, a stamtąd samolotem polecieć do Londynu. Niemieckie lotnisko i niemiecka kontrola dokumentów wydawały się o wiele bezpieczniejsze.

Od czasu, gdy wylądowali skradzioną awionetką na lotnisku pod Warszawą, wszystkie wysiłki koncentrowali na analizowaniu sytuacji i zaplanowaniu tego, co każde z nich musiało zrobić.

Wspólnie ustalili, że pójście na policję nie jest dobrym rozwiązaniem. Dla Mike'a dlatego, że policja i tak podejrzewała go o związek ze śmiercią Groszkowskiego. Dla Doroty policja nie była żadną opcją, bowiem nie wiedziała, co miałyby im powiedzieć i podejrzewała, że to, co robił jej ojciec, nie było legalne.

Znajomy Mike'a, jak oceniła Dorota, był miłym facetem. Pojawił się krótko po tym, jak wylądowali, i zabrał ich do swojego mieszkania w Warszawie. Później zniknął gdzieś na kilka godzin i wrócił z ubraniami dla nich obojga. Wiedziała, że dla Mike'a przywiózł rzeczy z jego domu, ale dla niej postarał się o rzeczy ze sklepowymi metkami. Była zaskoczona, że nie zapytał o rozmiar, a ubrania, które przywiózł, pasowały idealnie. Nie zapomniał też o podstawowym zestawie kosmetyków.

Przez większą część wieczoru i nocy analizowali to, co się wydarzyło. Dorota opowiedziała im wszystko o zakonniku, notariuszu i dziwnym dodatku do testamentu. Pomijając temat wycieczki do Paryża, opowiedziała, jak została zabrana z miasta przez nieznanego mężczyznę i wywieziona do kryjówki w lesie. Z tego, co mówiła, wynikało, że porywacze starali się wydobyć od niej informacje o miejscu ukrycia czegoś, co należało do jej ojca. Było to dla Orłowskiego tym bardziej zastanawiające, że jego pytali dokładnie o to samo i starali się dowiedzieć, jakie były jego związki z dyrektorem finansowym Wadeksu.

Żadne z nich nie miało pojęcia, kim byli porywacze, na wszelki wypadek postanowili jednak, że będzie bezpieczniej, jeśli będą podróżować razem. Bilety kolejowe kupili za



gotówkę na dworcu, a bilety na samolot zamierzali kupić dopiero na lotnisku w Berlinie, w ostatniej chwili przed odlotem, żeby nie dawać nikomu szansy na zbyt wczesne odkrycie ich planów.

W pociągu nie rozmawiali o całej sytuacji i wydarzeniach poprzednich dni. Otwarty wagon nie sprzyjał takiej rozmowie.

Gdy dojechali do Berlina i wysiedli na głównym dworcu, nie zwrócili uwagi na mężczyznę, który tak samo jak oni wsiadł do pociągu w Warszawie i wysiadł razem z nimi. Żadne z nich nie zauważyło, że tak samo jak oni skierował się w stronę transferu na lotnisko Tegel.

## Wtorek, trzeci maja, Warszawa

- Komisarzu, to dla pana - powiedział oficer dyżurny, podając Kłopockiemu wydruki spięte zszywaczem. Kłopocki wziął je i razem z Brownem poszli w kierunku jego biura. Po drodze Kłopocki przeglądał kartki, starając się w jak najmniejszym stopniu angażować ranny bark, który nie dawał mu spokoju.

- Miałem rację - powiedział w końcu do Browna. - Ten ślad po ukłuciu z drugiej strony nie był przypadkowy.

Weszli do pokoju Kłopockiego.

Brown pochylił się nad kartką, na której widniała tabelka z wynikami analizy biochemicznej.

- Tutaj. - Pokazał palcem komisarz. - Chlorek potasu w tak dużej ilości, że zabiłaby słonia.

Mężczyzna podniósł słuchawkę telefonu stacjonarnego. Miał przecucie graniczące z pewnością, że dwie ostatnie sprawy, pozornie odmienne, są ze sobą połączone.

- Cześć. Kłopocki z tej strony. Słuchaj, dzisiaj w klasztorze ojców paulinów przy Starym Mieście zmarł mnich. Byłem tam przypadkiem i kiedy oglądałem zwłoki z lekarzem pogotowia, to znaleźliśmy jakiś dziwny ślad, jak po zastrzyku. Myślę, że to mógł być taki sam zastrzyk, jak w innej sprawie sprzed kilku dni. Chciałbym zlecić pełną analizę biochemiczną krwi mnicha. Głównie interesuje mnie, czy miał wysoki poziom chlorku potasu.

Odłożył słuchawkę.

- Najdalej pojutrze będziemy wiedzieli, czy miałem rację.

- A jeśli miałeś - odparł Brown - to wydaje mi się, że jesteśmy na właściwym tropie. Jeśli obaj mężczyźni zginęli w podobny sposób, to znaczy, że komuś potrzebna była ich śmierć. Tylko na razie nie mam pojęcia dlaczego.

- Z tego, co mówiłeś, w żaden sposób nie wynika jakikolwiek związek pomiędzy tymi dwoma. Zastanawiające jest też to, że znaleźliśmy w jego celi ten aparat do zagłuszania. To raczej nie jest standardowe wyposażenie klasztorne.

- Jeśli masz rację i obaj zginęli z ręki tego samego człowieka lub tej samej organizacji, to najbardziej prawdopodobne jest to, że obaj byli członkami tej samej organizacji...

- Moment, a ten wasz człowiek, który pracował na miejscu całą organizację, czy on nie raportował nic o mnichu? - spytał Kłopocki.

- W jego raportach nie ma słowa ani o klasztorze, ani o mnichu. Zupełnie jakby wcześniej nie istniał. Jeśli faktycznie pracował kiedyś w strukturach wywiadu, to nic dziwnego, że nasz człowiek go nie namierzył. Ci ludzie to stara szkoła, potrafią się świetnie maskować. Na tym polegała ich praca. Latami działali w ukryciu dla wyższej idei. Na wszelki wypadek poszperałbym w jego historii. Ktoś musi coś o nim wiedzieć, o tym, co robił w przeszłości... Może ktoś w klasztorze, może inny mnich, z którym się przyjaźnił.

- Dobry pomysł - westchnął komisarz. - Chyba trzeba tam będzie zrobić porządne rozpytanie.

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Proszę - odpowiedział Kłopotcki, zanim jeszcze dźwięk pukania skończył odbijać się od ścian pomieszczenia.

- Panie komisarzu. - Pośrodku pokoju, dokładnie w połowie drogi między Brownem zajmującym krzesło pod ścianą i komisarzem siedzącym na biurku, stanął napięty jak struna młody posterunkowy.

- To nie odprawa, tutaj nie musisz się tak napinać - powiedział Kłopotcki. - Mów, co jest?

Policjant był wyraźnie zmieszany. Wyciągnął rękę z kartką.

- To właśnie do nas przyszło i mam jeszcze informację do przekazania...

- No, dawaj...

- Pan komisarz był u notariusza przy ul. Kruczej i dzwonił na komendę tuż po wyjściu, żeby ustalić adres klasztorów - zrobił przerwę, po czym kontynuował. - To do tego notariusza było włamanie. Przed chwilą dzwoniła sekretarka notariusza, prosiła, żeby to panu przekazać i powiedzieć, że nic nie zginęło, ale włamywacze mieli dostęp do wszystkich dokumentów.

Kłopotcki szybko przetłumaczył Brownowi słowa policjanta.

- Dziękuję, posterunkowy.

Policjant obrócił się i wyszedł z pokoju takim samym sprężystym krokiem, jakim wchodził chwilę wcześniej.

Kłopotcki przysunął do twarzy wydruk dostarczony chwilę wcześniej przez policjanta.

- Zobacz. - Podał kartkę Brownowi. - Dorota Groszkowska właśnie kupiła bilet na najbliższy lot z Berlina do Londynu i jak widać, nie podróżuje sama.

- No to przynajmniej wiemy, gdzie jest. - Agent Brown potarł ręką policzek. - Tylko dlaczego są tam razem i co robią w Berlinie?

- Chciałbym się jeszcze dowiedzieć, dlaczego lecą do Londynu.

Brown spojrzał na komisarza.

- Wydaje mi się, że na to pytanie mogę znać odpowiedź.

## Wtorek, trzeci maja, Zurych

Zurych nie jest metropolią porównywalną do Los Angeles – skonstatowała Sarah, gdy przemierzali powrotną drogę do centrum. Była zawiedziona tym, że informator nagle zapadł się pod ziemię. To był już drugi zawód w trakcie tego wyjazdu. Pierre nie zachowywał się tak jak wcześniej, a człowiek, dla którego przyleciała do Europy, zniknął.

Droga powrotna zajęła im zdecydowanie więcej czasu niż jazda na przedmieścia. Tak jak ustalili, wyjeżdżając z osiedla, na którym mieszkał informator, jeszcze raz skierowali się do jego miejsca pracy. Postanowili, że spróbują dowiedzieć się, co stało się z mężczyzną, który stanowił dla nich cenne źródło informacji.

Gdy weszli do banku, Pierre od razu stwierdził, że biurko informatora jest puste. Wskazał palcem w głąb pomieszczenia. Sarah podążyła wzrokiem w tym kierunku. W obszernym wnętrzu, wysokim na co najmniej sześć metrów, wzniesionym w stylu gotyckim, ustawione były biurka i krzesła dla klientów. Mahoniowe drewno biurek oraz obicia krzeseł świetnie współgrały z obrazami impresjonistów na ścianach. W środku panował delikatny półmrok rozświetlany biurkowymi lampkami oraz kinkietami wiszącymi na ścianach pomiędzy obrazami.

Podszedł do nich młody mężczyzna, pracownik banku. W nienagannie skrojonym i wyprasowanym garniturze w odcieniu grafitu i granatowym krawacie wyglądał jak model.

- Przepraszam bardzo – zaczął, trzymając w ręku niewielką kopertę.

Pierre obrócił się w jego stronę.

- Tak?

- Czy pan Pierre?

- Tak jest.

- Jochen powiedział, że będzie go pan szukał razem z tą panią. Dokładnie pana opisał.

Pierre i Sarah słuchali mężczyzny i nie przerywali mu.

- Poprosił, żeby dać państwu to... – powiedział, wyciągając w kierunku Pierre'a kopertę.

- Czy mówił coś jeszcze? Gdzie jest i dlaczego nie ma go dziś w pracy? – spytał Pierre.

- Wszystko jest w tej kopercie. – Młody mężczyzna pokazał palcem na przedmiot, który przed chwilą wręczył dziennikarzowi. – Tam na pewno znajdziecie odpowiedzi na te pytania.

Mężczyzna oddalił się tak samo cicho i dyskretnie, jak się pojawił. Pierre otworzył kopertę. W środku były dwie kartki. Na jednej był adres i mapa. Druga kartka była jakimś wydrukiem.

- Co to? – spytała Sarah.

- Chyba rozkład jazdy pociągów z dworca, który jest kilka przecznic stąd – odparł. – Zobacz, jedna ze stacji jest zakreślona. To chyba jest stacja związana z tym adresem na drugiej kartce.

- Moment – Sarah spojrzała do wnętrza koperty. – Tam jest coś jeszcze.

W dwóch palcach wyciągnęła z koperty małą kartkę. Odręcznie napisane było na niej „Nie mogę się z wami zobaczyć w Zurychu. Będę czekał pod tym adresem”.

- Dziwne - zamyślił się dziennikarz, spoglądając na zegarek. - Ale jeśli chcemy tam szybko dojechać, to według tego rozkładu mamy około dwadzieścia minut, żeby dotrzeć na stację i kupić bilet. Chodźmy!

## Wtorek, trzeci maja, Warszawa

- Cześć, inspektorze. - Kłopotcki od razu rozpoznał głos patologa, który miał dyżur w prosektorium. - Pomyślałem, że chciałbyś wiedzieć jak najszybciej, na co zszedł ten zakonnik, którym się interesujesz.

- Masz absolutną rację - odparł policjant. - Co mu było?

- Mówiąc najprościej, zmarł zdrów jak ryba.

- A dokładniej?

- Wszystkie organy miał kompletnie zdrowie. Nawet tryb życia musiał prowadzić bardzo zdrowy. Żadnego otłuszczenia organów, żadnych problemów gastrycznych. Kompletnie nic. Miał co prawda kilka dziwnych ran na ciele: dwie z nich wyglądały jak rany postrzałowe, a trzy jak rany po głębokim cięciu lub dźgnięciu nożem.

- To na co umarł? Jakaś bezpośrednia przyczyna?

- Serce, bardzo rozległy zawał serca... Jest tylko jedno małe „ale”.

- Jakie? - Kłopotcki nadstawił uszu.

- Serce wygląda na bardzo zdrowe i w świetnej kondycji, układ krążenia tak samo. Żadnych śladów jakiegokolwiek choroby serca albo chorób kardiologicznych. Trochę tak, jakby ten zawał był strzałem znikąd.

- Czy taki zdrowy człowiek może więc dostać zawału ot tak?

- Wiesz, medycyna to nie jest matematyka. Owszem, tak się może zdarzyć, aczkolwiek powiedzmy sobie szczerze, prawdopodobieństwo takiego zdarzenia jest niewielkie.

- Mógł zostać otruty jakąś substancją, która wywołuje zawał serca?

- Tak - zdecydowanie i szybko odparł patolog. - I tutaj dochodzimy do tego badania, które zleciłeś. Jeśli przyjmujemy, że plamka na skórze, którą odkryliście na miejscu zdarzenia, faktycznie jest śladem po igle, a wszystko na to wskazuje, to wtedy pojawia się możliwość, że został czymś otruty. Może to być również chlorek potasu, o którym wspominałeś, tylko że bez dodatkowych wyników z laboratorium nie potrafię powiedzieć nic więcej.

- Dzięki, Paweł - odparł Kłopotcki. - I tak dużo mi podpowiedziałeś. Jak będą wyniki, to proszę podeślij je szybko do mnie. To ważne, bo może oznaczać, że mamy tutaj jakiegoś wariata, który lata po mieście i zabija nam ludzi.

- Spoko. W kontakcie.

Rozłączyli się.

## **Wtorek, trzeci maja, Berlin**

Droga do Berlina nie była uciążliwa. Niecałe sześć godzin spędzonych w pociągu, w cywilnym stroju, było dla niego przyjemną odmianą po ciągłej pracy w apartamencie w stolicy Polski.

Zgodnie z instrukcją trzymał się od Orłowskiego i jego towarzyszek w bezpiecznej odległości. Miał pozostać niezauważony. Ani razu ich spojrzenia się nie skrzyżowały. Był na tyle blisko, że słyszał ich rozmowy, ale sam pozostawał niezauważony.

Ponieważ wiedział, dokąd zmierzają, nie musiał mieć ich w polu widzenia, gdy opuszczali pociąg. Dzięki temu, że trzymał spory dystans, kątem oka zauważył, że w pociągu Orłowskiemu i jego towarzyszkę przyglądał się jeszcze jeden mężczyzna, który wysiadł razem z nimi na stacji Berlin Hauptbahnhof [10](#) i tak jak oni podążył w kierunku lotniska Tegel. Ponadprzeciętnie wysoki mężczyzna był bardzo cichy. Ani razu nie korzystał z telefonu komórkowego i nic nie czytał w trakcie tych sześciu godzin.

Fakt, że mężczyzna wysiadł na tej samej stacji i podążył na to samo lotnisko, mógł być przypadkowy, ale Tim nie mógł pozwolić sobie na pominięcie czegokolwiek w otoczeniu Orłowskiego. Takie dostał instrukcje.

Teraz cieszył się, że niedługo będzie już w kraju, w którym mówi się jego ojczystym językiem, chociaż z mocno zmienionym akcentem.

---

[10](#) *Hauptbahnhof* (niem.) - dworzec centralny.

## Wtorek, trzeci maja, przedmieścia Zurychu

Pociąg wjechał na stację punktualnie co do minuty. Gdy wysiedli na peronie, słońce omiotło ich ciepłymi promieniami. Sarah przypomniała sobie, że o tej porze w jej rodzinnym Los Angeles jest o wiele cieplej. Był maj, a ona ciągle miała na sobie kurtkę i sweter. Ciągle odczuwała też, że nie jest jej tak ciepło, jak by chciała.

Pierre nie zważał na pogodę. Bacznie rozejrzał się po peronie, szukając orientacyjnych punktów zgodnych z mapą otrzymaną w banku od współpracownika ich informatora. W pewnym momencie spojrzął daleko poza teren stacji kolejowej. Sarah powiodła wzrokiem za jego spojrzeniem. Jakieś pół kilometra dalej, już poza terenem stacji, rozpościerało się osiedle domów wielorodzinnych. Zbudowane z szarej i czerwonej cegły, z daleka przypominały kolorowe pudełka zapalek. Pomiędzy nimi coś się działo. Co najmniej trzy policyjne wozy, karetka i wóz straży pożarnej widoczne były z miejsca, w którym stali.

- To chyba tam mamy iść - stwierdził Pierre. - To powinien być któryś z tych budynków.

Sarah nic nie powiedziała i ruszyła za nim.

Gdy dotarli na miejsce, okazało się, że budynki to apartamentowce z własnym serwisem konsjerży, pralnią dla mieszkańców, siłownią i wewnętrznym basenem oraz zewnętrzną strefą rekreacyjną.

Odszukali numer budynku, który ich interesował. To właśnie przed nim stała policja, pogotowie i straż pożarna. Dostępu do budynku nie było. Policjant, który stał przy wejściu, grzecznie przekierował ich do recepcjonisty, który zbłądł, gdy dowiedział się, jaki jest cel ich wizyty. Pierre musiał tłumaczyć dla Sarah na angielski to, co mówił starszy mężczyzna.

- On umarł, to znaczy zabił się - mówił szybko i nieskładnie. - To znaczy ja nie myślę, żeby on się zabił. To niemożliwe... Ktoś go wypchnął... na pewno!

Pierre słuchał słów mężczyzny i nie przerywał.

- Ale moment - w pewnym momencie recepcjonista się zreflektował. - Czy pan nie ma na imię Pierre?

- Tak, mam - odparł dziennikarz.

- Niech pan tutaj zaczeka - powiedział mężczyzna i oddalił się w stronę budynku. Po chwili wyszedł z brązową kopertą. Szybkim krokiem podszedł i stanął w tym samym miejscu, co poprzednio.

- To dla was. - Wyciągnął rękę. - Miałem wam to przekazać, gdyby go nie było, więc...

Pierre wziął kopertę i rozdarł ją. Tekst napisany był po angielsku, więc Sarah czytała razem z nim.

- Czy to jest to, co myślę? - spytała Sarah po chwili. - Pełna lista osób, które były szantażowane i miały konta w tym banku?

- Tak, a te kwoty - Pierre wskazał palcem na kolumnę obok nazwisk i imion - to pieniądze, które musieli płacić za milczenie.

Pierre przewrócił kartkę na drugą stronę. Ich oczom ukazała się odręczna notatka z imieniem i nazwiskiem oraz adresem. Obok było napisane: „On potwierdzi wszystko”.



- No to część materiału na artykuł już mamy. Teraz czeka nas chyba wycieczka pod ten adres. - Stuknął palcem w kartkę. - Jedziemy do Paryża.

## Wtorek, trzeci maja, Londyn

Londyn przywitał ich tradycyjną londyńską pogodą. Gęste chmury nie przepuszczały słońca, a jeśli już znalazło ono przesmyk, to tylko przez moment mogło oświetlić ulice miasta.

Przechodnie w większości przemieszczali się z parasolami w dłoniach lub w kurtkach z kapturem. Większość z nich stanowili turyści, którzy przybywali do kraju znanego z ciągle panującej i cieszącej się uznaniem monarchii królewskiej.

Mike i Dorota nie wyróżniali się z tłumu. Wyglądali jak inni. Mike z uwagi na swoje blond włosy i roslą budowę ciała spokojnie mógł uchodzić za Holendra lub amerykańskiego chłopaka w stylu *Beach Boys*<sup>11</sup>.

Lot z Berlina do Londynu przebiegł bez żadnych komplikacji. Ponieważ podróżowali tylko z podręcznym bagażem, opuścili lotnisko w ciągu dwudziestu minut od wylądowania, a godzinę później wyszli ze stacji metra i skierowali się w stronę centrum.

Baker Street jak zwykle o tej porze była ruchliwa. Późnym popołudniem ruch turystyczny mieszał się z lokalnym ruchem londyńskiego *city*<sup>12</sup>, które tętniło swoim własnym, wewnętrznym życiem.

Nie musieli długo szukać właściwego miejsca. Dorota już wcześniej, gdy byli w Warszawie, podała mu dokładny adres, pod którym miała się pojawić.

Stanęli przed sklepem z pamiątkami związanymi z najsłynniejszym mieszkańcem Baker Street – Sherlockiem Holmesem. To był ten adres.

- Wchodzimy? – spytał Mike, choć znał odpowiedź.

- Jasne – odparła i ruszyła pierwsza.

Wnętrze sklepu było niezwykle małe i ciemne. To było pierwsze wrażenie, jakie odnieśli po wejściu do środka. Na niewielkiej przestrzeni ustawione były regały z książkami w pięknych skórzanych oprawkach. Pośrodku stała lada, na której również leżały książki w tekturowych okładkach, a obok nich kubki, fajki, czapki i cała masa innych pamiątek związanych ze słynnym detektywem i jego kompanem Watsonem.

W sklepie było pusto. Dzwonek, który wydał dźwięk w momencie otwarcia drzwi, dawno już ucichł, a oni zdążyli przemieścić się pod ścianę przeciwną do wejścia.

Stanęli przy ladzie. Zza kotary umieszczonej pod schodami, w pierwszym momencie niewidocznej, wyłonił się mężczyzna. Był kompletnie siwy, niskiego wzrostu, nosił spodnie na szelkach i koszulę w paski. Podeszedł do lady.

- Czym mogę państwu służyć? – spytał po angielsku.

Jego akcent zdradzał, że nie jest ani rodowitym londyńczykiem ani nawet rodowitym mieszkańcem Zjednoczonego Królestwa.

Dorota i Mike spojrzeli na siebie porozumiewawczo.

- Pan Jan? – spytała po polsku.

Sklepiarz utkwiał wzrok w jej twarzy, po czym powoli przeniósł go na Orłowskiego.

- Jestem Dorota, Dorota Groszkowska. – Wyciągnęła rękę na przywitanie.

- Tak, domyślam się - tym razem sklepikarz odezwał się po polsku, nie odrywając wzroku od towarzysza Doroty.

- To mój znajomy - wyjaśniła szybko, widząc spojrzenie mężczyzny. - Pomaga mi poukładać wszystko po śmierci ojca...

Sklepikarz spojrzał na nią.

- Poczekajcie tu moment - powiedział, po czym zniknął za kotarą tak samo bezszelestnie, jak się pojawił. Po chwili wrócił z niewielką kartką złożoną na pół.

- Tu jest adres - powiedział głosem cichszym niż wcześniej. - To niedaleko stąd. Spotkamy się tam za pół godziny. Wejdźcie najpierw w bramę, a później w podwórze i do budynku.

Dorota wyjęła kartkę z dłoni sklepikarza i przyjrzała się jej.

- Do zobaczenia za pół godziny - powiedziała i wyszła na ulicę razem z Orłowskim.

---

[11](#) *Beach Boys* (ang.) - dosłownie „chłopcy z plaży”. Nazwa grupy muzycznej, która została założona w latach 60. XX wieku.

[12](#) *City* (ang.) - miasto.

## **Wtorek, trzeci maja, przedmieścia Zurychu**

Starbucks był pierwszą kawiarnią, którą zauważyli w drodze powrotnej na stację. Sarah potrzebowała kawy. Czuła, że dopada ją delikatny jet lag. Z grande americano wzmocnioną dodatkowym espresso i butelką wody w dłoni czuła, że będzie w stanie zwalczyć różnicę czasu.

Gdy podeszła do stolika, Pierre studiował zapiski informatora i dopasowywał kwoty oraz daty wypłat z terminami wycieczek do Europy znanych i znaczących osób ze świata polityki.

- I...? - zapytała, stając po drugiej stronie stołu.

Pierre podniósł głowę. Jego mina wyrażała wszystko.

- Sprawdziłem pierwsze pięć pozycji. Daty pokrywają się idealnie z datami podróży, które znamy.

- No to nieźle. A kwoty?

Dziennikarz podniósł jedną z kartek, na której były zapiski.

- Popatrz tutaj. - Palcem wskazał na fragment odręcznych notatek. - Częstotliwość jest bardzo podobna. Nie częściej niż raz na trzy do czterech miesięcy i nigdy nie więcej niż dwa i pół procenta stanu konta...

- To oczywiste - przerwała mu. - Przecież od kilku lat jest nowa reguła, że jeśli jednorazowa transakcja przekracza określony limit liczony jako procent salda, to transakcja musi być monitorowana przez wewnętrzny dział audytu.

- Ale to oznacza, że nasi szantażyści znają na bieżąco stany sald swoich ofiar i że mają dostęp do danych bankowych.

- Na to wychodzi, ale też wygląda na to, że ta organizacja jest dużo większa, niż początkowo sądziliśmy.

## Wtorek, trzeci maja, Londyn

Stali po drugiej stronie ulicy. Obserwowali miejsce, do którego mieli się udać. Do godziny spotkania wyznaczonej im przez sklepikarza z Baker Street mieli jeszcze dziesięć minut.

Mike, oparty o mur budynku, przyglądał się przechodniom i wszystkim, którzy wchodzili w bramę naprzeciwko. Liczył, że wśród wchodzących dostrzeże sklepikarza. Dorota stała w odległości kilku kroków i bawiła się telefonem, bez celu przeglądając wszystkie wiadomości tekstowe.

Orłowski spojrział na zegarek.

- Już czas - powiedział.

Przeszli przez jezdnię i skierowali się do bramy. Brama była wejściem na niewielki dziedziniec w kształcie prostokąta, z którego cztery pary drzwi prowadziły do czterech różnych części budynku. Odszukali właściwy numer i weszli do środka.

Za drzwiami znajdowała się lista lokali, na której odszukali informację, że mieszkanie, które ich interesuje, znajduje się na drugim piętrze.

Wąskimi schodami, które z pewnością pamiętały czasy, kiedy królową nie była jeszcze jej wysokość Elżbieta II, dotarli na miejsce spotkania. Na drzwiach widniał tylko numer lokalu. Nie było żadnego dodatkowego oznaczenia.

Orłowski zapukał. Nikt nie odpowiedział, więc chwycił za klamkę, przekręcił ją i pchnął drzwi.

Ustąpiły.

Znaleźli się w korytarzu, z którego prowadziły trzy pary drzwi. Z tych oddalonych najbardziej od nich dobiegała muzyka. Grało radio.

Nagle, tak samo cicho jak wcześniej w sklepie, stanął przed nimi sklepikarz.

- Witajcie - powiedział kompletnie niezaskoczony tym, że byli już w środku mieszkania. - Zapraszam do środka.

Podążyli za nim. Jedyny pokój w tym mieszkaniu nie był duży. Mieścił się w nim niewielki stół, sofa, dwa regały i komoda. Prosty i prawie spartański wystrój dopełniały okna pozbawione jakichkolwiek elementów wystroju. Pod sufitem wisiał żyrandol składający się z jednej okrągłej żarówki osłoniętej półkolistym kloszem.

Orłowski dostrzegł na stole dwa zdjęcia Doroty.

- To dzięki temu miał pan rozpoznać, czy osoba, która do pana przyjdzie, to faktycznie Dorota Groszkowska? - spytał sklepikarza.

- Tak, tak - odparł starszy mężczyzna i szybkim ruchem zebrał zdjęcia, po czym wsunął je za okładkę książki leżącej na regale.

- Siadajcie, proszę. - Wskazał im krzesła przy stole, po czym pochylił się i z torby stojącej na podłodze wyjął niewielkie pudełko.

Położył je na stole i przesunął w kierunku Doroty.

- Proszę, to jest dla pani - powiedział. - Miałem to przekazać pani na prośbę Staszka, kiedy zjawi się tu pani po jego śmierci.

Dorota od razu zwróciła uwagę, że mężczyzna - tak samo jak poprzednio mnich - powiedział o jej ojcu „Staszek”.

- Co to jest? - spytała, wyciągając rękę w kierunku pudełka na stole.

Mężczyzna zamyślił się. Przyłożył dłoń do brody i przesuwając nią po zaroście, odparł:

- To jeden z kilku przedmiotów, które powinna pani odebrać od takich ludzi jak ja. To jest dysk z danymi. Bardzo cennymi danymi. Proszę go pilnować, bardzo wiele osób chciałoby dostać to, co jest zapisane na tym dysku. Dane są zakodowane i tylko dyski połączone ze sobą są w stanie nawzajem się odkodować i pokazać wszystko, co mają w swojej pamięci.

Dorota podsunęła pudełko jeszcze bliżej, na krawędź stołu. Wcisnęła przycisk zamka i otworzyła wieczko. W środku spoczywał niewielkich rozmiarów zewnętrzny dysk komputerowy. Obok niego leżał czarny kawałek plastiku w kształcie i rozmiarze karty kredytowej. Wzięła go do ręki.

- Tutaj - starszy pan wskazał na napis na karcie - jest miejsce, w którym znajduje się kolejny dysk. Z tą kartą musi się pani udać do tego banku i użyć jej w jednej ze skrytek depozytowych. Na miejscu mają pani dane. Wystarczy, że pokaże pani paszport.

Dorota podała kartę Orłowskiemu i się zamyśliła.

- Co jest na tych dyskach, że jest takie cenne? - spytała.

- Nie wiem i nie mogę powiedzieć nic więcej. Ja tylko wykonuję ostatnią wolę Staszka i nie chcę mieć z tym dalej nic wspólnego.

- Co się stanie, gdy będę miała trzy dyski i je odczytam? Co dalej? - Dorota nie dawała za wygraną.

- Proszę się nimi opiekować. Te dane są bardzo cenne i życie wielu ludzi zależy od tego, co jest tam zapisane.

- Co to jest?

Mężczyzna pokręcił głową i dodał:

- Już czas na was. Uważajcie na siebie. Podejmujcie mądre i przemyślane decyzje.

Wstał i podał im rękę na pożegnanie. Nie pozostało im nic innego, jak tylko zabrać pudełko z dyskiem oraz kartę i opuścić mieszkanie sklepikarza.

Gdy wyszli na ulicę, mężczyzna siedzący w kawiarni po drugiej stronie ulicy wyjął z portfela dziesięciofuntowy banknot, po czym zapłacił za kawę i ciastko. Wyszedł szybko z lokalu i podążył za Orłowskim i jego towarzyszką.

## Wtorek, trzeci maja, Mazury

Zjechał z głównej szosy jakiś czas temu. Droga stała się węższa. Była zdecydowanie mniej uczęszczana. Nawet oznakowania na asfalcie i przy nim były tylko symboliczne. Jechał, korzystając z nawigacji. Gdy wprowadzał koordynaty GPS do komputera, wiedział tylko, że miejsce, do którego ma dotrzeć, położone jest w środku lasu. Właśnie dlatego wybrał terenową toyotę z napędem na cztery koła.

Nawigacja poinformowała go, że niedługo będzie wykonywał kolejny skręt. Droga, w którą wjechał, była jeszcze rzadziej uczęszczana niż poprzednia. Nie było żadnych oznakowań, a asfalt był raczej namiastką nawierzchni.

Ciemny las po obu stronach drogi zdawał się wkraczać na wąski dukt, którym jechał. Zastanawiał się, jak dwa samochody mogą się wyminąć w tak wąskiej przestrzeni.

Spojrzał na ekran z mapą. Do celu miał niecałą milę. To był dystans, który wcześniej ustalił jako bezpieczną odległość, w której miał pozostawić auto. Dokładnie wiedział, gdzie musi dotrzeć i jak wygląda miejsce, które go interesuje. Wiedział to, bo szybciej niż lokalna policja trafił do człowieka, który właśnie został wskazany przez dochodzeniówkę jako potencjalny zabójca Groszkowskiego. Namierzili Orłowskiego krótko po tym, jak wylądował awionetką na lotnisku pod Warszawą. Lokalne władze wiedziały tylko, że Orłowski im zniknął i zerwał się ze smyczy, ale nie mieli pojęcia, gdzie się znajduje. Nick wiedział, że Orłowski był w Warszawie, a także w jaki sposób dostał się do miasta i skąd przybył. Dzięki tej wiedzy oraz na podstawie informacji z samolotowego systemu nawigacji udało mu się ustalić, skąd leciał samolot. Te dane wystarczyły Nickowi, żeby oszacować, w którym rejonie Orłowski był przetrzymywany.

Właśnie dojeżdżał w pobliże starego domu, który najprawdopodobniej był poszukiwanym przez niego miejscem. Zostawił auto w jednej z zatok obok jezdni i dalej ruszył pieszo z plecakiem stanowiącym standardowe wyposażenie operatorów pracujących w terenie.

Było ciemno. W czarnych spodniach wpuszczonych w czarne taktyczne buty używane przez operatorów Navy SEALs i w czarnej kurtce był kompletnie niezauważalny, nawet z bliskiej odległości. Dodatkowym utrudnieniem dla potencjalnego obserwatora była czarna czapka z cienkiej bawełny i czarne rękawiczki bez palców.

Idąc przez las, co jakiś czas zatrzymywał się, żeby spojrzeć na mapę w przenośnym urządzeniu GPS oraz nasłuchiwać dźwięków. Był środek nocy.

Gdy według nawigacji był już bardzo blisko, zwolnił kroku i częściej zatrzymywał się, aby nasłuchiwać. Jego kroki stały się lżejsze i ostrożniej stawiał stopy na ziemi.

W oddali zauważył światło, które słabo rozświetlało mrok nocy. Od tego momentu kolejne metry pokonywał po kilka kroków, zatrzymując się często i nasłuchując dźwięków.

Dom stał na polanie otoczonej gęstym, starym lasem. Nick znajdował się dokładnie po przeciwnej stronie jedynej drożyzny do budynku. Tuż przy sobie zauważył kępę krzaków. Przykucnął obok i zdjął plecak. Z jego wnętrza wyjął teleobiektyw, który dokręcił do aparatu fotograficznego. Położył się wygodnie na ziemi i zaczął obserwację.

Długie minuty mijały w ciemności, niezmacone niczym oprócz odgłosów nocy. Niebo nad nim zdążyło już poczerwieć, gdy słońce wraz ze swoimi ostatnimi promieniami schowało się za horyzontem. Agent Brown cały czas leżał w tej samej pozycji: płasko, jakby wtopiony w kępę mchu obok niewielkiego krzaka. Przed sobą położył aparat fotograficzny z teleobiektywem. Patrząc przez wizjer aparatu, co jakiś czas przesuwał soczewki w inne miejsce budynku i otoczenia. Czekał na jakikolwiek ruch w oknach albo przed budynkiem. Czekał na kogoś, kto przyjedzie autem lub przyjdzie pieszo.

To nie pierwszy raz, kiedy wykonywał zadanie w terenie. Zaczynał służbę jako młody chłopak. Wtedy nie był jeszcze w strukturach agencji bezpieczeństwa ani wywiadu. Był absolwentem prawa i idealistą. Nie chciał praktykować w kancelarii ojca, więc zaciągnął się do armii. Został zwykłym żołnierzem, którego zaproszono do elitarnych jednostek wykonujących specjalne operacje w różnych częściach świata. Już wtedy był bardzo blisko działalności wywiadowczej, jednak dopiero pięć lat później dostał swoją szansę. Tak trafił do szkoły wywiadu, gdzie jego bystry prawniczy umysł świetnie chłonął to, co niezbędne w przyszłym życiu agenta. Dowiedział się, co mogło dać mu szansę na przeżycie w trudnych warunkach. Jak już niejednokrotnie się przekonał, warunki pracy w wywiadzie były o wiele bardziej wymagające psychicznie oraz fizycznie niż te, które znał z armii.

Co jakiś czas w niektórych oknach Brown dostrzegał ruch. Przybliżał wtedy obraz i robił zdjęcia. Na żadnym nie udało mu się uchwycić twarzy osób będących w środku.

Po około godzinnej obserwacji i leżeniu cały czas w tej samej pozycji oraz po przykryciu się dodatkowo gałęziami krzewu usłyszał dźwięk nadjeżdżającego auta. Chwilę później na polanie obok domu zaparkował terenowy jeep.

Brown chwycił aparat. Był przygotowany do robienia zdjęć. Czekał na rozwój wydarzeń. Gdy tylko na odcinku pomiędzy autem a wejściem do domu pojawiał się człowiek, spust migawki aparatu utrzymywał jego wizerunek w elektronicznej postaci.

Nagle, gdy trzecia osoba wysiadała z auta, a aparat robił dwadzieścia zdjęć na sekundę, rozpoznał wysiadającą postać. Nie zwolnił migawki nawet na ułamek sekundy. Chciał mieć dowód na to, że się nie mylił. Ten człowiek - wysoko postawiony oficer kontrwywiadu polskiego z poprzedniej epoki - był dla niego doskonałym dowodem na to, że ostatnie lata jego pracy i przekonywania szefów nie były pozbawione sensu.

Pułkownik Dzierżgoński przemierzył pustą przestrzeń pomiędzy autem i wejściem do domu. W połowie dystansu obrócił głowę w stronę Browna. Nie mógł go widzieć w ciemnościach i z tak dużej odległości. Brown wykorzystał tę sekundę, aby uwiecznić jego twarz. Aparat fotograficzny sprzęgnięty z modemem znajdującym się w plecaku leżącym obok wysyłał automatycznie zdjęcia do serwera, który od razu wykonywał analizę twarzy. Telefon Nicka zawibrował. Spojrzał na ekran. To była automatyczna wiadomość z serwera rozpoznającego twarze. W wiadomości znalazł komunikat potwierdzający tożsamość pułkownika Dzierżgońskiego. Już miał schować telefon do kieszeni, gdy na wyświetlaczu pojawiła się kolejna informacja. Tym razem system przysłał mu wiadomość, że rozpoznanie byłego wysokiego oficera kontrwywiadu uruchamia dodatkową procedurę bezpieczeństwa. Schował telefon. I bez tej wiadomości zdawał sobie sprawę, że sytuacja jest poważna. Akcja nie bez powodu zmieniła kryptonim z „Lornetki” na „Wodospad”. Ani on, ani tym bardziej jego szefowie nie mieli ochoty na powtórzenie w Polsce błędu, który miał miejsce przy przesłuchaniach członków al-Ka’idy. Wyciek kolejnych informacji wywiadowczych do opinii publicznej był ostatnią rzeczą, jakiej zyczyliby sobie wszyscy zainteresowani. Nick zdawał sobie sprawę, że spokoju i ciszy potrzebuje również Dzierżgoński, jeśli wkroczył do akcji. I ten spokój (przynajmniej na razie) musiała mu zapewnić cała struktura wywiadu i agencji



bezpieczeństwa. Tylko w ten sposób Brown mógł dotrzeć do materiałów, które go interesowały.

W ciszy spędził pod gałęziami krzewu jeszcze cztery godziny. Potem opuścił kryjówkę i tak samo dyskretnie jak wcześniej przemierzył dystans do auta.

## Wtorek, trzeci maja, Londyn

Popołudnia na ulicy Baker Street są takie same jak poranki. Przechodnie podążają do biur i urzędów lub z powrotem, a turyści starają się poczuć ducha wielkiego detektywa Sherlocka Holmesa, krążąc w tę i z powrotem po niewielkiej ulicy. Co kilka metrów można spotkać przechodniów pozujących do zdjęcia na tle budynku z numerem 221B oraz takich, którzy po prostu uwieczniają sam budynek.

Okoliczne sklepy żyją własnym życiem. W różnych porach dnia falami przybywają do nich klienci i kupują pamiątki, które mają im później przypominać o tym miejscu.

Jeden ze sklepów przykuł szczególną uwagę mężczyzny, który od dłuższego czasu stał po drugiej stronie ulicy, dokładnie na wprost wejścia. Wysoki i postawny, zdecydowanie wyższy niż większość przechodniów, zdawał się nie zwracać na siebie uwagi i być jednym z wielu turystów. Tylko wytrawny obserwator mógł zauważyć, że mężczyzna nie jest turystą i wcale nie podziwia Baker Street. Skrupulatnie przyglądał się wszystkim wchodzącym i wychodzącym ze sklepu. Liczył w pamięci, ile osób znajduje się w środku.

Mniej więcej godzinę później odepchnął się plecami od ściany, o którą był oparty. Rozglądając się na boki, przeszedł przez jezdnię. Kierował się wprost do sklepu.

Gdy otworzył drzwi, dzwonek po cichu oznajmił jego wejście. Zgodnie z jego obserwacją we wnętrzu nie było klientów. W półmroku panującym w środku nie dostrzegł również sklepikarza.

Zamknął drzwi. Gdy dotknęły futryny, jednym ruchem ręki zasunął zniszczony aluminiowy skobel i odwrócił tabliczkę wiszącą na drzwiach, która miała informować przechodniów, że sklep jest zamknięty.

Po kilkadziesiąt sekund jego oczy przyzwyczyły się do półmroku. Wtedy dostrzegł, że zza kotary wychodzi starszy mężczyzna i staje za ladą, w miejscu, gdzie światło nieco mocniej pada na sklepową kasę. Tyle mu wystarczyło. Momentalnie rozpoznał twarz sklepikarza. Wyglądała dokładnie tak samo jak na fotografiach, które studiował przed przyjściem do sklepu.

Bez słowa wyciągnął rękę i chwycił mężczyznę za gardło, podnosząc go jednocześnie do góry, tak by częściowo leżał na kontuarze.

Przyjrzał mu się dokładnie.

- Dokąd ich wysłałeś? - powiedział po angielsku chrypliwym głosem.

Sklepikarz wydał z siebie tylko głośnie charczenie, próbując uwolnić się z uścisku.

Przybysz obszedł ladę, cały czas trzymając starszego mężczyznę w żelaznym uścisku. Odchylił kotarę prowadzącą na zaplecze i wszedł tam pomimo oporu sklepikarza, który charczał i machał rękoma.

- Dokąd ich wysłałeś? - spytał ponownie, gdy zwolnił uścisk i jego ofiara padła na ziemię, ciężko łapiąc oddech.

- Kogo? - wyszeptał sklepikarz z przerażeniem w oczach.

- Dziewczynę i jej towarzysza, tych, którzy byli tu po paczkę od Groszkowskiego.

Starzec nie odpowiedział. Pierwszy cios dosięgnął go niespodziewanie. Nie zakładał, że napastnik od razu użyje siły fizycznej, ewidentnej przewagi w tej sytuacji.

Kolejny raz padło to samo pytanie. I kolejny raz nie odpowiedział.

Kilka następnych ciosów nie było zaskoczeniem. Sklepikarz ciągle milczał. Przez kolejny kwadrans regularnego bicia nie powiedział ani słowa.

Oprawca zrobił chwilę przerwy. Stał nad swoją ofiarą i się rozglądał. Podeszedł do komputera, który stał w rogu pomieszczenia. Wcisnął klawisz. Wygaszacz ekranu zniknął i jego miejsce zajęło okno przeglądarki internetowej. Pochylił się, żeby przyjrzeć się obrazowi. W tabeli na ekranie widniały połączenia lotnicze - wszystkie do jednego miasta. Obrócił się do sklepikarza i spojrzał mu prosto w oczy. Podeszedł do niego. Przykucnął, chwycił go za włosy i odciągnął jego głowę do tyłu.

- Zurych - powiedział szeptem. - Wysłałeś ich do Zurychu.

To było bardziej stwierdzenie niż pytanie.

Starszy mężczyzna szeroko otworzył oczy. Dopiero w tym momencie zrozumiał swój błąd. Nie zamknął okna przeglądarki, więc każdy mógł odczytać, jakich połączeń samolotowych szukał.

- Nie musisz odpowiadać - powiedział przybysz, chwytając sklepikarza za głowę. Dwie sekundy później ciało starca beładnie osunęło się na podłogę.

Miało to miejsce chwilę po tym, jak wielkie dłonie szybkim ruchem przekręciły jego głowę w prawo, łamiąc kark i przerywając wszystkie połączenia w rdzeniu kręgowym.

## Wtorek, trzeci maja, Londyn

Kupienie biletów na wieczorny lot do Zurychu graniczyło z cudem. Na dwa z czterech połączeń zaplanowanych tego dnia do Szwajcarii w ogóle nie było biletów, a dwa kolejne były tak drogie, że postanowili przemocować w Londynie.

Na ich nieszczęście znalezienie hotelu było równie trudne. Choć ostatni dwuosobowy pokój w jednym z hoteli był dostępny w dość wysokiej cenie i w raczej średnim standardzie, a poza tym przypominał rozmiarem ptasią dziuplę, nie miało to dla nich większego znaczenia. Mike'owi cały czas doskwierał ból żeber. Marzył o tym, żeby wziąć prysznic i się położyć.

Gdy wchodzili do hotelu, Dorota poprosiła, żeby spróbowali zobaczyć, co jest na dyskach. Nie miała komputera ani wiedzy, jak to wykonać, ale wiedziała, że Mike nie raz ratował firmę swoją informatyczną wiedzą.

Okazało się, że dwuosobowy pokój, który czekał na nich w hotelu, ma małżeńskie łóżko. Mike szybko oszacował, że w pomieszczeniu jest dodatkowa kanapa i zarządził, że będzie na niej spał, a Dorocie przypadnie łóżko, które jak na dwuosobowe wydawało mu się podejrzanie wąskie.

Zanim zasiadł do komputera, który wziął z Warszawy (razem z torbą z ubraniami dostarczył mu go przyjaciel), zdążył wziąć porządny prysznic. Gorąca woda była dla niego ukojeniem. Sińce, które dopiero teraz zaczęły pojawiać się na żebrach, miały wszystkie kolory tęczy. Dominowały barwy żółte i fioletowo-zielone.

Ledwie wytarł się ręcznikiem, a usłyszał pukanie do drzwi łazienki.

- Siedzisz tam już pół godziny, Mike - usłyszał głos Doroty zza drzwi.

Nie zdawał sobie sprawy, że pół godziny tak szybko minęło. Owinął się ręcznikiem i wszedł do pokoju.

Gdy wyjmował komputer z podróźnej torby, Dorota zniknęła we wnętrzu łazienki i po chwili dobiegł go odgłos prysznica. Uruchomił komputer i podłączył do sieci. Zaczął przeglądać pocztę.

Kilka minut później Dorota wyszła z łazienki. Nawet nie zarejestrował momentu, w którym woda przestała lecieć, tak pochłonęły go e-maile. Kobieta była owinięta hotelowym szlafrokiem i miała mokre włosy.

- Siadaj. - Wskazał jej fotel obok biurka, po czym zniknął w łazience, w której zamienił zawinięty na biodrach ręcznik na jeansy.

Bawełniany t-shirt zamierzał wyjąć z podróźnej torby, która była w pokoju.

Komputer stał już na stole. Włączył go i wyciągnął rękę po dyski.

- Wiesz co? - powiedziała Dorota, podając mu pierwsze pudełko. - One są kompletnie inne. To znaczy kabelki i wtyczki są takie same, ale pudełka i te dyski nie są do siebie podobne.

- Coś sugerujesz?

- Tylko to, że albo przygotowało je niezależnie od siebie kilka osób, albo że jest to celowy zabieg.

- Dobra, zobaczmy, co się da zrobić.

Wziął od niej drugie pudełko. Oba dyski położył przy komputerze i podłączył do wolnego gniazda. Kontrolki na obudowie zaczęły błyskać. Komputer czytał ich zawartość.

Mike wpatrywał się w informacje wyświetlane na monitorze. Dyski czytały się, ale nie wyświetlała się żadna informacja o ich zawartości.

- Dajmy im szansę - powiedział, pokazując palcem na biurko. - Może to duże dyski i potrzeba czasu na ich odczytanie, a mój komputer to nie jest najnowsza generacja.

Przez następny kwadrans wpatrywali się w kontrolki dysków oraz w ekran komputera, który ciągle nic nie pokazywał. Pasek postępu czytania dysków rósł niemal do stu procent, po czym spadał do zera.

Siedzieli w milczeniu, kompletnie nieświadomi tego, co działo się w pokoju za ścianą, gdzie młody mężczyzna tak samo jak oni miał otwarty komputer i tak samo jak oni pracował nad odczytaniem dysków. Wiedział, że jego czas dostępu do źródła informacji za ścianą jest ograniczony. Musiał skopiować zawartość dysków podłączonych do komputera za ścianą tak szybko, jak było to możliwe. Na ekranie jego komputera pasek postępu tworzenia kopii obrazu dysków powoli rósł do stu procent. W jego przypadku pasek rósł i nie spadał ani razu. Gdy dotarł do krańcowej wartości, zerwał połączenie z komputerem za ścianą i rozpoczął transmisję obrazów dysku w kodowanym połączeniu do swoich mocodawców. Teraz miał więcej czasu, dużo więcej. Zdawał sobie sprawę, że transfer danych zajmie co najmniej kilka godzin. Położył się na łóżku i wpatrywał w sufit, słuchając cichego brzęczenia wiatraka w obudowie komputera.

Mike zauważył, że proces czytania został przerwany. Żadna kontrolka na obudowie dysków się nie świeciła. Wybrał inny program do obsługi dysków. Efekt był dokładnie taki sam. Po kolejnej godzinie nieudanych prób poddał się i padł na kanapę.

- I co teraz? - Dorota była niepokojona faktem, że dysków nie udało się odczytać.

- Nie wiem. Wygląda na to, że faktycznie jest jakiś mechanizm zabezpieczający i tylko wtedy, kiedy wszystkie dyski zostaną połączone, będzie można je odczytać. Nigdy nie spotkałem się z czymś takim.

Kobieta wstała z kanapy i podeszła do biurka, przy którym siedział. Podniosła jeden z dysków i obróciła go w rękach. Oparła się o niego lekko.

- Ciekawe, jaką tajemnicę chciał mi przekazać ojciec i po jaką cholerę tak bardzo to skomplikował...

Mike odpowiedział dopiero po chwili:

- Wiesz co, myślę, że to było coś ważnego nie tylko dla niego, ale i dla ludzi, którzy te dyski mieli i dla tych, którzy mają kolejne. Musieli mieć powód, dla którego trzymali je tyle czasu i wokół ich przekazania zrobili takie zamieszanie. Tak samo ten notariusz. Niby to jego praca, żeby spełniać wymogi klientów, nawet jeśli są dziwne, ale to zlecenie na pewno nie było standardowe.

- Czyli co? Jakiś sekret wagi państwowej? - spytała, kładąc mu dłoń na ramieniu.

Nie zaoponował.

- Nie wiem. Nie znałem go. Ale na pewno zaciekał mnie tym wszystkim, co dzieje się teraz po jego śmierci. Rozumiesz? On to wszystko zaplanował, kiedy jeszcze żył.

Dorota stanęła za jego plecami i trzymając dłonie na jego barkach, zaczęła go delikatnie masować.

- Znasz kogoś, kto mógłby odczytać te dyski? - spytała, przesuwając ręce na jego kark.

Zamyślił się.

- Myślę, że co najmniej dwóch gości byłoby w stanie coś z tym zrobić - odparł, zastanawiając się jednocześnie, co u licha robi Dorota.

- Możemy ich o to poprosić?

- Zanim dotrzemy do Polski, minie tyle samo czasu, ile potrwa wycieczka po dwa kolejne dyski. Nie wiadomo, ile moim znajomym zajmie rozkodowanie dysków, natomiast jest ogromna szansa, że znajdziemy je wszystkie. Wtedy bez problemu je połączymy, a dane będzie można odczytać.

Przesunęła ręce na jego klatkę piersiową, a brzuch oparła o jego plecy. Czuł jej ruchy i oddech. Poły szlafroka rozsunęły się i poczuł jej nagie ciało na skórze. Brzuch i podbrzusze Doroty pulsowały na jego łopatkach i kręgosłupie.

- Czyli co? Zurych? - zapytała nieobecny głosem.

- Zurych - potwierdził. - A potem kolejne miejsce, gdziekolwiek ono jest.

Błądziła powoli rękoma po jego torsie i co jakiś czas zaciskała palce na jego mięśniach.

- Samolot mamy o dziewiątej rano, na lotnisku mamy być o siódmej, więc z hotelu trzeba wyjść przed szóstą rano - zarządził, zamykając komputer. - Czyli najwyższa pora, żeby pójść spać.

Wstał z krzesła i stanął przodem do niej. Dopiero teraz zauważył, że pasek szlafroka był rozwiązany, a spod materiału wysunęła się pierś, która nieśmiało wystawała na zewnątrz. Pod szlafrokiem nie miała bielizny.

Poczuł zapach jej perfum - wyraźny i słodki, z nutą gorzkości. Nie rozpoznał go, ale stwierdził, że jest ciekawy i intensywny.

Wpatrywała się w niego.

- Ja będę spał na kanapie, a ty bierzesz łóżko - zabrzmiało bardziej jak polecenie niż pytanie.

Ominął ją i podszedł do kanapy.

Dorota poprawiła szlafrok, zawiązała pasek i obróciła się w jego stronę. Przez chwilę patrzyła, jak rozkłada koc i zdejmuje z kanapy nadmiar poduszek.

Nie spojrzął na nią ani razu.

Nie próbowała więcej. Położyła się do łóżka i przez długi czas leżała, nie mogąc zasnąć.

## Wtorek, trzeci maja, Mazury

Gdy dotarł do samochodu, był przede wszystkim zmęczony i zmarznięty. Nawet odkręcone na maksimum ogrzewanie i podgrzewane fotele nie pomogły w szybkim przywróceniu właściwej temperatury ciała. Zanim ruszył, pozwolił silnikowi chwilę popracować. W tym czasie otworzył tabliczkę czekolady, którą miał schowaną w aucie razem z termosem gorącej kawy. Po pierwszych łykach poczuł przyjemne ciepło promieniujące od środka.

Teraz, gdy wspominał ten moment, czuł ulgę, że jest już w hotelu. Przeglądał zdjęcia zrobione poprzedniego dnia. Klikał bezwiednie w klawisz przewijania obrazów.

Już szóstą godzinę czekał na informacje z systemu analizowania zdjęć, do którego wysłał wszystkie zrobione przez siebie fotografie. Jak dotychczas tylko jedno zdjęcie zostało ocenione na zgodne ze wzorcem w sześćdziesięciu procentach. Według procedury to zbyt małe prawdopodobieństwo, żeby można było uznać fotografię za wiarygodny dowód. Z braku innych zajęć wprowadził dane z systemu rozpoznawania twarzy do bazy danych osób, które były skatalogowane w bazach agencji bezpieczeństwa.

System potwierdził jego podejrzenie. Mężczyzna, którego widział, to major Stanisław Mocadowski. Major był wysoko postawionym oficerem kontrwywiadu o licznych pseudonimach, który działał w głębokiej konspiracji. Był też wieloletnim prowadzącym Versala, gdy ten oficjalnie nie był obywatelem polskim. Zgodnie z informacjami z bazy danych Mocadowski mieszkał w Polsce na Mazurach.

Nick szybko otworzył mapę i odnalazł miejscowość, a raczej wieś, w której major Mocadowski spędzał jesień życia. Szybko policzył, że ma do niej niecałe trzydzieści pięć mil.

Czterdzieści minut później jego terenowa toyota mknęła szosą w kierunku domu nad jeziorem. Odnalezienie wsi na końcu szutrowej drogi i pokonanie ostatnich kilku mil w starym, gęstym lesie nie było dla niego problemem.

Zaparkował przed tablicą z nazwą miejscowości. Nawigacja samochodowa nie potrafiła namierzyć w tym rejonie domu majora, więc postanowił, że ostatni odcinek drogi pokona piechotą.

Wieś nie była duża. Składała się z kilkunastu domów położonych nad samym brzegiem jeziora. Wszystkie były chaotycznie porzucane po obu stronach jedynej drogi. Każdy był zbudowany w innym stylu i każdy pochodził z innego okresu.

Dom Mocadowskiego, jak Nick zorientował się po tabliczce z numerem, znajdował się na samym końcu szutrowej drogi i był położony w sporej odległości od pozostałych zabudowań. Brown nie podszedł do domu od razu, pomimo że z dużym prawdopodobieństwem przewidywał, że nikogo nie ma w środku.

Około pół godziny stał w cieniu drzew nieopodal domu i starał się ustalić, czy w środku nikogo nie ma. Przez cały ten czas nie zauważył żadnego ruchu. W ustaleniach pomógł mu kierunkowy mikrofon, który wraz z wiązką podczerwieni dyskretnie skierował w stronę domu i przesuwiał z okna na okno. Dla postronnego obserwatora Nick był zwykłym turystą, który spędza czas na podziwianiu uroków mazurskich lasów i jezior. Aparat

fotograficzny, w którym schowane było urządzenie do podsłuchu, nie budził zainteresowania. Ot, zwyczajny przyjezdny, który uciekł od wielkowiejskiego zgielku i trafił do uroczej wsi, a teraz uwiecznia piękny krajobraz w Krainie Tysiąca Jezior.

Gdy upewnił się, że w domu nikogo nie ma i zorientował się, kto i gdzie znajduje się na sąsiednich posesjach, ruszył dalej. Wyglądało to tak, jakby kontynuował spacer w stronę przeciwną do tej, z której przyszedł. Wszedł w las i przez chwilę szedł ścieżką, która prowadziła ze wsi. Po kilku minutach zatrzymał się i zawrócił. Obserwował otoczenie i nasłuchiwał. Kiedy upewnił się, że nikt go nie widzi i jest kompletnie sam, ruszył powoli w stronę wsi. Tym razem jednak nie korzystał ze ścieżki. Jego celem było przedostanie się w pobliże interesującego go domu od strony jeziora. Jak ocenił, podchodząc z tamtej strony, nie zostanie przez nikogo zauważony.

Kiedy dotarł na skraj lasu, miał już pewność, że wybrał dobrą drogę. Dom stał dokładnie na wprost niego i stanowił doskonałą osłonę dla każdego, kto wychodził z lasu z miejsca, w którym stał.

Niecałe pięćdziesiąt metrów pomiędzy ścianą lasu a płotem okalającym dom przebył w tempie spacerowym, jak turysta rozglądając się na boki. Po przekroczeniu furtki od razu skierował się do werandy od strony jeziora.

Wszystkie okna oraz drzwi były drewniane, w starym typie. Przyjrzał się wejściu z werandy. Klamka z obu stron i pod nią zamek. Uklęknął i zdjął plecak, z którego szybko wydobyl zestaw wytrychów oraz lateksowe rękawiczki. Odnalezienie właściwego wytrychu i rozprawienie się z zamkiem w ten sposób, by nikt nie zauważył jego ingerencji, zajęło mu niecałą minutę.

W środku pachniało starym domem. Zapach drewna przesiąkniętego tym, co działo się we wnętrzu przez kilkadziesiąt lat, unosił się w powietrzu. Wystrój był mało wyszukany. Proste meble i sprzęty domowe stały na częściowo drewnianej, a częściowo betonowej podłodze.

Szybko zlustrował wnętrze i oszacował, że nie ma w nim zbyt wielu przedmiotów, które są związane z właścicielem. Nigdzie nie było zdjęć, książek, notatek. Przejrzał meble i ewentualne schowki. Kompletnie nic nie znalazł. Jedynie w sypialni na nocnym stoliku z lampką zauważył zarysowania od czegoś ciężkiego, zapewne metalowego. Gdy zbliżył się, żeby je dokładnie obejrzeć, poczuł znany zapach. Dotknął powierzchni drewna i był pewien, że w tym miejscu często spoczywała broń palna. Po rozmiarach zarysowań i plamach smaru wywnioskował, że był to niewielki pistolet w rozmiarze, który łatwo nosić w marynarce, kurtce czy spodniach.

Przeszedł do kuchni. Cały czas miał rękawiczki. Przechodząc przez kuchenne drzwi, na moment się zatrzymał. Przyjrzał się klamce, po czym na podłodze przy drzwiach położył plecak i wyjął z niego niewielkie pudełko. Ostrożnie wyciągnął z niego coś na wzór sztywnego plastra i przyłożył do powierzchni klamki. Znajdujący się tam odcisk palca natychmiast odbił się na nośniku. Schował plaster do pojemnika i razem z nim do plecaka.

Nie miał tam nic więcej do roboty. Nie znalazł kompletnie nic, co mogłoby rzucić więcej światła na sprawę, którą prowadził. Miał w plecaku komplet urządzeń podsłuchowych, ale nie widział potrzeby ich montowania. Dom wyglądał tak, jakby jego właściciel wyjechał na dłuższy czas, a gdy w nim bywał, to bardzo się kontrolował, bo w środku nie było żadnych osobistych przedmiotów. Nic nie mogło nakierować intruzów ani pomóc im zidentyfikować właściciela.

Jedynie, czego Brown był pewien, to to, że istniał powód, dla którego major Mocadowski mieszkał na takim odludziu i dla którego wyjechał z domu na dłuższy czas.



## Środa, czwarty maja, Zurych

To była trzecia czarna kawa tego dnia.

Czekała na telefon od naczelnego. Komórka i notebook leżały na stoliku obok ogromnego kubka z logo Starbucks.

Chciało jej się spać, chociaż był środek dnia. Sarah zastanawiała się, czy to monotonia wydarzeń tygodnia czy też może dopadł ją jet lag. Była w dość trudnej sytuacji. Z jednej strony trafiła na gruby temat. Gdyby wypalił, mógłby ją wynieść na wyżyny dziennikarstwa śledczego. Być może nawet dostałaby za niego nagrodę Pulitzera. Z drugiej gdziekolwiek nie spoglądała, zbierając materiały, widziała mury i problemy, które na pierwszy rzut oka wydawały się nie do pokonania.

Starano się teraz zebrać myśli i ułożyć wydarzenia ostatnich dni w jakąś logiczną i spójną całość. Informacje, które dostała od swojego informatora jeszcze w Los Angeles, były pewne. Potwierdziła je z dokumentami, do których zyskała dostęp. Informacje wiernie odzwierciedlały to, co wcześniej było tylko w sferze przypuszczeń. To w Europie miała spotkać się z człowiekiem, który po pierwsze mógł wszystko potwierdzić, a po drugie dostarczył dodatkowe dokumenty i dowody na to, że faktycznie wysoko postawieni uczestnicy amerykańskiej sceny politycznej byli szantażowani przez kogoś z Europy i opłacali go pieniędzmi zdeponowanymi na prywatnych kontach w bankach w Szwajcarii. Zawsze dokonywali transakcji gotówką lub papierami wartościowymi wystawionymi na okaziciela.

Informator w lokalnym banku miał być kluczem do rozwiązania zagadki. Po pierwsze miał pomóc w odkryciu, kto był szantażowany i na jakie kwoty, a po drugie i ważniejsze – przez kogo.

Komórka zawibrowała na stole. Dzwonił szef.

- Jak tam postępy? – zapytał bez szczególnego powitania, tak jak miał w zwyczaju.

- Na razie słabo...

- Ślepy zaulek?

- Nie, raczej martwy trop. Nasz informator nagle popełnił samobójstwo, ale zanim to zrobił, chyba się czegoś obawiał, bo niespodziewanie zmienił miejsce spotkania. Nie chciał się spotkać w mieście ani w pobliżu pracy. Szukaliśmy go w jego mieszkaniu, ale bez skutku. Jeden z jego kolegów z banku przekazał nam od niego list. Było w nim podane miejsce spotkania.

- No brzmi to tajemniczo ... – wtrącił rozmówca.

- Poczekaj, to jeszcze nie koniec. Tam, gdzie poprowadził nas ten list, zastaliśmy osiedle domów mieszkalnych i policję. Facet rzucił się z okna. Ale to nie to jest najważniejsze. To są takie luksusowe apartamentowce z usługą konsjerża. Gdy zapytaliśmy o naszego informatora, recepcjonista powiedział, że ten człowiek rzucił się z okna, ale on nie wierzy w jego samobójstwo i że ktoś musiał go zabić. Ten facet, recepcjonista, powiedział, że wiedział od informatora, że przyjdziemy, i że informator zostawił dla nas list.

- Coś cennego było w tym liście...?

- Bingo. W liście mamy pełne zestawienie transakcji z banku. Imiona i nazwiska osób z pierwszych stron gazet oraz daty i podejmowane przez nich kwoty. Czasem zamiast kwot były to papiery wartościowe. Lista zgadza się z datami wyjazdów tych ludzi z USA. Sprawdziliśmy już co najmniej jedną trzecią pozycji.

- Okej. I co chcesz z tym zrobić?

- Zasadniczo nie ma tutaj zbyt wiele do zrobienia. Ale posłuchaj - Sarah zaczęła mówić szeptem. - Na końcu listu jest imię i nazwisko oraz adres jakiegoś gościa w Paryżu, który ma potwierdzić informacje z listy i ma nam podać więcej szczegółów.

- To znaczy, że potrzebujesz więcej czasu i chcesz jechać do Francji? - spytał. - Dobrze rozumiem?

- No raczej tak - odparła. - Mogę złapać nocny lub ranny lot do Paryża, a w tym czasie jeszcze tutaj pomyszkuję. Zajrzę do banku, w którym pracował samobójca.

- Tylko że to nie jest żaden pewny trop. Jesteś pewna, że nie możesz pracować nad artykułem w naszej redakcji?

- Potrzebuję dwóch dni. Proszę. Tyle mi wystarczy, żeby namierzyć tego gościa z listy i ustalić więcej szczegółów.

- A jeśli dwa dni nie wystarczą? - Naczelnny nie wydawał się przekonany.

- To wtedy te dwa dni i następne, które uznam za stosowne, odliczysz mi od urlopu, a wydatki potrącis z wypłaty. Okej?

- Uparta jesteś. - Na drugim końcu linii usłyszała ciężkie westchnięcie. - Jedź do tego Paryża i zrób ten temat.

Rozłączył się.

Sarah była zadowolona. Nie miała pewności ani dowodów na to, że ma rację, ale gdzieś w środku czuła, że tak i że warto pójść śladem wskazanym przez nieżyjącego informatora.

Telefon na stole znowu zawibrował.

- Hej, gdzie jesteś? - rzuciła do słuchawki.

Dzwonił Pierre. Poszedł na chwilę do hotelu, podczas gdy ona została w kawiarni po drugiej stronie ulicy.

- Idę już do ciebie. Musiałem skorzystać z komputera w pokoju.

- Okej, jestem w Starbucksie naprzeciwko.

- Sprawdziłem, że możemy lecieć do Paryża dziś wieczorem o dwudziestej pierwszej.

- Zrobiłeś rezerwację? - spytała i jednocześnie pomachała ręką w jego kierunku, żeby wiedział, gdzie siedzi.

- Tak - odparł. - Widzę cię.

Wszedł do wnętrza i chowając telefon do kieszeni, podszedł do stolika.

- Mam pomysł - powiedziała, gdy usiadł na wprost niej.

- Jaki?

- Chciałabym się pokręcić jeszcze w tym banku i pogadać z jego kolegami... może z jego szefem...

- Ciekawe, że to samo wpadło mi do głowy, kiedy byłem w hotelowej windzie. - Uśmiechnął się, mówiąc te słowa.

- To co? Działamy? - spojrzała na niego spod oka.

Przytaknął skinieniem i patrząc w oczy Sarah, podniósł kubek z jej niedopitą kawą, po czym pociągnął z niego duży łyk.

- Hej! - zdążyła tylko powiedzieć, ale na nic to się zdało.

Do banku nie było daleko, więc szybko dotarli na miejsce. Zaparkowali niecałe trzydzieści metrów od wejścia i postanowili, że przez jakiś czas będą obserwować, kto wchodzi i wychodzi z budynku.

Akurat zaczynała się pora lunchu. W banku nie było zbyt wielu klientów, co zaobserwowali przez ogromne ściany ze szkła. Za to liczba pracowników, którzy wychodzili z budynku, żeby zjeść coś na zewnątrz, była ogromna. Bardzo łatwo można było odróżnić pracowników obsługujących klientów od tych, którzy pracowali na zapleczu biur. Pierwsi ubrani byli w eleganckie i dobrze skrojone garnitury, zdecydowanie wyróżniali się z tłumu. Drudzy stanowili dla nich doskonałe tło, zlewając się w jednolitą, szarą masę.

- Zobacz. - Sarah wskazała palcem grupkę, która właśnie przechodziła obok nich.

- Co? - Nie wiedział, na co dokładnie ma zwrócić uwagę.

- Ci w garniturach to goście pracujący z klientami - powiedziała szybko i z zaangażowaniem. - Niemal wszyscy idą w tamtą stronę.

Pierre podążył za jej palcem.

- Masz rację. To chyba tutejsza stołówka dla białych kołnierzyków, chociaż ciężko nazwać to stołówką. Białe obrusy na stołach, kieliszki z winem...

- Dobra, nieważne - przerwała szybko. - Skoro chodzą tam kolesie z tego banku, to może są wśród nich ludzie, którzy znali naszego informatora. A może trafi się ktoś, kto też wie o tych szantażach.

Zamyślił się.

- A wiesz, że to może być dobry pomysł?

Sarah spojrzała na zegarek na przegubie ręki.

- Na lotnisku musimy być dopiero o dziewiętnastej. Wystarczy, że wyjdziemy z hotelu o osiemnastej. Licząc czas na pakowanie i dotarcie do hotelu, mamy dwie lub trzy godziny, żeby tutaj posiedzieć i posłuchać tych ludzi albo z nimi pogadać.

- To jest jakiś plan.

- No to na co czekasz? - powiedziała głośniej i radośniej.

Gdy weszli do lokalu, nikt poza kelnerem najbliżej wejścia nie zwrócił na nich uwagi. To były godziny szczytu w restauracji. Kelnerzy niemal biegali pomiędzy stolikami, donosząc gorące dania i wracając z pustymi talerzami.

Nie było wolnego ani jednego stolika.

- Spójrz tam. - Sarah wskazała jeden ze stołów w dalszej części pomieszczenia, przy którym siedziało trzech mężczyzn, a obok nich były wolne miejsca. - Chodź! Przysiadzimy się.

Ruszyła dokładnie w tym samym momencie, w którym jeden z kelnerów wystartował w ich stronę. Dostrzegła go i gestem wskazała, dokąd zmierzają. Młody chłopak skręcił więc tak, aby spotkać się z nimi już przy stole.

- Czy możemy? - spytała po angielsku, zwracając się do mężczyzn oczekujących na jedzenie. Nie odpowiedzieli, ale uprzejmym gestem zaprosili ich do zajęcia miejsc. Pierre podjął decyzję za nich oboje i zamówił u kelnera dwa zestawy dnia oraz dwie lampki czerwonego wina.

- Bardzo dobry wybór - powiedział jeden z mężczyzn po angielsku, choć z akcentem, który zdradzał, że język niemiecki jest podstawowym narzędziem jego komunikacji ze światem.

Sarah nie mogła przepuścić takiej okazji. Potencjalny rozmówca właściwie sam garnął się do rozmowy. Kilka minut później wiedziała już wszystko o restauracji, w której byli, o zestawach menu oraz o tym, które desery są dobre, a które niewarte polecenia.

Jak się okazało, mężczyźni siedzący z nimi przy stoliku byli nie tylko pracownikami banku, który ich interesował, ale również kolegami z pracy ich informatora. Nawet nie musiała o nic pytać, bo już wiedzieli o śmierci swojego znajomego.

- On nie był z naszej paczki. Trzymał się z boku - powiedział ten, który rozpoczął rozmowę. - Nigdy nie chodził z nami nigdzie po pracy.

- W naszym sportowym klubie też nie uczestniczył - dodał drugi z mężczyzn.

- Co to za klub? - spytał Pierre.

- Gramy w piłkę w weekendy. Ale czekajcie... w sumie to żaden z nich się z nami nie integrował.

- Żaden z nich? - od razu podchwyciła wątek Sarah. - Czyli kto?

- Trzymał tylko z takimi dwoma, którzy zajmują się skrytkami depozytowymi. Jeśli już siedzi na lunch albo rozmawiał z kimś przy porannej kawie, to właśnie z nimi.

Sarah się zamyśliła.

- A teraz? Gdzie oni są? Są tu w restauracji? - spytała.

Żaden z siedzących przy stole mężczyzn nawet nie obrócił głowy, żeby to sprawdzić.

- Nie. Na pewno ich tu nie ma. Nie pojawili się dziś w pracy.

Przy stole zapadło milczenie.

- Wiadomo, dlaczego? - Pierre od razu skojarzył, że to dziwny zbieg okoliczności.

- Nie. Nie dzwonili i nie raportowali dnia wolnego. Po prostu nie przyszli na dziewiątą do pracy i nasz przełożony musiał szybko znaleźć zastępstwo.

Sarze wydało się to nadzwyczaj dziwne. Poprosiła o nazwiska tych dwóch mężczyzn. Zapisala je w notesie. Już miała pomysł, jak ich sprawdzi.

Pierre płacił rachunek, podczas gdy ona stała na chodniku przed budynkiem i rozmawiała przez telefon. Widział przez szybę, jak żywiłowo komuś coś tłumaczyła i gestykulowała. Domyślał się, że właśnie zleca komuś dokładne zbadanie tych mężczyzn, żeby ustalić, kim są i dlaczego zniknęli w tym samym momencie, w którym ich kolega popełnił samobójstwo.

Pod warunkiem, że to było samobójstwo - pomyślał.

## Środa, czwarty maja, Warszawa

Teczki sprawy pęczniały w zastraszającym tempie. Już trzy razy przeczytał wszystko, co w nich było, i ciągle nie miał obrazu całej sytuacji.

Inspektor Kłopocki nie lubił takich spraw. Z jednej strony wiedział, że ich rozwiązanie daje mu niesamowitą satysfakcję, z drugiej zdawał sobie sprawę, że przebrnięcie przez nie stanowi niesamowity wysiłek fizyczny i intelektualny. Wiedział też, że takie sprawy bywają niebezpieczne. Rana barku ciągle mu doskwierała. Przy intensywnych ruchach ręki jeszcze lekko krwawiła. Uśmiechnął się na wspomnienie lekarza, który zrobił mu długą pogadankę na temat tego, jak bardzo jest nieodpowiedzialny, wypisując się ze szpitala ze świeżą raną postrzałową, która przebiega tuż obok tętnicy. Zresztą żona była najwyraźniej tego samego zdania. Nie powiedziała ani słowa, kiedy pojawił się w domu wieczorem tylko po to, żeby rano pójść do pracy. Wiedział, że była na niego zła.

Stan sprawy był nieciekawym. Kłopocki był już pewien, że Stanisław Groszkowski nie zginął śmiercią naturalną. Zarówno okoliczności jego śmierci – nagła zmiana systemu nakłuwania, wysokie stężenie chlorku potasu we krwi – jak i kolejne wydarzenia skłoniły go do myślenia o tym, że mężczyzna nie umarł, ale został zamordowany. Na tym etapie nie potrafił dokładnie powiedzieć, jak i dlaczego do tego doszło, ale wiedział już, że sprawę należy prowadzić w kierunku morderstwa, a nie zgonu z przyczyn naturalnych.

Do teorii o zabójstwie pasowała śmierć Marka Gawińskiego. Jak wynikało z jego ustaleń, Gawiński był pracownikiem Groszkowskiego. Może nie był to układ oficjalny, ale Gawiński z pewnością pracował w pomieszczeniach wynajmowanych przez Groszkowskiego i coś dla niego robił. Zastanawiało go też, że w dniu śmierci Groszkowskiego wszystko, co było w pomieszczeniu w podziemiach Wadeksu, zostało wyniesione i umieszczone w magazynie. To nie mógł być przypadek. Albo było to wcześniej zaplanowane działanie na okoliczność śmierci Groszkowskiego, albo zwykła ostrożność, którą wykazał się Gawiński. Za pierwszą teorią przemawiało to, że w magazynie niespodziewanie pojawił się ktoś, kto chciał to odebrać i przy okazji postrzelił Kłopockiego. Niejasna była jedynie natura relacji pomiędzy dyrektorem Groszkowskim a Markiem Gawińskim.

Kompletnie odrębnym wątkiem były włamania do mieszkania Groszkowskiego, jego córki oraz notariusza, u którego Dorota Groszkowska nabywała spadek. Dla Kłopockiego było oczywiste, że po śmierci Groszkowskiego ktoś czegoś szukał i chciał to pozyskać dla siebie. Problemem było to, że Kłopocki nie wiedział, co to jest. Nie miał też pojęcia, dlaczego było to takie ważne.

Zastanawiał się, czy włamania miały miejsce również w innych należących do Groszkowskiego nieruchomościach, których ten trochę miał. Jak wynikało z materiału, który zebrali dla niego w wydziale, Groszkowski miał mieszkanie, w którym mieszkał, dwa mieszkania na wynajem w Warszawie, jedno w Krakowie, domek letniskowy w górach, gdzieś w rejonie Szczyrku, i ogromną działkę na Mazurach. Do tego był kolekcjonerem sztuki, którą kupował i trzymał w różnych muzeach i na wystawach.

Na dokładkę Kłopocki miał trzeciego trupa, mnicha. Wszystko wskazywało na to, że został zamordowany dokładnie tak samo jak Groszkowski i prawdopodobnie tak samo jak informatyk. Kłopocki kompletnie nie miał pojęcia, dlaczego w sprawie nagle pojawił się zakonnik. Poza tym, że w jakiś sposób łączył się z notariuszem, między nim, Groszkowskim i Gawińskim nie dostrzegał żadnego powiązania.

Policjant wstał zza biurka i zrobił dwa kroki w kierunku okna. Wiosna była już w pełnym rozkwicie. Na ulicach było coraz więcej ludzi, a wśród nich więcej takich, którzy spacerowali dla przyjemności, a nie z potrzeby chwili. Patrząc gdzieś w pustkę na niebie, zastanawiał się nad zależnościami pomiędzy wszystkimi postaciami przewijającymi się w tej sprawie.

Cały czas nurtowało go pytanie, które wiązało się z bolącym barkiem. Zastanawiał się, dlaczego sprzęt komputerowy z podziemia budynku Wadeksu został wywieziony do magazynu, a następnie przewieziony dalej w okolicznościach, w których on sam prawie stracił życie. Jedyne, co przychodziło mu do głowy, to to, że sprzęt był cenny i zawierał dane, które miały duże znaczenie dla tego, kto je zabrał.

Usłyszał pukanie do drzwi.

- Proszę - powiedział, stojąc przy oknie i odwracając głowę w kierunku wejścia.

Na progu stała sekretarka wydziału. Była trochę spłoszona. W rękę trzymała teczkę z dokumentami.

- To przyszło przed chwilą. - Wyciągnęła rękę, podając mu przesyłkę.

- Dzięki. - Wziął teczkę i spojrzał na okładkę. Od razu wiedział, co zawiera wewnątrz. Czarne litery z napisem „Instytut Pamięci Narodowej OBUiAD<sup>13</sup>” rzucały się w oczy. Spojrzał niżej. W środkowej części okładki widniał napis „Akta osobowe - Stanisław Groszkowski”.

Taki był efekt zamówionych przez niego akt dotyczących służby wojskowej dyrektora finansowego Wadeksu. Spodziewał się, że coś dostanie, ale to „coś” było dużo większe, niż oczekiwał.

Zaczął wertować kartki. Czytał i szybko przechodził do kolejnej strony. Czasem wracał kilka kartek wstecz, żeby zrozumieć dokładnie treść. Z akt wynikało, że Stanisław Groszkowski, pierwsza ofiara w prowadzonej przez Kłopockiego sprawie, za czasów młodości był wojskowym i pracował w strukturach kontrwywiadu wojskowego. Co więcej, komisarz wyczytał, że był on operacyjnym kontaktem człowieka, który w aktach opisywany był wyłącznie pseudonimem. Znalazł też kilka notatek o tym, że Groszkowski i ten drugi wykonywali zadania głównie poza terenem Polski.

Z wypiekami na twarzy dotarł do ostatniej strony dokumentów. Nawet nie zauważył, że zaszło słońce, na ulicach zapaliły się lampy, a ciepły majowy dzień zamienił się w chłodny wiosenny wieczór.

Wyciągnął nogi przed siebie, odchylił zdrowy bark do tyłu, kładąc dłoń za głowę. Siedział tak, rozmyślając o treści materiałów, które właśnie przeczytał. Akta dotyczące kontrwywiadu rzucały nowe światło na całą sprawę. W świecie tajemnic z tamtych lat morderstwo nie było niczym szczególnym. Mogło być narzędziem, a tajemnica mogła być powodem morderstwa. Jego zadaniem było znaleźć ten powód, jeśli w ogóle taki istniał.

Coś przyszło mu do głowy. Przestał bujać się na krześle. Zapalił lampkę na biurku i jeszcze raz wziął do rąk teczkę z aktami. Szybko przewertował pierwsze kartki. Znalazł to, czego szukał. Jeden z raportów dotyczył sprawy, którą wykonywał Versal. Było to zabójstwo zlecone przez sąd wojskowy w PRL-u. Przeczytał cały raport na temat tego zabójstwa. Raz, a potem drugi. Chciał zapamiętać maksymalnie dużo szczegółów.

Uruchomił stojący na biurku komputer. Po chwili wystukiwał w wyszukiwarce hasło po hasle, aż znalazł to, czego szukał.

Zrobiło mu się gorąco. To, jak zginął Stanisław Groszkowski - zastrzyk z chlorku potasu - to był dokładnie ten sam sposób, którego służby używały do zabijania ludzi. Śmierć przychodziła cicho i nagle, trwała zaledwie kilka sekund. Dwa, trzy dni po wstrzyknięciu substancji do krwiobiegu była ona kompletnie niewykrywalna podczas sekcji zwłok. Chyba że ktoś czujny zleciłby szczegółowe badanie biochemiczne.

Przejrzał jeszcze kilka stron na ten temat. Wszędzie ta sama informacja dotycząca chlorku potasu i jego wykorzystania w pracy służb wywiadu.

Kłopotcki utwierdził się w przekonaniu, że zgon nie nastąpił z przyczyn naturalnych. Ktoś pomógł Groszkowskiemu pożegnać się z tym światem.

Śledztwo nagle zmieniło tor. Nie mógł szukać podejrzanych tylko wewnątrz firmy. Sprawcą mógł być każdy - zarówno z firmy, jak i spoza niej.

Wcześniejsze koncentrowanie się na dwóch potencjalnych podejrzanych - Orłowskim i Sołtysiuku - przestało mieć sens. Prawdopodobieństwo, że są związani z zabójstwem, stawało się coraz mniejsze.

Sięgnął po słuchawkę telefonu, żeby odwołać wszelkie zlecenia dotyczące śledzenia Orłowskiego i Sołtysiuka.

## Środa, czwarty maja, Wiedeń

Carcasse sięgnął po telefon, który wibrował już od dobrych dwudziestu sekund. Spojrzał na wyświetlacz i wcisnął klawisz odbioru połączenia.

- Tak?
- Musimy się spotkać - usłyszał.
- Gdzie jesteś?
- Dwie przecznice od ciebie.
- Dobrze. Czekam.

Dziesięć minut później rozmówca siedział na wprost niego w fotelu.

- Cały system jest już sprawny operacyjnie. Odebraliśmy z magazynu w Warszawie wszystkie komputery oraz serwer i przewieźliśmy je na nową lokalizację. Tam zajął się nimi nasz zespół i połączył je w takim samym układzie, w jakim pracowały wcześniej. Uruchomienie oprogramowania było większym wyzwaniem, ale daliśmy radę. Wszystko zaczęło działać w dwa dni. Kolejne dwie doby zajęło nam testowanie systemu na każdy możliwy sposób...

- Lepiej, żeby tak było - przerwał mu Carcasse. - Nie możemy sobie pozwolić na kolejne dni przestoju. Nasi zaufani ludzie muszą dostawać pieniądze.

W jego wypowiedzi i tonie nie było złości, a raczej stanowczość granicząca ze skrajną determinacją. Postawienie od nowa systemu, który służył do rozliczania transakcji i przekazywania środków ludziom w różnych częściach świata, było dla niego niezwykle ważne. Tak samo ważne jak to, żeby tajemnice organizacji pozostały niezagrożone i nieujawnione. Zarówno jemu, jak i bliskim współpracownikom bardzo zależało na tym, żeby system działał. Tylko w ten sposób mogli zapewnić funkcjonowanie organizacji i przepływ gotówki.

- Co u naszego przyjaciela z Irlandii? - zapytał po dłuższej chwili Carcasse.

- Wszystko zgodnie z planem. W Polsce problem został rozwiązany. Tak samo w Londynie. W obu przypadkach bez najmniejszego problemu i rozgłosu.

- Dobrze - odparł. - Oby dalej szło tak gładko.

- Nasz człowiek to profesjonalista i wie, jak załatwić sprawę. Zawsze cicho i skutecznie.



## Środa, czwarty maja, Zurych

Kierowca taksówki dowiózł ich z lotniska do banku w niecałe dwadzieścia minut. W trakcie jazdy Mike odniósł wrażenie, że facet bardziej odnalazłby się na torze formuły jeden niż w gąszczu ulic Zurychu.

Bank nie wyróżniał się niczym szczególnym. Tak jak większość instytucji finansowych w tym mieście, budynek był stary i bogato zdobiony.

Dorota pierwsza wspięła się na okazałe schody banku. Orłowski zapłacił kierowcy i podążył za nią. Tuż za drzwiami podszedł do nich mężczyzna w ciemnoszarym garniturze, pracownik banku.

- W czym mogę państwu pomóc? - spytał po angielsku.

Dorota w odpowiedzi wyjęła z torebki plastikową kartę, którą otrzymali poprzedniego dnia od mężczyzny w Londynie.

- Chcecie państwo skorzystać ze swojej skrytki depozytowej?

Mike zawahał się, po czym odparł:

- Tak, jeśli możemy...

- Oczywiście. Proszę za mną.

Sala ze skrytkami znajdowała się w podziemiach budynku. Żeby tam się dostać, musieli przejść przez główny hol i windę zjechać dwa piętra niżej. Tam pracownik przekazał ich koledze, który zajmował się dostępem do skrytek.

Bez żadnego pytania, bez oglądania dokumentów, w atmosferze kompletnej dyskrecji zostali wprowadzeni do wnętrza pomieszczenia z setkami niewielkich drzwi. Mężczyzna podszedł do jednej ze ścian i wyjął z trzymanej w ręku koperty kartę podobną do tej, którą miała Groszkowska. Włożył ją w cienki otwór, obok którego zapaliło się pomarańczowe światło diody. Odsunął się i gestem wskazał Dorocie, że powinna zrobić to samo, korzystając z drugiego otworu o takim samym kształcie.

Dorota podeszła do ściany i ostrożnie wsunęła w nią kawałek plastiku. Karta weszła bez problemu. Momentalnie lampka przy obu kartach zmieniła kolor na zielony. Drzwi do skrytki lekko odskoczyły. Zamek magnetyczny został zwolniony.

Pracownik banku otworzył skrytkę na całą szerokość. Wysunął z niej czarne pudełko, które następnie przeniósł do pokoju obok. Dorota i Mike podążyli za nim.

Gdy pudło stanęło na stole, mężczyzna opuścił pomieszczenie, zamykając za sobą drzwi. Dorota bez emocji patrzyła na to, co leżało na stole. Mike pierwszy wykonał ruch. Otworzył wieko pudełka. Ich oczom ukazało się czarne wnętrze. Na spodzie leżała koperta. Nic więcej. Tylko koperta - zwykła biała koperta.

Sięgnął po nią.

## Środa, czwarty maja, Zurych

Pracownicy banku szybko skończyli posiłek i zbierali się do wyjścia. Sarah miała już sporo informacji, które ją interesowały. Dzięki tej rozmowie wyrobiła sobie zdanie na temat całej sytuacji. Czowała jednak niedosyt.

Postanowiła dać sobie jeszcze jedną szansę. Wyszła dosłownie chwilę po tym, jak mężczyźni opuścili restaurację. Nie starała się dotrzymać im kroku. Szła swobodnie i spokojnie. Przed przejściem dla pieszych jeden z nich odłączył się od pozostałych. Bez wahania podjęła decyzję, że pójdzie właśnie za nim.

Mężczyzna cały czas podążał w tym samym kierunku. Przeszedł dwa skrzyżowania i skręcił w stronę parkowego skweru.

Sarah nie poszła tą samą drogą. Weszła do parku inną alejką i zwiększyła dystans między nimi. Pomyślała, że nie ma możliwości, że go zgubi, bo w polu widzenia nie miała nikogo więcej.

Mężczyzna zwoolnił i usiadł na ławce. Sarah zrobiła to samo. Miała go przed sobą, siedział plecami do niej.

Po chwili obok ławki stanął ktoś jeszcze – wysoki i rosły mężczyzna. Bez powitania, podania ręki lub choćby najmniejszego gestu zaczął coś mówić do człowieka z banku. Rozmawiali.

Sarah przypatrywała się tej scenie. Nagły podmuch wiosennego wiatru poruszył konarami drzew i przez krótki moment słońce oświetliło twarz stojącego mężczyzny. Serce zabiło jej żywiej. Znała tę twarz. Kompletnie nie kojarzyła skąd, ale znała ją. Była przekonana, że widziała ją już wcześniej w innych okolicznościach.

Spotkanie zakończyło się około pięć minut później. Podążała za pracownikiem banku i cały czas zastanawiała się, gdzie widziała tę twarz. Ta myśl nie dawała jej spokoju.

## Środa, czwarty maja, Warszawa

Telefon zawibrował na siedzeniu pasażera. Podniósł go i spojrzął na ekran. To była zakodowana wiadomość e-mail. Wpisał szesnaście cyfr kodu uwierzytelniającego i na ekranie wyskoczyła wiadomość. Wynikało z niej, że dane, które zostały pozyskane przez agenta operacyjnego, nie zostały jeszcze odkodowane lub są niekompletne i dlatego nie mogą zostać odczytane.

W tej samej wiadomości była informacja, że Jean Pierre Carcasse, którego ciągle monitorowało NSA, kilka dni wcześniej był w Edynburgu, a aktualnie planuje pobyt w Zurychu i właśnie zakupił bilet lotniczy do tego miasta.

Brown nie miał pojęcia, dlaczego Carcasse jest w Szkocji i planuje lot do Zurychu. Nie pasowało to do żadnych wcześniejszych wzorców jego zachowania. Nick mógł jedynie przypuszczać, że ma to związek ze śmiercią Groszkowskiego i tym, co mężczyzna zostawił.

Prowadził samochód i zastanawiał się, dlaczego nie udało się odkodować danych pozyskanych przez terenowego agenta. Wiedział, że prace nad nimi prowadzili specjaliści od przechwytywania oraz odtwarzania informacji, to nawet tych niepełnych. Liczył na szybki sukces i na to, że przynajmniej część informacji uda się odczytać. Zdawał sobie sprawę, że odkodowanie ogromnej ilości danych nie jest celem samym w sobie. To był tylko kolejny krok, który miał ułatwić dotarcie do fizycznych archiwów. Tylko pozyskanie i zniszczenie fizycznych dokumentów gwarantowało bezpieczeństwo wielu ważnych osób w jego kraju.

Zadzwoił telefon.

Spojrzął na wyświetlacz i odebrał:

- Cześć, Rafał - powiedział do Kłopotckiego.
- Masz chwilę? - spytał inspektor.
- Oczywiście. Kiedy chcesz się spotkać?
- Nawet teraz.
- Okej, będę za kwadrans - odparł Brown, zmieniając pas ruchu.

Pół godziny później siedział przy biurku Kłopotckiego, a przed nim stał kubek z gorącą i aromatyczną kawą. Policjant zreferował mu wszystko, czego dowiedział się z akt Instytutu Pamięci Narodowej i podzielił się z nim swoimi wnioskami. Poinformował również Browna, że odwołał rozkaz śledzenia dwóch pracowników Wadeksu - Orłowskiego i Sołtysiuka.

Brown tylko uśmiechnął się na te rewelacje. Nie usłyszał nic, czego nie wiedziałby wcześniej. Szczególnie zgadzał się ze stwierdzeniem, że Orłowski jest kompletnie niewinny.

## Środa, czwarty maja, Zurych

Inny kraj, inne miasto i inny człowiek, ale sytuacja była bardzo podobna.

Siedzieli przed wielkim mahoniowym biurkiem, za którym na ogromnym skórzanym fotelu zasiadł gospodarz. Był nim około osiemdziesięcioletni mężczyzna z bujnymi, aczkolwiek zupełnie siwymi włosami. Na biurku leżał przedmiot, który przed chwilą przed nimi położył.

Byli w biurze prywatnego bankiera, jednego z wielu w Zurychu. Prywatny bankier to zawód i przywilej. Żeby móc skorzystać z jego usług, trzeba dysponować minimalną kwotą dziesięciu milionów dolarów w gotówce. Tylko za taką sumę bankier podejmuje się działania, choć nie gwarantuje niczego. Gwarancją jest tylko jego reputacja i historyczne wyniki, które osiągał z innymi klientami.

Poświata słońca wpadająca do wnętrza przez wielkie i niezwykle wysokie okna renesansowego budynku, w którym mieściło się biuro bankiera, oświetlała pudełko z dyskiem. Z miejsca, w którym siedzieli, doskonale widzieli zarówno wnętrze pomieszczenia, jak i to, co działo się na ulicy, gdzie zwyczajny, codzienny ruch przybierał na sile. Zbliżały się godziny szczytu.

W depozytowej skrytce banku, do którego dotarli o poranku, znaleźli adres tego mężczyzny wraz z informacją, że mają się do niego udać i odebrać kolejny dysk. Gdy wyszli z banku, jeszcze kilka razy dokładnie oglądali kartkę. Mieli nadzieję, że znajdą jakiegokolwiek dodatkowe informacje. Niestety list i koperta nie zawierały nic więcej. Skierowali się pod adres wskazany w liście.

Mężczyzna po krótkich uprzejmościach położył przed nimi czarne pudełko. Tak samo jak w poprzednich przypadkach, nie było żadnej skomplikowanej procedury weryfikacji. Bankier wiedział, kim jest Dorota i wiedział, jak wygląda. Dla nich obojga była to sytuacja nader dziwna. Mężczyzna prosił jedynie, aby z zawartością tego, co im dał, zapoznali się poza jego biurem. Nie chciał też odpowiadać na żadne pytania.

Gdy wyszli, Mike zaproponował, żeby poszli gdzieś na kawę i przemyśleli następne kroki.

- Może tam? - Dorota wskazała kawiarnię po drugiej stronie ulicy.

- Super. Na zewnątrz będzie idealnie, przy tych stolikach. - Pokazał ręką na ogródek przed witrynami.

Przeszli przez jezdnię i usiedli przy jednym ze stolików, dokładnie na wprost kamienicy, z której moment wcześniej wyszli.

Czekali na kelnera w milczeniu.

- Patrz! - krzyknęła Dorota, pokazując w kierunku jednego z okien kamienicy. - On się z kimś bije.

To było okno biura bankiera. Z ich miejsca w kawiarni było widać, że mężczyzna się z kimś siłuje. Ten drugi był zdecydowanie wyższy i wyglądało na to, że dużo młodszy.

Mike zerwał się z krzesła i pokonując ból obitych żeber, pobiegł w stronę budynku. Na schodach prowadzących na piętro usłyszał strzał. Momentalnie zwolnił i zanim wbiegł na

korytarz, wyjrzał zza rogu. Dostrzegł, że z drzwi biura bankiera wybiega mężczyzna i kieruje się w stronę schodów pożarowych po przeciwległej stronie korytarza. Nie widział, żeby miał w rękach broń.

Gdy tylko mężczyzna zniknął za zakretem korytarza, Orłowski podbiegł do biura bankiera. Jedno spojrzenie przez otwarte na oścież drzwi wystarczyło mu, żeby potwierdzić to, czego się spodziewał, kiedy kilka sekund wcześniej usłyszał strzał. Na podłodze w powiększającej się, gęstej kałuży ciemnej krwi leżał człowiek, który wydał im pudło z dyskiem. Orłowski był pewny, że nie jest w stanie mu pomóc. Nie trzeba być lekarzem, żeby wiedzieć, że rana postrzałowa z dziurą wlotową pośrodku czoła jest urazem śmiertelnym – szczególnie jeśli oderwało się pół czaszki z drugiej strony głowy.

Nie namyślając się, pobiegł korytarzem w stronę, w którą biegł morderca. Zbliżając się do schodów pożarowych, usłyszał trzask drzwi. Napastnik właśnie opuścił budynek. Orłowski przyspieszył. Zbiegając po dwa stopnie, przez szklane panele na zewnętrznej ścianie widział, jak zabójca oddala się w kierunku skrzyżowania.

Wypadł przez drzwi pożarowe na ulicę i pobiegł tropem mordercy. Wzrokiem szukał wysokiego mężczyzny i brązowej kurtki, którą chwilę wcześniej widział w korytarzu.

Na skrzyżowaniu rozejrzał się w prawo i lewo. Dopiero po kilku sekundach wyłowił z tłumu postać, której szukał. Ruszył za nim. Morderca oglądał się, sprawdzając, czy nikt za nim nie idzie.

Orłowskiemu wydawało się, że jest niewidoczny, schowany w tłumie przechodniów i wmieszany w miejski pejzaż.

Nagle mężczyzna przyspieszył i skręcił w prawo. Mike zorientował się, że morderca zyskał przewagę co najmniej dwustu metrów. Ruszył za nim. Biegł. Wiedział już, że morderca musiał zorientować się, że jest śledzony.

Kolejny skręt. Tłum gęstniał. Wbiegł na skrzyżowanie i skręcił tak jak morderca. Przyspieszył i nagle poczuł uderzenie. Ktoś wpadł na niego z boku. Zderzyli się tak niefortunnie, że w ułamku sekundy znalazł się na trotuarze. Świat na moment zawirował.

- Mike? - usłyszał swoje imię. - Mike, co ty tu robisz?

Spojrzał na kobietę, z którą się zderzył, i która tak samo jak on próbowała podnieść się z ziemi.

- Sarah? - odparł zdziwiony. - Ty? Tutaj?

Podał jej rękę i podciągnął do pionu.

- No ciebie się tutaj nie spodziewałam - powiedziała, otrzepując ubranie. - Ale miło cię widzieć.

Mówiąc to, przytuliła go na powitanie.

- Ciebie też. Nawet nie wiesz, jak mnie zaskoczyłaś. Co tu robisz?

- Ganiam za nowym tematem na miarę Pulitzera - odparła, wskazując za uciekającym mężczyzną - I to dosłownie.

- Ja też - powiedział - choć raczej nie dziennikarsko.

Spojrzał w stronę, w którą pobiegł morderca. Nie miał szans na znalezienie go w tłumie. Dopiero w tym momencie zdał sobie sprawę, że po upadku znowu bolały go żebra, pamiątka po przesłuchaniach porywaczy.

Ulicą pędziły dwa radiowozy na sygnale. Wyglądało to tak, jakby podążyły śladem napastnika.

- Chodź, pójdziemy gdzieś - powiedział. - Niedaleko w kawiarni zostawiłem koleżankę. Napijemy się kawy.

## Środa, czwarty maja, Mazury

- Co, jeśli nie masz racji? - spytał Dzierzgoński sceptycznie.

Major Mocadowski spojrzał na niego spod oka.

- Głupi jesteś i tyle. Nie opłaca jej się nas wykiwać...

- A co, jeśli nas wykiwała? - Dzierzgoński nie dawał za wygraną.

- Ludwik, po pierwsze z jej punktu widzenia to byłoby bez sensu. Po drugie ona nie jest na tyle mądra, żeby nas przechytryć.

- Tego nie byłbym taki pewien - burknął Dzierzgoński w odpowiedzi. - Jakoś udało jej się uciec. I nie powiesz mi, że akurat ten element zaplanowałeś, bo wiem, że nie zaplanowałeś. Byłeś tak samo wkurwiony jak ja, kiedy się o tym dowiedziałeś.

- Co ty pierdolisz?! Dobra! Jej ucieczka nie była zaplanowana. Ten chłopak w jakiś sposób wydostał się z celi i zabrał ją ze sobą. - Mocadowski był wyraźnie poirytowany. - Zapominasz jednak, że mam jeszcze w zanadru małe zabezpieczenie.

- Czyli...?

- Widzisz, ja nikomu nie ufam. Taki nawyk z dawnych czasów - powiedział, podnosząc do ust szklankę wypełnioną whisky. - Jak tylko wypłynęło, dokąd jedzie, to puściłem za nią dyskretnie... bardzo dyskretnie... zaufanego człowieka. Jest jak cień. Łazi za nią wszędzie, tyle że ona o tym nie wie. A ja mam na bieżąco informacje, gdzie jest i co robi.

Dzierzgoński się zamyślił.

- Poza tym jej to się po prostu nie opłaca. Z tym, co nam przywiezie, niewiele zrobi. Ona nie ma pojęcia, jak wartościowe to jest i jak to wykorzystać. My, Stasiu, zrobimy z tego świetny użytek, a jej dostanie się ładna sumka za pomoc.

Na moment w pokoju zapadła cisza. Pułkownik popijał. Jego kolega zapatrzony w okno analizował słowa, które właśnie usłyszał.

- ...i wiesz, co ci powiem, Stasiu? To wszystko nam bardzo ładnie wyszło. My jej pomagamy, ona pomaga nam, a do tego udało nam się jeszcze podstawić tego palanta, żeby ją uwiódł. Lepiej być nie mogło.

- Ano racja... lepiej być nie mogło. - Major uniósł w końcu swoją szklankę i jednym haustem wypił jej zawartość do dna.

## Środa, czwarty maja, Zurych

Dotarli do kawiarni w niecałe dziesięć minut. Po drodze Sarah zadzwoniła do Pierre'a i przekazała mu, dokąd ma iść.

Mike przedstawił sobie Sarah i Dorotę. Po chwili dołączył do nich Pierre i razem zasiedli w ogródku. Zanim cztery filiżanki z czarną, świeżo zmieloną w ekspresie ciśnieniowym kawą wylądowały na stole, Sarah opowiedziała, co robi w Europie. Jej opowieść o szantażowanym senatorze poszerzył Pierre, przedstawiając szczegóły mechanizmu transferu pieniędzy od ofiary do organizacji, która zajmowała się szantażowaniem. Opowiedzieli o człowieku z banku, który rzekomo popełnił samobójstwo, i o facecie, który spotkał się z jednym z pracowników banku w parku, a którego Sarah skądś знаła i za którym poszła do biura prywatnego bankiera, a następnie go goniła, gdy ten zabił mężczynę.

- Okej, ale jak trafiłeś na tego faceta w banku? - spytał w końcu Orłowski.

- Totalny przypadek. To raczej on na mnie trafił. Jest... to znaczy był... tak jak ja Francuzem. Do jedenastego roku życia wychowywaliśmy się na jednym podwórku na przedmieściach Paryża. Widział moje artykuły w gazecie, dla której pracuję, i któregoś dnia do mnie zadzwonił. Poprosił o spotkanie. Przyjechał wtedy do Paryża. Jak tylko go zobaczyłem, wiedziałem, że coś jest nie tak. Nie chciał spotkać się w żadnej restauracji ani kawiarence. U mnie w domu też nie chciał. Bał się czegoś. Spotkaliśmy się w parku przy Notre Dame. Siedzieliśmy na ławce, z kanapką i kawą w ręku, jak zwykli turyści. Wtedy opowiedział mi o tych szantażowanych ludziach, o kwotach, jakie płacą za milczenie. Znał tylko fragment mechanizmu, który kręci tą organizacją.

- Czekaj - przerwał mu Mike. - To jaka była jego rola?

- Był kimś na wzór donosiiciela. Przynosił do organizacji informacje, kto i ile ma na koncie, i w jakiej formie. Część z tych ludzi nie miała pieniędzy, ale obligacje albo akcje, a czasem gotówkę schowaną w skrytce.

Gdy Pierre skończył swoją część historii, Orłowski opowiedział, jak dotarli do prywatnego bankiera i co działo się po śmierci ojca Doroty.

Przez cały czas przed budynkiem, w którym mieściło się biuro bankiera, stały policyjne wozy. Ze swojego miejsca w kawiarni mogli obserwować pracę policji: przyjazd techników, prokuratora oraz auta, które miało zabrać zwłoki.

- Hej, a właściwie to skąd wy się znacie? - zapytała nagle Dorota, wskazując na Orłowskiego i Sarah.

- Długa historia - odparł. - Poznaliśmy się na jakiejś konferencji, gdy pracowałem jeszcze dla innego pracodawcy, a Sarah była początkującą dziennikarką.

- Jasne.

- A później kilka razy spotkaliśmy się już kumpelsko, bez konferencji, jak Mike przyjeżdżał służbowo do USA - dokończyła Sarah.

- Poczekajcie - odezwał się Pierre, który przez moment siedział jakby wyłączony z rozmowy. - Ten wysoki facet, morderca...

- Co z nim? - niecierpliwie spytała Sarah.

- Chodzi mi o to, że ty go zauważyłaś w związku z tematem szantaży. Później on przyszedł do bankiera, który wydał wam dysk. To nie jest chyba zbieg okoliczności. Te tematy są jakoś ze sobą powiązane.

- Na to wygląda - odparła Sarah. - A wiesz może, jak, geniuszu?

- Jeszcze nie, ale mam pewien pomysł. Jeśli zabił bankiera, to musiał mieć powód. Być może chciał dostać dysk, ale nie zdążył przed wami... albo...

- Albo co? - tym razem Dorota była niecierpliwa.

- ...albo specjalnie zrobił to, kiedy odebraliście swoje pudełko, żeby zatrzeć ślady.

- No to jest śmiała teza. - Orłowski pokręcił głową. - Ale jeśli jest prawdziwa, to zakonnik w Polsce i gość z Londynu też powinni już nie żyć.

- Właśnie o to mi chodzi - odparł Pierre. - Powinniśmy zadzwonić do nich i sprawdzić, czy przypadkiem nie zostali zamordowani.

- Okej, sprawdźmy to - Mike chciał działać od razu. - Dorota, masz numer do zakonnika, prawda?

Podawała mu komórkę. Po kilku dzwonek ktoś odebrał. Wszyscy przy stole wpatrywali się w niego podczas rozmowy.

- Zakonnik, brat Albert Konieczny, został znaleziony martwy w swojej celi. Policja podejrzewa, że to było zabójstwo.

- O kurczę... - Dorota była wyraźnie przejęta.

- Dobra, teraz ten gość z Londynu - zakomenderował Pierre.

Mike odszukał numer telefonu do sklepu z pamiątkami przy Baker Street. Nikt się nie zgłaszał. Oczekali kilka minut i ponowili połączenie. Kolejne kilka minut i kolejna próba. Bez skutku.

- Dobra - powiedział Pierre - przyjmijmy na moment, że ktoś zabił tych ludzi po tym, jak oddali wam dyski. Co to oznacza?

- Jak to co? - Sarah była przekonana o słuszności swojego rozumowania. - Po pierwsze, że dyski są cholernie ważne i że opłaca się dla nich zabijać oraz nadstawiać karku. Po drugie, że komuś bardzo zależy na tym, żeby ślad za dyskami i osobami, które mogły cokolwiek wiedzieć o ich istnieniu, był kompletnie zatarty.

- Po co zacierać ten ślad? - nie rozumiała Dorota.

Pierre przejął pałeczkę.

- Wyobraź sobie, że ci ludzie wiedzieli, co jest na dyskach. Sam fakt powierzenia im tych dysków podnosił ich rangę. Oczywiście przy założeniu, że informacje na dyskach są tak ważne, jak przypuszczamy... - na chwilę zawiesił głos. - Zagląдалиście w ogóle do tego pudełka? Skoro bankier kazał wam otworzyć je poza biurem...

Mike się ożywił.

- Podasz? - wyciągając dłoń, zwrócił się do Doroty, która momentalnie wyciągnęła z torby czarne pudełko i położyła je na stole.

Wszyscy się w nie wpatrywali. Pierwszy ruch wykonał Orłowski. Przysunął pudełko bliżej siebie i otworzył. Z wnętrza wyjął dysk komputerowy oraz złożoną na cztery kartkę. Położył obie rzeczy na stole. Dysk wyglądał mniej więcej tak samo jak poprzednie. Na kartce widniał paryski adres.



## Środa, czwarty maja, Warszawa

- Pieprzona gówniara - zaklął pod nosem, rzucając telefon na biurko.

Odchylił się w fotelu i spojrział przez okno. Dzień miał się już ku zachodowi. Z ulicy, przez otwarte okno, dochodził go zgiełk. Coraz częściej słychać było klaksony samochodów oznaczające gęstniejący o tej porze ruch. Zza drzwi gabinetu dochodziło stukanie obcasów koleżanek i pracownic opuszczających biuro.

Był wyraźnie zdenerwowany. To już siedemnasta nieudana próba połączenia. Jej telefon był cały czas wyłączony. Nie miał z nią kontaktu prawie drugą dobę. Siedemnasta próba tylko w ciągu ostatniej godziny. Nie był w stanie policzyć wcześniejszych prób połączenia, w tym tych, które wykonał z telefonu biurowego.

Poprzedniego dnia wieczorem podjechał pod jej mieszkanie. Stał tam przez kilka godzin, ale w środku ani razu nie zapaliło się światło. Jej auta również nie było.

Kozlovsky podniósł słuchawkę wewnętrznego telefonu i wybrał połączenie z recepcją.

- Pani Arleto - powiedział, gdy na drugim końcu usłyszał głos recepcjonistki. - Czy Dorota Groszkowska zgłaszała dzisiaj dzień wolny?

- Wydaje mi się, że nie, panie prezesie. Sprawdzę w kadrach i dam panu znać.

Rozłączyli się. Pozostał sam na sam ze swoimi myślami. Ta sytuacja, to milczenie... to było bardzo dziwne. Nie wiedział, co się z nią stało. Nie uzgadniali żadnego działania na wypadek nagłego zniknięcia. Nie wiedział, co mogło się stać, że tak nagle stracił z nią kontakt. Gdzieś w środku czuł, że coś jest nie tak, że jego plan, tak misternie tkana sieć, może się jednak nie powieść. Dopiero w tym momencie zdał sobie sprawę, że jego concept nie miał wersji awaryjnej. Był tak pewny, że wszystko się powiedzie, że nie przygotował alternatywnego scenariusza wydarzeń. Narastała w nim złość. I na sytuację, i na samego siebie. Zaczynało mu to przypominać zdarzenia sprzed wielu lat, kiedy to brak planu zapasowego doprowadził go do bardzo niebezpiecznej sytuacji. Mógł stracić życie, a w najlepszym przypadku trafić do więzienia. Tylko dzięki szczęśliwemu zrządzeniu losu udało mu się wtedy uciec z Węgier.

Zadzwonił telefon. Po dzwonku rozpoznał, że to połączenie wewnętrzne.

- Tak, pani Arleto? - zapytał rozpoznając numer telefonu recepcji.

- Panie prezesie, Doroty nie było dzisiaj w pracy, wczoraj również. Ani wczoraj, ani dziś nie zgłaszała urlopu. Informatyk sprawdził, że jej karta nie była odbijana w pracy wczoraj i dzisiaj. Sprawdził też, że przez dwa ostatnie dni nie logowała się zdalnie ani do komputera, ani do swojej poczty. - Dziewczyna zrobiła krótką pauzę. - Czy chciałby pan, abym sprawdziła coś jeszcze?

- Nie, dziękuję.

Odłożył słuchawkę i ponownie odchylił się w fotelu. Założył dłonie za głowę. Wyglądało na to, że miał poważny problem. Jego plan legł w gruzach. Jeszcze nie wiedział, co dokładnie powinien zmienić i w którą stronę skierować swoje działania. Nagle po raz pierwszy od czasu, kiedy wszystko się zaczęło, pomyślał o ucieczce. Jego plan się załamał. Ich wspólne plany też straciły na znaczeniu, bo ona przestała się odzywać i nie robiła tego,

co zamierzali. Zrobiło mu się gorąco. Przypomniał sobie, że nie był w tym sam. Miał współników. Nie wiedział, jak zareagują na to, że ich inwestycja, duże pieniądze i wysiłek, który włożyli w przygotowanie wszystkiego, pójdą na marne.

## Środa, czwarty maja, Zurych

Dysk był dokładnie taki sam jak poprzedni. Nie wyróżniał się niczym szczególnym. Inne było tylko pudełko. W środku obok dysku leżała kartka papieru, na której wydrukowano adres, imię, nazwisko i numer telefonu. Adres był paryski.

Mike, Dorota, Sarah i Pierre siedzieli przy stoliku i wpatrywali się w to, co na nim leżało. Przy stole panowała cisza. Sytuacja była zagadkowa. Wiedzieli, do czego służą dyski i zdawali sobie sprawę, że nie mogą odczytać ich zawartości, nie mając czwartego elementu. Chociaż żadne z nich tego nie powiedziało, wszyscy wiedzieli, że muszą podążać za adresem wskazanym na kartce. Czuli, że sytuacja robi się nerwowa. To, co stało się właśnie po drugiej stronie ulicy - czego efektem były radiowozy i karetka pod budynkiem - sugerowało, że dalsza część ich podróży jest niebezpieczna. Zdawali sobie sprawę, że muszą teraz bardzo uważać. Mieli już pewność, że nie tylko oni są zainteresowani odzyskaniem tego, co ojciec zostawił Dorocie Groszkowskiej.

Orłowski podał dysk Dorocie.

- Schowaj go z pozostałymi - powiedział, podając jej pudełko.

- Paryż? - powiedziała pytająco.

- Na to wygląda. - Orłowski spojrzał na zegarek. - Chyba musimy poszukać transportu.

Spojrzał na Sarah i Pierre'a.

- To chyba oczywiste! - powiedziała Sarah, patrząc na Mike'a. - Mike, chyba nie myślałeś, że nie pojedziemy tam z wami?! Ja nie odpuszczę tego tematu, nie w tym momencie. Nasz ślad wiedzie do tego samego miasta. To nie jest przypadek. Poza tym mamy już rezerwację na dzisiejszy wieczorny lot.

Wszyscy spojrzeli na Pierre'a. Ten, patrząc na trzymaną w ręku filiżankę kawy, myślał chwilę, po czym spojrzał na nich i pokiwał potakująco głową.

Dwie godziny później wbiegli na lotnisko w Zurychu, żeby złapać jeden z ostatnich tego dnia samolotów do Paryża. Gdy wcześniej zadzwonili na lotnisko, okazało się, że są wolne ostatnie dwa bilety - dokładnie tyle, ile potrzebowali. Mike i Dorota załapali się na ten sam lot, którym mieli lecieć Sarah i Pierre.

Jeszcze tego samego dnia wieczorem znajdą się w najbardziej romantycznej stolicy świata. Każde z nich z innego powodu, z inną motywacją, realizując własny cel.

## Czwartek, piąty maja, Warszawa

Musiał zacząć tę sprawę od początku. *Tabula rasa* [14](#) była jedynym, czego pragnął. Liczba wątków i trupów, które nagle się pojawiły, oraz tomów akt rosnących jak grzyby po deszczu kazały mu rozpocząć wszystko od nowa.

Był przekonany, że w gąszczu i nawale informacji jest coś, czego nie dostrzegł. Takie miał przeczucie, a już dawno nauczył się mu ufać.

Zaczął dzień od spaceru. Podjechał pod komendę i zamiast wejść do budynku, ruszył w stronę pobliskiej kawiarni Starbucks. Od czasu postrzału czerpał przyjemność z prostych czynności, takich jak zwykły spacer. I tym razem odetchnął, spokojnie oddalając się od auta. Przy każdym kroku odczuwał jeszcze lekkie pulsowanie rany w barku i napięcie plastrów przytrzymujących opatrunek, lecz ból nie był już tak silny, żeby uniemożliwić mu skupienie się na własnym procesie myślowym.

Najpierw odtworzył sekwencję wydarzeń w sprawie, włącznie z momentem, w którym został postrzelony w magazynie. Następnie przywołał z pamięci *dossier* każdej ofiary.

Gdy dotarł do kawiarni, miał w głowie pełny obraz faktów. Żadnych wniosków i teorii. Dokładnie tak jak lubił. Czyste fakty, za którymi nic nie stoi. Fakty pozbawione jakiegokolwiek zabarwienia emocjonalnego czy osobistego doświadczenia.

Zamówił grande latte na chudym mleku. Z reguły pijał czarną americanę, ale czuł, że tego poranka potrzebuje małej odmiany. Na dodatek dosypał do kubka dwa patyczki cukru, żeby dać mózgowi pożywkę do pracy. Specjalnie nie jadł w domu śniadania. Nie chciał, żeby mózg zajmował się trawieniem zamiast myśleniem o sprawie. Gdzieś w środku rosła w nim obawa, że umyka mu coś na tyle istotnego, że może nie zakończyć śledztwa sukcesem.

Nie wybrał najkrótszej drogi do biura. Nadłożył co najmniej piętnaście minut. W tym czasie skoncentrował się najpierw na relacjach Stanisława Groszkowskiego z innymi ofiarami - informatykiem i mnichem. W zasadzie tylko w przypadku dyrektora Groszkowskiego miał pełny zestaw informacji co do miejsca zbrodni i tego, co się tam działo.

Wchodząc do budynku komendy, zdecydował, że nowe podejście do rozwiązania zagadki musi rozpocząć od ponownej analizy miejsca i momentu, w którym zginął dyrektor finansowy Wadeksu.

Ta myśl dodała mu energii. Miał już w głowie plan na najbliższe godziny. Sprężystym krokiem wszedł do swojego pokoju i otworzył pierwszy tom akt. Szybko odszukał numer telefonu do biura Wadeksu.

- Dzień dobry, pani Arleto - powiedział, gdy rozpoznał głos asystentki. - Kłopotki z tej strony... tak, ten sam, z policji.

Dziewczyna od razu go rozpoznała.

- Chciałbym przyjechać do was za godzinę i porozmawiać z panią oraz z panem Zaklikowskim. Mam kilka pytań, które mnie nurtują. Chciałbym, żebyśmy odtworzyli moment znalezienia zwłok oraz piątek przed weekendem, kiedy pan Groszkowski został zamordowany.

- Oczywiście - odparła dziewczyna. - Jesteśmy dziś cały dzień w biurze. Zaraz powiem panu Leszkowi, że pan będzie. Zapraszamy.

Rozłączył się. Pomyślał, że miała bardzo pogodny głos i nie zmieniła tego nawet perspektywa rozmowy o nieboszczyku.

Kłopotcki miał już w głowie plan działania i wiedział, jak chce poprowadzić rozmowę. Chwycił akta i wyszedł z biura.

Gdy pół godziny później parkował pod biurem Wadeksu, był już na tyle przygotowany do rozmowy z dyrektorem administracyjnym i asystentką, że zastanawiał się jedynie nad tym, czy do określenia tego, co zamierzał zrobić, powinien użyć sformułowania „wizja lokalna” czy „eksperyment procesowy”.

- Dzień dobry, panie inspektorze. - Arleta Adamczyk powitała go tak samo wesołym i szczebiotliwym głosem jak wcześniej przez telefon.

Zadzwoiła po dyrektora administracyjnego, który od czasu śmierci kolegi zajmował inne pomieszczenie. Nie mógł pracować w dotychczasowym pokoju z powodu emocji, które się z tym wiązały.

- Chciałbym z państwem krok po kroku odtworzyć to, co działo się tamtego ranka, kiedy znaleźliście zwłoki pana Groszkowskiego. - Kłopotcki wyjaśniał swój plan. - W tym celu chciałbym, żebyśmy zaczęli od momentu, kiedy pan, panie Leszku, wszedł do biura i otworzył drzwi do waszego pokoju. Pani Arleto, czy możemy tam podejść? Ma pani klucze?

Dziewczyna podniosła z biurka kopertę.

- Wszystko jest tutaj - odpowiedziała. - Od czasu, kiedy pana kolega nam to przyniósł, nic nie ruszałam.

- Okej, chodźmy.

Ruszyli korytarzem w stronę drzwi pokoju, gdzie znaleziono zwłoki dyrektora Groszkowskiego.

- Hm... - Arleta Adamczyk wydała pomruk zdziwienia.

- Coś nie tak? - zareagował Zaklikowski.

Zatrzymali się. Dziewczyna patrzyła na pęk kluczy, który trzymała w otwartej dłoni.

- To chyba naprawdę nie są klucze pana Stanisława...

- Jak to? - spytał Kłopotcki.

- Proszę spojrzeć tutaj - palcem wskazała miejsce, gdzie były dwa klucze. - Jeden z kluczy w całym pęczku jest włożony inaczej niż pozostałe.

- To znaczy? - Kłopotcki nie bardzo wiedział, o co chodzi.

- Proszę spojrzeć - podniosła klucze do góry. - Wszystkie klucze ułożone są w tę samą stronę. Zębki mamy po tej stronie, a ten jeden ma zębki ułożone inaczej. Inaczej niż te wszystkie.

- Co to oznacza? - Inspektor nie wiedział jeszcze, co dziewczyna ma na myśli.

- Tylko tyle, że to nie są jego klucze, tylko jakieś inne... albo... - zawiesiła głos, żeby po chwili kontynuować - ...albo to są jego klucze, tylko ktoś ten jeden klucz odłączył od reszty i dołączył później, myląc stronę.

- Pani Arleto - Kłopotcki nie dawał za wygraną - skąd pani wie, że wszystkie klucze powinny być ząbkami w jedną stronę?

- To akurat proste - mówiąc to, obdarzyła go uśmiechem. - Kiedy zaczynałam tutaj pracować, dorabiałam dla dyrektora Groszkowskiego klucze do nowego zamka od tylnego wejścia. Jak wróciłam z punktu dorabiania kluczy, to klucze dyrektora leżały na jego biurku, a on był na spotkaniu. Dołączyłam mu nowy klucz i przyklepiłam obok żółtą karteczkę z informacją. I dostałam za to niezły ochrzan. Pan dyrektor wściekł się, bo nowy klucz

przypięłam odwrotnie niż pozostałe. To był straszny pedant... i to nie tylko w kwestii kluczy. Zresztą mówiłam o tym pana koledze, jak mi je przyniósł.

- To czyje są te klucze?

- Nie wiem. Breloczek wygląda jak dyrektora Groszkowskiego, ale ten odwrotnie dołączony klucz nie pasuje do dyrektora. Wygląda, jakby ktoś używał tych kluczy i nie wiedział, że ten trzeba przypiąć inaczej.

- Jasne - przytaknął Kłopocki, nie drążąc już tematu. - Chodźmy więc do tego pokoju.

Asystentka otworzyła drzwi na całą szerokość. Wnętrze pomieszczenia wyglądało dokładnie tak jak wtedy, gdy znaleziono w nim zwłoki, z tą różnicą, że nie było tam Stanisława Groszkowskiego.

- Panie Leszku - zaczął inspektor. - Jak pamiętam, pan był pierwszy na miejscu w poniedziałek rano?

- Tak, byłem w ogóle pierwszy w biurze.

- Proszę powiedzieć dokładnie, czynność po czynności, co pan wtedy robił.

Dyrektor administracyjny zamyślił się na moment. Widać było, że powrót do tamtego dnia sprawia mu problem. Ze zmarszczonym czołem patrzył przed siebie i przypominał sobie sekwencję wydarzeń.

- Najpierw pobrałem klucz do biura na dole w ochronie. Jest taka zasada, że jak nie ma nikogo w biurze, to ostatnia osoba, która wychodzi, plombuje wejście do biura, a pierwsza osoba, która przychodzi, otwiera plombę i pobiera klucz wejściowy z recepcji. - Mężczyzna wziął głęboki oddech i kontynuował. - Więc wziąłem ten klucz i otworzyłem biuro. Woreczek z kluczem i stemplem do robienia plomby położyłem na recepcji, tam, gdzie zawsze go odkładamy. Później poszedłem w kierunku tego pokoju, bo tu pracujemy. Idąc, sięgnąłem do prawej kieszeni, bo zawsze noszę w niej klucz do pokoju... to znaczy nosiłem, teraz pracuję w innym pokoju.

- Jasne.

- Drzwi były zamknięte, więc otworzyłem je kluczem, wyłączyłem klimatyzację i chciałem podejść do okna, żeby wpuścić ciepłe powietrze, bo było strasznie zimno i wtedy...

- Moment - przerwał Kłopocki. - Proszę zaczekać.

Podszedł do biurka recepcjonistki, tam, gdzie zostawił teczkę z aktami. Szybko zaczął je wertować, palcem przesuwając po kartach akt. Kilka razy przewracał strony w prawo i lewo w poszukiwaniu interesującego go fragmentu.

- Panie Leszku - powiedział w końcu, podnosząc głowę znad dokumentów i patrząc na dyrektora administracyjnego. - W protokole nie ma nic o włączonej klimatyzacji ani o tym, że w pokoju było zimno. Napisane jest, że uchylił pan drzwi i zobaczył kolegę przy biurku.

- Panie inspektorze, nikt mnie o to nie pytał... czy to w ogóle jest ważne? Dopiero teraz docierają do mnie szczegóły tego dnia. Nawet nie pamiętałem wcześniej, jak to się stało, że znalazłem się na podłodze.

Leszek Zaklikowski - na oko pięćdziesięcioletni, drobnej postury, z szarą twarzą i mocno siwiejącymi włosami, które maskował szamponem koloryzującym - był zdezorientowany. Samo opowiadanie o odkryciu zwłok współpracownika było dla niego tak poruszające, że nie mógł się skupić na takich drobnostkach jak otwarcie czy zamknięcie okna.

- To może być jednak ważne - odparł poważnie Kłopocki, wrywając dyrektora administracyjnego z chwilowej zadumy. - Proszę się teraz skoncentrować i jeszcze raz po kolei powiedzieć, co się działo.

Zaklikowski nabrał powietrza w usta i patrząc na inspektora, zaczął mówić:

- Oczywiście... Najpierw kluczem otworzyłem drzwi. Powiało takim chłodem jak z lodówki, a poranek był bardzo ciepły. Zanim otworzyłem drzwi szerzej, odruchowo sięgnąłem tutaj - pokazał na ścianie niewielki przycisk na skrzynce - do włącznika klimatyzacji. Ustawiłem go w pozycji wyłączonej. Chciałem od razu podejść do okna, żeby je otworzyć. Łokciem pchnąłem drzwi, żeby otworzyć je jeszcze szerzej, bo w rękę miałem teczkę. A jak je otworzyłem, to go zobaczyłem. Na początku zdziwiłem się, że siedzi w pokoju o tej porze, ale po kilku sekundach zrozumiałem, że nie żyje.

- I co pan zrobił?

- W sumie to niewiele. - Dyrektor administracyjny opuścił lekko głowę ze wstydem. - Słabe serce mam... Załopotało, ukłuło mocno i tyle było z mojego działania... Chwyciłem się framugi i osunąłem na podłogę. Ostatkiem sił zrobiłem to tak, żeby leżeć na korytarzu, a nie tutaj ze Stanisławem... to byłoby straszne, gdybym ja tutaj...

- Jak daleko pan wszedł do pomieszczenia?

- Niecały krok, a raczej połowę kroku. Jak tylko odchyliłem drzwi, to moja stopa stała na dywanie w pokoju. Druga stała na korytarzu, na kafelkach.

- Czy jest pan w stanie ocenić, jak długo trwało, zanim ktoś przyszedł?

- Nie więcej niż pięć minut. Sprawdziłem to później na zegarze rejestrującym wejścia. Tą drugą osobą, która przybyła mi z ratunkiem, jest właśnie pani Arleta. - Wskazał na asystentkę.

- Czyli jest pan pewny, że nie wchodził pan do tego pokoju dalej niż, powiedzmy, na jeden krok, i że pani Arleta była pierwszą osobą, która znalazła się tutaj po panu?

- Tak, dokładnie tak.

Kłopocki zamyślił się. Kwestia odwróconego klucza oraz klimatyzacji w ogóle nie pojawiała się w materiałach ze śledztwa, a z jego punktu widzenia rodziła nowe hipotezy. Przede wszystkim odwrócony klucz mógł oznaczać, że ktoś go używał i później dość nieudolnie próbował zwrócić, podrzucając na miejsce zbrodni. Z kolei klimatyzacja nasuwała Kłopockiemu tylko jeden pomysł. Jeśli włączył ją morderca, to tylko po to, żeby zafalszować godzinę zgonu. Mógł zabić Groszkowskiego później, niż przypuszczał patolog, ponieważ dzięki wyiębieniu pomieszczenia szybciej schłodził ciało. W skali trzech dni mogło to zafalszować godzinę zgonu nawet o pół dnia.

- Pani Arleto - inspektor zwrócił się do dziewczyny. - Proszę powiedzieć, jak to wyglądało z pani punktu widzenia.

Arleta wzięła głęboki oddech i już mniej szczebiotliwie niż wcześniej zaczęła opowiadać.

- Jak wchodziłam do budynku, to już wiedziałam, że pan Leszek jest w środku, bo powiedział mi o tym ochroniarz z dołu. Nie musiałam więc pobierać woreczka z kluczem wejściowym. Drzwi do naszej części otworzyłam kartą magnetyczną. Weszłam do środka i podeszłam do biurka. Moje biurko jest zaraz przy samym wejściu...

- Tak, wiem, leżą na nim akta sprawy, które dziś przyniosłem - wtrącił Kłopocki.

- Tak, dokładnie - kontynuowała niezrażona jego przerywnikiem. - Odłożyłam tam torbę i płaszcz. Wzięłam kubek i zamierzałam iść do kuchenki na końcu korytarza, o tam. - Pokazała dłonią na część korytarza przeciwległą do wejścia. - W tej połowie naszego piętra było ciemno, więc nie od razu zobaczyłam pana Leszka. Na początku widziałam tylko niewyraźny kształt na ziemi. Dopiero po kilku kolejnych krokach zorientowałam się, że to człowiek, i że to nasz pan dyrektor. Leżał na podłodze przy drzwiach i częściowo opierał się plecami o ścianę.

To był moment, który Kłopockiego interesował najbardziej. Był ciekaw, czy dziewczyna potwierdzi to, co mówiła pierwsza osoba na miejscu zbrodni.

Mówiła dalej.

- Dopadłam do niego. Zaczęłam do niego wołać. W sumie to nie wiedziałam, co zrobić, bo wyglądał na nieprzytomnego. Niby miałam kiedyś szkolenie z pierwszej pomocy, ale w tamtej chwili miałam w głowie kompletną pustkę... Na szczęście pan Leszek zaraz otworzył oczy i zaczął coś mówić. Nie od razu zrozumiałam, bo był słaby, ale pokazał ręką na wewnątrz pokoju, więc tam zajrzałam. A jak już zajrzałam, to zobaczyłam to wszystko i od razu zrobiło mi się niedobrze... Wie pan, kilka dni temu okazało się, że jestem w ciąży i żołądek...

- Rozumiem - powiedział szybko.

To była akurat ta część tamtego poranka, która najmniej interesowała inspektora.

- No więc, jak zrobiło mi się niedobrze, to chciałam pobiec do łazienki i wymiotować, ale jak się ruszyłam, to potknęłam się o nogi pana Leszka i przewróciłam się... i było już za późno, żeby biec dalej i wszystko zwróciłam tutaj. Później to już tylko zadzwoniliśmy na policję i do prezesa.

Zamilkła, a Kłopocki się zamyślił.

- Pani Arleto, czy może pani pokazać, jak leżał pan dyrektor?

- Oczywiście - odpowiedziała i błyskawicznie, zanim Kłopocki zdążył cokolwiek powiedzieć, usiadła na podłodze, prezentując pozycję Leszka Zaklikowskiego sprzed kilku dni.

- Panie Leszku - inspektor zwrócił się do dyrektora administracyjnego - poproszę, żeby zajął pan taką pozycję jak pokazuje pana koleżanka, a panią poproszę o podejście do swojego biurka.

Dziewczyna posłusznie wykonała polecenie. Stała przy biurku recepcyjnym i czekała.

- Proszę teraz podejść do pana dyrektora, dokładnie tak jak wtedy.

Ruszyła i zatrzymała się w połowie drogi.

- Mniej więcej w tym miejscu byłam, kiedy zdałam sobie sprawę, że ciemna postać na podłodze to jest człowiek, a dokładniej pan Leszek.

- Co pani wtedy zrobiła?

- Szybciej ruszyłam w jego stronę i zaczęłam do niego mówić.

- A gdy była już pani obok niego?

- Wtedy przyklękłam obok...

- W którym miejscu, proszę pokazać.

Asystentka przykucnęła przy prawym kolanie dyrektora, który cały czas siedział na podłodze i prezentował pozycję, którą wówczas zajmował.

- I co było dalej?

- Wtedy chciałam jej powiedzieć, że Stanisław nie żyje...

- Ale ja na początku nie rozumiałam i dopiero jak pan Leszek powtórzył, to zrozumiałam, co mówił. Wtedy zajrzałam do pokoju... On tak leżał na krześle, w takiej dziwnej pozycji.

- A pokój? - spytał Kłopocki. - Jak by go pani opisała? W którym miejscu zatrzymały się drzwi? Czy były otwarte?

- Tak, drzwi były otwarte. Światło się nie paliło i ogólnie było tam zimno jak w kostnicy. Wionęło śmiercią... ja nie wytrzymałam i od razu mi się niedobrze zrobiło i...

- Co to znaczy, że wionęło śmiercią?



- No, że dreszcz mnie przebiegł po plecach.

- A czy czuła pani, że tam jest zimno?

Zamyśliła się na ułamek sekundy.

- Tak - odparła zdecydowanie. - Na pewno tak, i to było takie zimno od klimatyzacji, bo to jest taki inny rodzaj zapachu.

Kłopotkiem przebiegł dreszcz po plecach. Poczł, jak tężeją mu mięśnie. To było właśnie uczucie drobnej ekscytacji, podniecenia, dla którego wykonywał tę pracę. Dostrzegł w sprawie coś, co umknęło innym. Oboje - asystentka i pan Leszek - potwierdzili coś, czego nie było w aktach sprawy. Fakt, że w pokoju było przeraźliwie zimno, mógł mieć znaczenie, i to duże. Mogło to oznaczać, że zabójstwa dokonano dużo później niż pierwotnie ustalił patolog. A skoro tak, to dochodzenie dotyczące piątkowej aktywności pracowników Wadeksu powinno koncentrować się na innym przedziale czasowym. Czekał go ogrom pracy, ale już czuł podniecenie na samą myśl o tym, że w ciemnym tunelu pojawiło się małe światełko, które mogło oznaczać rozwiązanie sprawy.

Gdy wracał do komendy, czuł przypływ energii. Jakby wstąpiły w niego nowe siły. Postanowił, że skoncentruje się na ponownej analizie wejść i wyjść z biur Wadeksu na podstawie kamer i kart magnetycznych.

---

[14](#) *Tabula rasa* (łac.) - czysta tablica.

## **Czwartek, piąty maja, Warszawa**

Zdecydowanie wodospad, a nie wolna i spokojna rzeka - pomyślał Nick Brown, siadając za biurkiem w centrum operacyjnym komórki wywiadu w Warszawie. Zaledwie dziesięćminutowa rozmowa z tutejszym rezydentem Jimem, który aktualnie przebywał w terenie, przyniosła całą masę rewelacji.

Dzięki temu, co usłyszał, zaczął wiązać ze sobą informacje w spójną całość. Elementy układanki pasowały idealnie.

Wiedział, że córka Groszkowskiego odwiedziła mnicha i ten niedługo później został zamordowany. Wiedział, że sklepikarz z Londynu i bankier z Zurychu nie żyli i że zginęli chwilę po tym, jak wydali dyski z danymi Dorocie Groszkowskiej.

Dyski samodzielnie były nie do odczytania. Nawet ludzie, którzy zajmowali się takimi sprawami w agencji bezpieczeństwa, nie potrafili rozkodować ich tak szybko - jeśli w ogóle, bo taką ewentualność też zakładali.

Jim przekazał mu też, że Dorota i jej kolega spotkali w Zurychu jakichś ludzi, z którymi wybierają się do Francji, gdzie ma znajdować się kolejny dysk.

Brown zamyślił się. Dorota Groszkowska miała już trzy dyski. Do kompletu brakowało jej tylko czwartego. Domyślił się, że jest bezpieczna tylko do momentu, w którym odbierze ostatni dysk. Zakładał, że ci, którzy bardzo chcieli mieć dyski i zabijali ludzi, którzy tylko je przechowywali, nie będą mieli żadnych obiekcji, żeby zlikwidować i ją, gdy nie będzie już potrzebna.

Jednakże gdzieś w środku czuł, że córka Groszkowskiego może być przydatna. Czuł, że nieświadomie jest właścicielem i nosicielem informacji, która może być bardzo cenna dla bezpieczeństwa USA.

Nie miał żadnych rozkazów co do tej kobiety, w swoich scenariuszach nie przewidywał też żadnego postępowania wobec niej. Postanowił jednak, że skoro istnieje cień szansy, że może być potrzebna na późniejszym etapie, to agencja powinna zapewnić jej przynajmniej minimalny poziom bezpieczeństwa. Co do jej towarzyszy nie miał żadnych przemyśleń. Jim miał ich sprawdzić, chociaż wedle jego słów to nie oni stali za zabójstwami, ale ktoś zupełnie inny. A skoro tak, istniało ryzyko, że i ich życie jest w niebezpieczeństwie, gdy ktoś uzna, że posiadają jakąkolwiek wartościową wiedzę.

## Czwartek, piąty maja, Warszawa

Już prawie godzinę przeglądał wydruki z systemu kart magnetycznych. Wertował spis, wielokrotnie wracając do tych samych stron, robił notatki na marginesie oraz przyklejał kolorowe kartki samoprzylepne. Roboczo przyjął tezę, że morderca włączył klimatyzację celowo, żeby wychłodzić ciało w nienaturalny sposób. To założenie kierowało go na dwie robocze hipotezy. Pierwsza, że morderstwa dokonano znacznie później niż początkowo sądzono i zimne powietrze miało za zadanie przyspieszyć stężenie pośmiertne. Druga zakładała coś dokładnie odwrotnego, a mianowicie, że morderstwa dokonano wcześniej, a dla zmylenia policji i patologa włączono klimatyzację w pokoju.

Kłopotki za główny punkt odniesienia przyjął czas śmierci, który wcześniej, z dużym marginesem błędu, podał patolog. Odsuwał się od niego i analizował wszystkie zamki magnetyczne przy wejściach do biura. Do każdej karty na osobnym spisie miał przyporządkowane nazwisko i imię pracownika. Skrętnie zapisywał na wydrukach, kto i kiedy wchodził oraz wychodził.

Zapiski dotyczące kart zestawiał następnie z wcześniejszymi notatkami, które zrobił, przeglądając obrazy z kamer przemysłowych monitorujących parking. Odbicia kart na piętrze Wadeksu potwierdzały się z odbiciami przy wejściu do parkingu i wyjazdami utrwalonymi na nagraniach z kamer.

Wszystko wskazywało na to, że ktokolwiek zabił dyrektora Groszkowskiego albo był pracownikiem Wadeksu, albo musiał korzystać z kart pracowników biurowca. W żaden sposób nie pomogło mu to w odpowiedzi na pytanie, kto był mordercą ani czy była to jedna czy więcej osób.

Na liście został mu tylko jeden numer karty, którego nie potrafił w żaden sposób zidentyfikować. Kilkukrotnie sprawdzał go w spisie kart i nie znalazł osoby, która mogłaby być powiązana z tą kartą. Zastanawiające było, że karta została użyta wyłącznie przy tylnych drzwiach pożarowych do biura, tam, gdzie była palarnia, i tylko po to, żeby wyjść na kilkanaście minut.

Szybko odszukał numer telefonu administratora budynku i zadzwonił. Jego rozmówca nawet nie potrzebował czasu na odszukanie danych karty. Wystarczyło, że Kłopotki podał pierwsze cztery cyfry jej numeru. Takie cyfry miały tylko karty serwisowe wydawane technicznym pracownikom innych firm, którzy raz na jakiś czas przychodzili serwisować budynek. Te karty miała zawsze ochrona i miały być wydawane tylko po spisaniu danych z dowodu osobistego tych, którym je dawano.

- Czy możemy sprawdzić, komu wydawano tę kartę w dniu zabójstwa dyrektora Groszkowskiego? - spytał w końcu Kłopotki.

- Już patrzę - usłyszał w odpowiedzi i po dźwięku pisania na klawiaturze zorientował się, że jego rozmówca szuka informacji w jakimś systemie komputerowym.

Inspektor w oczekiwaniu na odpowiedź podszedł do okna i otworzył je, wpuszczając do środka świeże powietrze. Dopiero w tym momencie zdał sobie sprawę z tego, jak długo siedział zamknięty w pokoju i analizował akta.

- Tego dnia - usłyszał w słuchawce głos administratora - ta karta ani żadna z kart serwisowych nie była nikomu wydawana. Dzień wcześniej dokładnie tę kartę wydano serwisantowi systemu klimatyzacji i to wszystko.

- A czy jest możliwe - policjant nie dawał za wygraną - aby ktoś wziął tę kartę bez rejestrowania?

- Tak. Niestety tak. I niestety to częsta praktyka. Panom z ochrony nie chce się rejestrować tych wydań, a samych kart też było więcej. Zostały tylko cztery. Wie pan, ktoś wydał, ktoś pobrał, ale nie oddał.

- Czy możemy jeszcze jakoś ustalić, kto miał tę kartę?

- Mogę skontaktować się z pracownikami, którzy mieli tego dnia dyżur na ochronie, ale to pewnie niewiele da - odparł administrator. - Skoro ta karta była używana tylko raz w jednym czytniku, to mogą nawet nie pamiętać.

Kłopotcki zamyślił się.

- Moment - nagle przyszła mu do głowy nowa myśl. - A czy tamto wejście obejmuje jakakolwiek kamera?

- Niestety. To jest wyjście zapasowe, na wypadek pożaru. Tam nie ma kamery. Jedyne schody prowadzące do tego wyjścia mają zamontowaną kamerę. Tylko nie wiem, czy coś to da.

- Możemy to zobaczyć?

- Oczywiście - odparł administrator.

- Okej. Proszę to przygotować. Będę za pół godziny - odparł Kłopotcki, chwytając kurtkę i klucze od auta.

Gdy dotarł na miejsce, administrator miał wszystko przygotowane i siedział przed monitorem telewizji przemysłowej ze spauzowanym obrazem.

- Przejrzałem nagranie w czasie, gdy karta odbijała się na czytniku. Tylko dwie osoby wchodziły tymi drzwiami.

Uruchomił nagranie.

- Proszę spojrzeć tutaj. - Pokazał palcem na schody pożarowe prowadzące na pierwsze piętro budynku po zewnętrznej ścianie. - To jest Monika Perniak z Wadeksu, ich pracownik administracyjny, to ta, która pomagała nam ostatnio w rozpoznawaniu ludzi na nagraniach. Zanim pojawiła się tutaj w kamerze, chwilę wcześniej odbiła się na czytniku. Wyszła i za pół godziny weszła wejściem głównym.

- Okej, a druga osoba? - Inspektor czuł, że to może być to, czego szukał.

- Tutaj nie będę w stanie zbyt dużo pomóc - odparł mężczyzna i wcisnął guzik przewijania nagrania. - Proszę spojrzeć.

Na ekranie pojawił się mężczyzna z walizką na narzędzia. W luźnym roboczym ubraniu i czapce z daszkiem nasuniętej głęboko na czoło nie można było określić ani ile ma lat, ani na co patrzy. Dodatkowo kamera zamontowana była w taki sposób, że nie było widać jego twarzy. Mężczyzna wszedł po schodach i zniknął za załomem muru. Cała scena trwała około piętnastu sekund.

- Czy mamy nagranie, jak wychodzi?

Administrator zamiast odpowiedzi przesunął nagranie do przodu.

- Proszę bardzo.

Tym razem ta sama postać schodziła ze schodów i wyszła poza obręb kamery, ani razu nie pokazując twarzy do obiektywu.

- Kto to jest? - spytał Kłopotcki.

Administrator podrapał się w głowę.

- Nie mam pojęcia. Pytałem chłopaków w ochronie, ale żaden z nich nie kojarzy człowieka. Po sylwetce ciężko powiedzieć, czy to ktoś z naszych serwisantów. Raczej nie, bo znamy ich wszystkich. To są ludzie, którzy tu przychodzą od lat. Po ubraniu też nie jesteśmy w stanie nic powiedzieć. Do nikogo nam to nie pasuje.

- A który serwisant mógłby wchodzić tym wejściem? Jakie urządzenia są tam do serwisowania?

- Hm... - Mężczyzna odchylił się na krześle i zamyślił. - Wie pan co, tam w sumie nie ma żadnych urządzeń. To jest tylko wyjście ewakuacyjne z przestrzeni biurowej i tam nie ma żadnej infrastruktury. Wszystkie klimatyzatory, hydrofornia czy węzeł cieplny są z kompletnie innej strony. Tym wejściem mógł wejść tylko ktoś, kto chciał naprawić klimatyzator w przestrzeni Wadeksu, ale nie mieliśmy ostatnio żadnego zgłoszenia.

- Czyli co? To nie jest prawdziwy serwisant?

- No chyba raczej nie. My go na pewno nie znamy i nie wiemy, skąd mógł mieć kartę ani po co wchodził tym wejściem.

- Czy może mi pan to zgrać na płytę i zrobić kilka zdjęć postaci?

Rozmówca kiwnął głową.

- Wspaniale, poczekam.

Słaby, ale zawsze jakiś trop - pomyślał Kłopotcki, czekając, aż administrator da mu materiał wideo. Jeszcze nie wiedział, jak dalej to pociągnąć, ale czuł, że zmierza w dobrą stronę.

## Czwartek, piąty maja, Paryż

Niepotwierdzona rezerwacja na lot z Zurychu do Paryża anulowała się w systemie linii lotniczej na dziesięć minut przed tym, zanim dotarli na lotnisko. Jedyne, co im pozostało, to kupić bilety na poranny lot.

Noc spędzili w Zurychu w hotelu bezpośrednio przylegającym do terenu portu lotniczego, nie analizując już więcej wydarzeń minionego dnia. Dokładnie w południe wylądowali na paryskim lotnisku Orly. Dorota Groszkowska w duchu cieszyła się, że nie lądowali na lotnisku Charles de Gaulle. Bała się, że mogłaby spotkać tam kogoś, kto widział ją kilka dni wcześniej lub w jakiś inny sposób zdradziłaby się z tym, że odwiedzała Paryż po śmierci ojca.

Z lotniska przetransportowali się taksówką do centrum, do hotelu. Jeszcze czekając na odlot w Zurychu, postanowili, że zaraz po przyjeździe pojadą pod wskazany adres i będą jedynie obserwować miejsce, do którego mają się udać po dysk. Po wydarzeniach w Zurychu, gdzie byli świadkami zabójstwa bankiera oraz wiedząc, że zakonnik z Warszawy i sklepikarz z Londynu nie żyją z tego samego powodu, woleli ostrożnie zorganizować odebranie ostatniego dysku. Domyślili się, że ten lub ci, którzy zlecają zabójstwa, chcą dostać wszystkie dyski, a więc w momencie, w którym będą w posiadaniu wszystkich, ich życie – a na pewno życie Doroty Groszkowskiej – będzie w poważnym niebezpieczeństwie.

Hotel de Banville na obrzeżach centrum z zewnątrz nie prezentował się okazale. Co innego wewnątrz. W środku widać było, że nie jest to standardowy, ciasny paryski hotel, jakich setki rozsiane są po całym mieście. To był prawdziwy butikowy hotel z pięknymi, masywnymi czerwonymi drzwiami do każdego z pokoi, których portal dodatkowo był podświetlony listwami podłogowymi. Winda i klatka schodowa były tak samo ciasne i wąskie jak w innych hotelach w mieście, jednak wykończone o kilka oczek wyżej.

Dotarli do hotelu, zameldowali się i zostawili w pokojach bagaże. Spod hotelu wzięli taksówkę, przejechali przez siedemnastą dzielnicę i wysiedli u podnóża wzniesienia, na którym dumnie wznosiła się bazylika Sacré-Cœur. Ostatni odcinek drogi postanowili pokonać pieszo, żeby na wszelki wypadek zapoznać się z okolicą i sprawdzić, czy ktoś się nimi interesuje.

Weszli po schodach pod drzwi kościoła i wzdłuż jego lewego boku skierowali się w stronę Montmartre na plac, na którym rzesze artystów jak zawsze prezentowały swój talent.

Budynek, którego adres mieli podany na kartce odebranej wraz z dyskiem w Zurychu, znajdował się przy tym placu. Szybko wybrali punkt obserwacyjny, restaurację La Crémaillère, z której mogli widzieć budynek zarówno od strony centralnego placu Montmartre, jak i od podwórka.

Wykorzystali ten czas na późny lunch. Dokładnie lustrowali otoczenie. Co jakiś czas zwracali uwagę na przechodniów i turystów, którzy w ich odczuciu zachowywali się nietypowo. Każde z nich starało się oszacować, czy byli śledzeni.

- Patrz - powiedział nagle Mike do Sarah, która siedziała obok niego i gdy tylko wydawało jej się, że widzi coś niepokojącego, szturchnęła go łokciem. - Wydaje mi się, że na wprost nas siedzi facet, którego już wcześniej widziałem. Spójrz na niego, ale powoli, tak żeby nie zorientował się, że na niego patrzysz.

- Dobra, i co z nim? - powiedziała Sarah, udając, że ogląda coś za plecami mężczyzny przy stoliku po drugiej stronie niewielkiej uliczki.

- Wydaje mi się, że widziałem go już wcześniej. Dwa dni temu, jak jechaliśmy pociągiem z Warszawy do Berlina, na dziewięćdziesiąt procent był z nami w pociągu.

Sarah przyglądała się mężczyźnie, żeby zapamiętać jego twarz.

- Możesz mieć rację, Mike - odparła po chwili. - Wydaje mi się, że ten człowiek był dziś na Orly. Raczej jestem pewna, że widziałam go przed budynkiem lotniska.

## **Czwartek, piąty maja, Paryż**

Dziewiętnastą dzielnicę Paryża znał bardzo dobrze. Bywał tu często, prawie za każdym razem, kiedy jeszcze za czasów czynnej służby musiał spotkać się z jednym z terenowych agentów.

- Pieprzona ciasnota - wysapał, wchodząc do niewielkiego pokoju hotelowego przez wąskie drzwi z korytarza, który prowadził od windy.

Holiday Inn, w którym się zatrzymał, we Francji nie miał przestrzeni, którą ta sieć oferuje w innych miastach świata. Miniaturowa recepcja, ciasna winda i wąski korytarz, które zaprowadziły go do klaustrofobicznego pokoju hotelowego. Niczego więcej nie oczekiwał, ale zawsze zastanawiało go, jak to możliwe, że tak duża sieć poddała się rygorom tego miasta i dziwactwom francuskiego rynku. Z drugiej strony wiedział, że znajduje się w najdroższym mieście Europy, gdzie grunt jest cenniejszy niż złoto, a prawo dotyczące własności jest skomplikowane jak budowa promu kosmicznego.

Pokój i jego wygody miały dla niego niewielkie znaczenie. Nie przyjechał do Paryża turystycznie, tylko tak jak zawsze z potrzeby zawodowej, tym razem ważniejszej niż w trakcie poprzednich wizyt. Musiał osobiście dopilnować, żeby nic nie zostało pominięte i żeby dostać to, na co tak bardzo liczył. Tylko w ten sposób mógł zapewnić sobie bezpieczeństwo, a organizacji dopływ gotówki na długie lata.



## Czwartek, piąty maja, Paryż

Po lunchu postanowili zmienić sposób obserwacji. Mieli się rozdzielić i pokręcić po placu, udając turystów.

Zapłacili i ruszyli w kierunku kościoła. W pewnym momencie zwolnili przez grupę, która tłoczyła się w wąskim przejściu obok straganów z obrazami i pamiątkami.

Nagle ktoś z tłumu wskoczył pomiędzy nich i wyrwał Dorocie torebkę, którą miała na ramieniu. Dziewczyna pod wpływem szarpnięcia potknęła się o trotuar i upadła.

Zanim ktokolwiek z nich zdążył zareagować, złodziej był już kilka metrów dalej.

- Gonimy go! - krzyknął Mike do Pierre'a i ruszył za złodziejem.

Pierre był tuż za nim. Biegli wąską uliczką wzdłuż stoisk z obrazami, kierując się w stronę skrzyżowania. Chłopak z torebką skręcił w prawo. Pobiegli za nim. Tłum przerzedził się przy katedrze. Kolejny skręt w prawo. Biegli wzdłuż muru katedry. Złodziej oddalił się od nich na prostej. Dobiegli do schodów. Chłopak był w połowie pierwszego zejścia, gdy wbiegali na pierwszy stopień. Na schodach było dużo ludzi. Lawirowali między nimi. Pierre postanowił zaryzykować i pędził po schodach. Mike gonił chłopaka po trawie rozdzielającej schody. Był wyraźnie z przodu. Gdy zbiegli na dół, Pierre źle wymierzył wejście w zakręt i wpadł na grupę turystów podziwiających karuzelę, która przy dźwiękach głośnej muzyki zabawiała najmłodszych ruchomymi konikami, saniami i postaciami z bajek.

Mike nie czekał, biegł dalej. Na prostej prowadzącej w dół poruszał się jak sprinter na bieżni. Długimi susami skracał dystans między nim a złodziejem, który zmierzał najwyraźniej w kierunku stacji metra.

Gdy dobiegli do przejścia dla pieszych, akurat zapaliło się zielone światło. Chłopak dopadł zejścia do metra i po trzy stopnie naraz zeskakiwał w dół. Mike był za nim, coraz bliżej. Przy bramkach biletowych nie dał mu szans. Gdy tamten zwolnił na chwilę, żeby zebrać się do skoku nad metalowym ramieniem bramki, Mike wpadł na niego całym ciałem. Złodziej zawył z bólu. Orłowski wykorzystał ten moment, żeby chwycić go za rękę i wyrwać to, co ten kurczowo trzymał. Dopiero teraz mężczyzna zdał sobie sprawę, że złodziej porwał nie tylko torebkę Doroty Groszkowskiej. Zerwał również z jej ręki bransoletkę.

Złodziej wykorzystał tę chwilę na swoją korzyść. Odbił się od podłogi i zwinnym skokiem znalazł się w strefie biletowej, po drugiej stronie bramek. Orłowski za nim nie pobiegł. Odzyskał własność Doroty. Nie czuł potrzeby, by łapać złodzieja i iść z nim na policję, po czym spędzić kilka kolejnych godzin na posterunku - najpierw czekając na korytarzu, a później składając zeznania w jakimś ciasnym pokoiku.

Powędrował do wyjścia ze stacji metra. W dziennym świetle przyjrzał się temu, co trzymał w dłoni. Torebka wydawała się nienaruszona. Zamek wciąż był zapięty. Chłopak nie miał czasu zająć się przejrzeniem tego, co było w środku. Bransoletka też była w świetnym stanie. Nawet odrobinę zbyt duże i nieproporcjonalne zapięcie, niepasujące do reszty, wyglądało na niezniszczone i działające.

- Mike! - wołał Pierre.

Stał po drugiej stronie ulicy. Widocznie zgubił ich na samym końcu. Podążyli z powrotem pod górę, tam, gdzie czekały na nich Sarah i Dorota.

## Czwartek, piąty maja, Paryż

Do hotelu przyjechał autem, które sam prowadził. Tak lubił najbardziej. W terenie cenił sobie wsparcie, ale niektórych czynności nigdy nikomu nie powierzał.

Zaparkował prawie na wprost wejścia i wszedł do hotelowego lobby. Nie potrzebował pytać w recepcji o numer pokoju pułkownika Dzierzgońskiego, ponieważ znał go już wcześniej. Tę robotę miał dobrze przygotowaną. Zawsze, gdy musiał wykonać jakieś ważne zadanie, przygotowywał się do niego bardzo starannie i każdy element planował z namaszczeniem, nawet jeśli z pozoru był on nieistotny.

Przeszedł przez hotelowe lobby w kierunku wind i wcisnął przycisk. Gdy hydraulicznie sterowane drzwi się otworzyły, wszedł do środka i wybrał numer piętra.

Wąskim hotelowym korytarzem dotarł do interesującego go pokoju. Zapukał.

Po drugiej stronie ktoś szedł w jego stronę.

Szczęk zamka. Drzwi się otworzyły.

- Carcasse! - powiedział pułkownik Dzierzgoński, stojąc w hotelowych drzwiach i patrząc na przybysza.

- Czeszcz - odpowiedział Carcasse swoim niedokładnym polskim.

- Spodziewałem się ciebie tutaj, ale nie myślałem, że od razu po przyjeździe złożysz mi wizytę.

Dzierzgoński gestem zaprosił gościa do wnętrza hotelowego pokoju. Stał pod oknem, opierając się o framugę.

- Co cię do mnie sprowadza? - zapytał, gdy drzwi sterowane domykaczem zamknęły się powoli.

- Wiem, czemu tu jesteś i myślisz, że jesteś tu z tego samego powodu, co ja.

- Co masz na myśli?

- Ludwik, nie bawimy się. Obie wiemy, że Groszkowski jest zabity i obie wiemy co on chował, czego pilnował. Ty chcesz mieć to tak samo jak ja chce i wiesz, że to należy do mnie.

- Jean Pierre, to oczywiste, że Staszek miał coś, co chcemy mieć i obaj wiemy, w jaki sposób to zmagazynował. - Dzierzgoński skrzyżował ręce na piersiach. - Nie rozumiem tylko, dlaczego twierdzisz, że to jest twoja własność. Twoja, powiedzmy, firma nigdy nie dysponowała całością tego, co on miał. Mielicie tylko dostęp do tego, co wam ujawnił. To, co jest na dyskach, których szuka jego córka, jest tak samo twoją własnością, jak moja.

- Nie! - odparł stanowczo Carcasse.

Sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął z niej niewielki pistolet.

- To jest moje i moja „firma” to musi mieć. Twoja organizacja nie dosztanie tego.

- I chcesz to osiągnąć w ten sposób? Wydaje ci się, że poza mną w mojej organizacji nikt nie wie, jak działać i jak przejąć ten materiał?

- Ludwik, ja wiem, przyjechalesz tu sam. Nie musi kłamać. - Carcasse był coraz bardziej zdenerwowany. Gdy przygotowywał tę akcję, był przekonany, że emocje będą jego najmniejszym problemem. Teraz jednak, gdy stał na wprost swojego wieloletniego

adwersarza, a po odejściu ze służby konkurenta, czuł, że eliminacja Dzierzgońskiego będzie cięższym zadaniem, niż mu się wydawało. Krople potu wystąpiły mu na czoło. Było mu gorąco.

- Twoja organizacja nie jest tak duża ani tak silna jak moja - kontynuował Carcasse. - Ty nie masz takich możliwości jak my mamy.

W pokoju było coraz bardziej gorąco. Dzierzgoński stał nieruchomo na wprost niego i patrzył mu prosto w oczy, nie zdradzając, że jest mu tak samo ciepło. Czuł, jak drży ręka, w której spoczywała broń.

Carcasse poluzował krawat i odpiął górny guzik koszuli. Spojrzał w bok i zauważył stojącą na stole butelkę whisky The Macallan i szklankę, do której był już nalany trunek i wpuszczonych kilka kostek lodu. Od razu rozpoznał jeden z najlepszych i dość drogich gatunków szkockiej. Szklanka była używana, widział na niej ślady palców i ust Dzierzgońskiego. Sięgnął po nią, nie wypuszczając pistoletu z drugiej ręki.

Szkoło było zimne. Przechylił szklankę i pociągnął długi łyk, kostki lodu przyjemnie schłodziły mu usta.

Gdy złocisty trunek dotarł do gardła, zanim jeszcze poczuł ciepło alkoholu, zrozumiał swój błąd. Wiedział, że było za późno. Skurcz przyszedł momentalnie. Całe ciało stało się nagle sztywne. Gorąco paliło od wewnątrz. Czuł, że się przewraca. Dzierzgoński ciągle stał tam, gdzie wcześniej. Carcasse resztkami świadomości zanotował, że pułkownik coś do niego mówi.

- Widzisz, Jean Pierre, jesteś totalnym głupcem. Ta szklanka czekała na ciebie. Wiedziałem, że przyjdiesz, i kiedy przyjdiesz. Wiedziałem też, że nie oprzesz się whisky za dwa tysiące euro za butelkę. Wystarczyło rozpuścić kostki lodu z cyjankiem i postawić je na stoliku, żebyś na pewno zauważył szklankę. Myślałeś, że piłem z tej szklanki, ale to tylko moje odciski palców i ust odbite na szkle, żeby cię zmylić.

Carcasse upadł na łóżko. Jego ciało powoli się osuwało. Nie żył. Głowa głucho uderzyła w podłogę, a z ust mężczyzny pociekła szara piana, która dużymi kroplami spływała w dół.

- Już możecie sprzątnąć - powiedział Dzierzgoński do telefonu. - Pamiętajcie... pokój i samochód. Ja jadę do hotelu de Banville. Szukajcie mnie tam w razie potrzeby.

Gdy się rozłączył, z auta zaparkowanego przed hotelem wysiadło dwóch mężczyzn. Mieli za zadanie usunąć zwłoki i zadbać, żeby nikt ich nie znalazł, co akurat w Paryżu - przy ich zasobach finansowych i zapleczu organizacyjnym - nie stanowiło problemu.

## Czwartek, piąty maja, Paryż

Rondo u zbiegu Avenue de Villiers oraz Boulevard Pereire było ruchliwym miejscem o każdej porze dnia. Samochody krążyły nieustannie po brukowej kostce okalającej zieloną wyspę pośrodku ronda. Piesi z różnych stron podążali do stacji szybkiej kolejki podmiejskiej oraz do metra. Co jakiś czas dał się słyszeć dźwięk skutera przyspieszającego na wyjeździe z ronda.

We czwórkę siedzieli w restauracji La Place. Przy stoliku panowała raczej ponura atmosfera. Wybrali to miejsce przede wszystkim dlatego, że było blisko hotelu. Dawało im możliwość spokojnego porozmawiania, zjedzenia i obserwowania okolicy bez konieczności wystawiania się na bezpośredni widok jak przy stolikach na zewnątrz, przy trotuarze.

Przyłot do Paryża porannym samolotem, próba kradzieży torebki Doroty oraz obserwacja miejsca, do którego mieli się udać po ostatni dysk, zmęczyły ich. Każde z nich z rezygnacją sięgało do wspólnego talerza antipasti. Starali się wymyślić, w jaki sposób odebrać ostatni dysk, aby nie narażać ani siebie, ani człowieka, który go przechowuje. Dla każdego z nich ta sytuacja oznaczała coś innego. Pierre i Sarah jako przedstawiciele świata mediów widzieli w tym kolejny chwytliwy i błyskotliwy temat do przedstawienia swoim czytelnikom, a być może coś, co pozwoli im zdobyć nagrodę dziennikarską. Dla Doroty i Mike'a to było życie. Ona odkrywała nieznaną kartę historii życia ojca. On po tym, jak mimo woli został wplątany w śmierć jednego ze swoich szefów i był jednym z podejrzanych, nie miał specjalnej alternatywy.

- Wydaje mi się, że powinniśmy zadzwonić do niego jutro - powiedział Mike. - Dzięki temu nawet jeżeli ktoś nas obserwuje lub podsłuchuje, będzie myślał, że zachowujemy się normalnie, tak jak wcześniej.

- A co, jeśli znowu pojawi się ten gość, który zabił bankiera w Zurychu? - Dorota wyraźnie bała się tamtej sytuacji. Na samą myśl o tym, że człowiek, który wydał jej dysk, został zabity, przechodziły ją dreszcze.

Sarah zamyśliła się.

- Słuchajcie, a może zrobilibyśmy tak... Wy pójdziecie odebrać dysk, a my w tym czasie będziemy niedaleko i na wszelki wypadek będziemy obserwowali, czy ktoś się po was pojawi. Wiem, jak wygląda ten gość, który był w Zurychu. Razem z Pierre'em będziemy czuć, czy zagraża wam jakieś niebezpieczeństwo. Co sądzicie?

Orłowski już miał odpowiedzieć, gdy coś na ulicy przykuło jego wzrok. Zaczął lustrować otoczenie. Po chwili już wiedział. W sąsiedniej kawiarence przy stoliku na zewnątrz, na trotuarze, siedział mężczyzna. To był ten sam człowiek, którego widział kilka dni wcześniej w pociągu z Warszawy do Berlina i ten sam, który - jak mu się wydawało - mignął mu na ulicy w Zurychu.

Kelner przyniósł jedzenie. Zajęli się konsumpcją, jednak Orłowskiemu nie dawał spokoju mężczyzna z pociągu. Kątem oka raz na jakiś czas spoglądał w jego stronę. Tamten wydawał się kompletnie nie zwracać na nich uwagi. Mike wstał i podszedł do baru. Zapytał, czy jest jakieś inne, tylne wyjście z lokalu. Barman bez słowa pokazał mu kierunek. Wyszedł

przez wąskie drewniane drzwi na miniaturowych rozmiarów podwórko i zarazem zaplecze. Od razu zorientował się, gdzie jest wyjście na ulicę.

Pomiędzy pudłami i paletami przedarł się w stronę sąsiedniej restauracji. Rozejrzał się po ulicy i ocenił, że najlepiej będzie obejść kolejny budynek i wejść do restauracji od drugiej strony.

Pięć minut później wyszedł z Avenue de Villiers na rondo. Podchodził dokładnie z przeciwnej strony niż restauracja, na którą właśnie patrzył facet z pociągu. Gdy był jakieś dziesięć metrów od stolika, mężczyzna obrócił się nagle i spojrzał na niego. Poderwał się z krzesła jak rażony prądem i rzucił do ucieczki. Mike był zaskoczony. Zanim zareagował, minęło kilka sekund. To wystarczyło, żeby tamten odbiegł na kilkanaście metrów. Mike ruszył za nim. Biegł z całych sił. Ten przeciwnik był lepiej wysportowany i przygotowany do takich zadań terenowych.

Błyskawicznie przebiegli obok restauracji, niezauważeni przez pozostających w środku towarzyszy Orłowskiego. Biegli w kierunku hotelu. Na prostej między skrzyżowaniami Mike był szybki. Skrócił dystans między nimi. Na skrzyżowaniu mężczyzna ponownie uciekł, zręcznie lawirując między samochodami. Na kolejnej prostej nie miał szans. W wąskiej uliczce Orłowski dogonił go i rzucił mu się na kark oraz plecy. Upadli na ziemię i przeturlali się. Mike ani na chwilę nie puścił ubrania mężczyzny, pomimo że jego ciało rozdzierał ból stłuczonych żeber, które dodatkowo ucierpiały w zderzeniu z uciekającym. Błyskawicznym, wręcz kocim ruchem stanął na nogach i zanim leżący na ziemi człowiek zdążył zareagować, uderzył go pięścią w twarz.

- Czego od nas chcesz? Dla kogo pracujesz? - wyszczał przez zęby Orłowski po angielsku.

Mężczyzna uniósł głowę i otworzył oczy. Z pogardą spojrzał mu w twarz. Zaciśnął usta w geście milczenia. Orłowski zwinął dłonie w pięści i z całej siły uderzył go w brzuch. Mężczyzna jęknął i zgiął się wpół.

- Mów, kto ci kazał za nami chodzić? Dlaczego jechałeś za nami do Berlina?

- Pierdol się - niewyraźnie wycedził przez krwawiące usta. Mówił po angielsku. - Nic ci nie powiem. Nie masz pojęcia, o co tu chodzi. Żadne z was nie ma pojęcia.

Uniósł rękę do twarzy, żeby rękawem otrzeć krew. W tym samym momencie drugą dłoń wsunął pod marynarkę. Orłowski był szybszy. Błyskawicznie wyprowadzonym lewym prostym zdzielił mężczyznę jeszcze raz, centralnie w środek twarzy. Osunął się bez sił. Zemdlał. Mike podtrzymał jego głowę, zanim upadła na chodnik.

W bocznej uliczce nikt ich nie obserwował. W sąsiedniej ulicy, tej, z której przybiegli, ruch również był znikomy. Orłowski sięgnął do marynarki mężczyzny. Przeszukał kieszenie jedna po drugiej. Znalazł tylko paszport i broń. Broń wytarł dokładnie, żeby nie było na niej jego śladów, a magazynek wyjął i odrzucił w przeciwną stronę. Paszport zabrał ze sobą, pozostawiając mężczyznę samego sobie.

Jego towarzysze przyglądali mu się, gdy wszedł do restauracji frontowymi drzwiami. Żadne z nich nie miało świadomości, że był poza lokalem. Wszyscy byli przekonani, że poszedł do toalety.

Szybko zreferował im wydarzenia ostatnich minut.

- Sarah - powiedział na koniec. - Popatrz na to.

Wyjął z kieszeni paszport zabrany mężczyźnie.

- To jego paszport? - spytała, przeglądając kartki.

- Tak - Czy korzystając ze swoich kontaktów, możesz ustalić cokolwiek o tym człowieku... Zakładając, że te dane są prawdziwe?

- Myślę, że tak.

## Czwartek, piąty maja, Warszawa

Arleta Adamczyk nie wiedziała, co ma zrobić. Policjant był w biurze od godziny. Obserwowała go, jak chodził pomiędzy piętrami, wchodził jednym wejściem i wychodził drugim, z zegarkiem w ręku mierzył odległości pomiędzy drzwiami.

Dochodziła szesnasta, czyli czas, kiedy normalnie szykowała się do wyjścia z biura, ale inspektor Rafał Kłopocki ciągle był w pokoju dyrektora Groszkowskiego.

Spojrzała na zegarek.

Dwadzieścia minut tam siedzi – pomyślała i w końcu zebrała się na odwagę, żeby mu przeszkodzić.

- Panie inspektorze – zagaiła, wsuwając głowę pomiędzy drzwi i futrynę.

Kłopocki spojrzał na nią jak wyrwany z głębokiego snu.

- ...bo my pracujemy tylko do szesnastej i wie pan, chciałabym już iść do domu – kontynuowała. – Poza tym na piętrze już nikogo nie ma.

- Aaaaa... jasne.

Zamyślił się.

- A ochrona?

- Słucham? – asystentka była zaskoczona pytaniem i kompletnie nie rozumiała, o co chodzi.

- Czy ochrona może za mną zamknąć i mnie wypuścić? – uzupełnił. – Chciałbym tu spędzić jeszcze trochę czasu.

- Jasne – odpowiedziała, chociaż nie wiedziała, czy może tak zrobić. – Zaraz sprawdzę.

Zniknęła na kilka minut. Gdy wróciła, podała Kłopockiemu kartę magnetyczną.

- Dzięki karcie wyjdzie pan z naszego biura na główny korytarz, obok klatki schodowej. Dojdzie pan do ochrony i oni wypuszczą pana z budynku.

- Dziękuję.

- Do widzenia, inspektorze – powiedziała i już jej nie było.

Rafał Kłopocki został sam w biurach Wadeksu. Czuł, że musi pobyć w pokoju dyrektora Stanisława Groszkowskiego i zebrać myśli. Właśnie tam chciał jeszcze raz przeanalizować wszystkie szczegóły zbrodni. Cały czas dręczyło go przecucie, że pomija jakiś istotny szczegół.

Dopiero gdy został sam, poczuł, że rana na barku znowu pulsuje. Ostrożnie dotknął miejsca postrzału i lekko przycisnął opatrunek, wywołując tym większy ból. Szybko cofnął dłoń.

Chodził po pokoju i w myślach układał sobie scenariusze różnych sytuacji, które doprowadziły do śmierci dyrektora finansowego. Za każdym razem oczami wyobraźni widział napastnika, który wchodzi do pomieszczenia i zadaje cios strzykawką z chlorkiem potasu.

Usiadł za biurkiem, na miejscu Groszkowskiego. Lustrował otoczenie z perspektywy ofiary. Przymknął oczy i wyobraził sobie jej ostatnie chwile. Co widział i co czuł człowiek, który umierał w pracy, w tym pomieszczeniu?



Za oknem robiło się szaro. W biurze coraz słabiej widać było zarysy przedmiotów. Mrok wdierał się w każdy narożnik pokoju. Spojrzał na zegarek. Dochodziła osiemnasta. Dwie godziny minęły jak kilka minut. Zaczął zbierać się do wyjścia. W półmroku panującym w pokoju wstał i jeszcze raz zlustrował pomieszczenie. Zrobił krok w kierunku okna. Widok za szybą nie był szczególny. Zwykłe podwórko magazynowe, na którym o tej porze zamierał ruch. Kilka wózków widłowych, palety i ludzie kręcący się przy wejściu do magazynu.

Obrócił się i z tej perspektywy spojrzął w kierunku drzwi. Omiótł wzrokiem przestrzeń, gdy nagle jego uwagę przykuła wąska szczelina pomiędzy szafą obok biurka a ścianą za nią. Mniej więcej na poziomie swojej szyi zauważył niewielką poświatę w tej wąskiej przestrzeni. W pierwszym odruchu wydawało mu się, że to odbicie światła wpadającego do pomieszczenia z zewnątrz. Machnął ręką przy szybie w kilku miejscach, żeby przeciąć wiązkę światła. Bez efektu. Poświata na ścianie ani razu nie zniknęła. Podeszedł bliżej i spojrzął za szafę, przytulając twarz do ściany.

Po chwili był pewny. Światło miało swoje źródło gdzieś w szafie. Stanął pośrodku pokoju i patrzył na mebel. W górnej części były same półki, a w dolnej znajdowała się typowa szafka z wąskimi drzwiami. Ocenił, że światło musi wychodzić mniej więcej z części, w której są półki.

Delikatnie zaczął rozsuwać znajdujące się tam przedmioty – kilka pudełek, książki i segregatory. Każdą rzecz podnosił i dokładnie przeglądał. Jeden z segregatorów wydał mu się cięższy od innych. Zrozumiał, że nie jest to zwykły segregator. Gdy lekko pociągnął go w swoją stronę, zauważył wystający z jego tylnej części kabel.

Wiedziony przecuciem, sięgnął do kieszeni i wyciągnął lateksowe rękawiczki – na wypadek, gdyby później trzeba było zdejmować odciski palców z segregatora lub z jego wnętrza. Delikatnie przesunął przedmiot na brzeg półki i zajrzał do środka. Gdy to zrobił, poświata zamieniła się w niewielkie światło diody. Otworzył segregator i ku swojemu zdumieniu ujrzał w środku kamerę wideo wielkości dłoni. Kamera pracowała. Na bocznym wyświetlaczu przeskakiwały kolejne sekundy nagrania. Spojrzał na całą instalację. Kamera była na stałe podłączona do kontaktu, dzięki czemu mogła nagrywać bez konieczności ładowania baterii. Stał i patrzył na urządzenie, gdy nagle dioda zgasała. Kamera przestała nagrywać. Ruszył szybko dłonią przed obiektywem. Nagrywanie włączyło się ponownie.

„Włączanie na ruch. Sprytne” – pomyślał. Odłączył kamerę od kontaktu za szafą i wyciągnął całość z półki. Włączył kamerę w tryb odtwarzania. Na niewielkim bocznym panelu ujrzał kilkadziesiąt ikon filmów. Kliknął w jeden z nich i uruchomił nagranie. Leszek Zaklikowski siedział przy biurku i rozmawiał przez telefon. Kłopotki przysunął kamerę bliżej twarzy, żeby usłyszeć głos nagrany na urządzeniu.

Szybko odłożył kamerę i segregator. Podeszedł do półki i zaczął gorączkowo otwierać kolejne segregatory i pudełka. Dopiero czwarte pudełko zawierało to, czego szukał. Kilkanaście kart pamięci ponumerowanych czerwonym flamastrem. Obok nich niewielki notes z datami przypisanymi do numerów kart. Szybko zorientował się w systemie zapisu. Każda karta była używana kilkakrotnie. Wychodziło na to, że średnio raz na sześć tygodni karta była kasowana i na nowo używana. Spojrzał na zapisy w notatniku i odszukał datę zabójstwa Groszkowskiego. Widniała przy niej cyfra siedem oznaczająca kartę pamięci. Rozsypał karty na biurku. Nie było wśród nich siódemki. Otworzył kamerę wideo. We wnętrzu była dziesiątka. Rozejrzał się jeszcze raz po regale i po pokoju. Nigdzie w zasięgu wzroku nie było karty pamięci z numerem siedem. Mogło to oznaczać tylko jedno. Ktoś, kto zamordował dyrektora finansowego Wadeksu, wiedział o kamerze i celowo usunął kartę pamięci, żeby zatrzeć ślady – dowód zabójstwa.

Kłopotcki zgarnął wszystkie karty pamięci do pudełka. Wrzucił do niego kamerę i segregator. Zamierzał przejrzeć te nagrania i miał nadzieję, że znajdzie coś, co pomoże mu zrobić postęp w sprawie.

## Czwartek, piąty maja, Paryż

Przed windą stało kilka osób, więc Orłowski nie czekał na swoją kolej, ale stwierdził, że wejdzie na trzecie piętro pieszo. Wąskie hotelowe schody były tak wysokie, że przywodziły mu na myśl drabinę. Z każdym krokiem musiał unosić wysoko kolana, żeby trafić nogą w kolejny stopień. Taki był urok paryskich hoteli i kamienic wkomponowanych w wąskie przestrzenie, budowanych na niesamowicie drogich gruntach. Do granic możliwości wykorzystywano każdy centymetr kwadratowy.

Jego niewielki pokój hotelowy położony był na samym końcu piętra. Podwójne łóżko z mikroskopijną szafą, telewizor i łazienka jak w łodzi podwodnej. Aby do niej wejść, musiał lekko przechylić barki.

Otworzył drzwi kartą magnetyczną i szybko zlustrował wnętrze pokoju. Wszystko wyglądało dokładnie tak samo jak wtedy, gdy wychodził.

Wąskim przejściem dostał się do łazienki. Oplukał zimną wodą twarz i wycierając się ręcznikiem, podszedł do swojej torby podróżnej. Wyjął z niej cienki sweter, który zarzucił na plecy. Ze stolika zabrał komputer i wyszedł z pokoju.

Nurtowało go cały czas, kim był i dla kogo pracował mężczyzna, który ich obserwował i któremu zabrał paszport. W ogóle nie zakładał, że dokument jest prawdziwy. Mężczyzna nie powiedział ani słowa i było bardzo wątpliwe, że jest obywatelem Zjednoczonego Królestwa, na co wskazywał paszport.

Zanim wyszedł na ulicę, Orłowski dokładnie zlustrował hotelowe *foyer*<sup>15</sup> i teren przed hotelem. Nikt nie wzbudził jego podejrzeń.

W poświacie zachodzącego słońca paryska ulica wydawała się budzić do wieczornego życia. Samochody, jak zwykle w dużym mieście, przemierzały ulice w gęstym ruchu. Piesi przemieszani z turystami podążali w różne strony. Każda osoba, która się nie spieszyła i zdawała się iść w tę samą stronę co Orłowski, była dla niego podejrzana.

Przeszedł kilka przecznic, często zatrzymując się przed sklepowymi wystawami. Kilka razy miał wrażenie, że ktoś mu się przygląda. Po około pół godzinie spaceru, gdy w zasięgu wzroku miał już Łuk Triumfalny na końcu Avenue Mac-Mahon, stwierdził, że wyobraźnia płata mu figle. Wszedł do restauracji i zajął miejsce przy szybie.

Zanim zdążył położyć komputer, już stał przy nim kelner. Wręczył mu menu i patrząc na komputer, wskazał leżącą na stole kartkę z hasłem do sieci wi-fi.

Mike przejrzał szybko menu i zamówił zupę cebulową oraz podwójnego Jacka Daniela bez lodu. Wyjął swojego blackberry i zaczął przeglądać pocztę elektroniczną. Na część wiadomości odpisał z telefonu. Opierając łokcie na stole, trzymał telefon w taki sposób, żeby móc spokojnie i bez wzbudzania podejrzeń lustrować otoczenie. Miejsce, w którym siedział, było doskonałym punktem widokowym. Na podwyższeniu, skryty lekko w cieniu markizy wiszącej nad stolikiem, miał przed sobą taflę szkła z nazwą restauracji i mógł obserwować całą ulicę oraz pobliskie skrzyżowanie.

Pracował przez prawie dwie godziny, jednocześnie rejestrując wszystko, co działo się wokół niego. Szczególną uwagę zwracał na mężczyzn, którzy przyglądali się mu zbyt długo

lub interesowali się tym, co robił.

Zanim spostrzegł, była godzina dwudziesta druga. Zapłacił i wyszedł z lokalu. Na wszelki wypadek postanowił wrócić do hotelu inną trasą niż ta, którą szedł na kolację.

W drodze powrotnej, podobnie jak wcześniej, nic nie zaniepokoiło go bardziej niż powinno. Tym razem skorzystał z windy. Marzył mu się prysznic.

Wszedł do pokoju i zapalił nocną lampkę oraz światło w łazience. Odruchowo zlustrował pokój, sprawdzając, czy wszystko jest w takim samym stanie jak wtedy, gdy z niego wychodził. Nic go nie zaniepokoiło. Wszedł do łazienki i puścił gorącą wodę pod prysznicem. Zrzucił z siebie ubranie i wszedł pod orzeźwiający strumień płynący z deszczownicy. Dopiero w tym momencie poczuł, że był zmęczony. Jego mózg pracował na wysokich obrotach, napędzany wydarzeniami ostatnich dni, a szczególnie minionych kilkudziesięciu godzin.

Zmienił strumień wody na zimny i momentalnie poczuł, jak napinają mu się mięśnie. Przez minutę stał w strugach, które przenikały go chłodem, po czym ponownie włączył gorącą wodę. Ten sam zabieg powtórzył jeszcze dwukrotnie.

Gdy się wycierał, czuł się świetnie. Miał świadomość, że pobudził i zrelaksował ciało do tego stopnia, że będzie się doskonale regenerowało w trakcie snu. Szybko się ubrał.

Blackberry pulsował czerwoną diodą. Podniósł go i zobaczył, że ma nowe e-maile. Szybko przejrzał wiadomości. Głównie były to odpowiedzi kolegów pracy na jego wcześniejsze pytania.

Usłyszał pukanie. Spojrzał na zegarek. Było już po dwudziestej trzeciej. Z telefonem w dłoni podszedł do drzwi i otworzył je.

W korytarzu stała Sarah.

- Cześć - powiedziała, mrużąc lekko oczy.

W tym momencie dostrzegł, że w jednej ręce trzyma butelkę prosecco, a w drugiej dwa kieliszki do szampana.

Otworzył szerzej drzwi i wpuścił ją do środka. Przeszła obok niego, patrząc mu w oczy. Zwolniła na moment i mijając go w drzwiach, delikatnie musnęła kieliszkami po mięśniach brzucha.

Stanęła na środku pokoju, dokładnie w połowie drogi między łóżkiem i biurkiem w stylu ludwikowskim stojącym pod ścianą. Wyglądała inaczej niż w ciągu dnia. Nie miała na sobie tych samych ubrań. Zauważył, że końcówki jej włosów są mokre. Pasma opadały swobodnie na śnieżnobiały T-shirt opinający ciasno jej ciało i uwydatniający krągłe, aczkolwiek niewielkie piersi - nie za duże i lekko sterczące. Koszulka była na tyle krótka, że odsłaniała cienki pasek ciała na biodrach, tuż nad jeansami, które wydawały mu się tak samo obcisłe i tak samo seksowne jak koszulka. Całości dopełniały czerwone szpilki, których nie widział wcześniej w ciągu dnia. Musiała je założyć specjalnie na tę okazję, idąc do jego pokoju.

Sarah odstawiła kieliszki i butelkę na blat biurka. Drzwi puszczone wolno przez Orłowskiego zatrzasnęły się z cichym kliknięciem.

Podszedł do niej. Nie pierwszy raz byli w takiej sytuacji. Dokładnie tak samo wyglądało poprzednie spotkanie. Wtedy, w Mediolanie, również przyszła do jego pokoju wieczorem i też miała ze sobą prosecco - jej ulubiony alkohol na specjalne okazje.

Stanął na wprost niej i spojrzeli sobie w oczy. Bez słów, jedynie przy dźwiękach muzyki typu lounge dochodzącej gdzieś z dolnych pięter, chwycili się za dłonie i przyciągnęli ciała bliżej siebie. Czuli wzajemnie swoje oddechy i pulsowanie mięśni. Pierwszy pocałunek po tak długim czasie był elektryzujący. Sarah z zamkniętymi oczami drżała, gdy ich usta się

spotkały. Był zdecydowany i silny, robił to, co tak bardzo lubiła. Objął jej usta swoimi i pieścił każdy ich zakątek. Zrzuciła mu rękę na szyję. Drugą pieściła jego wilgotny jeszcze tors, robiąc to na przemian wnętrzem dłoni i palcami. Czasem przejeżdżała po mięśniach brzucha i biodrach. Mike objął ją w pól i przysunął jeszcze bliżej. Był wyższy, musiała więc podnieść głowę w jego stronę. Czuła, jak oddycha i jak pulsuje mu krew na szyi.

Gdy zaczął błędzić dłońmi po jej ciele i dotarł do piersi, cały świat zawirował. Tak dawno nikt ich nie pieścił, że kompletnie zatraciła się w tym, co robił. Jego oddech przyspieszył. Sarah coraz bardziej czuła jego kroczę, które napierało na jej brzuch, a na piersiach spoczywały jego dłonie. To było coś, czemu nie potrafiła się oprzeć. Oddała się temu doznaniu w całości. W końcu wsunął dłonie pod materiał i poczuła dotyk jego skóry. Jednym ruchem zdjął jej bluzkę. Nie przestawał pieścić piersi i brzucha. Nawet się nie zorientowała, w którym momencie odpiął jej biustonosz. Zarejestrowała tylko ten cudowny moment, w którym dotknął brodawek i pochylił się, żeby je pocałować.

Usiadł na łóżku i pieścił jej tułów, piersi, brzuch, biodra. Czuła, jak jego dłonie wykonują magiczne ruchy po skórze i nogach. Była cała rozedrgana i pragnęła więcej. Pragnęła tego natychmiast. Przywarła ponownie do jego ust i rozpięła guzik jeansów. Mike nie potrzebował więcej sygnałów. Chwycił materiał spodni i zaczął zsuwać go w dół, jednocześnie błędząc po skórze nóg. Zostawił bieliznę. Nie chciał niczego przyspieszać. Maksymalnie przedłużał chwile rozkoszy.

Posadził ją sobie na kolanie i pomógł zsunąć z tydek ciasne spodnie. Gdy leżały już na podłodze, pocałował ją mocno i długo, trzymając delikatnie za szyję i wsuwając palce we włosy. Poczuł, jak jej dłoń przesuwana się w kierunku jego bioder. Był już pobudzony do granic możliwości. Gdy go dotknęła i cicho westchnęła, jeszcze bardziej się podniecił. Chwycił ją w ramiona i obrócił, kładąc na łóżku na plecach. Nie oponowała, gdy pochylił się nad nią i całował całe jej ciało. Z cichym mruzeniem przyzwoliła na całowanie brzucha i ud, dając mu do zrozumienia, że bardzo jej się to podoba. Dociskała jego głowę i wyginała się, jęcząc, kiedy sprawiał jej wyjątkową rozkosz. Gdy pieścił ją między udami, z przymkniętymi oczami mruczała jak kocica doznająca największej rozkoszy.

Wracając do ust, całował co kilka centymetrów różne fragmenty skóry i lekko kąsał piersi. Gdy przywarł ponownie do niej w pocałunku, poczuła, jak zdejmuje jej koronkowe majtki i jak przybliży się do niej, cały pulsując.

Czekała na ten moment. Była gotowa i pragnęła go. Cudowny i niepowtarzalny dreszcz rozkoszy przeszył ją w tym najważniejszym momencie i był ukoronowaniem wszystkich wcześniejszych pieszczot, które jej podarował. Każdy jego ruch w niej był cudowny i zalewał ją milionem doznań. Objęła mocno jego szyję i wpijając palce we włosy, całowała obłędnie. Chciała, żeby to trwało jak najdłużej, żeby był w niej i żeby dawał jej rozkosz tak długo, jak tylko będzie to możliwe.

Z każdym jego ruchem ich oddechy stawały się coraz głośniejsze. Sarah już nie mruczała, ale jęczała i drapała. Była coraz głośniejsza. Czasem wyła z rozkoszy, gdy kolejny orgazm przeszywał jej ciało, a on nie przestawał. Nawet gdy skończył i całował ją po ustach, twarzy i piersiach, nie potrafiła opanować drżenia mięśni. Cała była wrażliwa i rozedrgana. Każdy jego pocałunek wywoływał kolejną eksplozję spazmów rozkoszy. Gdy położył się na plecach, a ona oparła mu głowę na ramieniu, nie potrafiła opanować ciała, które bardzo powoli się wyciszało.

Kiedy zasypiali, każdy jego oddech przypominał jej delikatnym falowaniem mięśni o rozkoszy, której doznała.

## **Piątek, szósty maja, Warszawa**

- Cześć, Rafał. - Policjant w dyżurce podniósł wzrok znad sterty papierów, gdy inspektor Kłopocki wszedł na posterunek. Była za kwadrans siódma i funkcjonariusz wyglądał na zmęczonego nocnym dyżurem. Nie działał na niego nawet zapach kawy. Wyglądał, jakby miał zaraz paść ze zmęczenia.

Przed dyżurką jak zwykle siedzieli jacyś ludzie, którzy bacznie mu się przyglądali. O tej porze najczęściej były to ofiary kradzieży, napadu, rozboju czy innego przestępstwa, które zmusiło ich do pojawienia się na posterunku policji o tak wczesnej porze.

- Mam coś dla ciebie, poczekaj - powiedział dyżurny, wstając z krzesła i sięgając do stalowej szafy, która stała za nim. Wyjął z niej brązową, lekko pogniecioną na rogach kopertę. W środku było coś twardego i znacznie mniejszego od wymiarów koperty. Na przodzie widniało jego imię i nazwisko.

- Od kogo? - spytał, cały czas oglądając zamkniętą kopertę.

- Nie mam pojęcia. Jakiś dzieciak przyniósł to, jak tylko zacząłem służbę. Powiedział, że jakiś gość w aucie go poprosił, żeby podał to oficerowi dyżurnemu.

- Zapytałeś o coś więcej?

- Stary, no oczywiście! - Oficer dyżurny wydawał się oburzony takim pytaniem.

- No i? - Kłopocki rozłożył ręce w geście oczekiwania.

- No i kompletnie nic. Wczoraj wieczorem padał deszcz. To po pierwsze. Po drugie było już ciemno.

- Która to była godzina? - inspektor przerwał, czując narastające zniecierpliwienie. Był ciekawy, co znajduje się w kopercie.

- Około dwudziestej pierwszej. No więc chłopaka zatrzymał jakiś kierowca po drugiej stronie ulicy. Od razu dodam, że sprawdziłem to na naszym monitoringu, ale kamera nad wejściem nie obejmuje drugiej strony ulicy, a nawet gdyby obejmowała, to było tak ciemno i tak lało, że niewiele byśmy zobaczyli.

- Chłopak powiedział coś o tym kierowcy albo o aucie?

- Pamiętał tylko, że auto było ciemne. Jakaś osobówka z zegarami, które świecą na czerwono.

- No to niewiele - odparł Kłopocki, chwytając za klamkę drzwi prowadzących do komendy.

Poczekał na brzęczyk oznaczający zwolnienie zamka magnetycznego i po chwili wchodził do swojego pokoju na piętrze.

Idąc po schodach, rozdarł kopertę i zajrzał do środka. W środku było niewielkie pudełko. Po wejściu do pokoju przechylił kopertę tak, że jej zawartość wysunęła się na blat biurka. Plastikowe pudełko z płytą DVD nie miało żadnej naklejki ani napisu. Pod przezroczystą przykrywką był srebrny krążek, który poza znakiem firmowym SONY oraz oznaczeniem DVD nie miał żadnych znaków identyfikacyjnych. Kłopocki przysunął twarz bliżej i zapalił lampę na biurku. Pod różnymi kątami przyglądał się przedmiotowi, próbując

znaleźć jakieś ślady. Bezskutecznie. Ktoś postarał się, żeby plastik był całkowicie pozbawiony odcisków, śladów śliny czy włosów.

Zrezygnowany, wyjął płytę.

Uruchomił komputer. Ostrożnie załadował srebrny krążek i wsunął tackę napędu DVD do komputera. Migająca dioda oznaczała, że urządzenie odczytuje dane z dysku.

Po chwili na ekranie pokazały się kontrolne przyciski odtwarzacza multimedialnych. Wcisnął strzałkę odtwarzania.

Pierwsze, co zauważył, to daty. Na dolnym pasku na ekranie pojawiła się data i przeskakujące sekundy nagrania. To był dzień śmierci Groszkowskiego. Po kilku sekundach czarny ekran zniknął i z ciemności wyłoniły się kształty. Serce zabiło mu szybciej, kiedy zorientował się, że ogląda wnętrze pokoju, w którym zginął Stanisław Groszkowski. Kamera uruchamiała się na skutek ruchu we wnętrzu pomieszczenia. Ktoś wszedł do pokoju. Najpierw obiektyw całkowicie zasłoniły plecy postaci, a potem ten ktoś się oddalił i usiadł przy biurku.

Stanisław Groszkowski – powiedział w myślach Kłopotcki. Dyrektor finansowy Wadeksu usiadł za biurkiem, po czym podniósł telefon. Wykręcił jakiś numer i zaczął rozmowę. Kłopotcki słuchał z zaciekawieniem. W pewnym momencie spojrzał na pasek sterowania multimediami. Nagranie miało łącznie trzy i pół godziny. Położył dłoń na myszce i zaczął przewijać do przodu.

Groszkowski wiele razy wchodził i wychodził z pokoju. Czasem ktoś do niego przychodził, kilka razy weszła główna księgowa z dokumentami. Był też sam prezes, który stanął tyłem do kamery i gestykulował rękoma.

Kłopotcki przewijał szybko do czasu, gdy godzina nagrania była bliska szacowanej godzinie śmierci Groszkowskiego. Zwolnił tempo przewijania i uważnie obserwował, co dzieje się na ekranie. Przez dłuższy czas do pokoju nikt nie wchodził. Starszy mężczyzna przekładał na biurku jakieś papiery i co jakiś czas coś na nich notował. W pokoju cicho grało radio, na tyle głośno, że mikrofon kamery nagrał to, co mówił spiker prowadzący program. W pewnym momencie Groszkowski podniósł głowę znad dokumentów. Ekran zasłoniła postać wchodzącego mężczyzny. Od jasnej koszuli odbiło się światło i przez krótką chwilę nie było widać nic poza poruszającymi się jasnymi plamami. Gdy obraz wrócił do normy, Kłopotcki momentalnie rozpoznał wiceprezesa Wadeksu Mirosława Kozlovskiego. Mężczyzna stał obok Stanisława Groszkowskiego i pochylał się nad nim. W pierwszym odruchu Kłopotcki pomyślał, że Kozlovsky pokazuje mu coś na wydrukach, lecz szybko zorientował się, że jest świadkiem kluczowej sceny. Kozlovsky jedną ręką trzymał dyrektora finansowego za bark, a drugą miał nisko, na poziomie brzucha. Gdy podniósł rękę, Kłopotcki dostrzegł lekarską igłę, od której odbijało się światło, i jednorazową strzykawkę. Kozlovsky rozejrzał się po pokoju. Podeszedł do okna i otworzył je. Następnie chwycił pilota od klimatyzacji i kilka razy przycisnął guziki w centralnej części, po czym wyszedł z pokoju.

Kłopotcki zatrzymał odtwarzanie i odchylił się na krześle. Wypuścił powietrze z płuc i założył ręce za głowę. Ktoś podał mu na tacy najważniejszy dowód rzeczowy. Wiedział już, kto jest mordercą, ale kompletnie nie miał pojęcia, dlaczego Kozlovsky zabił Groszkowskiego i komu zależało na tym, żeby zobaczył to nagranie.

Ponownie pochylał się nad komputerem. Skopiował wszystkie pliki z płyty DVD na dysk komputera i wyjął srebrny krążek z napędu.

– Muszę wiedzieć wszystko, co tylko się da, o tym nagraniu i płycie – powiedział, dając pudełko z płytą i kopertę sekretarce wydziału, która dopiero co weszła do biura i jeszcze nie zdążyła zdjąć lekkiej wiosennej kurtki. – Interesuje mnie, czy na podstawie płyty można

namierzyć, kto to nagrał albo na jakim komputerze i do kogo należał ten komputer. Wszystko. Niech ceelka pogłówkuje nad tym.

- Ceelka? - spytała wyraźnie nieobudzona sekretarka.

- Centralne Laboratorium Kryminalistyczne - wycedził i wychodząc z pokoju, burknął pod nosem: - Kurde, trzy miesiące w tej robocie i nie wie, co to ceelka.

Był już na korytarzu, gdy coś sobie przypomniał. Wrócił do sekretariatu i napisał na kartce imię i nazwisko wiceprezesa Wadeksu.

- Muszę o nim wiedzieć wszystko, co zdołamy wygrzebać. Czy był karany? Skąd pochodzi? Jaki zawód wykonywali jego rodzice? Ile mieli na kontach? Cokolwiek.

- Jasne - odparła. - Zajrzyj tu koło południa, może będą już pierwsze informacje.



## **Piątek, szósty maja, Paryż**

Pociąg RER był w połowie drogi pomiędzy lotniskiem Charles de Gaulle i stacją kolejową Gare du Nord, gdy Nick Brown zdał sobie sprawę, że nie jechał tym środkiem lokomocji od dobrych sześciu lat. Tym razem była to konieczność.

Poprzedniego wieczoru wraz z rezydentem z Polski, Timem, przylecieli do Niemiec, do bazy lotniczej Ramstein. Nick odbył spotkanie z generałem Stankinsem i pułkownikiem Mayersem przez bezpieczne połączenie wideo. Dostał zielone światło dla wszystkich działań, ale jednocześnie zalecenie, żeby nie robić zbyt dużego rozgłosu. Dowiedział się od generała, że CIA, niemająca pojęcia o działaniach NSA, zainteresowała się śmiercią Grocha, tak samo jak francuskie DST i rosyjskie GRU, które wykazywało w tym zakresie nadzwyczajną aktywność.

Ustalili, że na terenie Francji skorzystają z pomocy lokalnego rezydenta wywiadu i ewentualnie pomocy ambasady tylko w przypadku zagrożenia akcji, a do tego czasu wszelkie działania będą prowadzić w zespole dwuosobowym.

Niestety, tak jak Nick się spodziewał, odczytanie zawartości trzech dysków sklonowanych przez ich agenta terenowego jeszcze się nie powiodło. Jedyną nadzieją na szybkie rozkodowanie było zdobycie czwartego dysku, który miał zostać wydany córce Grocha właśnie w Paryżu.

Poranny lot z berlińskiego Schönefeld do paryskiego portu Charles de Gaulle był opóźniony. Trafili w najgorszy poranny korek. Wszystkie poziomy i rampy na lotnisku były zapchane samochodami. Tim, który stał w kolejce do wypożyczalni aut Hertza, zrezygnował po kilku minutach, gdy okazało się, że czas wyjazdu z lotniska to ponad trzy kwadranse. Na szczęście Nick znał miasto i wiedział, jak dotrzeć do centrum. Ich celem był hotel położony blisko miejsca, gdzie wedle informacji terenowego agenta mieszkała córka Grocha i pomagający jej Orłowski, a zgodnie z najświeższymi informacjami Nicka towarzyszyła im również dwójka dziennikarzy, którzy nie wiadomo dlaczego i nie wiadomo skąd dołączyli do nich jeszcze przed przyjazdem do Francji.

Z dworca Gare du Nord zamówili taksówkę i pojechali do hotelu. Musieli szybko zainstalować się na miejscu i podczepić do swoich obiektów, zanim tamci wyjdą z hotelu i udadzą się na spotkanie z posiadaczem ostatniego dysku.

## Piątek, szósty maja, Paryż

Świeże croissanty pachniały w całym holu hotelu de Banville, a ich zapach podbijał jeszcze aromat kawy i słodkich dżemów.

Mike był pierwszy na śniadaniu. Zajął stolik przy oknie z widokiem na spokojny bulwar Berthier i mniej spokojne skrzyżowanie, które majaczyło w oddali.

Był głodny jak wilk i obawiał się, że francuskie mikrośniadanie pod wdzięczną nazwą *petite déjeuner* może mu nie wystarczyć. Wstał wcześniej, tuż po tym, jak o wpół do szóstej Sarah wymknęła się z jego pokoju, obdarowując go na pożegnanie pocałunkiem w nieogolony policzek. Nie miał już ochoty na sen, szczególnie że za oknem czekało piękne miasto. Szybko ubrał się w sportowy strój i poszedł pobiegać po ulicach Paryża. Wyznaczył sobie za cel dzielnicę biznesową, pełną biurowców i wysokich budynków – La Défense. Przebiegł z hotelu w kierunku lasu Bulońskiego i następnie przez Île Du Pont, kierując się centralnie w stronę Wielkiego Łuku La Défense de Paris. Następnie zawrócił, żeby przebiec przez Île de la Grande Jatte i wrócić do hotelu. Nie liczył dokładnie odległości, ale z czasu i tempa wywnioskował, że pokonał około jedenastu, może dwunastu kilometrów. Miał sporo czasu na rozmyślanie. W głowie ułożył sobie scenariusz dnia i obmyślił, jak przedstawić go pozostałym przy śniadaniu. Kilkadziesiąt razy przewinął w myślach wydarzenia poprzednich dni i próbował odkryć w nich jakiś przewodni sens.

Na każdym skrzyżowaniu i zakręcie dyskretnie spoglądał za siebie, sprawdzając, czy nikt się nim zbytnio nie interesuje.

Gdy wrócił do hotelu, jego blackberry wyświetlił wiadomość tekstową od Sarah: „Śniadanie o 9?”. Szybko odpisał: „Jasne” i poszedł pod prysznic.

Kawa smakowała świetnie. Był w połowie drugiej filiżanki oraz jadł trzeciego croissant z dżemem truskawkowym, gdy w drzwiach wejściowych do części jadalnej dostrzegł Sarah i podążającego za nią Pierra. Kilka minut później dołączyła do nich Dorota, która chyba instynktownie wyczuła, że spotkają się o tej porze na wspólnym śniadaniu.

- Wszyscy wyspani? - spytał, gdy zasiedli przy jego stoliku.

- Ja spałam nadzwyczaj dobrze - odparła Sarah z uśmiechem.

- Zazdroścę ci - powiedział Pierre, pociągając łyk kawy z kubka. Najwyraźniej nie zamierzał nic jeść o poranku, a kawa była mu potrzebna, żeby uruchomić myślenie.

- Ja się nareszcie wyspałam - dorzuciła Dorota. - Padłam jak nieżywa i obudziłam się dopiero pół godziny temu.

- Czyli można przyjąć, że wszyscy jesteście gotowi na to, co przyniesie dzisiejszy dzień - skwitował Orłowski, rozważając w myślach napoczęcie czwartego croissantu. - Słuchajcie, myślałem o tym, jak zrobić to bezpiecznie i sprawnie.

- Bezpiecznie? - Pierre zatrzymał filiżankę w połowie drogi do ust. - Co masz na myśli? Sądzisz, że to, co miało miejsce w Zurychu, może się tutaj powtórzyć?

Orłowski spojrzął po twarzach wszystkich siedzących przy stole.

- Myślę, że z dużą dozą prawdopodobieństwa należy tak przypuszczać.

- Kurwa, kobieto - Pierre tym razem zwrócił się do Doroty - skąd się wziął twój ojciec, że tak namieszał i co on zrobił, że ludzie zabijają się za tymi jego dyskami?

- Nie wiem... - odparła cicho Dorota. - Dla mnie też jest to zagadka. Nie znałam tej części jego życia.

- Chyba nie ma sensu tego roztrząsać. - Mike przejął rozmowę. - Jest jak jest i nie zmienimy tego, co się stało. Trzeba teraz zakończyć to jakoś dobrze, bo siedzimy w tym wszyscy po uszy. Zjedźmy śniadanie i jedźmy po ostatni dysk. Najlepiej będzie, jeśli ja z Dorotą pójdziemy do tego gościa, który ma wydać dysk, a Sarah i Pierre będą nas ubezpieczać.

- Czyli? - Sarah zainteresowała od razu.

- Czyli będziecie na zewnątrz przy głównym wejściu oraz przy wyjściu ewakuacyjnym i w razie gdyby działo się coś, co wzbudzi wasze podejrzenia, dacie nam od razu znać. Przez cały ten czas będziemy mieli połączenie telefoniczne. Sarah będzie połączona ze mną, a Pierre z telefonem Doroty.

- Wygląda to na dobry plan. - Dorota przystała od razu na propozycję Orłowskiego.

Ustalili, że spotkają się w recepcji punktualnie o dziesiątej i dla bezpieczeństwa pojedą przez miasto publiczną komunikacją. Uzgodnili też, że wszyscy będą obserwowali teren przez co najmniej godzinę, zanim pójdą po dysk.

Gdy wychodzili z jadalni, Sarah kiwnęła głową do Orłowskiego, żeby na moment został.

- Mój informator odezwał się w sprawie paszportu, który wczoraj zdobyłeś.

- I...? - Mike był ciekawy, co udało się jej ustalić.

- Po pierwsze dokument jest prawdziwy - powiedziała i zrobiła krótką pauzę, po czym kontynuowała. - To faktycznie brytyjski paszport, a zawarte w nim dane też są prawdziwe. Paszport należał do człowieka o imieniu Jared Johnson. Kilka dni temu został skradziony panu Johnsonowi, gdy ten był służbowo we Włoszech. Jedyne, co jest w tym paszporcie nieprawdziwe, to zdjęcie. Zostało wymienione na podobiznę gościa, który nas obserwował.

- Okej, a udało ci się ustalić, kto jest na zdjęciu?

Sarah przysunęła się bliżej i ściszyła głos.

- Mike, mamy dwudziesty pierwszy wiek i dopasowanie twarzy do zdjęcia to nie jest *rocket science* <sup>16</sup>. Ważniejsze niż to, kto jest na zdjęciu, jest odpowiedź na pytanie, czemu cholerne GRU wysłało za nami swojego człowieka.

- Rusek? - Orłowski nie dowierzał. - Chcesz powiedzieć, że to był Rosjanin?

- Dokładnie - potakująco kiwnęła głową. - A ściślej mówiąc, podporucznik Teodor Marykin, oficjalnie oficer wojsk lądowych, ale od ponad dziesięciu lat czynny oficer wywiadu. Z tego, co udało mi się ustalić, ma bardzo bogatą kartotekę operacyjną i dziwi mnie, że dał ci się tak łatwo podejść. W końcu jesteś amatorem w tej branży.

- Sarah. - Mike szeptał tak samo jak ona. - O co tu do cholery biega? Masz jakiś pomysł, dlaczego on za nami chodził?

- Wiem mniej więcej tyle samo, co ty. Może z tą różnicą, że mój przyjazd do Europy jest spowodowany tym, o czym wcześniej ci mówiłam, czyli szantażami polityków senatu. Moje jedyne wyjaśnienie jest takie, że dyski i ten człowiek jakoś łączą się ze sobą i z moją sprawą, ale jeszcze nie wiem jak.

Mike zamyślił się. Próbował połączyć ze sobą różne wątki. Rosjanie byli dla niego nowością, którą niechętnie akceptował. Musiał się jednak liczyć z tym, że w ciągu dnia ponownie natkną się na tego człowieka lub jego współpracowników.

To zmieniało nieco jego podejście do sprawy.

---

16 *Rocket science* (ang.) - dosłownie „nauka, technologia raketowa”, tutaj „coś skomplikowanego”.

## Piątek, szósty maja, Warszawa

- Możesz teraz?

- Mogę, wbijaj - odparł komisarz Kłopocki i odłożył słuchawkę telefonu.

Czekał na ten telefon jak na zbawienie. Po obejrzeniu zawartości płyty DVD najpierw czekał na godzinę ósmą, żeby zlecić zebranie informacji o Mirosławie Kozlovskim. Później okazało się, że facet spędził część życia na Węgrzech i zebranie materiałów zajmie więcej czasu niż zwykle wydrukowanie ich z systemu.

Drobna brunetka chwilę później usiadła przy jego biurku ze stertą wydruków i bidonem wody, z którym nie rozstawała się od czasu, gdy ją i jej koleżanki ogarnął szal zdrowego stylu życia.

- Co mamy? - Kłopocki niecierpliwił się jak dziecko.

Chrząknęła i zaczęła.

- Mirosław Kozłowski vel Miroslav Kozlovsky to pół-Polak pół-Serb, a raczej Jugosłowianin, bo gdy przyszedł na świat, to istniała jeszcze Jugosławia. Matka była Polką, technologiem produkcji. Ojciec był inżynierem mechanikiem i pracował dla koncernu Fiat jako projektant silników. Oboje zginęli w Rumunii w wypadku samochodowym, z niewyjaśnionych przyczyn, na dość trudnej górskiej Trasie Transfogarskiej. Kozlovsky miał wtedy piętnaście lat i trafił do domu brata ojca, zatwardziałego komunisty i członka partii.

- Czekaj. - Kłopockiemu coś nie pasowało. - Skąd ty masz takie szczegółowe informacje, i to tak szybko?

- Zaraz się dowiesz. Będzie ciekawiej.

- Uhm. To szybko.

- Ten brat ojca to była jakaś lokalna szycha, coś jak pierwszy sekretarz w Komitecie wojewódzkim partii. I ten pierwszy sekretarz był zamieszany w śmierć pewnego homoseksualisty w Budapeszcie. Podejrzewano, że było to morderstwo, ale nikomu nic nie udowodniono i nie postawiono zarzutów. Za to gazety miały o czym pisać i wtedy wydało się, że ten brat ojca sam był pedziem i lubił młodszych od siebie chłopców. To już były takie czasy, tuż przed upadkiem komuny, że media nie były za bardzo kontrolowane przez partię. Do tego prasa dotarła do informacji, że on płacił swoim kochankom w kokainie.

- Dobra, ale co to ma wspólnego z Kozlovskym?

- Ano ma. Otóż ten Kozlovsky trafił do domu, w którym stary facet miał na kilogramy kokainy, zabawiał się z chłopcami, ale oficjalnie był żonaty z młodszą o dwadzieścia lat lalunią, córką jednego z wysoko postawionych wojskowych ówczesnego reżimu. Lalunia miała swoje potrzeby i zaspokajała je z młodym bratanikiem męża. Nie wiedziała tylko, że mężowi też podobał się bratanek i odwiedzał w nocy jego sypialnię. W efekcie Kozlovsky był wykorzystywany przez oboje i każde z nich nagradzało jego posłuszeństwo i milczenie narkotykami.

- Jezu, ale posrane towarzystwo.

- Teraz uważaj. Policjant z Budapesztu, który mi to wszystko opowiedział dzisiaj rano, to facet, który dawno powinien być na emeryturze. On pamięta tamte czasy. Otóż w sprawie

tego zabójstwa homoseksualisty pojawił się dodatkowy wątek naszego Kozlovskiego. Podobno często pojawiał się w mieszkaniu tego zabitego i prowadzał się z nim po mieście, po sklepach i knajpach.

- Czyli że był zamieszany...?

- Dowodów nie ma, ale według tego faceta były silne podstawy, żeby prowadzić śledztwo w tę stronę, szczególnie że dokładnie rok później, na niecałe pół roku przed upadkiem systemu, w domu wuja zamordowano jego młodą żonę. W domu był tylko wuj i Kozlovsky, który dziwnym trafem właśnie tej nocy zostawił swoją bieliznę w sypialni świeżo uduszonej cioci. Sprawcy oczywiście nie znaleziono, śledztwo umorzono, a Kozlovsky trafił na rok do luksusowego ośrodka odwykowego w Szwajcarii, gdzie uczył się żyć bez kokainy.

- Wujek za to płacił?

- Tak, ale tu się zdziwisz - odparła z uśmiechem na ustach. - Nasz przyjaciel z węgierskiej policji pamięta, że młody Kozlovsky był nieźle dziany. Po śmierci rodziców odziedziczył sporo kasy. Jego ojciec w jakiś czarodziejski sposób założył konto w Szwajcarii i odkładał na nim spore kwoty, tak że pełnoletni Miroslav miał dobry kapitał na start. I teraz słuchaj najważniejszego. Gdy Kozlovsky wyszedł z ośrodka, załapał się do jakiejś pracy biurowej pod Zurychem. Tam szybko zaprzyjaźnił się z ludźmi i poznał młodego i dobrze ustawionego przedsiębiorcę, z którym się związał. To był, jak się domyślasz, gej. Kilkanaście miesięcy później tego przedsiębiorcę geja policja znalazła martwego, a po Kozlovskym nie było śladu. Po zawartości dwóch sejfów w domu geja też nie było śladu.

- Siedział?

- No właśnie nie. Odnalazł się we Francji u innego przyjaciela płci męskiej, który dał mu świetne alibi i sprawa została umorzona z braku podejrzanego.

- Hm, czyli taki superczysty i przejrzysty to pan prezes nie był.

- No nie był. Musisz wiedzieć jeszcze jedno.

- Co tam jeszcze masz?

Kłopotki pochylił się nad biurkiem w jej stronę.

- Chodzi o to, jak zginął ten przedsiębiorca ze Szwajcarii. On umarł na zawał po podaniu jakiejś substancji. Nie wykryli, co to za substancja, bo zwłoki leżały długo w domu, ale obok zwłok było opakowanie po strzykawce, a na ciele było nakłucie takie jak po igle.

- No to jest jednak duża zbieżność z naszą sprawą. - Kłopotki uśmiechnął się pierwszy raz tego dnia. - Co prawda nie daje mi to odpowiedzi na wszystkie pytania, ale coś na dobry początek już jest.

- Jakbyś coś jeszcze potrzebował, to daj znać - powiedziała młoda policjantka i zebrała swoje rzeczy.

Kłopotki miał więcej pytań niż wcześniej. Jego nowy główny podejrzany był uwieczniony na wideo - Kłopotki miał pewność, że zabił. Jego historia dowodziła, że mógł działać tak już wcześniej. Niby było to oczywiste, ale policjant w żaden sposób nie mógł zrozumieć motywu, dla którego Kozlovsky miałby to zrobić. Nie osiągał żadnej korzyści ze śmierci dyrektora finansowego. Nie dziedziczył po nim ani nie był z nim w sporze jak chociażby dyrektor marketingu czy szef oddziału z Poznania. A do tego dochodziła jeszcze kwestia płyty. Kto był w posiadaniu tej płyty i dlaczego podrzucił ją właśnie w tym momencie?

Stał przy oknie i popatrzył na ulicę przed budynkiem. Zdawał sobie sprawę, że mógł być pionkiem w czyjejś grze. Jeśli Kozlovsky miał współnika, który chciał się go pozbyć, to najlepszym sposobem było właśnie podrzucenie takiego dowodu na policję. To skutecznie eliminuje mordercę z obiegu i daje nieograniczone możliwości działania współnikowi.

Kłopotcki wiedział, że teoretycznie powinien zaarrestować sprawcę i odfajkować kolejną sprawę, ale czuł, że to nie jest jeszcze ten moment. Czegoś mu brakowało. Postanowił czekać i działać w ukryciu. Przynajmniej przez jakiś czas.

## Piątek, szósty maja, Paryż

Przedpołudniowy ruch na Montmartre był znikomy w porównaniu z tym, co widzieli poprzedniego dnia. Niewielkie grupki turystów przechadzały się zarówno po centralnym placu, jak i po bocznych uliczkach. Tylko przy katedrze, którą Mike i Dorota mijali wcześniej, zauważyli kolejkę do głównego wejścia i drugą na wąskie pomosty widokowe na dachu oraz na wieżę, skąd rozpościerał się widok na panoramę miasta.

Sporą część trasy przejechali metrem. Szybko dotarli w pobliże adresu, pod który mieli zawitać. Mike zauważył, że Dorota, tak samo jak on, często rozgląda się na boki. Oboje byli przewrażliwieni po tym, co działo się w ostatnich dniach. Mimowolnie szukali w tłumie osób, które mogłyby ich śledzić. W porannym szczycie komunikacyjnym nie było to łatwe. Perony podziemnej kolejki, wejścia, ruchome schody i okolice stacji metra były zatłoczone do tego stopnia, że dostrzeżenie kogoś podejrzanego graniczyło z cudem.

Spokojnym krokiem przeszli schodami pod górę w kierunku katedry i następnie wzdłuż jej lewego boku. Skręcili w dzielnicę artystów. Gdy stanęli przed drzwiami niewielkiej kamienicy, Mike spojrzał na fasadę budynku, po czym rozejrzał się wokoło. Dorota była zdenerwowana. Lekko drżącą ręką wcisnęła klawisz domofonu obok blaszki z napisem „Avocat Xavier Raunier”.

- Tak? - odezwał się męski głos po francusku.

- Dzień dobry - odparła po angielsku. - Nazywam się Dorota Groszkowska.

Nie zdążyła nic więcej powiedzieć, bowiem w tym momencie połączenie zostało przerwane i rozległ się brzęczyk magnetycznego zamka zwalniającego blokadę w drzwiach.

We wnętrzu klatki schodowej panował półmrok. Rozejrzeli się, ale nie zauważyli windy. Jediną drogą były wąskie i strome schody z drewnianą poręczą.

Na drugim piętrze czekały na nich uchylone drzwi. We wnętrzu, przy ścianie obok okna wychodzącego na plac Montmartre, stał mężczyzna. Orłowski na pierwszy rzut oka stwierdził, że jest on dużo młodszy od poprzednich rozmówców i oszacował jego wiek na około pięćdziesiąt lat.

- Monsieur...? - zapytał mężczyzna, wskazując na Orłowskiego, kiedy tylko ten pojawił się w drzwiach za Dorotą.

- Jest ze mną - dokończyła po angielsku Groszkowska i stanęła po drugiej stronie obszernego biurka, które zajmowało centralną część pomieszczenia.

- Ufa mu pani? - Francuz ciągle stał w tym samym miejscu.

- Tak - odparła krótko.

Mężczyzna obrócił głowę w stronę okna, po czym przeniósł wzrok z powrotem w ich kierunku. Dopiero w tym momencie Orłowski zauważył, że jego twarz lekko drga i jest wyraźnie czymś zdenerwowany.

- Nie mamy wiele czasu - zaczął Raunier, robiąc krok w ich stronę.

Podał każdemu z nich dłoń na powitanie i przysuwając się bliżej Doroty, pochylił się w kierunku jej ucha. Orłowski mimo woli również nachylił się w tę stronę.



- To, po co pani przyszła razem ze swoim *ami* <sup>17</sup>, nie znajduje się tutaj. - Jego angielski nie był najwyższych lotów zarówno pod względem akcentu, jak i słów, które zastępował ojczystymi. - Stanislav nie wiedział, kiedy pani tu do mnie dotrze i to nie byłoby *reasonable* <sup>18</sup> trzymać coś tak cennego tutaj.

- To pan wie, co to jest? - spytała.

- *Silance* <sup>19</sup> - odparł i położył palce na ustach, nakazując milczenie. - Wróćcie tu o dziewiątej wieczorem *aujourd'hui* <sup>20</sup>...

- Nie ma mowy - wtrącił się do rozmowy Orłowski. - To zbyt niebezpieczne, bo...

- Wiem wszystko, wiem - szybko przerwał. - Ale *maintenant* <sup>21</sup> nie możemy iść tam, gdzie to jest schowane. To niemożliwe. Tylko wieczorem najwcześniej możemy. Musicie wrócić wieczorem.

Orłowski spojrział na zegarek. Dochodziło południe.

- W takim razie poczekamy tutaj - powiedział stanowczo. - To będzie rozwiązanie bezpieczne dla nas wszystkich, a przede wszystkim dla pana i dla pani Doroty.

Francuz spojrział mu prosto w oczy, po czym przeszedł obok niego i podszedł w kierunku wejścia. Uchylił wiszącą przy nich kotarę i ręką wskazał znajdujące się za nią drzwi.

- Tu możecie się rozgościć. To wejście do mojego *maison* <sup>22</sup>. Jest do waszej dyspozycji, skoro chcecie poczekać. Jedzenie jest w lodówce, a czerwone wino na półce na wprost lodówki. Inne *boisson* <sup>23</sup> stoją w szafce.

Orłowski podszedł do kotary i zajrzał do wnętrza, gdzie rozpościerał się apartament urządzony w stylu glamour, tak popularny we francuskiej stolicy.

- A jeszcze *petit* <sup>24</sup> pytanie. - Adwokat spojrział na Dorotę i Mike'a badawczo, po czym zapytał: - Czy przyszlście do mnie sami?

Zanim Orłowski zdążył zareagować, Dorota odpowiedziała.

- Nasi towarzysze są w pobliżu i czuwają nad naszym bezpieczeństwem...

- Hm. - Orłowski chrząknął głośno, przerywając jej - Tak, i myślę, że powinniśmy im powiedzieć, że zostaniemy tutaj trochę dłużej.

- Jeśli chcecie, to mogą tutaj przyjść, miejsca jest dla wszystkich.

- Lepiej niech pomagają nam z tego miejsca, w którym są - odparł Mike i wyciągnął telefon komórkowy.

W krótkich słowach streścił Sarah ich rozmowę z Francuzem. Ustalili, że ona i Pierre pozostaną w pobliżu, a gdy zbliży się wieczór, pójdą z nim, Dorotą i Xavierem po ostatni dysk, nie ujawniając się nikomu. Ustalili, że do tego czasu co piętnaście minut będą się komunikować, wysyłając wiadomość tekstową, że wszystko jest w porządku.

Orłowski odkorkował butelkę czerwonego Sauvignon i nalał do kieliszków. W rubinowym kolorze płynu, który oglądał przez światło wpadające przez okno, widział turystów przechadzających się po placu i podziwiających obrazy malowane przez ulicznych artystów. Wyjął komórkę i zaczął odpisywać na maile. Do dziewiątej mieli jeszcze ponad osiem godzin.

---

<sup>17</sup> *Ami* (franc.) - przyjaciel.

<sup>18</sup> *Reasonable* (franc.) - rozsądne.

<sup>19</sup> *Silance* (franc.) - cisza.

<sup>20</sup> *Aujourd'hui* (franc.) - dzisiaj.

<sup>21</sup> *Maintenant* (franc.) - teraz.

<sup>22</sup> *Maison* (franc.) - dom.

<sup>23</sup> *Boisson* (franc.) - napoje.

<sup>24</sup> *Petit* (franc.) - mały.

## **Piątek, szósty maja, Warszawa**

Zaparkował auto na tym samym miejscu dla gości, na którym stał poprzednio. Tym razem aura była mniej sprzyjająca. Gdy wysiadł z ciepłej kabiny samochodu, od razu poczuł chłodny i przesywający wiatr, który omiótł go i brutalnie wdarł się pod ubranie.

Było mu zimno – trochę z podniecenia, że ma jakiś trop, a trochę z głodu, bo dopiero dojeżdżając na miejsce, zdał sobie sprawę, że nie jadł nic poza śniadaniem. Składały się na nie dwa tosty z dżemem truskawkowym.

Ekscytacja śledztwem często przysłańiała mu życiowe, codzienne sprawy, takie jak jedzenie czy odebranie dziecka z przedszkola. Tym razem jednak czuł, że to coś innego. Podniecenie mieszało się z ciekawością i odrobiną strachu. Sprawa Groszkowskiego była na pewno złożona, ale coraz bardziej czuł, że jest w niej jakieś drugie dno. W rozwiązaniu zagadki na pewno nie pomagało mu myślenie o filmie, który ktoś podrzucił mu do biura. Sam film wyjaśnił, kto zabił, ale też wzniecił pytanie palące go od środka jak porządna zgaga – kto tak naprawdę chciał, żeby on, zwykły policjant prowadzący sprawę o morderstwo, zobaczył ten film i czego ten ktoś oczekiwał?

Wszedł do biurowca Wadeksu.

- Dzień dobry, panie inspektorze – zaszczębiotała recepcjonistka.

- Dobry, dobry – odparł Kłopocki, zastanawiając się przy okazji, skąd ta dziewczyna ma taki dobry humor i tyle energii na koniec roboczego dnia.

- Tak jak pan prosił – powiedziała, kładąc klucz z brelokiem na kontuarze recepcji. – Pokój sto trzydzieści siedem, to jest mniej więcej w połowie korytarza po prawej stronie, na wprost wejścia do pokoju prezesa. Pan Marek Skrzeczkowski nie miał nic przeciwko, żeby pan był tam sam, prosił tylko, że jeśli chciałby pan wziąć coś ze sobą, to żeby zgłosić mi to tutaj i ja zapiszę, co pan zabiera.

- Jasne – odparł Kłopocki, czując ciągle, że jeszcze nie ogrzał się po tym, jak wiatr przedmuchał mu ubranie na krótkim odcinku między parkingiem i budynkiem.

Inspektor wziął klucz i pomaszerował korytarzem w kierunku wskazanym przez dziewczynę. W pokoju Kozłovskiego było przyjemnie ciepło, a w powietrzu unosił się zapach biurowego kurzu.

Stał w drzwiach wejściowych i uważnie oglądał wnętrze. Nic nie zwróciło jego uwagi. Przez długie minuty studiował każdy detal pomieszczenia: ułożenie przedmiotów, dokumenty leżące na biurku. Nie zauważył kompletnie nic, co mogłoby być dla niego wskazówką.

Wyjął z kieszeni kurtki lateksowe rękawiczki, założył je i usiadł za biurkiem. Przejrzał wszystkie dokumenty, zawartość szuflady i listę ostatnich numerów wybieranych w biurkowym telefonie. Na jedynej szafce, która stała przy wejściu, było kilka segregatorów. Przejrzenie ich zajęło mu kwadrans.

- Pani Arleto – powiedział, podchodząc z powrotem do recepcji. – Czy może pani na moment pozwolić ze mną do pokoju wiceprezesa?

- Idę – powiedziała i momentalnie znalazła się tuż obok policjanta. Razem weszli do pokoju, w którym Kłopocki liczył, że coś znajdzie.

- Proszę się rozejrzeć. - Wykonał rękoma gest obejmujący wnętrze pomieszczenia. - I proszę mi powiedzieć, czy wszystko w tym pokoju wygląda tak samo jak zawsze? Czy cokolwiek jest inaczej ułożone albo może czegoś brakuje?

Sekretarka stała w drzwiach i przez dłuższą chwilę patrzyła na pokój.

- Chyba wszystko jest tak samo - powiedziała i podnosząc rękę, wskazała na krzesło. - Nawet krzesło jest ustawione tak jak zwykle, gdy przychodziła córka pana Groszkowskiego.

- A to jest jakiś szczególny sposób ustawienia? - Kłopotcki kompletnie nie rozumiał, o co chodzi.

- No tak, bo córka pana Stanisława siadała tutaj przy biurku - mówiąc to, kobieta pokazała krótszy bok biurka pomiędzy wejściem a meblem.

- A inni jak siadali?

- Po drugiej stronie biurka - powiedziała Arleta Adamczyk, przestawiając krzesło tak, żeby stało po drugiej stronie biurka względem fotela, na którym zasiadał wiceprezes.

- Czy pani Groszkowska często siadała tutaj w ten sposób?

Dziewczyna zawstydziała się i opuściła wzrok.

- Wie pan, ona nie tylko służbowo tu przychodziła.

- To znaczy? - Kłopotcki nie ułatwiał jej wypowiedzi.

- W firmie wszyscy mówili, że ona i wiceprezes mają romans. Niby nikt ich nigdy nie złapał za rękę, ale jak było się z nimi w jednym pokoju i patrzyli na siebie, to było coś takiego w powietrzu...

- Moment - przerwał jej. - Córka dyrektora finansowego miała romans z wiceprezesem Kozlovskym? Dobrze rozumiem?

- Tak.

Podrapał się w głowę. Czuł, że zaczyna mu się układać coś ważnego.

- Od jak dawna to trwało?

- Nie wiem - odparła. - I pewnie nikt w firmie tego nie wie. Ale plotki krążą od ponad roku.

- A pan Groszkowski? Wiedział o tym?

- Nie, raczej nie, przynajmniej nie było widać, żeby cokolwiek wiedział. Zresztą myślę, że gdyby wiedział, to nie pozwoliliby jej na to.

- Nie pozwoliliby? - Inspektor udał zdziwienie.

- No wie pan... ona młoda i ładna, a wiceprezes ani młody, ani pierwszej świeżości. W firmie miała inne, lepsze partie.

Zamyślił się. To był wątek, którego kompletnie nie przewidział i który wcześniej nie wypłynął.

Przyszedł mu do głowy pomysł.

- Gdzie siedziała w biurze pani Dorota?

- Z księgowością, na końcu korytarza.

- Czy ma własny pokój?

- Nie. Tam pracują w cztery osoby.

Kłopotcki spojrzął na zegarek i spytał:

- O której kończą?

- W zasadzie to już skończyli, panie księgowe pracują od siódmej do piętnastej, a zaraz jest czwarta...

- Czy możemy tam na moment wejść? - Kłopotcki przerwał jej w pół zdania. - Niczego nie będę zabierał, więc nawet nie musi pani tego zgłaszać prezesowi.

- Myślę, że tak.

Chwilę później Arleta Adamczyk wpuszczała inspektora do pokoju księgowych.

- Które biurko jest pani Groszkowskiej?

Dziewczyna pokazała ręką jeden z mebli stojących w pokoju. Kłopocki momentalnie znalazł się przy nim i zaczął oglądać leżące na wierzchu papiery.

Biuurko robiło wrażenie uporządkowanego. Trzy plastikowe tacki stały równo na brzegu blatu, a w każdej było kilka kartek zadrukowanych liczbami. Pośrodku stał monitor i klawiatura połączone kablami ginącymi gdzieś pod meblem.

Kłopocki pociągnął za szufladę przybornika stojącego obok biurka. Była otwarta. Wysunął ją na całą długość i zajrzał do środka. Nic nie wpadło mu w oko. To samo zrobił z kolejną i następną.

Po przejrzeniu biurka rozejrzał się po pokoju i zwrócił w stronę wyjścia. Gdy był obok recepcjonistki, która już chwyciła klamkę, aby zamknąć drzwi pokoju, nagle się zatrzymał. Jeszcze raz spojrzął na biurko. Nagle wrócił i otworzył górną szufladę, z której wyciągnął pęk kluczy na srebrnym kółku ze srebrnym brelokiem. Przekładał klucze jeden po drugim i się im przyglądał.

- Czy jest pani w stanie dopasować te klucze do zamków? - spytał, podchodząc do Arlety.

- Nie wiem. Jeśli to klucze od biura, to pewnie tak.

Pochyliła się nad brelokiem i przypatrując się kluczom, wzięła je do swojej dłoni. Wyodrębniła jeden z nich i wsunęła go w drzwi pokoju księgowości. Klucz wszedł za pierwszym razem i dał się przekręcić.

- No to pierwszy klucz już mamy - Kłopocki zachęcił ją do dalszego działania.

- Ten drugi wygląda jak klucz od wejścia w tę część piętra przy recepcji.

Zgodnie z jej sugestią podeszli do drzwi wejściowych i sprawdzili. Klucz ponownie pasował.

- Ten - powiedziała, podnosząc nieco większy i grubszy klucz - to jest chyba od archiwum księgowości. Archiwum znajduje się dwa piętra niżej, ale nie możemy tam iść, bo nie znam kodu do alarmu. Ale za to mam tutaj drugi taki sam klucz, bo główna księgową używa tego samego klucza co prezes i on na wszelki wypadek leży u mnie w sejfie.

Arleta otworzyła niewielkich rozmiarów sejf w sekretariacie i wyciągnęła z niego pudełko z kluczami. Jeden z nich wyglądał dokładnie jak klucz, który był przypięty do breloka Doroty Groszkowskiej.

- A ten ostatni? - spytał Kłopocki. - Ten, który wygląda na najmniej używany?

- Nie wiem - odparła - chociaż wygląda znajomo. Jest na pewno inny niż klucze do pokoiów.

Popatrzyła na niego, przysuwając go bliżej twarzy.

- Moment, niech pan pójdzie ze mną.

Dziewczyna szła szybko korytarzem. Zatrzymała się dopiero przed drzwiami pożarowymi, które prowadziły na zapasową klatkę schodową. Wsunęła klucz w zamek pod klamkę. Ciężko wchodził, ale pchnęła mocniej i schował się w zamku. Chwyciła klamkę i przekręciła delikatnie. Klucz obrócił się.

- Dziwne - powiedziała. - Nie wiedziałam, że ktokolwiek poza ochroną ma jeszcze klucz do tych drzwi.

Kłopocki spojrzął na nią i zaczął rozumieć.

## Piątek, szósty maja, Paryż

Nie chciał siedzieć w hotelu. Bezpieczniej czuł się na zewnątrz, pod gołym niebem, gdzie w ulicznym zgiełku trudno go było podsłuchać i gdzie mógł popatrzeć na zwyczajnych ludzi z ich zwyczajnymi sprawami.

Po wyjściu z hotelu skierował się do pobliskiej *boulangerie* <sup>25</sup> i kupił kanapkę z pleśniowym serem i dojrzewającą szynką oraz miniaturową butelkę wina. Skierował się na skwer parkowy na wprost hotelu. Rozpakował kanapkę i po każdym kęsie odkładał ją na bok. Dokładnie przeżuwał, a wino sączył małymi łykami, żeby starczyło mu na jak najdłużej.

Dzierzgoński nie lubił, gdy przerywano mu posiłek, jednak tym razem było inaczej. Tym razem właśnie czekał, aż ktoś mu przerwie. Na ławce obok niego leżał telefon komórkowy. Pół godziny czekał na cichy dźwięk dzwonka i delikatne wibracje. W końcu podniósł aparat i przyłożył go do ucha.

- Tak? - rzucił do słuchawki.

Nastąpiła cisza.

- *Wsio w pariadkie* <sup>26</sup> - usłyszał głos mężczyzny mówiącego po rosyjsku.

Rozłączył się.

Wszystko szło zgodnie z planem.

---

<sup>25</sup> *Boulangerie* (franc.) - piekarnia.

<sup>26</sup> *Wsio w pariadkie* (ros.) - wszystko w porządku.

## Piątek, szósty maja, Warszawa

- Rafał! Czekaj! - zawołał oficer dyżurny za Kłopockim, który w tempie pociągu ekspresowego pokonał hol wejściowy komendy.

Zatrzymał się i obrócił w stronę dyżurki.

- Coś pilnego? - spytał. - Będę za godzinę.

- Moment. Jest coś dla ciebie - powiedział funkcjonariusz w mundurze, wyciągając w jego kierunku kilkanaście zadrukowanych kartek spiętych w rogu zszywaczem. - Nie było cię w pokoju, więc Iza zostawiła to u mnie i kazała ci szybko przekazać, podobno to ważne.

- Skoro Iza tak powiedziała. - Kłopocki podszedł do pulpitu dyżurki i przyjrzał się wydrukowi komputerowemu. Duże logo banku, pod którym widniał znak domu maklerskiego i lista zapisanych drobnym maczkiem informacji, głównie cyfry i jakieś oznaczenia, których na pierwszy rzut oka nie rozumiał. Na boku widniała odręczna notatka „Lista transakcji na rachunku maklerskim D. Groszkowskiej”.

Przyjrzał się dokładniej. Zaczynał rozumieć, kiedy czytał tabelę. W kolumnach była data, nazwa spółki zapisana jakimś wewnętrznym skrótem, rodzaj operacji, liczba akcji i kwoty. Nagle jego uwagę przykuła kolumna z informacją o rodzaju operacji. Szybko zaczął weryfikować daty dla poszczególnych linii z rodzajem transakcji. W każdej linii była informacja, że córka dyrektora Groszkowskiego tylko

sprzedawała akcje. Szybko przejrzał jedną z kolumn w prawej części kartki i oszacował, że za każdym razem transakcja opiewała na kilkanaście do kilkudziesięciu akcji. Nigdy więcej niż sto akcji. Każdego dnia około dwudziestu transakcji o różnych porach i na różne kwoty.

Zamyślił się. Z wyciągu z rachunku maklerskiego wynikało, że Dorota Groszkowska sprzedawała akcje i zyskiwała za nie gotówkę. „Przypadek czy celowe i zaplanowane działanie” - zastanawiał się, idąc do samochodu. Miał do sprawdzenia jeszcze kilka rzeczy. Postanowił, że później spróbuje znaleźć odpowiedź na to pytanie.

Do centrum miasta dojechał błyskawicznie. Ruch nie był duży. Zaparkował pod budynkiem, w którym biuro miał notariusz Stanisława Groszkowskiego i w kilka minut znalazł się przed drzwiami kancelarii.

Przekonanie sekretarki do rozmowy nie było trudne, gdy dowiedziała się, że chodzi o sprawę morderstwa.

- Panie inspektorze - powiedziała sekretarka, gdy przedstawił się i okazał służbową odznakę. - Pan Groszkowski bywał u nas regularnie... na pewno raz na kwartał robił jakąś czynność u pana sędziego. Oni się znali od dość dawna.

- Czynność?

- Tak, najczęściej przychodził, żeby zaktualizować listę składników majątku.

- Co to takiego? - Kłopocki pierwszy raz słyszał, aby notariusz robił takie listy.

- Pan Stanisław był bardzo świadomym klientem i dobrze przygotował wszystko na wypadek swojej śmierci - powiedziała, po czym szybko dodała: - Nie chciał, żeby jego córka

miała jakiegokolwiek problemy po jego śmierci. Co jakiś czas przychodził i aktualizował dokument, w którym była lista wszystkich jego ruchomości i nieruchomości.

- Czy to znaczy, że córka nie wiedziała o tych rzeczach?

- Wydaje mi się, że nie. Pan Stanisław zresztą nie ukrywał, że jego córka nie jest wtajemniczona w jego wszystkie inwestycje. Dzięki tej liście miała mieć wszystko podane jak na tacy.

- A ma pani może kopię tej listy?

- Tak, oczywiście - odparła sekretarka, po czym podeszła do szafy stojącej pod ścianą. Wyciągnęła z niej segregator, a z niego zadrukowaną kartkę.

Kłopotcki przeglądał listę i linia po linii studiował majątek dyrektora Groszkowskiego.

- Czy oprócz tego pan Groszkowski robił u państwa w kancelarii coś jeszcze? Może deponował tu jakieś inne dokumenty?

- Testament, list do córki, nagranie...

- Nagranie?

- Tak, nagrał dla córki krótki film jako uzupełnienie do testamentu i listu, który jej zostawił.

Kłopotckiemu na tę wiadomość żywiej zabiło serce.

- Ma pani kopię tego filmu? - spytał niepewnie.

- W aktach nie ma żadnej kopii, bo instrukcja pana Stanisława była taka, żeby zniszczyć płytę z filmem po odtworzeniu nagrania przez córkę, ale mogę sprawdzić dysk, na którym było nagranie. Może tam coś się zachowało.

Sekretarka zaczęła szukać dysku w szafie i po chwili wyciągnęła pudełko, które sprawnie podłączyła do komputera. W tej chwili zadzwonił telefon Kłopotckiego.

- Słucham - rzucił szybko do słuchawki.

- Rafał, mamy już te billingi telefonów, które zamawiałeś - referowała sekretarka wydziału. - Właśnie podesłałam ci na maila zestawienie tylko tych dwóch numerów, o które pytałeś. Powiedzieć, że kontaktowali się często, to tak jakby nic nie powiedzieć. Oni kontaktowali się notorycznie.

- Dzięki - odpowiedział i odsunął telefon od ucha. Szybko ściągnął pocztę w telefonie i przejrzał maila, o którym mówiła sekretarka. Dwa wytypowane przez niego numery telefonu kontaktowały się nawet kilkadziesiąt razy dziennie. Co więcej, zauważył, że numery te łączyły się w tym samym czasie w roamingu zagranicznym, co znaczyło, że oba numery i użytkujące je osoby w tym samym czasie przebywały za granicą.

- Nie powinnam tego panu pokazywać... chyba... - powiedziała niepewnym głosem sekretarka. - Pan sędzia nie byłby zadowolony.

- Droga pani - Kłopotcki starał się być jednocześnie spokojny, dyplomatyczny i stanowczo przekonujący. - Mogę oczywiście przyjść tutaj z nakazem prokuratora, ale to zajmie dużo czasu. Czasu, który jest mi potrzebny. Nie chcę, aby zginęła kolejna osoba.

Kobieta klikała przez chwilę w komputerze, tak jakby inspektora nie było z nią w pokoju.

- Proszę - powiedziała po chwili i przekręciła monitor w jego stronę.

Kłopotcki kliknął klawisz odtwarzania.

## Piątek, szósty maja, Paryż

Nad miastem rozpościerało się ciemniejące z każdą minutą niebo. Słońce zamieniło się miejscami z księżycem, który nieśmiało wkraczał na swoje miejsce na granatowym nieboskłonie.

Zmrok rozpełzł się powoli do wszystkich zakamarków pokoju. Niedopita butelka wina stała na stole w jaśniejszej plamie światła dziennego.

Dorota i Mike siedzieli w milczeniu. Dochodziła dziewiąta wieczorem. Adwokat Raunier zajrzał do nich tylko dwa razy przez całe popołudnie, żeby sprawdzić, czy niczego im nie brakuje. Za każdym razem wydawał się zmęczony i wystraszony ich obecnością.

Gdy zegar wskazał godzinę za kwadrans dziewiątą, ich gospodarz wszedł do pokoju. Tym razem wyglądał inaczej. Był ubrany w ciemne jeansy i koszulkę polo, na którą nałożył sweter. Wyglądał dużo młodziej niż wcześniej. Jedynie jego buty, ciemne pantofle, nie pasowały do tego stroju.

- Czas na nas, *mon amis* <sup>27</sup> - powiedział, przytrzymując drzwi.

Gdy Raunier zamykał swoje mieszkanie, Orłowski zszedł po schodach na parter i z komórki wykręcił numer do Sarah.

- Ruszamy - powiedział krótko, nie czekając na jej pytania. - Trzymajcie się blisko i w zasięgu wzroku, ale cały czas w takiej odległości, żebyście mogli obserwować nasze otoczenie i widzieć to, czego my nie będziemy w stanie zobaczyć.

- Jasne - odparła Sarah i się rozłączyła.

Podążali za adwokatem, który jak przewodnik szedł krok przed nimi. Przemieszczali się w stronę bazyliki Sacré-Cœur. Gdy pięć minut później stanęli u szczytu schodów prowadzących do kościoła, u ich stóp rozpościerała się wieczorna panorama Paryża, a ich oczom ukazał się barwny potok turystów. Część z nich wędrowała w dół, do stacji metra. Inni zasiadali na schodach, murkach i trawie, żeby podziwiać wieczorną panoramę miasta. Festiwal światła sięgał aż po horyzont. Z tego miejsca jak na dłoni było widać główne budowle i zabytki miasta, oświetlone zmyślnie przez architektów, aby jeszcze bardziej wyróżnić je na tle zwartej miejskiej zabudowy.

- Tędy - Raunier odezwał się pierwszy raz od wyjścia z biura. Przytrzymał ręką niewielką furtkę prowadzącą na teren okalający kościół. Mike i Dorota podążyli za nim, upewniając się, że Pierre i Sarah widzą, którędy wchodzi na teren kościoła.

Adwokat skierował się do głównego wejścia. W pierwszym odruchu Mike miał wrażenie, że nie wejdą do środka, ponieważ potężnie zbudowany ochroniarz stał centralnie na progu. Dopiero gdy byli blisko, zrozumieli, że mężczyzna przypomina wchodzącym, że za kilka minut będzie koniec zwiedzania.

Adwokat przemknął koło ochroniarza, a za nim jego towarzysze. Orłowski odruchowo spojrzął do tyłu. Dwie znajome sylwetki podążały ich śladem.

W środku katedry panował półmrok. Raunier zatrzymał się na moment w przedsionku. Te kilka sekund wystarczyło, aby dołączyli do nich Sarah i Pierre. Bez zbędnych słów adwokat spojrzął na Orłowskiego, który skinieniem głowy potwierdził, że są razem.



- My - powiedział, wskazując na siebie, Dorotę i Orłowskiego - musimy zejść na niższy poziom tamtymi schodami. A wasi *amis* niech zostaną tutaj, czekają na was i patrzą, czy nie jesteście śledzeni.

- *D'accord, monsieur* <sup>28</sup> - po francusku odparł Pierre.

Raunier ruszył między ławkami w kierunku lewej nawy. Dorota i Mike poruszali się bezpośrednio za nim. Sarah i Pierre dużo wolniejszym krokiem obeszli naokoło ławki i przemieszczali się w tę samą stronę.

We trójkę zeszli na dół schodami wykutymi w kamieniu. Idąc za przykładem swojego przewodnika, asekurowali się, jedną ręką trzymając się ściany. Gdy zeszli poziom niżej, poczuli chłód kamiennego podziemia i zapach starego kościoła.

Raunier na dole schodów od razu ruszył do przodu, po czym skręcił kilka razy w różnych kierunkach. Byli w przestrzeni, która za dnia jest dostępna dla zwiedzających. Nagle adwokat zatrzymał się przy drzwiach w ścianie i popchnął je. Weszli do kolejnego korytarza - szerszego, aczkolwiek słabiej oświetlonego. Przeszli nim kilkanaście metrów, aby odkryć, że na jego końcu znajdują się kolejne schody prowadzące w dół. Zeszli nimi. Tym razem schody przypominały typową klatkę schodową i prowadziły dokładnie dwie kondygnacje niżej.

Gdy byli już trzy poziomy pod posadzką kościoła, Raunier zwolnił i skręcił w prawo. Ich oczom ukazała się sala ze ścianami pokrytymi nagrobnymi kamiennymi płytami. Adwokat podszedł do jednej z nich i przesunął dłonią po jej brzegu. Płyta odskoczyła i ukazał im się sejf.

Kilkoma zwinnymi ruchami Raunier otworzył go i sięgnął do wnętrza.

- Od teraz będziecie w wielkim niebezpieczeństwie - powiedział do nich, wręczając im czarny dysk w obudowie. - To, co teraz posiadacie, jest pragnieniem wielu ludzi na tym świecie. Gdybym był wami, *mon amis*, to szybko zniszczyłbym ten dysk i zapomniał o wszystkim. To jest zła karma.

Zapadła cisza. Raunier stał przed nimi z wyciągniętą ręką, w której spoczywał dysk. Dorota patrzyła na czarne pudełko i wahała się. Po chwili rozmyślań uniosła dłoń i przejęła to, co pozostawił dla niej ojciec.

---

<sup>27</sup> *Mon amis* (franc.) - moi przyjaciele.

<sup>28</sup> *D'accord, monsieur* (franc.) - dobrze, proszę pana.

## **Piątek, szósty maja, Warszawa**

- Kurwa mać! - krzyknął i zrezygnowany rzucił papierami o biurko.

Już dwie godziny patrzył na wydruki komputerowe i próbował zrozumieć, o co w nich chodzi.

Gdy asystentka wydziału przyniosła mu listy pasażerów z zakreślonymi nazwiskami Doroty Groszkowskiej i Mirosława Kozlovskiego, Kłopocki w pierwszym odruchu ucieszył się jak dziecko. Miał nadzieję, że rozjaśni mu to obraz sprawy zabójstwa dyrektora Groszkowskiego. Mijał jednak czas, a on po kilkakrotnym przeczytaniu wszystkiego miał ciągle więcej pytań niż odpowiedzi.

Dowiedział się jedynie, że oboje - córka Groszkowskiego i wiceprezes Wadeksu - polecili do Paryża, choć zrobili to osobnymi samolotami. Ona bezpośrednio i dotarła tam dzień wcześniej. Kozlovsky z przesiadką w Wiedniu. Ta oddzielna podróż zastanawiała Kłopockiego - bo zarówno w przypadku lotu bezpośredniego, jak i tego z przesiadką w każdym samolocie było co najmniej pięć miejsc wolnych, co oznaczało, że mogli lecieć razem. Dlaczego nie lecieli razem? - zastanawiał się. Czy byli tam razem, czy też był to czysty przypadek?

W zasadzie na drugie pytanie Kłopocki od razu sobie sam odpowiedział, eliminując kwestię przypadku. Przyjął, że byli tam razem i razem coś załatwiali. Przylecieli i wylecieli mniej więcej w tym samym czasie, różnica między wylotami wynosiła zaledwie dwie godziny. Podróże powrotne mieli ułożone tak samo jak loty do Paryża - jeden bezpośredni i jeden z przesiadką. Czy starali się ukryć, że będą razem w stolicy Francji? - huczało w jego głowie. A jeśli tak, to dlaczego chcieli to ukryć?

Przez chwilę wydawało mu się, że znalazł odpowiedź. Zestawił billingi ich telefonów i wspólny wyjazd. Na pierwszy rzut oka wyglądało to jak zwykły wyjazd kochanków. Jednak po dłuższym zastanowieniu się wyeliminował tę ewentualność, stwierdzając, że kochankowie tacy jak oni nie musieliby się ukrywać, skoro każde z nich było stanu wolnego. Poza tym nawet gdyby panna Groszkowska chciała coś ukryć przed ojcem, to już nie musiała się go obawiać, bo nie żył. Nie musieli lecieć do Paryża, mogli spotkać się na miejscu w dowolnym hotelu, mieszkaniu czy mieście. Nie musieli lecieć osobno, bo nawet jadąc razem, nie wzbudziliby niczyich podejrzeń.

Jedyne, co mu przychodziło do głowy, to że lecieli osobno tylko po to, aby nikt nie wiedział, dokąd i po co lecą i żeby nie łączono ze sobą ich wyjazdów oraz kilkudniowego zniknięcia.

Jakby tego było mało, okazało się, że córka dyrektora finansowego Wadeksu po powrocie do Warszawy szybko wybyła z kraju - najpierw do Niemiec, a następnie do Wielkiej Brytanii, Szwajcarii i znowu do Francji.

Zastanawiał się, czy to zachowanie miało coś wspólnego z treścią ostatniej woli jej ojca, którą obejrzał na filmie u notariusza.

Wstał z biurka, chwycił kurtkę i wyszedł z pokoju. Poczł nagły przypływ wilczego głodu i miał nadzieję, że kiedy się naje, będzie w stanie znaleźć odpowiedzi na pytania, które

kłębily mu się w głowie.

## **Piątek, szósty maja, Paryż**

Spojrzał na zegarek. Dochodziła dziewiąta. Był na miejscu długo przed czasem. Od godziny siedział na ławce i spoglądał na tłumy przechodzące w górę i w dół schodami przed głównym wejściem do Sacré-Cœur. W dłoniach trzymał butelkę wody, a obok niego leżała do połowy zjedzona kanapka z szarpaną wołowiną. Nie wyróżniał się z tłumu niczym szczególnym. Tak samo jak setki otaczających go ludzi był ubrany w jeansy i polo. Miał sportowe buty i niewielki plecak, siedział zwrócony twarzą w kierunku panoramy miasta. Czasem spoglądał na kręcącą się w dole karuzelę lub ulicznych artystów, którzy na schodach zabawiali przechodniów.

Z miejsca, w którym siedział, doskonale widział całe schody aż do podstawy zbocza oraz wejście do katedry i ulicę prowadzącą w kierunku dzielnicy artystów.

- Nick, Nick... - Brown usłyszał swoje imię w słuchawce, którą miał dyskretnie włożoną do ucha, a która wyglądała, jakby słuchał muzyki z telefonu.

- Mów - odpowiedział po cichu.

- Chyba ruszają. - Tim zaraportował zwięźle.

Brown spojrzał ponownie na zegarek. Wszystko szło zgodnie z planem. Ich agent przekazał wcześniej informację, że właśnie o tej porze dojdzie do przekazania ostatniego dysku i że będzie to moment obciążony dużym ryzykiem. Dlatego właśnie musieli być na miejscu, by w razie potrzeby interweniować.

- Idź za nimi i daj znać, jak będziesz przy kościele - powiedział do Tima.

Lustrując otoczenie, bacznie przyglądał się wszystkim, którzy poruszali się w tłumie obok niego. Kilka razy miał wrażenie, że rozpoznaje twarze mężczyzn przesuwających się z tłumem schodami w górę. To był moment, kiedy jego czujność się zwiększała. Rejestrował każdą twarz i każde zachowanie, które odbiegało od normy.

Nagle jego uwagę przykuł człowiek po drugiej stronie zbocza, mniej więcej na tej samej wysokości co on. Przyjrzał mu się dokładniej. Nie mylił się. Poczuł, że serce zabiło mu szybciej. Jeśli ten człowiek był w tym miejscu, to faktycznie agent miał rację co do tego, że może być gorąco. Pułkownik Dzierżgoński lubił osobiście uczestniczyć w trudnych lub ważnych operacjach, a jeśli brał udział w tej, to znaczyć mogło tylko to, że jest ona dla niego ważna i że może być niebezpiecznie.

Brown założył baseballówkę na głowę i schował wodę do plecaka. Wkładając butelkę do środka, dłonią odszukał kaburę z glockiem i wystające z niej dwa zapasowe magazynki.

## **Piątek, szósty maja, Warszawa**

- Trzeba być totalnym idiotą, żeby trzymać w domu taki dowód. - Umundurowany policjant przyniósł Kłopockiemu torbę z ubraniami i pudełko z narzędziami. - To chyba to, inspektorze, co nie?

Kłopocki spojrział na ubrania w torbie i wsunął do jej wnętrza dłoń w lateksowej rękawiczce. Wyciągnął ze środka spodnie.

- Na to wygląda - odpowiedział, podnosząc dłoń z wydrukiem zdjęcia z kamery monitoringu.

- Zabezpieczamy to i do analizy?

- Tak, tak samo jak te dokumenty, które były na stole - odparł, machając ręką w kierunku stołu pośrodku pokoju.

Posterunkowy zaczął pakować wszystko w osobne torebki strunowe i wkładać do większej torby, która jeszcze tego samego dnia miała wylądować w pokoju techników.

Kłopocki był z siebie zadowolony. W całym śledztwie chwycił się drobnych szczegółów i okazało się to kluczem do rozwiązania zagadki śmierci dyrektora Groszkowskiego. Pomysł na przeszukanie mieszkania podejrzanej osoby to był przebłysk jego geniuszu, gdy w barze blisko biura wchłaniał bezwiednie schabowego z kapustą, pochłonięty przemyśleniami na temat Kozłowskiego i Doroty.

Teraz już wiedział, jaki będzie jego następny krok.

## Piątek, szósty maja, Paryż

Dorota szła pierwsza.

Wracali tą samą drogą, którą dostali się do podziemia. Orłowski zorientował się, że Raunier nie był obcy dla pracowników tego szacownego zabytku. Dwa razy mijali strażników i raz kapłana. Za każdym razem widział lekkie skinienie głowy i porozumiewawczą wymianę spojrzeń.

Dysk spoczywał bezpiecznie w torbie Doroty przewieszanej przez jej ramię. Pomimo tego, że szli wąskim korytarzem, w którym słychać było każdy, nawet najmniejszy ruch, Orłowski co kilkanaście sekund lustrował drogę przed i za nimi. Wciąż miał przed oczami widok zwłok adwokata z Zurychu i faceta, którego gonił po mieście, zanim zderzył się z Sarah.

Od poziomu kościoła dzieliły ich ostatnie schody. Orłowski słyszał, jak Raunier, który szedł ostatni, ciężko oddycha za jego plecami.

Gdy byli u szczytu schodów i Dorota stawiała nogę na kamiennej posadzce kościoła, nagle obok głowy Orłowskiego odpadł kawałek ściany. Niewielki odprysk upadł mu wprost pod nogi. W pierwszym odruchu nie spojrział na podłogę. Dokładnie w tym samym momencie od ściany odpadł kolejny odprysk. Tym razem jednak Mike usłyszał wcześniej trwający ułamek sekundy świst powietrza. Błyskawicznie zorientował się, co właśnie się działo.

Ktoś do nich strzelał z broni z tłumikiem. Szybko chwycił idącą przodem Dorotę za pasek torebki i mocno pociągnął w dół schodów. Dziewczyna zachwiała się i rozpaczliwie próbując złapać się za barierkę schodów, poleciała kilka stopni w dół. Raunier i Orłowski przytrzymali ją.

- Ktoś do nas strzela - powiedział cicho do Doroty, pokazując na ślady kul w ścianie.

Po chwili, widząc jej zdziwione spojrzenie, dodał:

- To broń z tłumikiem, dlatego nie słychać strzału.

W tym momencie kolejny pocisk rozbił się w odległości niecałego metra od miejsca, w którym stali. Orłowski zamienił się z Dorotą i lustrował wzrokiem otoczenie, w którym kończyły się schody. Nie widział nikogo w pobliżu wyjścia. W pewnym momencie wydało mu się, że zauważył odbicie światła od jakiegoś metalowego przedmiotu, który przesunął się wysoko, na galerii kościoła.

- Tam. - Wskazał palcem do góry. - Ktoś strzela z tamtej galerii. Jeśli wyjdziemy tymi schodami, to będzie nas miał jak na dłoni.

- Szybko - usłyszeli z tyłu głos Rauniera. - *Avanse* [29](#). Musimy iść. Wyjdziemy innym wyjściem. Musimy iść naokoło.

Adwokat pociągnął ich w kierunku, z którego przyszli. W pustym korytarzu ich kroki dudniły echem. Byli pewni, że ktoś, kto ich zaatakował, bardzo szybko zorientuje się, że uciekają w głąb korytarza. Orłowskiemu wydawało się, że słyszy szybkie kroki na posadzce kościoła.

Raunier szedł pierwszy. Poruszał się bardzo szybko. Minęli schody, którymi poprzednio schodzili na niższy poziom, i wąskim przejściem dotarli do następnej klatki schodowej, którą

zeszli w dół. U podstawy schodów było spore pomieszczenie i dwa korytarze. Raunier bez namysłu skierował się w jeden z nich i ruszył przed siebie szybkim krokiem. Po kilkudziesięciu metrach zatrzymał się i w wąskim uskoku ściany coś chwycił. Gdy Mike i Dorota podeszli bliżej, ich przewodnik był już w połowie drabiny prowadzącej do wyższego poziomu. Kroki, które ich goniły, były coraz bliżej. Nie zastanawiając się więcej, Mike popchnął Dorotę w kierunku drabiny. Dziewczyna sprawnie wchodziła na górę, a Orłowski błyskawicznie przemieszczał się za nią.

Na szczycie drabiny był korytarz bez żadnego rozwidlenia. Niewielki i niski, prowadził ich dalej pod posadzką. Orłowski oszacował, że są na poziomie minus jeden lub na poziomie jezdni od strony niższej części kościoła.

Biegli korytarzem, a w uszach dudnił im odgłos butów człowieka podążającego ich śladem. Był coraz bliżej. Dorocie wydawało się, że słyszy jego ciężki oddech.

- Tam. - Raunier pokazał palcem kierunek, uchylając drzwi w ścianie korytarza. - W tę stronę.

Wyszli na ulicę z tyłu katedry, dokładnie po drugiej stronie od wejścia. Ciężkie żelazne drzwi zatrzasnęły się za nimi. W zapadającym zmierzchu miasto wyglądało nieco inaczej niż w chwili, gdy wchodzili do kościoła.

Mike szybko zorientował się, że wydostali się z kościoła z tyłu za ołtarzem, dokładnie po drugiej stronie od głównego wejścia. Po lewej stronie mieli Montmartre i jedną z pierwszych wąskich uliczek zapełnionych turystami. Wmieszanie się w tłum byłoby kuszącą propozycją, gdyby nie fakt, że właśnie z tej strony przyszedli do katedry. Jediną drogą ucieczki była ulica przed nimi. Ruszył przed siebie, ciągnąc za rękę Dorotę. Raunier biegł razem z nimi. Pędzili bez tchu do łuku ulicy. Orłowski obrócił się tuż przed podjęciem decyzji, w którą stronę biec dalej. Drzwi kościoła, te, przez które wybiegli, były otwarte i stał w nich mężczyzna ubrany na czarno. W bladym świetle pobliskiej latarni ulicznej rozpoznał go, gdy ten podniósł twarz. To był ten sam człowiek, który w Zurychu zabił adwokata. Był tak wysoki, że przechodząc przez drzwi, musiał schylić głowę. W ręku trzymał pistolet. Orłowski dałby sobie rękę obciąć, że z tłumika wylaływała cienka struga dymu. Na ułamek sekundy ich spojrzenia się skrzyżowały.

- *Monsieur*, szybko. - Raunier poganiał go.

Orłowski, nie namyślając się, skręcił lekko w prawo i wciągnął swoją towarzyszkę na schody. Biegli w dół, przeskakując po dwa stopnie. Nie oglądali się za siebie. Dorota sapała ze zmęczenia, a Orłowski dopingował ją, by biegła szybciej.

Gdy byli na samym dole, spojrzeli w górę. Ich prześladowca dopiero dobiegł do szczytu schodów. Orłowski szybko zidentyfikował ich szansę. Ucieczka ulicą nie miała sensu. Ocenili, że na płaskim terenie będą wolniejsi od człowieka, który jednym krokiem pokonuje dystans, na który oni muszą zużyć co najmniej dwa i pół kroku.

- Chodź - krzyknął do Doroty i pociągnął ją w poprzek jezdni, w stronę kolejnych schodów prowadzących do samego dołu wzniesienia, na którym dumnie wznosiła się bazylika Sacré-Cœur.

Schody były węższe i bardziej strome, a światła tylko w niektórych miejscach skutecznie je oświetlały. Dzięki poręczy umieszczonej pośrodku nie spadli w dół. Na samym dole Mike widział kłębowisko ludzi i samochodów. Z tego, co pamiętał, powinno być tam również metro. Adwokat zwolnił nieco tempo. Szybkie przemieszczanie się po schodach w pantoflach sprawiało mu wyraźną trudność.

Gdy dotarli do podnóża schodów, facet z pistoletem wchodził na ich szczyt. Mieli nad nim przewagę dwudziestu, może trzydziestu sekund.

Mike wpadł na jezdnię i zaczął wymachiwać rękami. Momentalnie zatrzymała się przy nich taksówka. Wskoczyli do niej.

- Dobry wieczór państwu... - kierowca przywitał ich, zanim jeszcze zamknęli drzwi.

- Jedź! - Mike wrzasnął po angielsku i dodał, wyciągając dłoń w kierunku przodu pojazdu: - Szybko, tam...

- *Avanse, avance s'il vous plait* <sup>30</sup> - wtórował mu Raunier, który wskoczył na przednie siedzenie auta.

Kierowca zrozumiał ich w mig. Natychmiast wrzucił bieg, po czym ruszył żwawo do przodu. Silnik zawył głośno i auto poderwane mocą drzemiącą pod maską płynnie wbiło się w strumień pojazdów na Rue Custine.

W momencie gdy zmieniali pas, odbijając od brzegu jezdni, goniący ich mężczyzna wpadł na jezdnię wprost pod nadjeżdżający skuter. Kierowca skutera zahamował naraz dwoma hamulcami i butami, stawiając je błyskawicznie na jezdni. Pojazd zachwiał się pod kierowcą. Ten moment wystarczył, aby człowiek z bronią wyciągnął pistolet w kierunku kierowcy, który odskoczył jak oparzony od skutera. Mike przez tylną szybę obserwował, jak ich prześladowca chowa broń pod kurtkę i wsiada na skuter.

- Goni nas cały czas - powiedział po angielsku.

Raunier spojrział przez ramię w tył.

- Ten skuter - powiedział Orłowski, pokazując niewielki pojazd jadący za nimi slalomem między innymi samochodami.

Kierowca taksówki spojrział w lusterko i odruchowo przycisnął pedał gazu. Nie potrzebował żadnych wyjaśnień. Zdyszani pasażerowie z przerażeniem w oczach i człowiek goniący ich na skuterze stanowili dla niego jasną sytuację.

- Czy mamy gdzieś konkretnie uciekać przed tym panem? - taksówkarz zapytał Rauniera.

- Île de la Cité - odparł mu adwokat.

- Czemu tam? - spytał Orłowski.

- Tylko tam mamy szansę mu uciec. Mam znajomego, który, jeśli będziemy mieli nad nim odpowiednią przewagę - mówiąc to, pokazał na goniący ich skuter - to pomoże nam go zatrzymać, a przynajmniej da tyle czasu, żebyśmy byli w stanie zniknąć mu z pola widzenia.

Kierowca taksówki wykazywał się niezwykłą zręcznością i kunsztem prowadzenia auta w paryskim gąszczu pojazdów i ulic. Wykorzystywał każdy moment, żeby zyskać przewagę nad skuterem, który nawet lawirując między autami, nie był w stanie przybliżyć się do nich na więcej niż pięćdziesiąt metrów.

Jechali już wzdłuż Sekwany. W zasięgu wzroku mieli Notre-Dame i most prowadzący na Île de la Cité.

Nagle kierowca zaczął gwałtownie hamować. Przed wjazdem na most był korek. Orłowski się obejrzał. Mężczyzna na skuterze był coraz bliżej. Nie mieli czasu do stracenia. Musieli działać.

- Wysiadamy - podjął decyzję i pierwszy otworzył drzwi, rzucając na deskę rozdzielczą kilka banknotów za przejazd. Dorota błyskawicznie znalazła się obok niego. Raunier siłował się chwilę z pasem bezpieczeństwa.

Ruszyli biegiem przez most uważany za most zakochanych, gdzie kiedyś wisały tysiące kłódek zapiętych przez pary, które następnie wrzucały klucze do Sekwany z wiarą, że ich uczucie będzie w ten sposób nierozzerwalne. O tej porze, jak zwykle wieczorem, to miejsce odwiedzały rzesze turystów. Musieli biec slalomem pomiędzy ludźmi stojącymi i spacerującymi po chodniku.



Za plecami słyszeli silnik skutera, który to przyspieszał, to zwalniał, a w tym czasie z różnych stron rozlegały się dźwięki klaksonów.

Nagle Raunier przewrócił się i padł jak długi na chodniku w miejscu, w którym most kończył się, a chodnik skręcał w kierunku parku okalającego katedrę. Mike obejrzał się, żeby ocenić, jak daleko za nimi jest prześladowca. Jednocześnie schylił się w stronę adwokata, żeby pomóc mu wstać. W tym momencie zrozumiał. Nienaturalny i błyszczący kształt na kierownicy skutera oraz ciężkie ramię mężczyzny leżącego przed nim świadczyły tylko o jednym. Spojrzał w dół. Z tyłu głowy Rauniera widniał niewielkich rozmiarów otwór, który błyskawicznie zapełniał się czerwienią. Krew nasączała włosy i po szyi skapywała na chodnik. Kula weszła po cichu, centralnie w linii kręgosłupa. Mężczyzna nie miał żadnych szans. Nawet nie wiedział, co się stało. Dla niego po prostu nastąpiła ciemność.

Poderwał się i chwycił Dorotę za łokieć, ciągnąc ją przez furtkę na teren Notre-Dame. Biegiem przemierzali park otaczający katedrę. Orłowskiemu zdawało się, że cały czas słyszy ciężkie buty mężczyzny biegnącego za nimi po szutrowych alejkach.

Gdy wpadli w tłum przed katedrą, gdzie jak zwykle zgromadzone były setki ludzi podziwiających ten wyjątkowy przykład gotyckiej architektury, Orłowski obrócił się i dostrzegł, że mają dobre pięćdziesiąt metrów przewagi nad ich prześladowcą. Jednocześnie zauważył, że mężczyzna utyka na prawą nogę, co mogło być efektem szaleńczej jazdy na skuterze.

Skwer przed katedrą przemierzali w kilkanaście sekund. Orłowski zamierzał skierować się do metra i skręcił w stronę najbliższej stacji. Wtedy, jak na zawołanie, pojawił się przed nimi dostawca pizzy na skuterze. Młody chłopak zszedł z jednoślada, wyłączył silnik i odszedł w kierunku budynku po drugiej stronie ulicy. W stacyjce skutera błyszczały kluczyk.

- Tam - krzyknął do Doroty, pokazując na pojazd.

Pierwszy wskoczył na siodełko i popchnął skuter, żeby odblokować podpórkę. Przekręcił kluczyk i ciepły silnik zaskoczył za pierwszym dotknięciem startera. Dorota prawie bez sił wdrapała się na kanapę za nim i chwyciła go w pasie. Silnik najpierw zawył, a sekundę później przekazał energię na tylne koło, które poderwało pojazd i ruszyło do przodu. Orłowski od razu pochylił się nad kierownicą, a Dorota zrobiła to samo, kładąc się na jego plecach. Pędzili przed siebie, byle dalej od tego miejsca i tego mężczyzny. Mike co kilka chwil spoglądał w lusterko. Mężczyzna nie gonił ich, a przynajmniej tak wydawało się Orłowskiemu.

Przez dobre pół godziny krążyli po ulicach, żeby mieć pewność, że zgubili zabójcę Rauniera. Ciemność na dobre rozgościła się już nad miastem.

- Tutaj zostawimy skuter i stąd pojedziemy metrem. - Orłowski wskazał drogowskaz na skrzyżowaniu, gdy stali na czerwonym świetle.

- Centrum Pompidou? - spytała. - Chcesz teraz zwiedzać?

- Nie. Nie będziemy zwiedzać. Tutaj jest dużo turystów, ale jeszcze więcej młodych ludzi, dla których to miejsce spotkań. Wmieszamy się w tłum i będziemy bezpieczniejsi. Poza tym tu jest jedna z największych stacji metra, więc znalezienie nas w tym gąszczu ruchomych schodów, wind oraz krzyżujących się linii daje nam więcej bezpieczeństwa niż inne miejsca.

Podjechał do krawężnika i zaparkował skuter. Gdy zeszli, Dorota zachwiała się lekko.

- W porządku? - spytał, podtrzymując ją.

- Tak, tak. Tylko zaschło mi w gardle.

- Chodź. Wejździemy do jakiejś kawiarni albo restauracji, napijemy się i coś zjemy, póki mamy taką możliwość. Ja też chętnie chwilę odpocznę, bo żebra dają mi się jeszcze we znaki - powiedział, kładąc dłoń w bolącym miejscu, pamiętając po niedawnym przesłuchaniu i drewnianej pałce.

- Coś masz na myśli? - spojrzała na niego zdziwiona.

- Wiesz, po tym, co się tutaj działo, nie jest wykluczone, że kiedy dotrzemy do hotelu, to ktoś będzie na nas czekał. A poza tym - dodał - jest już późno i wątpię, aby hotelowa restauracja była w stanie zaoferować nam coś więcej niż orzeszki w paczce i pepsy w puszcze.

Narożna restauracja wydała im się najlepszym miejscem do odpoczynku i zjedzenia kolacji. Dopiero gdy przekroczyli próg ogródka, zdali sobie sprawę, jak bardzo są głodni.

Dostali stolik pod ścianą, w miejscu, z którego mogli obserwować całe skrzyżowanie. Kelner pojawił się obok nich w mgnieniu oka. Gdy studiowali kartę dań, na stole wylądowała bagietka i talerz z oliwą zmieszaną z balsamico. Zamówili pastę z warzywami i po kieliszku wina.

Gdy czekali na jedzenie, mężczyzna siedzący przy stoliku obok nachylił się w stronę Orłowskiego.

- Banville? Hotel de Banville? Mieszkacie w hotelu de Banville? - spytał po angielsku.

- Tak - odpowiedział Mike, jednocześnie go lustrując.

Zauważył plecak leżący na krześle przy stole.

- Tak mi się wydawało - luźniej kontynuował nieznajomy. - Widziałem was dziś rano na śniadaniu. Byliście jeszcze z jedną parą. Podróż poślubna?

- Nie. Interesy - odparł Orłowski. Dorota cały czas milczała.

- James - nieznajomy wyciągnął dłoń, przedstawiając się. - Ja też jestem w Paryżu służbowo.

- Mike - wskazał na siebie i następnie towarzyszkę - a to Dorota.

- Jakie macie plany na wieczór? - James starał się podtrzymać rozmowę w oczekiwaniu na jedzenie.

- Zjemy i wracamy do hotelu. To był dla nas męczący dzień.

- To tak samo jak ja - odparł mężczyzna. - Jeśli nie macie nic przeciwko, to możemy wrócić jedną taksówką. Na metro nie mam siły, a kosztem taksówki możemy się podzielić. Co wy na to?

Orłowski nawet się nie namyślał. To było dla nich doskonale rozwiązanie. Założył, że jeśli pojawią się w hotelu z kimś obcym, to będą w miarę bezpieczni.

- Super. To zrobmy tak... - przerwał mu kelner, którzy postawił na ich stoliku dwa talerze z gorącą pastą.

- *Bon appétit, monsieur-dame* <sup>31</sup> - powiedział kelner i zniknął, aby za moment pojawić się z dwoma kieliszkami wina.

Wszyscy troje zajęli się konsumpcją. Orłowski wyjął komórkę i wybrał numer telefonu Sarah. Telefon był wyłączony. Odszukał numer do Pierre'a. Ten również nie odpowiadał. Wysłał im obojgu wiadomość tekstową z prośbą, żeby się z nim skontaktowali. Jeszcze się nie martwił, ale poczuł niepokój, że nie ma od nich żadnych wieści. Według planu mieli być bezpieczni - ich zadaniem było obserwować, a nie interweniować. Miał nadzieję, że w hotelu wszystko się wyjaśni.

---

<sup>29</sup> *Avanse* (franc.) - ruszajmy, chodźmy.

<sup>30</sup> *Avanse, avance s'il vous plait* (franc.) - Jedź, jedź, proszę.

<sup>31</sup> *Bon appétit, monsieur-dame* (franc.) - smacznego państwu życzę.

## **Piątek, szósty maja, Paryż**

Siedział w fotelu bez ruchu i patrzył w zamyśleniu na lustro wiszące na ścianie hotelowego pokoju. Cały czas zastanawiał się, czy dobrze zrobił, zabijając Carcasse'a.

Gdy to planował, wydawało mu się, że po wszystkim będzie czuł ulgę albo przynajmniej jakiś rodzaj satysfakcji, cokolwiek, co pozwoli mu doświadczyć długo wyczekiwanego triumfu nad tym znieawidzonym człowiekiem.

Satysfakcja jednak nie przyszła. Siedząc w fotelu, doświadczał refleksji, że źle zrobił, pozbawiając go życia w tak trywialny sposób. Carcasse zasługiwał na zupełnie inną śmierć, powinien bardziej cierpieć. To wszystko powinno trwać dłużej, tak aby on, zwycięzca, ten, który przetrwał, mógł czerpać z tego przyjemność i zapisać w pamięci obraz cierpienia szumowiny, która tyle lat działała na jego szkodę.

Nie zależało mu na bezczeszczeniu jego zwłok. To kompletnie nie miało dla niego znaczenia i było tylko formalnym obowiązkiem związanym z zadaniem. Traktował je jak zwykłe polecenie, takie samo jak wiele z tych, które musiał i chciał wykonywać przez lata służby.

Na biurku pod lustrem zawibrował telefon. Dzierżgoński wstał i odebrał połączenie.

- Pułkowniku - zaczął rozmówca - córka Groszkowskiego wróciła do hotelu z tym facetem z biura. Przyjechali z miasta taksówką i właśnie wsiedli do windy, ale jest jeszcze coś. Przyjechał z nimi jeszcze jeden mężczyzna. To chyba gość hotelowy, Amerykanin. Jak wysiadali, udało mi się podsłuchać ich rozmowę. Taka zwykła, towarzyska wymiana zdań. Słyszałem, jak umawiali się na śniadanie na rano.

- A tamta druga para?

- Nie ma ich jeszcze w hotelu. Jak tylko się pojawią, to dam znać.

- Jasne - odparł pułkownik i się rozłączył.

## **Piątek, szósty maja, Paryż**

- I co? - Dorota siedziała i patrzyła na Mike'a, który kolejny raz łączył dyski i próbował pobudzić je do życia.

Za każdym razem wyjmował wszystkie kable i łączył od nowa, wsuwając delikatnie wtyczki do gniazd. Sprawdzał, czy przypadkiem żadne gniazdo nie jest uszkodzone albo zabrudzone. Efekt był ciągle ten sam. Dyski po podłączeniu do jego komputera nie reagowały.

- Nie mam pojęcia, o co chodzi. - Opadł na krzesło i patrzył tępo w ekran komputera stojącego na hotelowym stole.

Po przyjeździe do hotelu rozstali się z napotkanym w kawiarni turystą, z którym odbyli powrotną podróż, i poszli prosto do pokoju Doroty. Mieli wszystkie dyski i chcieli odczytać ich zawartość. Po drodze zabrali komputer z pokoju Orłowskiego i udali się do niej - miała większy pokój i stół, na którym mogli rozłożyć pudełka z dyskami.

Niezależnie jaką kolejność łączenia przyjęli, za każdym razem efekt był ten sam. Orłowski obracał pudełka i oglądał je z każdej strony. Nie znalazł innej możliwości połączenia dysków. Pierwszy, ten, który Dorota otrzymała jeszcze w Warszawie, miał tylko jeden kabel, który pasował tylko do gniazda w drugim dysku - tym, który otrzymali w Londynie. Ten z kolei miał kabel, który z uwagi na kształt wtyczki można było podłączyć tylko do dysku z Zurychu. Ostatni dysk dał się podłączyć do dysku z Zurychu i do komputera. Jedyne, nad czym zastanawiał się Orłowski, to wtyczka, którą umieścił w komputerze. Nie była standardowa. Od strony uchwytu było w niej niewielkie wgłębienie przypominające gniazdo na ładowarkę od telefonu, jednak w kształcie, którego nigdy nie widział. Przy dyskach nie było żadnego dodatkowego kabla, więc przyjęli, że to tylko element uchwytu wtyczki.

- Powiedz mi jeszcze raz, co mówił twój ojciec na tym filmie - powiedział do Doroty. - Wszystko może mieć znaczenie. Być może w tym, co mówił, jest informacja o tym, jak podłączać te dyski. Przypomnij sobie nawet to, co nie jest związane z dyskami.

Groszkowska przełknęła ślinę.

- Najpierw powiedział, że jeśli widzę to nagranie, to znaczy, że on nie żyje. Dodał, że przygotował to specjalnie na taką okoliczność. Później powiedział, że mam zrobić dla niego coś bardzo ważnego i że zostawił dla mnie coś cennego, co wielu ludzi chciałoby dostać albo to zniszczyć. Dalej mówił, że to ja mam podjąć decyzję, co z tym zrobić, i że najpierw mam spotkać się z tym zakonikiem, żeby z nim porozmawiać. Powiedział, że on nazywa się Albert Konieczny i powie mi więcej na temat tego, co mam dostać. Kazał mi dokładnie zapamiętać wszystko, co mówił, i niczego nie zapisywać. Miałam zadzwonić do mnicha. Użył nawet sformułowania, że im szybciej, tym lepiej.

Zawiesiła głos.

- To wszystko? Na pewno?

- No w sumie tak. Na koniec powiedział jeszcze coś o bransoletce.

Orłowski uniósł głowę.

- Bransoletce?

- No tak. Dał mi ją kiedyś na urodziny i w tym filmie pytał, czy ją noszę.

- A co dokładnie wtedy powiedział?

Dorota przewróciła oczami w geście zniecierpliwienia. Zaczęła mówić od niechcienia.

- Coś jakby: mam nadzieję, że nosisz prezent ode mnie... I że to specjalny prezent.

Orłowski się zamyślił.

- A skąd wiesz, że chodzi o bransoletkę? - spytał.

- Proste - odparła od razu. - Jak o tym mówił, to chwycił palcami przegub dłoni i od razu wiedziałam, że mówi o bransoletce.

Mówiąc to, jedną dłonią objęła swój drugi nadgarstek w taki sam sposób, jak zrobił to ojciec na nagraniu.

- A poza tym to była jedyna biżuteria, jaką od niego dostałam - dodała. - On nigdy nie kupował mi prezentów. Nawet na urodziny czy na święta potrafił tylko zamówić stolik w restauracji.

- Pokaż. - Orłowski wyciągnął dłoń w kierunku Doroty i palcem wskazał bransoletkę na jej przegubie.

Odpięła zapięcie i podała mu niewielki przedmiot. Orłowski obracał go w świetle lampy na wszystkie strony. Była to zwykła bransoletka, jakich wiele w salonach z biżuterią. Składała się z małych ogniw i dzięki temu była bardzo elastyczna. Trzy kolory złota przeplatały się wzajemnie, a na obu końcach trafiały do zapięcia, które było jednocześnie magnesem przyciągającym obie końcówki. Na zawiasie do blokowania zapięcia zauważył niewielki sztyft.

Orłowski położył bransoletkę na blacie biurka. W świetle lampy przyglądał się jej z każdej strony, co jakiś czas przesuwając palcem, aby zmienić kąt patrzenia. Przyjrzał się dokładnie każdemu ogniwu, najpierw od góry, a później od dołu. Wszystkie wyglądały dokładnie tak samo. Były idealnie gładkie. Żadnych napisów, inskrypcji ani śladów, które mogłyby zawierać jakieś sekretne przesłanie.

- To chyba nie to, co? - zapytała Dorota, nachylając się nad biurkiem i razem z nim wpatrując się w biżuterię.

- Myślałem, że to może być jakiś trop, ale chyba nie. Nie widzę nic szczególnego.

Wstał od stołu. Spojrzał z góry na płataninę kabli na biurku. Nagle pochylił się nad bransoletką. Chwycił dwie końcówki bransoletki i tak wygiął całość, że znalazły się równoległe do siebie. Dorota momentalnie znalazła się przy nim i patrzyła mu przez ramię, gdy podnosił bransoletkę do światła.

- Są inne, prawda? - spytał.

- No... tak jakby - odpowiedziała z wahaniem w głosie. - Ta po prawej jest jakby większa, to znaczy dłuższa.

- No właśnie - odparł i wsunął dłuższą część zapięcia między palce prawej dłoni. Palcami drugiej zaczął delikatnie naciskać zapięcie i poruszać nim. Po chwili zauważył, że metal się poluzował i coś się rusza. Dalej pracował palcami i w pewnym momencie w lewej ręce została mu bransoletka, a w prawej niewielka tulejka zdjęta z zapięcia.

- O kurczę... - wyrwało się Dorocie.

- Chyba o to mu chodziło. - Orłowski był z siebie zadowolony. - To wygląda jak wtyczka do gniazda w ostatnim dysku.

Przyłożył bransoletkę do dysku, trzymając za odkrytą właśnie część zapięcia i wsunął ją w niewielki otwór w obudowie.

Nagle dyski ożyły. Na każdym z nich regularnie błyskały lampki. Na ekranie komputera pojawił się komunikat, że podłączono zewnętrzne dyski pamięci.

## **Piątek, szósty maja, Warszawa**

Przed nim na biurku leżały postanowienia prokuratora. Wyrażał zgodę na aresztowanie dwóch osób.

Wszystko pasowało do siebie idealnie. Wiedział, kto i dlaczego zabił, wiedział, jak to przebiegało...

Podrapał się po zaroście. Nurtowała go jeszcze jedna kwestia - nie miał pojęcia, jak połączyć sprawę Groszkowskiego ze sprawą zakonnika zamordowanego w klasztorze. Osobą łączącą te dwie śmierci była jedynie córka Groszkowskiego.

Postanowił o tym na razie nie myśleć. Musiał zająć się czysto techniczną kwestią zatrzymania tych, którzy pomogli odejść na tamten świat dyrektorowi finansowemu Wadeksu.

## **Piątek, szósty maja, Paryż**

- Długo to trwa. - Pierre był znudzony wpatrywaniem się w migające diody dysków. Pasek postępu odczytywania na ekranie ciągle przesuwiał się w stronę stu procent, ale trwało to bardzo długo.

Usłyszeli pukanie do drzwi. Dorota i Sarah siedzące na niewielkiej sofie równocześnie podniosły głowy. Pierre nie zwrócił uwagi na dźwięk. Tylko Mike podniósł się z krzesła, pochylając klawiaturę komputera tak, żeby nie było widać ekranu, i podszedł do drzwi. Ledwie położył dłoń na klamce, a ktoś z drugiej strony napał na drzwi z ogromną siłą - tak mocno, że Orłowski upadł na podłogę. W ułamku sekundy w pokoju znalazło się dwóch mężczyzn. Orłowski zerwał się na równe nogi, zanim Pierre zdążył zorientować się, co się dzieje. Intruzi byli szybsi. Błysk broni w ich dłoniach szybko ostudził wszelkie pomysły na pozbycie się niechcianych gości. Dopiero gdy Orłowski podniósł się z dywanu, zauważył, że na korytarzu stał ktoś jeszcze - starszy mężczyzna, który patrzył na niego w milczeniu. Nie miał pistoletu. Gdy jego młodsi pomocnicy rozstąpili się i mieli pewność, że każdy w pomieszczeniu zauważył broń w ich dłoniach, starszy człowiek wszedł do środka.

- Dobry wieczór państwu - powiedział po polsku z akcentem zdradzającym, że to jego ojczysty język.

Dorota spojrzała na niego z zaskoczeniem. Orłowski śledził każdy jego ruch i obserwował mężczyzn z bronią. Cofnął się dwa kroki i stanął przy brzegu łóżka.

Pułkownik Dzierżgoński zamknął drzwi i podszedł do stołu, na którym stał komputer i podłączone do niego dyski. Przez chwilę patrzył na plątaninę kabli i urządzeń.

- A więc to jest to, co Staszek ukrywał przed światem? - powiedział, nie kierując pytania do nikogo konkretnego.

- Pan znał mojego ojca? - spytała Dorota z pogardą w głosie.

- Nie tylko znałem, ale i pracowałem z nim... do pewnego czasu - odpowiedział, nie odwracając głowy od komputera.

Odchylił do tyłu ekran i przyglądał mu się przez chwilę, po czym odłączył dyski od gniazda w bocznej ścianie obudowy.

- Pozwolicie, że wezmę to, po co przyszedłem - powiedział, wkładając urządzenia do kieszeni kurtki. - Nie jest wam to potrzebne, a ja wiem, jaki zrobić z tego użytek.

Dorota zerwała się z kanapy i ruszyła w kierunku Dzierżgońskiego, ale Mike był szybszy. Jego ramię zatrzymało ją w pół drogi, zanim towarzysze pułkownika zdążyli zareagować. Sarah i Pierre przyglądali się temu wszystkiemu w milczeniu, sparaliżowani faktem, że ktoś celował do nich z broni.

- Nie warto - powiedział do niej Orłowski, gdy spojrzała na niego ze złością w oczach.

Dzierżgoński wyszedł z pokoju. Jego towarzysze podążyli za nim jak cienie. Drzwi zamknęły się za nimi. Usłyszeli szcęk zamka i dźwięk przekręcanego klucza.

Orłowski pierwszy dopadł do drzwi. Szarpnął za klamkę.

Byli zamknięci od zewnątrz, a klucz tkwił w zamku.



## Sobota, siódmy maja, Paryż

- Co to kurwa jest? - Mężczyzna siedzący za ogromnym mahoniowym biurkiem krzyczał w stronę Dzierzgońskiego i umundurowanego oficera, który siedział obok niego. - Co ja mam kurwa z tym zrobić? Praca dziesiątek ludzi, trupy na całym kontynencie i budżet wielkości wydatków małego państwa, a wy przynosicie mi coś takiego?

- To jest to, co zabraliśmy jego córce i ludziom, którzy jej pomagali - odparł nieśmiało Dzierzgoński.

- Gówno, a nie zabraliście! - Mężczyzna za biurkiem cały czas krzyczał. - Podłożyli wam to, a wy daliście się nabrać jak smarkacze.

- Pułkowniku. - Dzierzgoński skierował twarz w stronę mężczyzny za biurkiem. - Odzyskaliśmy dyski tak szybko, jak to tylko było to możliwe. Działaliśmy według planu i zgodnie z wytycznymi. To niemożliwe, żeby ci amatorzy podłożyli inne dyski.

Pułkownik Wasylszyn z wojskowego wywiadu Federacji Rosyjskiej spojrział na Dzierzgońskiego i jego towarzysza z obrzydzeniem.

- Jak więc wytłumaczycie mi to, że na dyskach, których szukaliśmy od kilku lat, nie ma tych materiałów, które nas interesowały, ale zamiast nich są kopie dokumentów, które wywiad amerykański wykradł od nas dwa lata temu?

W pokoju zapadła cisza. Ani Dzierzgoński, ani jego kompan - porucznik służby wywiadu Tenortow - nie wiedzieli, jak doszło do tej zamiany. Przez długą chwilę w pomieszczeniu ambasady Federacji Rosyjskiej w Paryżu, w której się znajdowali, panowała cisza. Jedynymi dźwiękami, które docierały do pomieszczenia, były odgłosy nocnego paryskiego ruchu ulicznego. Wybiła druga w nocy. Po ulicach wciąż krążyły setki samochodów, które przemierzały ulice miasta pełnego świateł.

Wasylszyn kontynuował.

- Według mojej oceny wyglądało to tak, że dyski były prawdziwe i ktoś je podmienił, żeby dać wam te, które mi tu przynieśliście. W tym czasie prawdziwe są już daleko stąd i ktoś robi z nich użytek, być może przeciwko nam. Prawda, pułkowniku Dzierzgoński?

Dzierzgoński patrzył na swojego rozmówcę tępym wzrokiem. Nic nie odpowiedział. Przyznanie się do błędu po tylu latach bezbłędnej służby było dla niego hańbą nie do opisania - tym większą, że był to błąd w sprawie o wiele ważniejszej niż dziesiątki innych, które prowadził wcześniej.

Pułkownik Wasylszyn wstał. Momentalnie gest ten powtórzył porucznik Tenortow. Dzierzgoński uniósł głowę i powoli podniósł się z krzesła.

Ich spotkanie było zakończone.

- Pułkowniku. - Wasylszyn patrzył prosto w oczy Dzierzgońskiego. - Zawiedliśmy się na was, i to bardzo.

Krew zapulsowała mu w głowie.

To mogło oznaczać tylko jedno.

## Niedziela, ósmy maja, Salmopol

Wiosenne słońce powoli chowało się za szczytami. Inspektor Kłopocki zdał sobie sprawę, że już od dawna nie był w górach. Tak lubiane kiedyś przez niego piesze wędrówki zostały zastąpione codzienną bieganiną za zwykłymi sprawami, awansem, pozorami zawodowego sukcesu za niewielkie pieniądze.

Bardzo często zadawał sobie pytanie, czy wykonywana przez niego praca naprawdę daje mu satysfakcję i jest tak wielką pasją w jego życiu, że może zrezygnować dla niej z dochodów, które uzyskiwałby jako prawnik, którym był z wykształcenia.

Zanim skierował się pod interesujący go adres, zajechał na posterunek lokalnej policji. Tam czekali uprzedzeni o jego przyjeździe mundurowi funkcjonariusze. Dla nich było to nie lada wydarzenie. Nieczęsto mieli sposobność dokonać aresztowania w sprawie o morderstwo, a już tym bardziej aresztowania podwójnego.

Gdy dojechali pod adres, który podał im Kłopocki, okazało się, że przed domem stały dwa auta. Inspektor od razu rozpoznał, że jeden z pojazdów należy do Doroty Groszkowskiej, a drugi do Mirosława Kozłowskiego – dwójki ludzi, dla których przejechał pół kraju.

Dom stał na zboczu góry poza terenem samego Salmopolu. Nie było go widać z drogi, a jego mieszkańcy mieli zapewnioną ogromną dozę intymności oraz przepiękny widok na dolinę rozciągającą się za domem.

Groszkowska nie była zaskoczona widokiem inspektora Kłopockiego. Spodziewała się go i od razu zaprosiła do środka. Zaskoczenie pojawiło się na jej twarzy dopiero gdy Kłopocki poinformował ich oboje, że nie tylko Kozłovsky, ale i ona jest aresztowana.

- Widzi pani, pani Doroto... - Inspektor usiadł na brzegu kanapy i wskazał mundurowym krzesła przy stole, żeby poszli za jego śladem i też zajęli miejsca. Zamierzał opowiedzieć im o tym, jak wpadł na to, że i ona była współnikiem w zabójstwie własnego ojca. - Moja robota polega na zbieraniu i analizowaniu informacji. Działam trochę jak historyk. Zaglądam do przeszłości i wyciągam z niej wnioski. Czasem na podstawie tych wniosków jestem w stanie zbudować prawdziwy obraz wydarzeń.

Spojrzał po wszystkich zgromadzonych w pomieszczeniu. Policjanci na krzesłach nie bardzo wiedzieli, o co chodzi, ale z poważną miną słuchali starszego stopniem i stażem kolegi ze stolicy. Kozłovsky siedział na sofie, a Dorota na fotelu. Oboje nie byli skuci kajdankami. Tę czynność Kłopocki chciał pozostawić sobie na sam koniec ich spotkania. Wcześniej zamierzał poczuć pełnię satysfakcji z rozwiązania zagadki i opowiedzenia im, dlaczego wpadli oraz jak mało o sobie wiedzieli.

- Pani Doroto - zaczął. - Zacznę od pani jako inicjatorce całego procesu.

Dorota spojrzała na niego z wyrzutem i złością w oczach. Nic nie powiedziała, lecz jej mina wyrażała wszystko.

Zachowywała się dokładnie tak jak Kłopocki przewidywał, że będzie się zachowywała. Na jej twarzy, w jej ruchach i gestach mieszała się złość, niedowierzanie i zaskoczenie. Gdy jechał na południe Polski, przez te kilka godzin za kółkiem układał sobie nie tylko słowa

i zdania, które zamierzał powiedzieć, ale również prawdopodobny scenariusz tego spotkania i wyobrażał sobie, jakie reakcje Doroty oraz jej współnika w zbrodni wywołają jego słowa.

Niewzruszony jej emocjami Kłopocki kontynuował.

- To pani miała motyw.

Podniósł rękę, aby powstrzymać sprzeciw, który wyrażała jej twarz.

- Proszę nic nie mówić. Ja opowiem. Po pierwsze chciała pani zagarnąć to, co należało do pani ojca, Stanisława Groszkowskiego. Wiemy oboje, że było tego dużo, i to bardzo dużo. Przez wiele lat pani ojciec zebrał majątek o ogromnej wartości, składający się z bardzo wielu różnych składników. Poza akcjami, których stan posiadania ujawniony był na giełdzie papierów wartościowych, w skład majątku wchodziły nieruchomości, dzieła sztuki, złoto w różnej postaci, diamenty, a nawet posiadłości położone poza terenem Polski. Oczywiście może pani powiedzieć, że nic o tym nie wiedziała. Ale to byłaby tylko częściowa prawda. Faktycznie nie dowiedziała się pani o tym majątku od ojca. Ktoś inny przekazywał pani informacje.

Kłopocki zrobił przerwę i popatrzył na Kozlovskiego, który nie bardzo rozumiał tę opowieść.

- Zanim opowiemy sobie o tej osobie i o tym, jak wpadłem na jej ślad, chciałbym poruszyć drugi motyw pani działania. I tutaj zastanawiam, się czy ten motyw nie jest czasem ważniejszy od tego pierwszego. Chodzi o pani relację z ojcem. To ona, a właściwie jej brak i cała niepoprawność relacji, sięgająca jeszcze okresu dzieciństwa, wpłynęła na to, jak postrzegała pani ojca. Wiem, co się działo, gdy razem z ojcem i matką mieszkaliście na terenie jednostek wojskowych w różnych miejscach kraju. Z akt służby pani ojca oraz z akt Wewnętrznej Służby Wojskowej wynika, że pani ojciec był człowiekiem okrutnym, a przemoc, której doznała pani jako dziecko, była niewyobrażalna. Wiem o pobiciach, karach fizycznych i torturach fizycznych oraz psychicznych. Znam też historię związaną z pani pobyt w szpitalu po jednym ze zdarzeń domowych, gdy spędziła pani tam trzy miesiące na oddziale ortopedii urazowej.

Dorota patrzyła na niego ze złością. Po policzkach ciekły jej łzy, lecz nie spuszczała wzroku. Z zaciśniętymi ustami i dłońmi zwiniętymi w pięści siedziała nieruchomo jak posąg.

- Te wydarzenia panią ukształtowały, pani Doroto. To, kim pani dzisiaj jest, jak pani postrzega siebie, świat, jak postrzegała pani ojca i jakimi sposobami komunikowała się pani z nim oraz w jaki sposób doprowadziła do zakończenia jego życia, to właśnie efekt tego, co działo się w okresie, gdy była pani dzieckiem i nastolatką.

To, o czym powiedziałem, to były dwa bardzo silne motywy do działania. Po pierwsze chciała pani uwolnić się od ojca agresora, a po drugie chciała pani uzyskać niezależność finansową. Dodam tylko, że agresja pana Groszkowskiego trwała cały czas. Rozpytanie wśród sąsiadów pani ojca i wśród pani sąsiadów wykazało, że często się kłóciliście, a gdy jeszcze mieszkała pani z nim, jego krzyki było słychać prawie codziennie. I w tym momencie, znając motyw, dochodzimy do tego, w jaki sposób chciała się go pani pozbyć. Otóż nie chciała pani albo nie potrafiła zrobić tego samodzielnie. Nie jestem psychologiem, jestem prawnikiem. Mogę tylko domniemywać, że nie była pani w stanie wykonać tego samodzielnie. Wiem, że całe życie znajdowała się pani w sytuacji, gdy to ojciec dominował fizycznie i nie mogła pani uwierzyć, że to pani może być od niego na tyle mocniejsza i silniejsza, żeby zakończyć jego żywot. Nie jest to tylko kwestia fizycznej siły. Jak mniemam, to przede wszystkim kwestia siły psychicznej. Jednak gdzieś na drugim planie pozostaje również to, czy działała pani z premedytacją i z zamiarem, który był pani wcześniej znany i czy wyartykułowała go pani wobec samej siebie. Bo jeśli tak było, to znaczy, że posłużyła

się pani obecnym tu kolegą z pracy, panem Kozlovskim, jako narzędziem. Wykorzystała go pani w sposób perfidny, wiedząc albo mając nadzieję, że to on poniesie konsekwencje czynu, którego pani osobiście nie chciała popełnić, a pani sama pozostanie w ukryciu. Tak się jednak nie stało.

Potrzebny był więc pani wspólnik. Odkrycie, kim jest wspólnik, nie było zbyt trudne. Wystarczyła analiza pani rachunku telefonicznego i ustalenie, z którymi numerami łączyła się pani nader często. Po pierwsze z zestawienia numerów, z którymi pani się łączyła, wynikało, że najczęściej dzwoniła pani do siedzącego tutaj wiceprezesa spółki, w której pracował pani ojciec. Rozmawialiście o różnych porach i czasem bardzo długo. Bywaliście nawet tutaj w tym domu w górach. Jak się również okazało, razem podróżowaliście, choćby ostatnio do Francji... choć nie zawsze tym samym samolotem, zapewne dla utrudnienia powiązania tych wycieczek z wami. Z danych operatora komórkowego wynika, że wasze telefony zalogowały się tego samego dnia, lecz w różnych odstępach czasowych na terenie Paryża. Z tych samych danych wynika, że była jeszcze jedna osoba, z którą regularnie pani rozmawiała. Co najmniej raz w miesiącu i zawsze pomiędzy piątym a dziesiątym każdego miesiąca. To właśnie ta osoba dostarczała pani informacji o stanie majątku ojca. Renata Brudzińska, bo o niej mowa, jest tylko skromnym pracownikiem kancelarii notarialnej w Warszawie. Pani Renata jest jednocześnie pani koleżanką ze szkolnej ławy, pani Doroto. Razem spędziłyście równe cztery lata w liceum ogólnokształcącym w klasie o profilu ogólnym. Nie wiedziałbym tego, gdyby nie fakt, że przypadkiem przeglądałem dokumenty pracowników kancelarii notarialnej, szukając możliwych wycieków danych dotyczących pani ojca. Wśród dokumentów był życiorys pani koleżanki. Powiązanie zawartych tam informacji z tym, co miałem już wcześniej z działu kadr Wadeksu, nie było wielką sztuką. Miałem napisane czarno na białym, że dwie koleżanki, które znały się świetnie z przeszłości, dzwoniły do siebie raz w miesiącu zawsze w tej samej porze. Musiał być ku temu jakiś powód. Zestawiłem te informacje z danymi kalendarza notariusza, u którego pracuje pani Renata Brudzińska. Oczywiście nie było dla mnie zaskoczeniem, że wasze telefony odbywały się tuż po tym, jak pan Groszkowski co miesiąc przychodził do kancelarii, aby zaktualizować listę majątku lub złożyć kolejne dyspozycje na wypadek swojej śmierci.

W pomieszczeniu zapadła chwila ciszy. Inspektor Kłopocki w milczeniu przesunął wzrok z Kozlovskiego na Groszkowską, następnie na funkcjonariuszy siedzących posłusznie w bezruchu na krzesłach, a następnie z powrotem na Groszkowską i wiceprezesa. Z kieszeni kurtki wyciągnął butelkę wody, cały czas patrząc w twarz Kozlovskiego i dziewczyny. Powoli odkręcił korek i przytknął butelkę do ust. Pociągnął duży łyk. Poczuł, jak chłodna woda studzi jego gardło i spierzchnięte wargi. Nie był wykładowcą, więc jakiegokolwiek przemowy powodowały zawsze, że zasychało mu w ustach. Teraz, gdy rana postrzałowa barku goiła się szybko i czasem lekko pulsowała a czasem swędziała, częściej odczuwał potrzebę picia. Odstawił butelkę na stół obok.

Kontynuował.

- Tak więc, pani Doroto, znamy już pani motywy. Wiemy też, skąd wzięła pani informacje na temat tego, o co warto walczyć. Tu wchodzi do gry pani kochanek, kolega z pracy, wiceprezes spółki notowanej na giełdzie papierów wartościowych i jednocześnie współuczestnik zbrodni.

Inspektor postąpił dwa kroki w stronę Kozlovskiego i stanął wyprostowany. Spojrzał na niego ciepłym i odrobinę współczującym spojrzeniem.

- Tak, panie Mirosławie, panie prezesie, rozmawiamy teraz o panu. O dorosłym facecie, mężczyźnie w sile wieku, który myślał, że zabawi się młodą dziewczyną i zrealizuje

swój cel, podczas gdy to ona wykorzystała go w najgorszy i najbardziej brutalny sposób.

Kłopocki wskazał palcem na Dorotę.

- Pani Groszkowska najpierw pana uwiodła, a następnie nakłoniła do wspólnego zaplanowania i przeprowadzenia morderstwa.

Dorota siedziała nieruchomo wpatrzona tępym wzrokiem gdzieś przed siebie, jakby kompletnie nieobecna.

- Jednak pani Dorota trafiła na podatny grunt. Zaoferowała panu udział w zysku. - Inspektor przerwał na moment swoją wypowiedź. - Przystępstwo za korzyść finansową. Czy zna pan ten model działania? Przystępstwo i seks w tle... Czy coś panu świta?

Kozlovsky spuścił wzrok.

- To nie był pana pierwszy raz. - Inspektor spojrział na Dorotę. - Poprzedni był na Węgrzech, gdy był pan dużo młodszy, ale stare przyzwyczajenia wracają.

Wzrok Groszkowskiej nagle wrócił z punktu położonego daleko za oknem górskiej chaty do jej wnętrza. Spojrzała najpierw na inspektora, a następnie skupiła swoje spojrzenie na Kozlovskym. Ciemna zmarszczka przecięła jej czoło.

Inspektor właśnie takiego efektu oczekiwał. Nie musiała nic mówić, bo jej postawa poświadczyła właśnie, że nie знаła tego fragmentu życiorysu swojego kochanka. Oparł się plecami o ścianę na wprost nich i patrzył. Mijały minuty ciszy. Policjanci, którzy towarzyszyli Kłopockiemu, zaczęli badawczo na siebie spoglądać. Dla nich cisza w pomieszczeniu była kompletnie niezrozumiała i niepotrzebna.

- Powiem wam, jak to zrobiliście - zaczął ponownie Kłopocki. - Pani Dorota pana uwiodła. Pan chciał się zabawić. Zaproponowała pozbycie się ojca. Dorobiliście klucz do jego pokoju w biurze. Wszedł pan tam, kiedy Stanisław Groszkowski był sam i dał mu pan zastrzyk chlorku potasu. Śmierć nastąpiła w kilka sekund, bo tak działa ten związek chemiczny. Następnie otworzył pan okno i ustawił klimatyzację na maksymalne chłodzenie, aby ciało jak najszybciej wystudzić i nie można było ustalić, kiedy dokładnie nastąpił zgon. Później zamknął pan drzwi od zewnątrz i wyszedł z biura.

Kłopocki zamyślił się na chwilę i podrapał po głowie w zamyśleniu, po czym kontynuował.

- Jednego żadne z was nie przewidziało. Pan nie przewidział, że kochanka nie ma zamiaru z panem być i że jest pan wyłącznie narzędziem w jej rękach. Pewnie pan nie wie, ale w pokoju w jednym z segregatorów ukryta była kamera wideo aktywowana ruchem w pomieszczeniu. Dzięki uprzejmości pani Doroty, jak się domyślam - tutaj skłonił się w jej stronę - dostałem to nagranie. Na nagraniu jest sam moment morderstwa, panie prezesie. Widać, jak pan wchodzi do pokoju i po krótkiej wymianie zdań zbliża się do ofiary, po czym jednym ruchem wbija jej igłę w ciało i uśmierca ją. Pański współpracownik nie cierpiał długo. Ten specyfik, jak się pan zapewne orientuje, działa bardzo szybko i skutecznie.

Kozlovsky nie patrzył na inspektora. Ze spuszczoną głową spoglądał na Dorotę z zaciśniętymi wargami i pulsującą na czole żyłą.

- Jednak powinien pan wiedzieć, że tutaj popełnił pan błąd. To był drobiazg, a jego odnalezienie zajęło mi kilka nieprzespanych nocy. Chodzi o sam zastrzyk.

Kłopocki podniósł dłoń i wskazującym palcem wskazał na swoje biodro.

- Mniej więcej tak pan wbił igłę. Miejsce takie samo jak przy zastrzykach z insuliny, które aplikował sobie dyrektor Groszkowski. Nawet igła podobna, tylko ciut grubsza. Jednak wbił się pan w złą stronę ciała.

Zanim Kozlovsky zdążył zareagować, inspektor podniósł dłoń w geście powstrzymującym wszelki sprzeciw.

- Musi pan wiedzieć, że Groszkowski miał od lat ustaloną metodę podawania sobie insuliny. Przez jeden tydzień wbijał strzykawkę w lewy bok, a przez kolejny tydzień wbijał ją w prawy bok. Zmiana następowała zawsze w niedzielę. Morderstwa dokonał pan w piątek, a więc na dwa dni przed zmianą strony. Dlatego właśnie patolog zauważył, że wszystkie nakłucia z tamtego tygodnia są po jednej stronie, a to jedno, to śmiertelne, jest po drugiej i jest odrobinę inne. Po prostu nie wiedzieliście, że denat miał taki system i że trzymał się go bardzo skrupulatnie.

- I tutaj przechodzimy do pani, pani Doroto - kontynuował Kłopocki. - Zapewne zastanawia się pani, skąd wiem, że miała pani coś wspólnego z morderstwem pani ojca. Przewrotnie powiem, że to samo narzędzie, które wskazało na pana Kozlovskiego, wskazało również na panią...

Dorota podniosła głowę. Marsowa zmarszczyła przeciętą jej czoło.

- Co to za brednie? - spytała szorstkim głosem.

- Otóż widzi pani, żeby móc wykonać swoją część planu, to znaczy żeby pan Kozlovsky mógł zamknąć drzwi i niepostrzeżenie wyjść z obiektu razem z panią, potrzebowaliście skorzystać z mało uczęszczanego tylnego wyjścia z budynku, takiego, które nie rejestruje odbicia kartą magnetyczną, jeśli drzwi otwiera się kluczem. Problemem jest tylko to, że musieliście się do tego odpowiednio przygotować. I to jest ten mały szczegół, który was zdradził. Kamera umieszczona na tyłach budynku nagrała, jak wychodzi pani z budynku po schodach w przebraniu montera. Gdyby nie pani buty, nie wpadłbym na to. Dopiero buty nakierowały mnie na kobiecy krok i ruch ręki. Dodam, pani Doroto, że to te same buty, które w trakcie włamania do pani domu znalazły się na środku jednego z pokoi wywalone z szafki przez włamywaczy. Buty zabezpieczyliśmy oczywiście w trakcie przeszukania wraz ze śladami biologicznymi.

Dorota Groszkowska schowała twarz w dłoniach.

Kłopocki nie przestawał opowiadać.

- Zabicie dyrektora tamtego dnia było o tyle korzystne i bezpieczne dla was, że nikt nie dziwiłby się jego nieobecnością, bo w tamten piątek po południu miał jechać poza Warszawę, na spotkanie absolwentów. Nie dziwiło więc nikogo, że drzwi do jego pokoju były zamknięte. Dodatkowo rozmywaliście odpowiedzialność na kolegów z firmy, bo tego właśnie dnia do centrali Wadeksu zjechali wszyscy dyrektorzy oddziałów z całego kraju i przez cały dzień byli w biurze. Teoretycznie mógł to zrobić każdy z nich, zważywszy na fakt, że wielu z nich miało motyw.

Kłopocki skinął głową na funkcjonariuszy. Tylko na to czekali. Jednocześnie wstali ze swoich krzeseł i podeszli do Groszkowskiej i Kozlovskiego. Każdy z policjantów wyciągnął kajdanki i założył je na nadgarstki przestępczej pary.

Inspektor czuł ulgę, ale i niedosyt. Rozwiązał swoją sprawę. Wiedział, kto i dlaczego zabił. Jednak wiele wątków nie dawało mu spokoju, jak choćby związek śmierci, a raczej zabójstwa mnicha z Dorotą i jej ojcem.

Ciągle miał pytania, ale odpowiedź na nie postanowił przełożyć na późniejszy termin. W tym momencie miał przed sobą jeszcze długą drogę powrotną do stolicy, a rana pod opatrunkiem na barku zaczynała znowu dawać mu się we znaki.

## Poniedziałek, dziewiąty maja, Paryż

Dla Davida Gabriota miał to być kolejny dzień nędznego i beznadziejnego życia. Był bankier z dwudziestopięcioletnim stażem pracy w jednej i tej samej instytucji finansowej, który nie odnalazł się na rynku pracy po zwolnieniach grupowych. Rozwodnik z dwójką dzieci i poczuciem kompletnej życiowej porażki od momentu, w którym odkrył, że jego o piętnaście lat młodsza żona świadczyła usługi seksualne jego kolegom z pracy, a jemu odmawiała intymnego pożycia przez wiele lat.

Zmiany w jego życiu potoczyły się szybko. Najpierw stracił żonę, a w jego sercu i duszy została wielka wyrwa. Następnie z jego życia zniknęły dzieci, które wołały spędzać czas z czystą i zadbaną mamusią oraz jej męskimi przyjacielami niż z ojcem, od którego ciągle pachniało wodą i papierosami. Klitka, w której mieszkał, odstraszała nawet karaluchy. Kwestią czasu było opuszczenie nawet tego prowizorycznego domu - David zamienił go latem na parki i zimą na stacje metra oraz przytulisko dla bezdomnych. Jego jedynym zajęciem było szwendanie się po mieście i codzienne wizyty na śmieciowisku, gdzie czasem upolował jakieś fanty, które mógł sprzedać pod wejściem do metra.

Tego poranka śmieciowisko śmierdziało bardziej niż zwykle za sprawą pierwszych promieni słońca, które podgrzewały nasiąknięty po nocnych opadach deszczu teren wypełniony odpadami różnego sortu.

Był pierwszy. W zasięgu wzroku nikogo nie widział, tylko kruki głośno klóciły się o jakąś zdobycz.

Podszedł bliżej. Spojrzał, o co tłukły się ptaki i momentalnie, bez żadnego ostrzeżenia ze strony organizmu, zwrócił całą zawartość żołądka. Torsje były tak silne, że nie był w stanie ustać na nogach.

Gdy skończył, otarł rękawem usta i jeszcze raz spojrzął na rozdziobane przez ptaki ludzkie zwłoki. Dopiero w tym momencie zauważył, że ptaki tylko kończyły to, co ktoś zaczął już wcześniej. Ciało mężczyzny było wgniecione w pryzmę śmieci, a na jego ubraniu widać było ślady opon samochodu.

Cały czas targały nim skurcze żołądka, ale kontrolował je, patrząc na zwłoki. Wydawało mu się, że obok wydłubanego przez ptaki oka wiszącego z oczodołu dostrzega dziurę po kuli.

Ptaki, początkowo przestraszone jego obecnością, odleciały na bezpieczny dystans, lecz pokusa dziobania darmowego mięsa była zbyt duża. Jeden po drugim wracały i karmiły się padliną człowieka. Kończyły to, czego nie zrobił oprawca. Nawet jeśli ktoś kiedyś znajdzie ciało, niezwykle trudno będzie stwierdzić, że ludzkie ścierwo rozdziobane na śmieciowisku Paryża to pułkownik kontrwywiadu w stanie spoczynku, Ludwik Dzierżgoński.

## Poniedziałek, dziewiąty maja, Punta Cana

- *Gracias, amigo*<sup>32</sup> - powiedział major Mocadowski do kelnera, którzy przyniósł mu kolejnego drinka Cuba Libre z podwójną dawką rumu i postawił go na niewielkim stoliku tuż obok jego leżanki.

Major nie posiadał się ze szczęścia. Turkusowe wody morza karaibskiego, bezchmurne niebo i wszechobecne ciepło połączone z wilgotnością, która powodowała, że czuł się szczęśliwy i spełniony. Rum wchodził do głowy lepiej niż w Europie.

To nie był jego urlop. To była konieczność. Musiał wyjechać i uciec na jakiś czas, przynajmniej do momentu, kiedy wszystko się wyjaśni i przetoczy się największa burza pomiędzy Amerykanami i Rosjanami.

Początkowo jego celem było tylko przetrwać, lecz w efekcie okazało się, że z całej sytuacji może wynieść korzyści. Z tego, co powiedział mu przez telefon jego przyjaciel z ambasady w Paryżu, nikt nie był zadowolony z faktu, że dane na dyskach nie zostały odzyskane i jego przyjaciele Rosjanie zostali wykpieni przez inny wywiad, choć nie wiedzieli jaki. Dla niego istotne było, że obciążające go dokumenty i historia służby nigdy więcej nie będą dla nikogo dostępne. Nawet w najśmielszych snach nie przypuszczał, że zdjęcia, nagrania i filmy, które spędzały mu sen z powiek, kiedykolwiek będą mogły zniknąć i rozpląnąć się w powietrzu. Zdawał sobie sprawę, że zapewne zostały one przejęte przez wywiad amerykański, lecz to nie stanowiło to dla niego żadnego problemu. Tylko posiadanie tych dokumentów przez wywiad rosyjski było dla niego zagrożeniem graniczącym z niebezpieczeństwem.

Pociągnął duży łyk Cuba Libre ze szklanki, skrzętnie omijając słomkę.

Co najmniej dwa tygodnie - pomyślał. Co najmniej tyle muszę tu wytrzymać, zanim pojawię się tam z powrotem.

Jednocześnie wiedział, że jego kolega i wieloletni przełożony, pułkownik Dzierzgoński, nie wróci już do służby.

---

<sup>32</sup> *Gracias, amigo* (hiszp.) - dziękuję, przyjacielu.



## **Wtorek, dziesiąty maja, Warszawa**

To była jego pierwsza spokojna noc od dłuższego czasu. Pierwsza od kilku lat, kiedy w zaciszu prawie stumetrowego apartamentu należącego do ambasady USA mógł być sobą. Nie musiał nikogo udawać, kontrolować się ani odgrywać żadnej roli.

Obudził się punktualnie o szóstej. Nawet nie potrzebował budzika.

W drodze do łazienki włączył ekspres do kawy. Goląc się, czuł, jak woń kawy rozchodzi się po kuchni i dociera do łazienki.

Po kąpieli, owinięty jedynie ręcznikiem, z wilgotnymi włosami syczył kawę i sycił oczy panoramą budzącego się do życia miasta.

Była niedziela i tylko słońce wyznaczało początek dnia. Wisiało już wysoko na niebie i oświetlało ulice, na których sporadycznie pojawiały się auta i piesi.

Pół godziny później w apartamencie rozbrzmiał dzwonek domofonu. Jego eskorta była już na miejscu. Poprawił spodnie i założył marynarkę munduru, zapinając wszystkie guziki. Gdy drzwi się otworzyły, był gotowy. Jego eskorta, również żołnierz, przytrzymał drzwi i salutując, przepuścił go w kierunku wyjścia.

W kompletnym milczeniu zajął miejsce w tylnej części vana z przyciemnionymi szybami. Tylko w ten sposób mógł podróżować po mieście ubrany w galowy mundur.

Do ambasady dotarli w niecałe dziesięć minut.

- Witam, komandorze! - Generał Stankins przywitał go z uśmiechem i otwartymi ramionami.

Orłowski zsalutował, po czym przywitał się z generałem jak ze starym przyjacielem.

- Siadaj, Mike. - Generał wskazał miejsce na fotelach. - Mamy jeszcze kilka minut, zanim przyjdzie ambasador. Bardzo chciał być przy naszym spotkaniu i przy dekoracji. - Stankins pokazał na biurko w centralnej części pokoju.

W niewielkim czerwonym pudełku spoczywała odznaka - symbol kolejnej zakończonej sukcesem misji kontrwywiadu wojskowego USA, w której Orłowski był najważniejszym ogniwem. Mężczyzna wiedział, że przez chwilę będzie mógł potrzymać ją w dłoniach, a następnie wróci ona do skarbcza jako jego własność i nie dostanie jej do ręki przez wiele lat. Wszystko dla bezpieczeństwa - jego i organizacji, dla której zdecydował się pracować.

Boczne drzwi się otworzyły. Nick Brown, ubrany w nienagannie wyglądający czarny garnitur i wypolerowane czarne pantofle, wkroczył do pokoju. Od razu skierował się w stronę komandora Orłowskiego.

- Pierwszy raz osobiście - powiedział Nick do wstającego z krzesła komandora. - Lepiej późno niż później.

- Dzięki, Nick, za całe wsparcie, szczególnie to w Paryżu. Bez niego mogło być krucho. Trzej mężczyźni usiedli przy stole.

- Panowie - zaczął generał. - Wiem, że wasz raport jest spisany, ale chcę usłyszeć o przebiegu całej operacji z pierwszej ręki.

Nick Brown wykonał uprzejmy gest w stronę Orłowskiego, żeby ten zaczął mówić.

- Moja praca nad tą sprawą zaczęła się znacznie wcześniej niż Nicka. Nasza wojskowa struktura dostała sygnał o tym, że politycy kongresu i senatu są szantażowani przez byłych funkcjonariuszy wywiadów państw byłych bloków komunistycznych, którzy po upadku muru berlińskiego stworzyli coś na kształt mafii trudniącej się szantażami. Wiedzieliśmy, że ci ludzie wykradają archiwa, które wcześniej były oficjalnymi archiwami wywiadów poszczególnych państw i wykorzystują je do korumpowania ludzi w kongresie, senacie, a nawet w Białym Domu. Po dokładnym przyjrzeniu się sytuacji okazało się, że sprawa dotyczyła nie tylko naszego kraju, ale również polityków w Wielkiej Brytanii, Francji czy Niemczech.

Jeszcze zanim zostałem włączony do operacyjnego działania, ustalono, że pieczę nad aktami wywiadów sprawuje człowiek, który był byłym oficerem wywiadu polskiego. Za sprawę najwyższej wagi uznano odkrycie, gdzie te materiały się znajdują, a następnie ich odzyskanie lub zniszczenie. Dlatego właśnie wysłano mnie do kraju, z którego pochodziła moja matka, do Polski, żebym pracował tam i obserwował człowieka, który był jedynym powiernikiem największego skarbu organizacji zajmującej się szantażami.

Obserwowałem go przez ponad rok i poznałem cały mechanizm transferu środków oraz zorientowałem się, że pozyskaniem tych materiałów jest zainteresowany nie tylko nasz wywiad.

- Poczekaj - przerwał generał - opowiedz mi o tym transferze środków.

- Jak pan zapewne wie, generale, ktoś, kto był szantażowany, wypłacał z banku pieniądze i dostarczał je organizacji, która go szantażowała. Środki te były następnie wpłacane na różne fikcyjne konta bankowe w bardzo małych sumach, żeby nie budzić podejrzeń. Następnie pieniądze były przelewane na różne drobne rachunki maklerskie. Z tych rachunków dokonywano transakcji zakupu i sprzedaży akcji. To był to specjalny mechanizm transferu środków do osób i części organizacji, które położone były w innych zakątkach świata. W ten sposób opłacano zakupy broni, sprzętu, a nawet płatnych zabójców. Ktoś, kto miał być opłacony, najpierw kupował akcje wskazanej spółki, a następnie szybko je sprzedawał po wyższej cenie, ustalonej wcześniej z centralą. Centrala nabywała akcje i znowu sprzedawała je kolejnemu uczestnikowi procederu, do którego miały dostać się te pieniądze. Całość działa się na miejscu w Warszawie. Zbudowano specjalny system komputerowy, który automatycznie generował transakcje po stronie kupującego i sprzedającego. Miał on do dyspozycji ponad szesnaście tysięcy spółek na całym świecie. Wszystko odbywało się w podziemiu budynku, w którym pracował nasz skarbnik, czyli pan Groszkowski. Siedziba była zlokalizowana zaledwie trzy piętra niżej, na poziomie garażu. System był tak skonstruowany, że końcowy beneficjent przekazu pieniężnego nawet nie musiał wiedzieć, jak działa jego rachunek maklerski, bowiem po transakcji korzystnej sprzedaży akcji środki automatycznie były przesyłane na powiązany rachunek bankowy. Co istotne, spółki były dobierane dynamicznie, tak żeby mieć pewność dokonania dokładnie takiej transakcji, która była zaplanowana. Wybierano spółki o niewielkim zainteresowaniu i niezbyt dużej kapitalizacji.

Gdy tylko zamordowano Groszkowskiego, a raczej pułkownika Groszkowskiego, bo taki stopień miał w strukturach wywiadu wojskowego w okresie komuny, zadziałała procedura awaryjna. Facet, który zajmował się tymi transakcjami i przelewaniem pieniędzy, szybko zwinął interes i zniknął z komputerami. Niestety nie wszystko poszło po jego myśli, bo wkrótce jego ciało na lotniskowym parkingu znalazła niemiecka policja. Zakładamy, że taka właśnie była oryginalna procedura, którą Groszkowski ustalił z organizacją na wypadek

swojej śmierci. Mieli oni zlikwidować informatyka, Marka Gawińskiego, żeby nie było ryzyka, że coś komuś powie na temat swojej pracy i pracodawców.

- Okej, a jak się zorientowałaś, że nie tylko my obserwujemy Groszkowskiego?

- To nie było takie trudne, chociaż przyznam się, że nie wpadłem na to sam i nie mieliśmy absolutnej pewności aż do końca. Ale po kolei. Jak pan wie, obserwowałem córkę Groszkowskiego oraz jej ojca. Kiedyś zdarzyło się, że wraz ze mną jej mieszkanie obserwowało trzech facetów. To było po śmierci Groszkowskiego, wtedy, gdy miało miejsce włamanie do mieszkania jej i jej ojca. Dwóch mężczyzn siedziało w aucie niedaleko mojego miejsca. Nagle podszedł do nich trzeci mężczyzna. Byłem na tyle blisko, że usłyszałem, jak powiedział do nich „Priviet”. To mógł być przypadek, bo sporo Polaków używa słów z innych języków, ale od tego momentu przyglądałem się im dokładniej. Nie słyszałem całej rozmowy, bo byłem zbyt daleko i nie chciałem, żeby mnie widzieli, ale później słyszałem, jak jeden z nich gdzieś dzwonił i mówił już po polsku coś o sklepie. Dopiero kilka dni temu udało się potwierdzić, że Rosjanie interesowali się tą sprawą już od dawna. Kiedy Nick pojechał w teren, do miejsca, gdzie byłem przetrzymywany, okazało się, że zastał tam znanego nam dobrze pułkownika Dzierżgońskiego, tego samego, który stał za plecami Groszkowskich.

- Groszkowskich? Liczba mnoga? - przerwał mu Stankins.

- Tak, generale. Pułkownik Dzierżgoński pracował kiedyś z pułkownikiem Groszkowskim. Kiedy zakończyli swoją służbę dla wywiadu, każdy poszedł swoją drogą, obaj w działalność przestępczą. Jednak to Groszkowski zabrał ze sobą cenny skarb, czyli akta pozwalające na korumpowanie ludzi. Przez te wszystkie lata pułkownik Dzierżgoński starał się na różne sposoby odzyskać przynajmniej tę część akt, która dotyczyła jego samego. Dlatego dotarł do córki Groszkowskiego i do Rosjan za pośrednictwem ich służby wywiadu. Miał z nimi kontakt jeszcze z okresu poprzedniego reżimu, chociaż jak wiemy, akurat u nich od tamtego czasu niewiele się zmieniło. Ich prezydent wywodzi się właśnie z kręgów wywiadu.

Gdy Nick zobaczył Dzierżgońskiego podjeżdżającego pod dom, gdzie byłem przetrzymywany, przynajmniej wiedzieliśmy, z kim mamy do czynienia. Ale nie od razu zorientowaliśmy się, że Dzierżgoński pracuje z Rosjanami. Naprowadziły nas na to dwie rzeczy. Po pierwsze analityk, którzy przeglądał zdjęcia zrobione przez Nicka, zauważył, że auto, którym pułkownik przyjechał pod dom wraz ze swoim towarzyszem, miało nieoryginalne opony. Po kilku zabiegach powiększenia i czyszczenia zdjęcia okazało się, że to opony marki Cordiant, czyli rosyjskiego producenta. Ten model jest dostępny tylko dla tak zwanych specjalnych samochodów: dla ambasad, wysoko postawionych pracowników agend rządowych, prezydenta i tego typu ludzi. Druga informacja to sygnał telefonu satelitarnego, który nadawał z tego właśnie domu. Nie znamy treści komunikacji, ale wiemy, że z telefonu dzwoniło do drugiego urzędnika, które znajdowało się na terenie Federacji Rosyjskiej i przypadkowo było się na terenie obiektu należącego do wywiadu rosyjskiego.

I tu na moment wrócę do tego, jaki związek z pułkownikiem Dzierżgońskim miała Dorota Groszkowska. Przed wszystkim znali się od czasu, gdy była dzieckiem. Dzierżgoński bywał w domu Groszkowskich jeszcze za czasów, kiedy żyła żona Groszkowskiego. Później jako dorosła kobieta Dorota Groszkowska planowała pozbyć się ojca i zagarnąć jego majątek. Odnalazła swojego wujka i zarazem kolegę ojca. Dzierżgońskiemu na rękę była ich współpraca oparta na obopólnych korzyściach. Ona powiedziała mu, że ma dosyć ojca, tyrana i kata, który się nad nią znęcał. On powiedział jej, że wie, rozumie i pomoże. Żadne z nich nie wiedziało, że jest jeszcze drugie dno. Dzierżgoński nie wiedział, że Groszkowska jest świadoma, jaki majątek miał jej ojciec, a ona z kolei nie wiedziała, że jej ojciec miał

archiwum, którego pożądał Dzierżgoński i jego przyjaciele z Rosji. I ta ich kohabitacja zaowocowała tym, że to ona podsunęła koledze z pracy pomysł użycia chlorku potasu jako narzędzia zbrodni.

- Dokładna analiza biochemiczna - wtrącił Brown - wykazała, że z bardzo dużym prawdopodobieństwem substancja ta pochodziła z zapasów Federacji Rosyjskiej. Potwierdza to fakt współpracy Groszkowskiej z Dzierżgońskim i Dzierżgońskiego z wywiadem rosyjskim.

- Zaczęło się robić nerwowo, gdy Groszkowski zginął i do działania wkroczył Carcasse, czyli jeden z najlepszych ludzi francuskiego DST, który był szefem całej organizacji, dla której pracował Groszkowski. Wtedy właśnie Dzierżgoński i jego ludzie przeszukali mieszkania Doroty i jej ojca, bo myśleli, że trafią na jakikolwiek ślad informacji, gdzie zgromadzone są archiwa wykradzione przez Groszkowskiego. Nie udało im się to. Dzierżgoński nie przewidział, że tę informację ojciec powierzy córce za pośrednictwem notariusza. Dzierżgoński był tak zdesperowany, że zaczął podejrzewać mnie o współpracę z Groszkowskim tylko dlatego, że wynajmowałem dom w Magdalence pod Warszawą, który należał do niego - tak zresztą poznaliśmy się i tak udało mi się rozpocząć pracę w Wadeksie. A ponieważ coś podejrzewał, to najprostszym sposobem było przesłuchanie mnie wszystkimi możliwymi sposobami. Dlatego właśnie Dzierżgoński porwał mnie z hotelu w Warszawie, gdzie miałem spotkanie z jednym z ludzi z Wadeksu i wywiózł do domu na Mazurach. Do tego samego domu przywiózł Dorotę. Chciał nas przesłuchiwać tak długo, aż zdobędzie jakieś informacje. Do pomocy zaangażował nawet swojego dawnego kolegę, który specjalizował się w przesłuchaniach, i to z bardzo dobrymi efektami. Ten kolega to znany nam major Mocadowski, który prowadził swoje operacje na dużo mniejszą skalę. Również były one nielegalne, za to bardzo dochodowe. Żył skromnie na uboczu i gdy pewnego dnia pojawił się u niego Dzierżgoński, postanowił skorzystać z szansy, jaką dostał od losu, i zaczął działać razem z nim, jednocześnie realizując swój plan - tak samo jak Dzierżgońskiemu zależało mu bowiem na zniszczeniu części akt, które go dotyczyły.

Tak więc gdy znalazłem się w domu na Mazurach, po kilku nieudanych przesłuchaniach i paru pobiciach zorientowałem się, że zablokowany przeze mnie mechanizm w drzwiach daje mi drogę ucieczki. Uwolniłem Dorotę i razem uciekliśmy do najbliższego lądowiska leśnego, a stamtąd poleciliśmy do Warszawy. Dorota w przyпіływie szczerości i wielkiego skołowania - bo nie spodziewała się, że wujek wystąpi przeciwko niej - powiedziała mi o notariuszu i o dyskach. Od tamtego momentu wszystko było już jasne. Tak poprowadziłem rozmowę i całą sytuację, że wynikło z niej, że może mi zaufać i że mogę jej pomóc. Musieliśmy zebrać te dyski. Ponieważ ona sama odebrała pierwszą przesyłkę od mnicha, nie pozostawało nam nic innego, jak tylko zająć się kolejną w Londynie. Podróżowanie było trochę utrudnione, bo polska policja posłała za mną ludzi, żeby mnie obserwowali, i musiałem przyjąć, że na polskich przejściach granicznych jest zbyt niebezpiecznie, więc najpierw pojechaliśmy pociągiem do Berlina i stamtąd dalej samolotem do Londynu.

Odzyskanie dysków nie stanowiło większego problemu, nie licząc faktu, że każdy, kto wydawał nam dysk, ginął krótko później za sprawą gościa pracującego dla organizacji Carcasse'a. To Irlandczyk, który przez lata wykonywał egzekucje dla organizacji w różnych częściach świata.

Za każdym razem, gdy odbieraliśmy dysk, podłączałem go z Dorotą do komputera, żeby sprawdzić, czy uda się z niego coś odczytać. Dobrze wiedziałem, że się nie da, ale nie o to chodziło. Dzięki temu człowiek, który cały czas jak cień poruszał się za nami po Europie i w hotelu miał zwykle pokój tuż obok nas, mógł błyskawicznie zrobić kopię dysku i wysłać ją

do analizy do centrum operacyjnego, gdzie analitycy i informatycy zajmowali się dalej rozkodowaniem danych.

Ten sam człowiek po odzyskaniu czwartego dysku i połączeniu wszystkich w klaster za pomocą bransoletki należącej do Doroty nie tylko zgrał rozkodowane dane, ale zrobił coś o wiele ważniejszego.

- Koń trojański... - odpowiedział Stankins.

- Tak, generale. Błyskawicznie podmienił oryginalne dane zachowane na dyskach przez Groszkowskiego danymi, które kilka lat wcześniej wykradliśmy Rosjanom. Dotyczyły one ich polityków, wojskowych, wywiadu i głównych operacji na terenie naszego państwa oraz Europy. Dane były tak spreparowane, żeby wyglądały na zaszyfrowane przez Groszkowskiego. Do tego dołączyliśmy jeszcze niewielki programik, który był niewidoczny przez jakiś tydzień, a który szybko zaczął pracę po podłączeniu dysków do komputera w ambasadzie rosyjskiej w Paryżu. Dzięki niemu udało się wydostać sporo istotnych i przede wszystkim aktualnych informacji na temat tego, co dzieje się aktualnie w wywiadzie rosyjskim. Jedyne, czego nie wiemy, to to, gdzie znajduje się fizyczne archiwum danych. Reszta poszła zgodnie z planem.

- Komandorze, mam więc dla pana małą niespodziankę, ale o niej za moment - przerwał generał, bo do pomieszczenia wszedł ambasador.

Rozmowa nagle przybrała kompletnie neutralny i zarazem cywilny charakter. Tylko moment dekoracji komandora odbył się w oficjalny sposób - na stojąco i z odpowiednimi honorami, jedynymi, na jakie można sobie pozwolić w strukturach służb specjalnych.

Po wyjściu ambasadora generał od razu wrócił do właściwego wątku ich spotkania.

- Mike, co byś powiedział na wakacje w tropikach?

- Byłoby świetnie, generale.

- Otóż musisz wiedzieć, że cała operacja zakończyła się jednak pełnym sukcesem. Jeszcze tego nie wiesz, ale mamy zamiar na fizyczne archiwum.

- Jak to? - Orłowski nie przypuszczał, że będzie to możliwe.

- Ta bransoletka Groszkowskiej miała mikroskopijny grawer we wnętrzu złącza, które służyło do zamykania. Ten grawer to były współrzędne geograficzne, które sprawdziliśmy. Takie miejsce faktycznie istnieje i w sumie jest to zespół budynków w pewnej części świata.

Stankins podszedł do biurka i wziął z niego dużą kopertę. Wysypał jej zawartość na stół.

- To jest twój wakacyjny cel. - Wskazał na mapę Ameryki Środkowej leżącą wśród rzeczy na stole.

Generał wskazał na szarą paczkę z dokumentami obok mapy:

- A to, komandorze, jest twoje wakacyjne zadanie, o którym musisz wiedzieć wszystko przed końcem dnia...

W tym momencie otworzyły się drzwi i do pokoju wjechał wózek ze śniadaniem.

Generał uśmiechnął się:

- Pomyślałem o wszystkim. Skoro będziesz się dziś dużo uczyć, to musisz najpierw porządnie nakarmić mózg.

## Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Piątek, drugi grudnia, Warszawa, centrum miasta](#)

[Piątek, drugi grudnia, Warszawa, Cmentarz Powązkowski](#)

[Piątek, drugi grudnia, Warszawa, centrum miasta](#)

[Wtorek, szósty grudnia, Warszawa, biuro Wadex Trade](#)

[Środa, siódmy grudnia, Warszawa, centrum miasta](#)

[Środa, siódmy grudnia, Warszawa](#)

[Czwartek, ósmy grudnia, Waszyngton, Pentagon](#)

[Piątek, szesnasty grudnia, Beskidy, Przełęcz Salmopolska](#)

[Piątek, szesnasty grudnia, Warszawa](#)

[Poniedziałek, dziewiętnasty grudnia, Poznań](#)

[Wtorek, dwudziesty grudnia, Warszawa](#)

[Poniedziałek, dwudziesty piąty kwietnia, Warszawa](#)

[Poniedziałek, dwudziesty piąty kwietnia, Zakopane](#)

[Poniedziałek, dwudziesty piąty kwietnia, Warszawa](#)

[Poniedziałek, dwudziesty piąty kwietnia, trasa Zakopane - Warszawa](#)

[Poniedziałek, dwudziesty piąty kwietnia, Warszawa](#)

[Poniedziałek, dwudziesty piąty kwietnia, California](#)

[Poniedziałek, dwudziesty piąty kwietnia, Warszawa](#)

[Wtorek, dwudziesty szósty kwietnia, Kansas City](#)

[Wtorek, dwudziesty szósty kwietnia, Warszawa](#)

[Wtorek, dwudziesty szósty kwietnia, Kraków](#)

[Wtorek, dwudziesty szósty kwietnia, Polska](#)

[Wtorek, dwudziesty szósty kwietnia, Warszawa](#)

[Wtorek, dwudziesty szósty kwietnia, Warszawa](#)

[Wtorek, dwudziesty szósty kwietnia, USA](#)

[Wtorek, dwudziesty szósty kwietnia, Polska](#)

[Wtorek, dwudziesty szósty kwietnia, Polska](#)

[Wtorek, dwudziesty szósty kwietnia, Warszawa](#)

[Środa, dwudziesty siódmy kwietnia, Mazury](#)

[Środa, dwudziesty siódmy kwietnia, Warszawa](#)

[Środa, dwudziesty siódmy kwietnia, Warszawa](#)

[Środa, dwudziesty siódmy kwietnia, Warszawa](#)

[Środa, dwudziesty siódmy kwietnia, Warszawa](#)

[Środa, dwudziesty siódmy kwietnia, Mazury](#)  
[Środa, dwudziesty siódmy kwietnia, Warszawa](#)  
[Środa, dwudziesty siódmy kwietnia, Berlin](#)  
[Środa, dwudziesty siódmy kwietnia, Waszyngton](#)  
[Środa, dwudziesty siódmy kwietnia, Warszawa](#)  
[Środa, dwudziesty siódmy kwietnia, Los Angeles](#)  
[Czwartek, dwudziesty ósmy kwietnia, Warszawa](#)  
[Czwartek, dwudziesty ósmy kwietnia, Warszawa](#)  
[Czwartek, dwudziesty ósmy kwietnia, Waszyngton](#)  
[Czwartek, dwudziesty ósmy kwietnia, Warszawa](#)  
[Czwartek, dwudziesty ósmy kwietnia, Warszawa](#)  
[Czwartek, dwudziesty ósmy kwietnia, Warszawa](#)  
[Czwartek, dwudziesty ósmy kwietnia, Warszawa](#)  
[Czwartek, dwudziesty ósmy kwietnia, Warszawa](#)  
[Czwartek, dwudziesty ósmy kwietnia, Warszawa](#)  
[Piątek, dwudziesty dziewiąty kwietnia, Berlin](#)  
[Piątek, dwudziesty dziewiąty kwietnia, Warszawa](#)  
[Piątek, dwudziesty dziewiąty kwietnia, Warszawa](#)  
[Piątek, dwudziesty dziewiąty kwietnia, Paryż](#)  
[Piątek, dwudziesty dziewiąty kwietnia, Waszyngton](#)  
[Piątek, dwudziesty dziewiąty kwietnia, Warszawa](#)  
[Piątek, dwudziesty dziewiąty kwietnia, Edynburg](#)  
[Piątek, dwudziesty dziewiąty kwietnia, Waszyngton](#)  
[Sobota, trzydziesty kwietnia, Warszawa](#)  
[Sobota, trzydziesty kwietnia, Mazury](#)  
[Sobota, trzydziesty kwietnia, Warszawa](#)  
[Sobota, trzydziesty kwietnia, Warszawa](#)  
[Sobota, trzydziesty kwietnia, Warszawa](#)  
[Sobota, trzydziesty kwietnia, Płońsk](#)  
[Sobota, trzydziesty kwietnia, Warszawa](#)  
[Sobota, trzydziesty kwietnia, Płońsk](#)  
[Sobota, trzydziesty kwietnia, Paryż](#)  
[Sobota, trzydziesty kwietnia, Berlin](#)  
[Sobota, trzydziesty kwietnia, Warszawa](#)  
[Niedziela, pierwszy maja, Mazury](#)  
[Niedziela, pierwszy maja, Waszyngton](#)  
[Niedziela, pierwszy maja, Mazury](#)  
[Niedziela, pierwszy maja, Warszawa](#)  
[Niedziela, pierwszy maja, Warszawa](#)  
[Niedziela, pierwszy maja, Zurych](#)  
[Niedziela, pierwszy maja, Berlin](#)  
[Niedziela, pierwszy maja, Mazury](#)  
[Poniedziałek, drugi maja, Warszawa](#)

[Poniedziałek, drugi maja, Warszawa](#)  
[Poniedziałek, drugi maja, Warszawa](#)  
[Poniedziałek, drugi maja, Warszawa](#)  
[Poniedziałek, drugi maja, Mazury](#)  
[Poniedziałek, drugi maja, Zurych](#)  
[Poniedziałek, drugi maja, Mazury](#)  
[Poniedziałek, drugi maja, Warszawa](#)  
[Poniedziałek, drugi maja, Warszawa](#)  
[Poniedziałek, drugi maja, Zurych](#)  
[Poniedziałek, drugi maja, trasa Warszawa - Berlin](#)  
[Wtorek, trzeci maja, Warszawa](#)  
[Wtorek, trzeci maja, Zurych](#)  
[Wtorek, trzeci maja, Warszawa](#)  
[Wtorek, trzeci maja, Berlin](#)  
[Wtorek, trzeci maja, przedmieścia Zurychu](#)  
[Wtorek, trzeci maja, Londyn](#)  
[Wtorek, trzeci maja, przedmieścia Zurychu](#)  
[Wtorek, trzeci maja, Londyn](#)  
[Wtorek, trzeci maja, Mazury](#)  
[Wtorek, trzeci maja, Londyn](#)  
[Wtorek, trzeci maja, Londyn](#)  
[Wtorek, trzeci maja, Mazury](#)  
[Środa, czwarty maja, Zurych](#)  
[Środa, czwarty maja, Warszawa](#)  
[Środa, czwarty maja, Wiedeń](#)  
[Środa, czwarty maja, Zurych](#)  
[Środa, czwarty maja, Zurych](#)  
[Środa, czwarty maja, Warszawa](#)  
[Środa, czwarty maja, Zurych](#)  
[Środa, czwarty maja, Mazury](#)  
[Środa, czwarty maja, Zurych](#)  
[Środa, czwarty maja, Warszawa](#)  
[Środa, czwarty maja, Zurych](#)  
[Czwartek, piąty maja, Warszawa](#)  
[Czwartek, piąty maja, Warszawa](#)  
[Czwartek, piąty maja, Warszawa](#)  
[Czwartek, piąty maja, Paryż](#)  
[Czwartek, piąty maja, Paryż](#)  
[Czwartek, piąty maja, Paryż](#)  
[Czwartek, piąty maja, Paryż](#)  
[Czwartek, piąty maja, Paryż](#)  
[Czwartek, piąty maja, Warszawa](#)  
[Czwartek, piąty maja, Paryż](#)



[Piątek, szósty maja, Warszawa](#)

[Piątek, szósty maja, Paryż](#)

[Piątek, szósty maja, Paryż](#)

[Piątek, szósty maja, Warszawa](#)

[Piątek, szósty maja, Paryż](#)

[Piątek, szósty maja, Warszawa](#)

[Piątek, szósty maja, Paryż](#)

[Piątek, szósty maja, Warszawa](#)

[Piątek, szósty maja, Paryż](#)

[Piątek, szósty maja, Warszawa](#)

[Piątek, szósty maja, Paryż](#)

[Piątek, szósty maja, Warszawa](#)

[Piątek, szósty maja, Paryż](#)

[Piątek, szósty maja, Paryż](#)

[Piątek, szósty maja, Paryż](#)

[Piątek, szósty maja, Warszawa](#)

[Piątek, szósty maja, Paryż](#)

[Sobota, siódmy maja, Paryż](#)

[Niedziela, ósmy maja, Salmopol](#)

[Poniedziałek, dziewiąty maja, Paryż](#)

[Poniedziałek, dziewiąty maja, Punta Cana](#)

[Wtorek, dziesiąty maja, Warszawa](#)